

ZESZYT STO ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1994

ZESZYT STO ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1994

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 484

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0152-5

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Bohdan W. OPPENHEIM

SPOŁECZNA ROLA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE

ROZMOWY I WYPOWIEDZI

WSTĘP

Załączone teksty zawierają transkrypt wywiadów telewizyjnych, które nakręciłem w maju i czerwcu 1993 w Polsce dla Instytutu Marymount na moim jezuickim uniwersytecie Loyola Marymount w Los Angeles. Ten projekt powstał w wyniku konkursu na temat roli Kościoła we Wschodniej Europie. Instytut Marymount był sponsorem projektu.

Celem filmu było naświetlenie obecnej dość głośnej i kontrowersyjnej roli Kościoła Katolickiego w Polsce. Po ukończeniu w marcu 1994, film będzie pokazywany na różnych amerykańskich seminariach akademickich poświęconych Europie Centralnej i Wschodniej.

Mój uniwersytet zakupił mi sprzęt, zapłacił za bilet i dał asystenta do technicznej strony montażu. W liberalnej tradycji jezuitów amerykańskich, dano mi absolutnie wolną rękę w treści filmu. Jestem więc w pełni odpowiedzialny za dobór rozmówców, tematów i pytań.

Podróżując samochodem od Rzeszowa, przez Lublin, Kraków, Warszawę, Włocławek, Gdańsk i Szczecin oraz wszystkie pomniejsze miejscowości po drodze, i rozmawiając chyba z co najmniej setką ludzi ze wszystkich możliwych śro-

dowisk, od kelnerek i ludzi obsługi samochodów, poprzez autostopowiczów, do profesorów seminariów duchownych gdzie sypiałem, nie spotkałem ani jednej osoby która byłaby obojętna na temat obecnej społecznej roli Kościoła. W 1993 roku, był to niewątpliwie jeden z najbardziej kontrowersyjnych tematów w Polsce. Polaryzacja opinii wydała mi się ogromna i nieustępliwa. Zachodnia tradycja umiarkowania, tolerancji, centrowości i dialogu jeszcze wówczas nie weszła do mojego starego kraju.

Wobec tych emocji, uznałem za jedynie słuszne zaadoptowanie tradycji dziennikarstwa amerykańskiego — mianowicie przedstawienie możliwie pełnego spektrum poglądów w kraju, starając się unikać własnych opinii. Mam więc wśród rozmówców biskupa, księży, świeckich intelektualistów, zawodowych polityków, byłych komunistów, w sumie ludzi reprezentujących chyba pełny zakres poglądów. Widz mojego filmu i czytelnik tego wydania sam oceni czy mi się to udało.

Nie czując się ani powołany ani kompetentny do dyskusowania spraw wiary, metafizyki i funkcji duchowych Kościoła, zdecydowanie unikałem tych tematów. Zresztą mam wrażenie, że są one zupełnie niekontrowersyjne w Polsce, w przeciwieństwie do roli politycznej i społecznej.

Wczesną wiosną 1993 poprosiłem 20 osób o wywiady, na ogół znane osobistości w Polsce, w tym rzecznika Episkopatu i Kardynała Macharskiego z Krakowa. Kardynał odmówił listownie, tłumacząc się brakiem czasu. Odpowiedź listowną z Episkopatu otrzymałem już po powrocie do Stanów — w miesiąc po wyjeździe z Polski — prosząc o przedstawienie pytań z góry. Szkoda, gdyż ciekawe byłoby zamieścić oficjalną pozycję Episkopatu. Sytuację uratował Biskup Prof. Dembowski który udzielił mi bardzo długiego prywatnego wywiadu we Włocławku, w dodatku na moją usilną prośbę robiąc to po angielsku, w którym nie czułem się w pełni wygodnie i za co jestem Mu bardzo wdzięczny. Z pozostałych 17 osób, wszyscy wyrazili zgodę nie żądając żadnych pytań z góry. (Mój operator z telewizji polskiej, Andrzej Strumiłło, który filmował poprzednio trzy wywiady z Generałem Jaruzelskim, powiedział mi że mój wywiad był pierwszym, w którym nie trzeba było przedstawiać pytań z góry). Do wywiadu z posłem Niesiołowskim z partii ZChN nie doszło z mojej winy — miałem już wywiad z młodym aktywistą, p. Zawiszą, z tej samej partii, a zabrakło mi czasu

na jazdę do Łodzi. Podobnie, nie doszło do żadnego wywiadu z reprezentantami Unii Demokratycznej — z braku czasu. Z 16-ma pozostałymi osobami przeprowadziłem wywiady trwające od 20 minut do dwu godzin.

Uprowadzałem moich rozmówców że film będzie montowany z poszczególnych kawałków wypowiedzi. Aby uniknąć cięć, prosiłem o bardzo krótkie sformułowania („do minuty najwyżej”). Na ogół nikt mnie tu nie posłuchał. Polacy, nawet wybitni intelektualści, nie są chyba przyzwyczajeni do mówienia krótkimi syntetycznymi wypowiedziami, tak jak to jest praktykowane w USA. (Przypomina mi się tutaj Jan Nowak-Jeziorański opisujący w swoich pamiętnikach desperacką walkę o ograniczenie długości wypowiedzi Polaków na antenie do 5 minut). Tym niemniej, w większości nie przerywałem, gdyż wiele wypowiedzi było ogromnie ciekawych i refleksyjnych.

Prosiłem też o wypowiedzi całościowe (*self-contained*) na dany temat, aby nie tracić czasu w filmie na moje pytania. Gdzie się to udało, wyciąłem moje pytania i wstępne wyjaśnienia. Taki film chyba ciekawiej się ogląda (i czyta). W pozostałych przypadkach pozostawiłem je dla czytelności. Tym niemniej, chyba istotne jest, by czytelnik zdawał sobie sprawę, że czyta serię stymulowanych wypowiedzi na różne niekoniecznie powiązane tematy a nie przemyślany monolog lub normalną rozmowę.

Gwoli zachowania wartości historycznej, załączone materiały są prawie wierną kopią wersji mówionej. W trakcie autoryzacji, rozmówcy wprowadzili małe nie-merytoryczne poprawki stylistyczne. Są to nadal wypowiedzi mówione, w pełni spontaniczne, często reagujące na niewygodne lub wręcz prowokacyjne pytania, czasem stawiające ludzi w stan osłupienia. Takie rozmowy dają dobry dramat na ekranie, ale nie zawsze dobry tekst do czytania. Wypowiedzi nie zawsze są kompletne lub prawidłowe gramatycznie. Zemocjonowani, nawet najwięksi erudyci czasem nie kończą zdań lub zmieniają ich wątek w połowie. Zupełnie inne wrażenie ma się oglądając to na ekranie, aniżeli czytając. Dlatego usilnie proszę czytelnika o zrozumienie tej sprawy i niekrytykowanie rozmówców za język. Fragmenty gdzie zdanie zostało urwane lub nie miało by sensu bez wyjaśniającego mojego słowa są zaznaczone w nawiasach kwadratowych [...].

Ciekawa sprawa jak doszło do niektórych wywiadów. Najciekawsze to złapanie kontaktu z generałem Jaruzelskim. Nie mając jego telefonu, najpierw połączyłem się z Belwede-

rem gdzie mi natychmiast powiedziano, że nie znają jego numeru i nie mają żadnej możliwości przekazania mu mojego numeru w Warszawie. Następnie próbowałem w Urzędzie Ochrony Państwa, z identycznym skutkiem. Trzecia seria prób była skierowana do wydawcy pamiątek Jaruzelskiego. Tu mnie skierowano do jego sekretarza. Chyba kilkanaście tych rozmów trwało może dwie godziny. Gdy wreszcie połączyłem się z sekretarzem, on już wiedział o mnie, i natychmiast powiedział mi, że generał zgadza się na wywiad. Czyli ktoś z poprzednich rozmówców musiał go zawiadomić w tym czasie, mnie mówiąc że nie znają jego numeru.

W wywiadach poruszałem dość szeroki wachlarz tematów, wliczając właściwy zakres separacji Kościoła od Państwa, przyczyny poważnego spadku autorytetu Kościoła w społeczeństwie od 1989 roku, definicje i błędy różnych sił politycznych, bohaterską rolę w okresie komunizmu, powojenną architekturę kościelną i trochę wcześniejszej historii. Poprosiłem też większość rozmówców o prognozy na temat przyszłej, „za 20 lat”, roli Kościoła w Polsce. W kilku przypadkach rozmowy zjechały na uboczne tematy polityki lub osobistych refleksji — i te okazały się najciekawsze. W sumie utrwaliłem na taśmie ponad 20 godzin ciekawych wypowiedzi ludzi, z kilkoma wyjątkami mądrych lub wpływowych, a co najmniej interesujących lub prowokacyjnych. Wiele wywiadów ma charakter wręcz historyczny. Nie często ma się okazję słuchać byłych liderów komunizmu mówiących o swoich refleksjach religijnych, czy ludzi całym życiem związanych z Kościołem, mówiących z rozpaczą o poważnej niedorobłości części hierarchii Kościoła do wolności. Z tego będzie zrobiony tylko jednogodzinny film dokumentalny, po angielsku¹. To oznacza że około 19 godzin ciekawych wypowiedzi byłoby zmarnowanych. Uznałem że to byłaby chyba zbyt duża strata. Sytuacja Kościoła we wczesnym postkomunizmie jest wyjątkowa w jego całej historii i chyba nigdy się nie powtórzy. I to spowodowało że zwróciłem się do redaktora Jerzego Giedroycia z prośbą o niniejszą publikację. Redaktor Giedroyc wybrał do druku osiem² dłuższych wywiadów i te macie Państwo w ręku. Pozostałe wywiady były przeprowadzo-

1. Wersja dłuższa po polsku będzie zrealizowana o ile uda się zebrać na to fundusze.

2. W ostatniej chwili ks. prof. Tischner nie zgodził się na druk jego wypowiedzi w *Zeszytach Historycznych*.

ne z następującymi rozmówcami: po polsku — Jacek Fedorowicz, Jerzy Gałkowski, Jerzy Kłoczowski i ks. Jan Mac; i po angielsku — bp. Bronisław Dembowski, ks. Alfred Wierzbicki, Jacek Woźniakowski, Krzysztof Zanussi i Artur Zawisza. Te pozostałe wywiady są dostępne w formie manuskryptu w bibliotece The Charles Von Der Ahe Library, Loyola Marymount University, Los Angeles, California, 90045. Wszystkie wywiady są też dostępne na taśmach VHS (w formacie amerykańskim NTSC), w stanie surowym, u autora, pod powyższym adresem.

Wszystkim moim rozmówcom jestem ogromnie wdzięczny za rozmowy.

9 Luty, 1994, Los Angeles

Bohdan W. OPPENHEIM
Professor, Loyola Marymount University

PODZIĘKOWANIE

Dziękuję kierownictwu Instytutu Marymount przy jezuickim uniwersytecie Loyola Marymount w Los Angeles za przyznanie mi tego niezmiernie ciekawego projektu. Instytut sponzorował większość kosztów pozostawiając mi całkowicie wolną rękę w doborze rozmówców i tematów. Jestem ogromnie wdzięczny memu przyjacielowi Marcinowi Wnorowskiemu z Warszawy za intensywną pomoc w produkcji filmu w Polsce, poczynając od przesyłania mi do Los Angeles setek artykułów na temat Kościoła w trakcie przygotowań, poprzez setki godzin spędzonych na telefonie umawiając rozmówców i koordynując post-produkcję, jak i za wiele ogromnie wartościowych sugestii merytorycznych. Wiele innych osób okazało mi wielką przyjaźń pomagając przy produkcji filmu i pracując bez żadnego wynagrodzenia. Dziękuję Andrzejowi Strumiłło i Krzysztofowi Malkiewiczowi za świetną pracę operatorską i Ericowi Arnoldowi za znakomity montaż. Spora grupa moich kolegów, profesorów z Loyola Marymount University ofiarowała mi pomoc i cenne rady techniczne: Bogidar Avramov, Ks. Patrick Connolly, S.J., Katharine B. Free, Emmett Jacobs; Gerald S. Jakubowski, Thomas Kelly, Marie Anne Mayeski, Sr. Teresa Munoz, R.S.H.M., Zbigniew H. Przasnyski, Ks. Thomas P. Raush, S.J.,

Ks. Richard W. Rolfs, S.J., Gary P. Sibeck, John A. Stewart i Sergei T. Tschernish. Wiele innych osób, w tym bliskich przyjaciół i członków rodziny pomagało mi w produkcji i znalezieniu kontaktów z rozmówcami: prof. Piotr Dembowski, Zbigniew, Ludmiła i Andrzej Fudali, prof. Piotr Gutowski, ks. S. Kania, dr Jan Leszczyński, Marysia, Mirek, Marek i Piotr Maciakowie, prof. Krzysztof i Hanka Malkiewicz, Sawa Małachowski, George Milton, ks. Stanisław Obirek, S.J, Danuta i Witold Oppenheim, Agnieszka Osiecka, Tomasz i Ewa Osińscy, Jerzy Rakowicz, Teresa Remiszewska-Damsz, Małgorzata Suchecka, Hanna D. Sylwestrowicz, Jerzy Szeptycki, prof. Bohdan Urbanowicz i Agnieszka Urbanowicz, Tadeusz Węgrzecki, Konstancja Wnorowska, dr Marta Wnorowska, Maria Wolańczyk, Roman, Barbara, Henryk i Ewa Wyrzykowscy oraz konsulowie w Los Angeles Krzysztof Baranowski, Roman Czarny i Stanisław Szweyger. Ten projekt nie powstałby bez ich pomocy. Dziękuję im wszystkim.

Moim synom Piotrowi i Tomaszowi tę pracę dedykuję.

WYPOWIEDŹ O. WOJCIECHA GIERTYCHA

(Na balkonie Kościoła OO Dominikanów w Krakowie)

W 1989 r., kiedy obalono komunizm, stało się dla nas jasne, że popularność Kościoła w czasie walki z komunizmem była częściowo konsekwencją politycznych zmagania całego narodu. Pamiętajmy, że komunizm zniewalał nie tylko jednostki ale i cały naród, a więc działania zmierzające do obalenia komunizmu nie przejawiały się tylko w duchowej walce jednostek ale też i całego narodu. Skoro Kościół jest obecny w ludzkich zmaganiach i problemach, uczestniczył on również w walce całego narodu o wolność. Kiedy naród odzyskał swą wolność, wielu ludziom Kościół nie jest już potrzebny. Widzimy obecnie jasno jak bardzo nasza troska duszpasterska oraz wizja Kościoła jaką posiada społeczeństwo zostały złane z tożsamością narodową. Stanowiło to wartość i zarazem zagrożenie dla chrześcijańskiej wiary szczególnie podczas ucisku narodu. Ale teraz gdy jest wolność nastał czas oczyszczenia, czas rozeznania i odkrywania gdzie rzeczywiście znajdują się wartości chrześcijańskie. Są to pytania które wszyscy musimy sobie stawiać. Nie wszyscy jednak szukają odpowiedzi chrześcijańskiej, opartej na Objawieniu, na Ewangeliu.

Podstawowy problem będący u podłoża obecnych napięć pomiędzy społeczeństwem a Kościołem w Polsce, to sprawa natury wolności. Wolność nie jest tylko kwestią bycia wolnym *od*, ale również kwestią bycia wolnym *do*. Gdy z zewnątrz uciskał nas reżym, problem zasadniczy tkwił w tym, by odzyskać wolność od komunistów. Teraz kiedy społeczeństwo odzyskało wolność, każdy staje przed pytaniem jak należy posługiwać się swą wolnością, jak wybierać, jak dobrze wybierać, jak dokonywać właściwych wyborów, które doprowadzą do dobra, do miłości. Jednym z ważnych zadań stojących dziś przed Kościołem, to uczenie ludzi dokonywania właściwych wyborów. To że Kościół ukazuje co jest dobrem, co jest wartością i pomaga ludziom w dokonywaniu wyborów, nie oznacza iż Kościół pragnie zredukować wszystkich do stanu zniewolenia, do stanu niezdolności i nieumiejętności dokonywana osobistych wyborów. Tylko kiedy wybory są osobiste, dokonywane od wewnątrz, są one naprawdę wolne i mogą być prawdziwie dobre.

Podobnie jak w Ameryce Południowej wśród katolików pojawia się silna pokusa posłużenia się wiarą dla celów ideologicznych w tak zwanej teologii wyzwolenia, gdzie doszło do marksistowskiej manipulacji chrześcijaństwem, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki macie radykalny feminizm, który jest, jak sądzę, całkowitą aberracją chrześcijaństwa rozkładającą Kościół od wewnątrz, podobnie my w Polsce mamy pewną pokusę posłużenia się Kościołem katolickim dla dobra polskiego nacjonalizmu. Było to zrozumiałe gdy naród walczył o wolność z komunizmem. Nie jest to zrozumiałe dzisiaj i sądzę, że musimy bardzo jasno rozróżnić pomiędzy celami polskiego społeczeństwa, polskich partii politycznych i polskiego państwa a celem ostatecznym chrześcijaństwa, które wiedzie ludzi do zbawienia w Jezusie Chrystusie.

Skoro państwo polskie opracowuje obecnie swój porządek konstytucyjny po upadku komunizmu, rodzi się pytanie o fundamentalne podstawy państwa. Podobnie jak Amerykanie, którzy gdy pisali swą konstytucję w XVIII wieku chcieli uszanować wartości duchowe i religijne, tak w Polsce jest pragnienie aby nowe polskie państwo uszanowało fundamentalny porządek moralny. Sądzę iż wszyscy chrześcijanie z tym się zgadzają. Pytanie jednak leży w tym jak daleko państwo ma iść za nauczaniem moralnym Kościoła. Na pewno Kościół nie wymaga aby każdy grzech był karany przez państwo. Nie jest to jasne dla wszystkich polityków i są niektórzy katolicycy politycy, którzy zdają się wyrażać pragnienie aby prawie każdy grzech był karany przez państwo. Wydaje mi się, że elementy tego purytańskiego skażenia są obecne w programach ZChN'u.

Jak powiedziałem, prawne konsekwencje przyjęcia fundamentalnego ładu moralnego mogą być różnorodne i państwo musi być tolerancyjne wobec wielu rodzajów czynów które Kościół uznaje za grzechy. Państwo nie ma dość mocy aby ukarać każdy grzech. Kościół dysponuje swoimi środkami prowadzenia ludzi do świętości, takimi jak nauczanie Kościoła, Biblia, sakramenty. Tymczasem państwo jest ograniczone w swoich środkach i będzie ono tolerowało niektóre działania i trendy społeczne w kulturze, w filmach itd., których Kościół nie będzie aprobował. Na pytanie na ile wartości chrześcijańskie winne się odbijać w porządku prawnym i politycznym, ja jako kapłan, nie chciałbym odpowiadać. To jest sprawa dla polityków i szanuję ich propozycje, które mogą być między sobą sprzeczne. Mają oni prawo poszukiwać stosowne rozwiązania.

Obecnie w społeczeństwie polskim trzy sprawy są bardzo dyskutowane: sprawa nauczania religijnego w szkołach, sprawa prawnego dopuszczania lub niedopuszczania aborcji oraz sprawa obecności wartości chrześcijańskich w mediach.

Pierwsza sprawa dotycząca katechezy. Jest to problem duszpasterski: czy katechezę lepiej prowadzić w szkołach czy też jak poprzednio przy parafiach? To jest problem który winni rozwiązać duszpasterze i są również racje które przemawiają na korzyść katechezy przy parafii w pobliżu kościoła czy kaplicy z Najświętszym Sakramentem a nie w szkole pomiędzy lekcjami fizyki i matematyki. Są kapłani zaangażowani w katechezę którzy cenią formację katechetyczną przy parafii. Ale obecnie katecheza w szkołach jest możliwa i Kościół korzysta z tej możliwości. Nie jest powiedziane że tak musi być zawsze i może przyjść moment, kiedy Kościół z tego się wycofa.

Sprawa aborcji. Aborcja z natury jest czynem niegodziwym, jest zaprzeczeniem prawa do życia. Jest to wielki sukces w Polsce, że w końcu aborcja w większości przypadków została uznana przez prawo za czyn nielegalny. W dużej mierze zło aborcji zostało przez państwo ograniczone. Ta decyzja prawna nie zwalnia jednak Kościoła od obowiązku pomagania tym, którzy są w trudnej sytuacji. Pozostaje kwestia udzielania pomocy niezamężnym matkom — i Kościół tej pomocy udziela, może nie z takim rozmachem jak należałoby to czynić, ale jednak wiele dobrego robi się na tym polu.

Sprawa wartości chrześcijańskich w telewizji. Jest tu problem moralny uczenia ludzi korzystania ze swej wolności. Nie jest rzeczą możliwą, aby Kościół kontrolował wszystko to co się pojawia w mediach. Nie da się całkowicie wykluczyć pornografii: państwo może ją do pewnego stopnia ograniczyć. Ale z punktu widzenia Kościoła ważniejszą sprawą jest uczenie ludzi, aby posługiwali się swą wolnością i aby wyłączali telewizor lub zastępowali go kasetą video z dobrymi filmami, które dają chrześcijańską formację.

W Ameryce słowo parafia oznacza wspólnotę. W Polsce słowo to często oznacza księdza i biuro parafialne. Parafia służy na polu liturgii, w posłudze sakramentalnej, dostarcza formacji katechetycznej, ale nie bardzo jest miejscem dla tworzenia wspólnoty. W czasach komunistycznych trudno było wytwarzać życie społeczne w parafiach i wielu księży przyzwyczało się do tego, że oni sami decydują o wszystkim. Nie

zostawili wiele miejsca świeckim w kościele. Trzeba czasu aby odejść od tego trendu, aby nauczyć ludzi aktywności w życiu parafialnym.

Czy Kościół przetrwa w Polsce w ciągu następnych 20 lat? Oczywiście, Kościół przetrwa. Kościół jest Boży i jak wszędzie przetrwa. Ale wydaje mi się, że stoimy przed okresem trudności i odnowy, tak jak Kościół przeszedł przez trudny okres po Soborze Watykańskim II w Ameryce czy w innych krajach. Jesteśmy opóźnieni około 20 lat, w zmianach posoborowych, ale na pewno Duch św. wiedzie nas do nowej żywotności, do odnowy w Kościele.

W ostatniej dekadzie mieliśmy boom powołaniowy, wielki wzrost powołań do kapłaństwa. Teraz kiedy ten boom nieco maleje, Kościół jest nadal zdolny do zaspokojenia potrzeb duszpasterskich w Polsce. Równocześnie polski Kościół podjął wielką pracę misyjną, szczególnie na wschodzie, poczynając od naszej wschodniej granicy aż po Alaskę. Całe byłe imperium Związku Sowieckiego jest otwarte dla naszej pracy apostolskiej. Wielu kapłanów — z naszej wspólnoty 20-tu — udało się do wielu krajów byłego Związku Sowieckiego, aby ustanowić tam wspólnoty zakonne i aby dopomóc w odbudowie tamtejszego Kościoła.

Nie sądzę aby naród polski był antyklerykalny. Jest u nas wielki szacunek i wielkie przywiązanie do Kościoła oraz wdzięczność za to co duchowieństwo dokonało w Polsce. Ale teraz kiedy mamy swobodę jest szersze pole dla krytyki. Jak w każdej grupie i w każdym społeczeństwie znajdują się i w Kościele tacy, którzy będą aroganccy i beztroszy. To jest teraz dostrzegane i krytykowane. Sprzyja to dobremu, zmusza nas bowiem bardziej do wierności naszemu powołaniu.

Tłumaczył z angielskiego O. Wojciech GIERTYCH OP

ROZMOWA Z WOJCIECHEM JARUZELSKIM

(Filmowane w siedzibie SLD w Warszawie)

WOJCIECH JARUZELSKI: — Polska to taki dziwny kraj, pełen różnych paradoksów, do nich, między innymi, należy i ten, że ja byłem I Sekretarzem Partii, byłem premierem rządu, ze swoją przeszłością, ze swoim pochodzeniem, z wychowaniem w głęboko katolickiej rodzinie, w szkole księży Marianów, w Sodalicii Marianańskiej. Z kolei prymas Polski, kardynał Józef Glemp wywodzi się z rodziny ubogiej, robotniczej, uczęszczał do socjalistycznego gimnazjum i należał do socjalistycznej organizacji młodzieżowej. Chyba jest tylko jedyny taki kraj, w którym możliwe są tego typu paradoksy. Czy złe, czy dobre, trudno w tej chwili powiedzieć. Myślę, że w sumie dobre.

BOHDAN W. OPPENHEIM: — *Panie Prezydencie, jaki ma pan stosunek do Kościoła katolickiego, kiedy i dlaczego odszedł pan od wiary?*

W.J.: — Kościół katolicki w Polsce ma swoją wielką patriotyczną historię i ogromne zasługi dla państwa i dla narodu. Kościół kształtował wiele pokoleń w duchu patriotyzmu, w duchu wrażliwości moralnej. Jednakże losy naszego narodu — zwłaszcza jego najnowsza historia — tak trudne, złożone, bolesne spowodowały, że wiele ludzi znalazło się na drodze dalekiej od startu życiowego. Ja do nich należałem. Los rzucił mnie na daleką Syberię. Nie muszę mówić, co to wówczas oznaczało — i rzucił na drogę, którą szedłem do Polski ze Wschodu, w armii Berlinga. To spowodowało wiele przewartościowań w moim widzeniu i świata, i Polski, i przyszłości. Coraz głębiej zaczęła mi odpowiadać filozofia i rzeczywistość owych czasów. Stopniowo oddalałem się tym samym od Kościoła i od religii. Oczywiście na ten temat możemy mówić bardzo wiele, jest to problem złożony — trzeba wejść w całą sferę psychologiczną, filozoficzną, moralną. Ale chcę podkreślić, że ja, mimo że jestem człowiekiem niewierzącym, to doceniam wartości religii, i w jakimś sensie — powiedziałbym — zazdroszczę ludziom wierzącym tej przystani, jaką Kościół, religia dla nich stanowi — moralnej przystani, moralnego oparcia. Sądzę jednak, że można być

człowiekiem porządnym, można wyznawać inne wartości, niekoniecznie chrześcijańskie, ale humanistyczne, uniwersalne, które też pozwalają iść właściwą drogą.

B.W.O.: — *Mam wrażenie, że Pan Prezydent bardzo liczył na pomoc Kościoła w '81 roku i że pan się zawiodł, takie wrażenie odnoszę z pana pamiętników. Czy tak było i chciałby pan powiedzieć kilka słów na ten temat?*

W.J.: — Za mocno chyba powiedziane, że się zawiodłem. Jak wynika z mojej książki, Kościół w owym okresie, prymasi — Stefan Wyszyński, Józef Glemp — czynili wiele, ażeby w jakimś stopniu stonować te namiętności, te emocje, które wówczas naszemu życiu towarzyszyły. I sądzę, że dzięki tym wysiłkom udało się uniknąć bardziej skrajnych sytuacji, które nam groziły. Jednak osobiście uważam, że gdyby ze strony Kościoła oddziaływanie było jeszcze silniejsze, bardziej zdecydowane, to może udałooby nam się przejść przez ten dramatyczny czas grudnia 81 r. bez wprowadzania stanu wojennego. Zresztą ja w tej książce napisałem, że gdyby Solidarność bardziej przysłuchiwała się głosowi Kościoła, to może tego udałooby się nam uniknąć. Tu cytuję znanego polskiego aforystę Stanisława Jerzego Leca, który mówił: „Dzwon Kołysał Dzwonnikami”. Wtedy była taka sytuacja, że właściwie nikt nie panował nad nią; ani Kościół, ani Solidarność, ani władza. Dlatego nie chciałbym na to pytanie odpowiadać w ten sposób, że czuję się rozczarowany postawą Kościoła. Raczej czuję się rozczarowany naszą wspólną sytuacją, to my wszyscy nie potrafiliśmy znaleźć wspólnego języka, nie potrafiliśmy rozwiązać w drodze kompromisów owej dramatycznej sytuacji.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, rządowi komunistycznym zarzuca się poważne prześladowania Kościoła. Czy chciałby pan na ten temat powiedzieć kilka słów, szczególnie, jakie emocje pan teraz odczuwa; czy jest uczucie wstydu, żalu?*

W.J.: — Mam zarówno poczucie żalu, jak i w pewnym stopniu wstydu. Żalu, ponieważ walka z Kościołem, w jakimś sensie walka z religią, aczkolwiek nie występowała poza latami pięćdziesiątymi w skrajnej postaci — była szkodliwa. Dla Państwa, dla narodu i dla tejże władzy. A wstydu — ponieważ były stosowane różnego rodzaju metody, formy, niegodziwe, które nie przyniosły nikomu żadnego pożytku a

przyniosły tylko szkodę. Zresztą przekonałem się nieraz, że można taktycznie, na krótką metę, metodami niezbyt uczciwymi uzyskiwać jakieś powodzenie, ale strategicznie, na daleką metę zawsze się za to płaci. I władza, i system, w którym ja działałem, za to zapłacił.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, czy mógłbym pana prosić o sformułowanie pana pozycji dotyczącej separacji Kościoła i państwa?*

W.J.: — Uważam, że separacja Kościoła i Państwa w nowoczesnym społeczeństwie jest czymś naturalnym. Państwo wyznaniowe to nie jest rozwiązanie na dzisiejsze czasy. Dlatego też należałoby stosować maksymę kościelną właśnie: co cesarskie — cesarzowi, co boskie — Bogu. To rozgraniczenie powinno być — co oczywiście wcale nie musi oznaczać konfliktu — nie musi oznaczać ścierania się interesów. Przecież mogą się one zazębiać i uzupełniać, ale każdy w swoim zakresie.

B.W.O.: — *Wielu ludzi w starszym wieku wraca do wiary. Czy Pan Prezydent wyklucza u siebie taką możliwość?*

W.J.: — Wielu ludzi wraca do wiary, wielu ludzi odchodzi od wiary. Ja sądzę, że jest to sprawa na tyle osobista, tak związana z pewnymi emocjami, które człowiek przeżywa w określonych sytuacjach swojego życia, że trudno się wypowiadać na ten temat. Ja w każdym razie dzisiaj w swoim stanie świadomości, w swoim stanie myślenia i widzenia świata pozostaję człowiekiem niewierzącym i nie widzę takich zmian, które miałyby w tej mierze nastąpić.

B.W.O.: — *Prośba o komentarz o piśmie Nie i o postawie redaktora Urbana, która jest, jak wiadomo, kontrowersyjna.*

W.J.: — Redaktora Urbana ja po prostu lubię i dlatego moja odpowiedź będzie miała charakter subiektywny. Znam go od lat, jako wybitnego, wyjątkowo utalentowanego dziennikarza i bardzo odważnego człowieka. Co za tym idzie patrzę na jego działalność i pod takim kątem, że on niejako drażniąc opinię publiczną, a raczej część opinii publicznej spełnia tym samym i pozytywną rolę, wskazuje bowiem na różne zakamarki naszego życia publicznego, na które nikt inny by nie wskazał. Ja w tej chwili nie chcę oceniać i wartość

ciować tych treści, które on w swoim piśmie przekazuje, ale uważam, że tego typu pismo, tego typu działalność — chociaż kontrowersyjna — w szerokiej pałecie dzisiejszej wolnej prasy się mieści, wzbogaca jej kolorystykę.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, czy bardzo zaskoczył pana wybór kardynała Wojtyły na papieża?*

W.J.: — Wybór kardynała Wojtyły na papieża zaskoczył niewątpliwie nas wszystkich, i ludzi wierzących i niewierzących, ludzi władzy również. Pierwsze uczucie to satysfakcja wynikająca z tego, że Papież-Polak. Każdy to w ten sposób odebrał, niezależnie od osobistego stosunku do Kościoła czy do kardynała Wojtyły. Drugie zaś — tu otwarcie powiem, że wtedy zarysowała się też pewna obawa, czy nie spowoduje to jakiegoś zaostrenia stosunków państwo-Kościół. Kardynał Wojtyła uchodził bowiem za bardzo twardego partnera. Jednak życie pokazało, że ten pontyfikat spełnił wielką historyczną rolę, dla Polski szczególnie doniosłą.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, jaki największy był błąd władzy komunistycznej za pana rządów?*

W.J.: — Największy błąd w okresie pełnienia przeze mnie kierowniczych funkcji określiłbym nie w postaci konkretnego wydarzenia, konkretnego faktu czy konkretnej decyzji, co raczej w ocenie działalności. W moim przekonaniu — dzisiaj widzę to szczególnie ostro — była ona zbyt nieśmiała w sensie realizowania reform, mało radykalna, mało konsekwentna, z niedostateczną wizją tych zmian, które się zarysowały na horyzoncie. Oczywiście mógłbym od razu wskazać tutaj na wiele przeszkód obiektywnych, na realia owego czasu. Wiele spraw, które są dzisiaj dla nas jasne, wtedy były zupełnie nieprzewidywalne. Ale samokrytycznie uznaję, że trzeba było działać bardziej zdecydowanie, bardziej konsekwentnie.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, pan kierował państwem ideologicznym, teraz są siły, które dążą do państwa wyznaniowego. Sytuacja jest w pewnym sensie analogiczna. Jakie ma pan refleksje na ten temat?*

W.J.: — Uważam, że państwo ideologiczne się nie sprawdza. Państwo ideologiczne może w przeszłości, w innych społeczeństwach, w innych okresach historycznych miało swoje uza-

sadnienie. Dziś, kiedy społeczeństwo jest oświecone, wykształcone, kiedy społeczeństwo jest pluralistyczne, kiedy istnieje ścieranie się różnego rodzaju idei, poglądów, próba tworzenia państwa ideologicznego z natury rzeczy opartego o jakąś jedną, dominującą ideologię jest anachronizmem. Uważam, że powinny kwitnąć wszystkie kwiaty — mówiąc tym chińskim przysłowiem — co oczywiście nie znaczy, że każdy kwiat powinniśmy traktować jako rzecz pożyteczną i pozytywną. Są kwiaty trujące, ale uważam, że społeczeństwo jest na tyle dojrzałe — wykazała to niedawna przeszłość — że potrafi samo wyselekcjonować to, co jest zdrowe i właściwe. Natomiast odgórne narzucanie pewnej ideologii, państwowej ideologii, musi skończyć się niepowodzeniem.

B.W.O.: — *Panie Prezydencie, z pana książki orientuję się, że opisał pan epizod swego życia, który spowodował, że się pan nie dostał do Armii Andersa. Mógłby pan to powtórzyć?*

W.J.: — Kiedy znajdowałem się na Syberii, w początkowym okresie byłem w bardzo głębokiej tajdze, do której wieści ze świata w ogóle nie dochodziły. Kiedy po wielu zresztą perturbacjach udało mi się dotrzeć do większego ośrodka, wówczas faktycznie armia Andersa już zaczęła się ewakuować. Co za tym idzie, tak jak wielu, jak tysiące mnie podobnych do tej armii nie zdążyliśmy. Gdybym się tam znalazł, to nie ulega wątpliwości, że moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. I moje pochodzenie, i moje wychowanie, i mój sposób myślenia w owym czasie prowadził w zupełnie innym kierunku. Z tego widać, że jednostka ludzka jest taką drobinką, takim ziarenkiem piasku, które gdy znajdzie się w wirze historycznych procesów, podąża często w zupełnie innym kierunku niż to wynikałoby z jej — jak już powiedziałem — życiowego startu.

B.W.O.: — *Czy chciałby pan może teraz zakończyć jakąś anegdotą osobistą, coś w związku z Kościołem, czy może jakiś emocjonalny stosunek, jakiś epizod z pańskiego życia, który ciekawy byłby dla amerykańskiego widza.*

W.J.: — W moim życiu tak się złożyło, że miałem okazję spotykać się, rozmawiać z wieloma wybitnymi postaciami współczesnej historii i to z różnych światów: i z Zachodu i ze Wschodu, i z Północy i z Południa. Byli wśród nich ludzie naprawdę wybitni, cieszę się, że mi dane było się z ni-

mi zetknąć, z nimi rozmawiać. Oczywiście trudno tutaj wymienić wszystkie te postacie, chciałbym więc zatrzymać się tylko na osobie Jana Pawła II, papieża-Polaka. Łącznie odbyłem z nim 7 rozmów. Pierwsza w 1983 roku, najpierw spotkanie w Belwederze, potem na Wawelu. W dalszych latach kolejne spotkania. Co chciałbym tutaj podkreślić. Otóż jakim mówcą, jaką charyzmatyczną postacią jest papież — wszyscy wiedzą. Natomiast nie każdemu była dana rozmowa osobista, bezpośrednia. Ja miałem możliwość takie prowadzić. Co mnie w tych rozmowach ujmowało zawsze i ujmuje — umiejętność słuchania. To nie jest takie proste, zwłaszcza u wielkich ludzi. Umiejętność cierpliwego, spokojnego, wnikliwego słuchania. Czuje się, że papież ma kontakt, że odbiera, że stara się wniknąć w intencje rozmówcy; nawet, jeśli nie w pełni je podziela, to w sposób taktowny, aczkolwiek wyrazisty, przedstawia swoje stanowisko. To było dla mnie niezwykle ważne i interesujące spostrzeżenie. Drugie, że potrafi zabarwić szczyptą humoru nawet temat poważny i zasadniczy. Ale właśnie w taki sposób, ażeby zapewnić pewną bliskość, lepszy kontakt ze swoim rozmówcą. Ceniłem wielką precyzję słowa papieża, który w sposób zwarty, piękną polszczyzną potrafił wyrazić najistotniejsze intencje swojej wypowiedzi. To, co było dla mnie też sympatyczne — zawsze tytułował mnie: panie generale, co wołałem niż „panie sekretarzu”, „premierze”, „prezydencie”. Czułem się i czuję żołnierzem, wiedziałem więc, że papież chciał w ten sposób podkreślić stosunek do mnie. Z tych spotkań wyniosłem zarówno duży ładunek merytorycznych treści, które w jakiejś mierze rzutowały potem i na różne posunięcia polityczne, jak również i duży ładunek po prostu ludzkiej sympatii, życzliwości, którą w stosunku do papieża odczuwam.

ROZMOWA Z ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM, PRZYWÓDCĄ SLD

(Filmowane w jego warszawskim biurze)

BOHDAN W. OPPENHEIM: — *Czy zechciałby pan określić swój stosunek do religii i Kościoła Katolickiego? Czy zetknął się pan z nimi w swoim dzieciństwie?*

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: — Jestem człowiekiem niewierzącym i od wielu lat nie miałem z Kościołem żadnych kontaktów. Dlatego odpowiedź na to pytanie jest dla mnie bardzo trudna, chociaż tak, jak w wypadku wszystkich Polaków, chrześcijańskie wartości nie są mi obce. Zdaję sobie również sprawę ze znaczenia Kościoła Katolickiego zarówno w naszej historii, jak i ogromnej roli, jaką odgrywa dzisiaj. Pomimo, że sam nie biorę udziału w życiu religijnym, to jako przywódca lewicowego stronnictwa zdaję sobie sprawę z bardzo szczególnej pozycji, jaką polski Kościół Katolicki zajmuje w naszym kraju.

B.W.O.: — *Jak na pana stosunek do Kościoła wpłynął fakt, że przyczynił się w tak znacznym stopniu do upadku komunizmu? Czy jest to dla pana irytujące, czy myśląc o Kościele pan to ignoruje, czy też w pana stosunku do Kościoła jest to zupełnie obojętne?*

A.K.: — Hm. Zgadzam się z tym, że w walce z komunizmem Kościół odegrał bardzo specjalną rolę i naprawdę w bardzo poważnym stopniu przyczynił się do jego upadku. Pomogło mu to, że miał możliwości względnej swobody działania w państwie ściśle kontrolującym wszystkie inne dziedziny życia. To go zbliżało do większości społeczeństwa. Z tego samego powodu miał dobre stosunki z polskimi intelektualistami itd., itd. Pozwoliło mu to również na odegranie roli, jaką odegrał. Można także zaryzykować paradoks, że Kościół Katolicki był wówczas uprzywilejowany przez partię komunistyczną, co mu pomogło do zdobycia zarówno silnej pozycji ekonomicznej, jak i do osiągnięcia wyjątkowego znaczenia w naszym całym życiu społecznym. Mimowolnie przyczynił się do tego właśnie komunizm, co jest oczywiście jeszcze jednym paradoksem.

B.W.O.: — *Jakiego jest pan zdania na temat rozdziału Kościoła od Państwa? Chodzi mi nie tylko o summaryczne uwagi, ale szczególnie o aspekt aborcji, nauczania religii w szkołach i żądania przestrzegania wartości chrześcijańskich w telewizji, oraz włączenia tego do konstytucji.*

A.K.: — Moim zdaniem znaleźliśmy się w bardzo osobliwej sytuacji, bo załamał się system, który widział te sprawy w krańcowo innym świetle, a który nigdy nie ustalił jasno granic do których ingerencja Kościoła mogła być dopuszczona w życiu społecznym. Komunizm miał bardzo ściśle określoną politykę społeczną, co nie znajdowało precyzyjnego odbicia w jego systemie prawnym i było jego poważną słabością. To, co widzimy w Polsce teraz, jest reakcją w stosunku do tamtego układu. Szkodliwą reakcją nadchodzącą ze strony prawego skrzydła polskiego politycznego spektrum, które usiłuje zrobić z Kościoła Katolickiego centralną instytucję całego życia społecznego i politycznego w Polsce. Dlatego my jako socjaldemokraci walczymy o ustalenie rozdziału między władzami społeczno-państwowymi a Kościołem. Opracowujemy projekt nowej Konstytucji, która by jasno i niedwuznacznie określiła kompetencje instytucji państwowych z jednej strony, a zakres działalności Kościoła z drugiej. Głosowaliśmy więc przeciwko proponowanym prawom antyaborcyjnym i przeciwko wnioskowi o wprowadzenie obowiązku przestrzegania wartości chrześcijańskich w radio, telewizji i innych środkach masowego przekazu. Jestem przekonany, że dyskusja obracająca się dokoła tych właśnie kontrowersyjnych zagadnień będzie trwała w Polsce jeszcze wiele lat.

B.W.O.: — *Czy mógłby pan pokrótce scharakteryzować główne ośrodki czynne w polskiej polityce?*

A.K.: — Oczywiście. Zaczę od Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, które jest skrajnie prawicowym, szowinistyczno-nacjonalistycznym i przez to niebezpiecznym zgrupowaniem. Niebezpieczeństwo jest tym większe, że to stronnictwo ma pewne poparcie ze strony Kościoła i przez to w polskim życiu politycznym odgrywa znaczną rolę.

Konfederacja Polski Niepodległej jest partią nie mającą żadnego programu, usilnie zabiegającą o popularność przy użyciu demagogicznych sloganów i argumentów. Jej głównym celem jest zdobycie władzy.

Unia Demokratyczna ma w swoich szeregach wielu ludzi

o wysokim poziomie intelektualnym i kulturalnym. Ma duże wpływy pośród inteligencji. Jest to silne stronnictwo, które swojego programu nie potrafi realizować.

Porozumienie Centrum zwraca największą uwagę na zagadnienia taktyczne. Nie jest to przy tym grupa rozporządzająca siłą, ani poważnymi wpływami w społeczeństwie. Sądzę, że prędzej czy później w ogóle zniknie z polskiej sceny politycznej.

Sojusz Lewicy Demokratycznej — SLD, partia o zasadach socjaldemokratycznych będąca głównym trzonem polskiej lewicy i najliczniejszym stronnictwem w polskim parlamencie. Nasz program opiera się na popieraniu gospodarki wolnorynkowej w połączeniu z pewną ingerencją państwa. Walczymy o demokratyczność ustroju i rozdział Kościoła od Państwa. Mamy niedwuznaczny stosunek do Kościoła, ale jesteśmy zdania, że jeżeli jacyś z naszych członków są ludźmi religijnymi, to jest to ich osobista sprawa. Jesteśmy skłonni do prowadzenia z Kościołem dialogu, ale przeciwstawiamy się jego usiłowaniom wpływania na struktury państwowe i publiczne instytucje. Dobrze rozumiemy jaką rolę Kościół odgrywał w naszej historii i czym jest teraz w naszym życiu współczesnym. Niemniej jednak jesteśmy zasadniczo przeciwni usiłowaniom wtłaczania wartości chrześcijańskich w państwowe normy prawne, bo uważamy kształtowanie naszego ustroju za zadanie parlamentu.

Tygodnik *Nie* jest swoistym fenomenem w naszym życiu publicznym, bo naczelny redaktor tego pisma będący zawsze postacią wysoce kontrowersyjną był również rzecznikiem rządu w czasach Jaruzelskiego. Sukces tego wydawnictwa jest niewiarygodnie wielki. Jego najbardziej wybijającą się cechą jest jego krańcowy negatywizm. *Nie* jest zwrócone przeciwko Kościołowi, jego hierarchii, przeciwko rządowi i w ogóle wszystkim. Przypuszczam, że powodzenie tego pisma wpływa z tego, że tak jak redaktor nie widzi w niczym, co się dzieje w Polsce sensu ani żadnej przewodniej idei, która by do czegoś prowadziła, tak nie widzą tego jego czytelnicy, którzy w *Nie* mają odbicie i znajdują uzasadnienie swoich własnych odczuć i to ich zbliża do pisma.

B.W.O.: — *Jak pan widzi przyszłość polskiego Kościoła na przestrzeni najbliższych dwudziestu lat?*

A.K.: — Sądzę, że Kościół ma przed sobą trudny etap. Istnieją w nim dwa prądy. Jeden wskazujący na zdrowy rozsądek

i inteligencję zarówno świeckich katolików, jak i niektórych biskupów, dążących do tego, żeby Kościół dostosował się do nowej sytuacji politycznej i ekonomicznej, jaka się formuje w Polsce. Ci pragną, by Kościół znalazł swoje właściwe miejsce na innej niż dotychczas płaszczyźnie, zaczął brać udział w życiu szarych ludzi wyzbywając się ambicji politycznych. Niestety większość członków hierarchii kościelnej zachłysnęła się zwycięstwem nad komunizmem i dąży do dominacji nad całym polskim życiem politycznym i ekonomicznym, co moim zdaniem jest myśleniem idącym w złym kierunku. Jeżeli ta ostatnia idea przeważa to Kościół polski znajdzie się w sytuacji podobnej do hiszpańskiego i stanie się jak tamten słabszy.

B.W.O.: — *Co pan sądzi o opodatkowaniu Kościoła?*

A.K.: — Moim zdaniem ekonomiczna działalność Kościoła powinna być opodatkowana tak jak każda inna mająca charakter czysto handlowy. Niemniej jednak uważamy, próbę opodatkowania dobrowolnych datków za pomysł całkowicie niewłaściwy i niemożliwy do praktycznego przeprowadzenia.

B.W.O.: — *Co pan myśli na temat prześladowań Kościoła we wczesnych latach istnienia komunizmu?*

A.K.: — Nasze stronnictwo osądza cały okres stalinowski, jako najgorszy w historii partii. Były to czasy łamania prawa, pełne kryminalnych nadużyć i również z tego powodu prześladowanie Kościoła trzeba ocenić nie tylko jako zjawisko symptomatyczne dla tamtych czasów, ale również jako potworny, a z punktu widzenia politycznego, kapitalny błąd przeszłości.

B.W.O.: — *Czy zdaniem pana obstrukcje w wydawaniu pozwoleń na budowę nowych kościołów były również błędem?*

A.K.: — Tak. Ten rodzaj zwalczania Kościoła przez partię był nie tylko nieskuteczny, ale był również samooszukiwaniem się, że może przynieść jakieś korzyści. Jestem przekonany, że lepiej było pozwolić Kościołowi na prowadzenie normalnej działalności zamiast stosować rygory, które w rezultacie prowokują tylko silniejszy opór. Dlatego myślę, że była to niewątpliwie błędna polityka.

B.W.O.: — *Jakie jest teraz pana zdanie o samej ideologii komunizmu?*

A.K.: — Znowu jest mi trudno na to odpowiedzieć. Proszę pamiętać, że urodziłem się w roku 1954-tym, już po śmierci Stalina i komunizm nie był ideologią, z którą bym się identyfikował. Był dla mnie tylko oficjalną, obowiązującą w Polsce doktryną. Zresztą te sprawy nie były ani dla mnie, ani w latach 70-tych dla moich kolegów uniwersyteckich czymś szczególnie ważnym. Interesowało nas bardziej pragmatyczne zagadnienie znalezienia ujścia dla naszej aktywności w takich warunkach, jakie wtedy istniały w Polsce.

B.W.O.: — *Jakie pana zdaniem największe błędy popełniła partia w czasach po-stalinowskich?*

A.K.: — Komunizm popełnił wiele błędów, które przyspieszyły jego upadek. Może głównym z nich było konsekwentne eliminowanie z partii demokracji, oraz podtrzymywanie absolutnie nieelastycznego i obciążonego nadmiarem biurokracji, całkowicie scentralizowanego systemu ekonomicznego, jak również zupełny brak wydajności w kierowaniu polityką i gospodarką. Zbyt wiele czasu było poświęcane na, moim zdaniem, niezbyt ważne rozgrywki z Kościołem, zamiast na rozpracowywanie i solidne wprowadzanie w życie niezbędnych reform ekonomicznych, społecznych i politycznych w skostniałym przez dziesięciolecia systemie.

Tłumaczył z angielskiego Jerzy SZEPTYCKI

ROZMOWA Z ALEKSANDREM MAŁACHOWSKIM,
POSŁEM — UNIA PRACY
(Filmowane w budynku Sejmu)

ALEKSANDER MAŁACHOWSKI: — Sytuacja bardzo się zmieniła po upadku komunizmu w Polsce, ponieważ dawniej stosunki z jednej strony były napięte, a z drugiej strony komuniści bardzo często działali tak, żeby się Kościołowi przypochlebić. W tej chwili sytuacja radykalnie się zmieniła. I to, co jest nam dzisiaj nieodzowne to jest — jak to się mówi — ta przyjazna separacja Kościoła od państwa, czyli państwo, które jest Kościołowi życzliwe, ale Kościół, który nie ingeruje bezpośrednio w życie państwa, w struktury państwa; Kościół który się nie wypowiada, kto ma być wojewodą; Kościół, który nie mówi kto zasługuje na poparcie w wyborach parlamentarnych. Niestety, wydarzyło się inaczej, Niestety Kościół zajął postawę bardzo polityczną i to nas wszystkich niepokoi, ponieważ w końcowym rezultacie to się mści na Kościele.

Problem polega w tej chwili na tym, jaką tradycję Kościół powinien przejąć w chwili, kiedy musi także ulec pewnej odnowie, ponieważ — tak bym to określił — siłą Kościoła w Polsce była jego misja antykomunistyczna. Kościół był tym bastionem walki z komunizmem i z tej roli wywiązał się doskonale. Ale ta rola się skończyła. Bardzo dużo ludzi Kościoła nie zdaje sobie sprawy z tego, że już nie ma komunizmu i dalej tak się zachowuje, jakby Kościół był obleżony. Czasami, kiedy słucham kazań, mam wrażenie, że Józef Stalin zmartwychwstał i że w tej chwili jesteśmy wszyscy zagrożeni przez tego szatańskiego człowieka, który tak wiele zła ludzkości wyrządził. W moim przekonaniu Kościół może odzyskać swoją pozycję, Kościół może się odnowić wybierając tradycję franciszkańską. Dzisiaj nie jest rzeczą możliwą, by Kościół stał się organizmem politycznym, organizmem działającym politycznie. Natomiast wielki autorytet Kościoła zdobywają tacy ludzie jak Matka Teresa z Kalkuty. To jest ten jakby wzór, tradycja franciszkańska, tradycja Kościoła służącego biednym, tradycja Kościoła — ja to nazywam — wielkich dzieł miłosierdzia. I widzę, że tam, gdzie kler, tam gdzie zakony podejmują właśnie te wielkie dzieła miłosierdzia, gdzie opiekują się dziećmi głęboko upośledzonymi, gdzie opie-

kują się chorymi, gdzie dają tę ostatnią posługę często ludziom umierającym w szpitalach, tam autorytet Kościoła jest olbrzymi. Ilekroć zaś Kościół wkracza na arenę polityczną, tylekroć zaczyna się konflikt. Nie z ateistami; zaczyna się konflikt z ludźmi, którzy mają inne przekonania polityczne, bowiem tutaj trzeba jeszcze dodać jedno. Kościół jest ze swoich historycznych uwarunkowań skazany na bardzo — my to nazywamy w Polsce — endeckie przekonania polityczne, Kościół popiera ten nurt narodowy; niedawno wydarzyła się niezwykła sprawa, oto biskup Kościoła katolickiego w kazaniu dla chorych, przez radio, dał pełny wykład idei Romana Dmowskiego sprzed stu laty. Nie jest to sposób dobry, dobra sprawa.

B.W.O.: — *Proszę o krótki opis wydarzeń prowadzących do referendum (na temat aborcji) — dlaczego się pan zdecydował na zainicjowanie sprawy referendum?*

A.M.: — Jestem jednym z przywódców partii, która zainicjowała, po raz drugi w historii tego odrodzonego parlamentu, propozycję referendum. Dlaczego tak robimy? Boimy się w tej chwili, że partia polityczna — ZChN — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe uczyniła z tej sprawy — sprawy ustawy aborcyjnej — pewien test polityczny i w tej chwili już — w moim przekonaniu — nie chodzi o dzieci, nie chodzi o los tych nieszczęsnych istot, których życie należy ocalić za wszelką cenę — ja jestem przeciwnikiem zgody na aborcję i mam tutaj prawne uzasadnienie. Bo, jeśli dziecko poczęte może być dziedzicem wielkiej fortuny, jeśli od 2000 lat, od czasów prawa rzymskiego istnieje instytucja Nasciturusa, kiedy można ustanowić kuratora, kiedy dziecko, jeszcze nie urodzone, może być spadkobiercą olbrzymiego majątku, pod warunkiem, że się urodzi żywe — musi mieć także prawo do życia. Jest prawnym absurdem, aby życie było mniej chronione niż majątek tego potencjalnego spadkobiercy. I dlatego wielu ludzi w mojej partii podziela ten pogląd. Natomiast to, co się stało w Polsce było próbą pewnego testu politycznego. I myśmy uznali, że jeśli się robi testy polityczne, to wtedy powinno się wypowiedzieć społeczeństwo. Jeśli to już nie jest sprawa pomiędzy Kościołem a jego wiernymi. Bo co tutaj zaszło? Tutaj, jak gdyby klęska duszpasterska Kościoła: bo kilkaset tysięcy aborcji rocznie w katolickim kraju — to jest wielka klęska duszpasterska — misji

duszpasterskiej Kościoła. Ta klęska miała być nadrobiona przeniesieniem norm moralności katolickiej do prawa państwowego. To nam się nie podoba. Uważamy, że ta sprawa powinna być rozdzielona i że nie można tak bardzo ważnej sprawy narzucać społeczeństwu przy pomocy kodeksu karnego. Dlatego uznaliśmy, że konieczne jest referendum, co nie oznacza, że popieramy idee aborcji.

B.W.O.: — *Czy chciałby więc pan podkreślić sprawę, że różnice poglądów dotyczą posunięć taktycznych, strategicznych, a nie sprawy wiary jako takiej?*

A.M.: — Myślę, że konflikt, jaki w tej chwili w Polsce przebiega na linii Kościół-państwo, Kościół-społeczeństwo nie jest konfliktem z religią. To nie jest tak, że Polska nagle zaroїła się od ateistów. Nie. To jest konflikt z hierarchią, to jest konflikt z klerem, to jest konflikt z praktyką pewnych partii politycznych, które szły do wyborów i próbują sprawować władzę mając pełne usta frazesów o chrześcijaństwie, a w rzeczywistości prowadząc często działania pełne nienawiści, okazując się ludźmi, dla których słowo o wybaczeniu jest słowem zupełnie obcym.

B.W.O.: — *Czy mógłbym pana prosić o charakterystykę kilku głównych kierunków spektrum politycznego: ZChN — jak blisko jest ZChN z Kościołem, czy jest wzajemne poparcie czy nie, Unii, Unii Pracy, SLD — i dodatkowo, pisma Nie?*

A.M.: — Pytanie o partie polityczne jest bardzo trudne. Polska była przez pięćdziesiąt lat pozbawiona życia politycznego a partie były właściwie licencjonowanymi filiami partii komunistycznej. Nie było partii samodzielnych. To, co powstało po odzyskaniu niepodległości — tak to nazwijmy — tworzy też bardzo różnorodne spektrum.

ZChN. — Pierwsza z nich, najbardziej w tej chwili budząca kontrowersje, to jest ta partia, która ma w swoim tytule słowo „chrześcijański” — to jest Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Oni łączą tradycję partii katolickiej z tradycjami partii narodowych. My się takich rzeczy boimy, my, to znaczy ludzie Unii Pracy. Socjaldemokraci boją się tego wątku narodowego, bo z tego dużo wyszło złego w historii Europy w XX wieku. Niemniej jest to partia, w której jest wielu przyzwoitych ludzi, wielu ludzi godnych szacunku. Niestety, są oni zdominowani przez krzykaczy i awan-

turników politycznych, a czasem nawet przez ludzi — co tu ukrywać — o zaburzeniach psychicznych. Jeśli czołowy przywódca tej partii potrafi publicznie wyrazić ubolewanie wobec mnie — swego dawnego przyjaciela i kolegi z więzienia — że nie zginąłem w Katyniu, to ja już nie mam na to odpowiedzi. W tym momencie chciałbym raczej tego pana skierować do psychiatriy niż toczyć z nim spory polityczne.

Unia Demokratyczna. — Jeśli chodzi o Unię Demokratyczną — jest to druga wielka polska partia, właściwie pierwsza wielka partia polska, bo jest ona najliczniejsza — to jest to bardzo dziwny zlepek. W zasadzie jest to partia inteligencka, dodałbym, że jest to partia dobrze wykształconej inteligencji. Jednakże nie jest to partia jednolita. Są w niej cztery nurty. Jest nurt bliski katolicyzmowi, który reprezentuje przewodniczący partii, Tadeusz Mazowiecki. Jest nurt bliski socjaldemokracji. Przedstawiciele tego nurtu bywają na międzynarodowych zjazdach socjaldemokratycznych. Jest nurt właściwie bliski liberalizmowi — konserwatywno-liberalny. Jest wreszcie ostatnio stworzony nurt ateistyczny, którego przywódczyni zdecydowała się na stworzenie organizacji wyrażnie zwalczającej wpływy Kościoła w kraju. Boimy się takich rzeczy, boimy się tworzenia organizacji, które by walczyły z Kościołem, dlatego że do nich przyklejają się naturalną koleją rzeczy różni oszołomowaci antyklerykałowie, którzy mają obsesję na tym punkcie i już nie myślą kategoriami racjonalnymi.

SLD. Wreszcie partia byłych komunistów. Ważna partia, ponieważ ma kilkudziesięciu posłów w sejmie i prawdopodobnie duży elektorat. Jest to również partia niejednolita jak wszystkie polskie partie — może poza Unią Pracy, my mamy na razie nurt bardzo jednolity, bez żadnych odłamów. Ale wróćmy do SLD. Właściwie do SDRP, dlatego że SLD to jest klub sejmowy, należy do niego wiele osób, które nigdy w życiu nie należały do żadnej partii komunistycznej. Są to działacze związkowi. Spośród tych, którzy należeli do partii jest wielu ludzi młodych, którzy nigdy nie pełnili żadnych istotnych funkcji w partii komunistycznej, kiedy była u władzy, są także starzy aparaczczyki. My mamy często z nimi wspólne poglądy na pewne sprawy. Nie my jedni zresztą. Wiele partii w sejmie głosuje podobnie jak oni. Natomiast my staramy się nie nawiązywać z nimi jakichś sojuszy politycznych — w rozumieniu tworzenia rządu — czy wspólnych działań. Natomiast popieramy często te same rozwiązania usta-

wowe, które popierają oni, bo taka jest natura lewicowych nurtów, że wszystkie odmiany tego lewicowego nurtu mają podobne ideały społeczne.

KPN. — Jest ponadto jeszcze jedna bardzo ważna partia — Konfederacja Polski Niepodległej. Jest to partia bardzo radykalna, populistyczna, szermująca ciągle tymi samymi hasłami, które dziś jakby się zdezaktualizowały, jak np. odzyskanie przez Polskę niepodległości. Ale ta partia coraz bardziej niepokoi, gdyż ma własne organizacje militarne czy paramilitarne i w tej chwili prowadzi np. czarne listy ludzi, którzy się tej partii narazili i wobec tego znajdują się w czarnych kartotekach. To jest niebezpieczne, nigdy bowiem nie wiadomo, czym się takie zabawy kończą. Historia europejska XX wieku dostarcza wielu dowodów, że z takich czarnych list rodzą się potem obozy koncentracyjne.

UP. — Wreszcie Unia Pracy, moja własna partia — którą moglibyśmy na europejskim gruncie porównać do brytyjskiej Labour Party. Partia socjaldemokratyczna o rodowodzie antykomunistycznym, solidarnościowym, która jednak tym zaślęnęła — pojawiając się na arenie politycznej rok temu — że otworzyła swoje drzwi dla byłych członków partii komunistycznej, dla młodych ludzi, którzy wprawdzie należeli do partii, ale mają czyste życiorysy, gdyż nigdy nie dopuścili się żadnych brzydkich czynów, a robimy to z dwóch względów: po pierwsze — jak wszyscy — potrzebujemy młodych ludzi prężnych, energicznych, mających coś do powiedzenia; po drugie: równie ważny wzgląd — wszystkie partie polityczne w Polsce, szczególnie ruch solidarnościowy, mają wśród swoich przywódców wielu ludzi, którzy przeszli tę drogę przynależenia do partii komunistycznej. My nie uważamy, że ci, którzy wystąpili 10 lat temu są lepsi od tych, którzy wystąpili dwa czy trzy lata temu czy tych, lojalnych wobec swojej partii, którzy wytrwali w niej do końca. Dla nas liczy się to, co dzieje się dzisiaj, co będzie w przyszłości. Jesteśmy wielkimi przeciwnikami rzeczy, tak strasznie ważnej na polskiej arenie politycznej — tego ustawicznego rozliczania przeszłości, dekomunizacji, lustracji, szukania wszędzie agentów byłej policji czy też agentów wywiadu sowieckiego. Polskie życie polityczne jest zdominowane przez tego rodzaju maniackie szukanie wroga pod każdym krzakiem. To jest niewątpliwa pozostałość komunizmu. To komuniści mieli ten zwyczaj robienia z każdego przeciwnika politycznego wroga narodu. Jesteśmy temu gwałtownie przeciwni.

B.W.O.: — *Jeszcze jedno słowo o związkach między ZChN-em a Kościołem. Czy jest poparcie, czy jakaś nieufność...?*

A.M.: — Ojciec święty, Jan Paweł II, powiedział niedawno, że żadna partia polityczna nie może reprezentować Kościoła, ale myślę, że w Polsce jest trochę inaczej. W Polsce ta prawicowa partia, tj. ZChN — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — dostała się do parlamentu dzięki poparciu Kościoła. Kościół się od tego odżegnywał, ale prawda jest taka, że księża rozdawali w dniu wyborów karteczki z nazwiskami senatorów i posłów, na których należy głosować. Prowadzili propagandę na rzecz tych ludzi. Wydaje mi się, że Kościół poparł ludzi, którzy na to nie zasłużyli. I wydaje mi się, że Kościół ma dzisiaj świadomość tego. Kościół, Episkopat, kler widzi że poparto ludzi, którzy swoją postawą nienawiści, agresji, bardzo przemądrzałego wypowiadania się na każdy temat i szukania wszędzie wroga, że ci ludzie wyrządzają olbrzymią szkodę Kościołowi. Twierdzę, że wszyscy heretycy razem wzięci, jacy są w tej chwili w Polsce, nie uczynili nigdy takiej szkody Kościołowi jaką wyrządza ta partia podszywająca się pod katolickie hasła, a w rzeczywistości realizująca raczej zasady nienawiści niż zasady miłości.

B.W.O.: — *W nawiązaniu do tego samego, jak mógłby pan wytłumaczyć, że Kościół w 89 roku zaczął od popularności w 90 procentach, a Rzeczpospolita podała chyba w lutym br. że popularność ta spadła do 49%. Może jakieś jedno zdanie na ten temat.*

A.M.: — Kościół, który jako siła przewodząca w walce z komunizmem uzyskał kolosalny stopień poparcia społecznego przekraczający 90 %, w ciągu tych czterech ostatnich lat stracił to, ponieważ właśnie wdał się w gry polityczne. To te gry, ci gracze polityczni tak bardzo obniżyli autorytet Kościoła, że dzisiaj to poparcie przekracza 40 %, nie sięga połowy badanych.

B.W.O.: — *Mam ciekawy wywiad z generałem Jaruzelskim. Zbieram teraz opinie wszystkich rozmówców na jego temat. Czy chciałby pan coś powiedzieć do mojego filmu o nim?*

A.M.: — Ktoś, kto wysłuchał wypowiedzi gen. Jaruzelskiego dzisiaj, może być zaskoczony. Ja nie jestem. Odbyłem w życiu wiele rozmów z generałem Jaruzelskim, ale w jednej z

takich dużych rozmów, której konsekwencją było to, że zgłosiłem potem wniosek o skrócenie kadencji prezydenta i parlamentu — otóż w tej rozmowie powiedział mi on coś bardzo istotnego. Powiedział mi, że dwa razy w życiu musiał całkowicie przewartościować swoje pojęcia. Pierwszy raz, kiedy jako chłopiec z bogatego ziemiańskiego domu znalazł się w tajdze (ojciec w więzieniu) z siekierą w ręku, z którą nie bardzo sobie umiał dawać radę i wtedy się zaczęła ta jego droga, która doprowadziła do stanowiska ministra obrony narodowej, potem premiera i I-go sekretarza komunistycznej partii. Wówczas zaczął jakby na nowo kształtować swoje poglądy w duchu zdecydowanie komunistycznym, a nie w tym duchu, w jakim został wychowany, to jest w duchu ziemiańskiego domu z tradycjami niepodległościowymi, którego ojciec, dziadek i pradziadek bodajże byli w konflikcie z Rosją, wywożeni na Sybir, konfiskowano im majątki itd., itd. Jaruzelski bardzo niechętnie i z dużą rezerwą mówi o swoich rodzinnych przygodach, o wszystkich krzywdach, jakie spotkały go najpierw od rządu carskiego, a potem od rządów komunistycznych. Kiedyś powiedział nam, kiedyśmy go wręcz zapytali w sejmie, na jednym z posiedzeń komisji, dlaczego nie chce o tych sprawach mówić, powiedział, że on nie będzie z dramatu swojej rodziny robił karty w grze politycznej.

I wtedy w tej rozmowie przed kilku laty w Belwederze powiedział mi, że drugim takim zwrotnym momentem w jego życiu było to, kiedy spostrzegł się, że ta opozycja, z którą walczył, że ta nowa jakby elita polityczna, która w tej chwili ma zająć miejsce starej, to nie jest banda łobuzów czy głupców, ale że są to ludzie przyzwoici, skrzywdzeni przez komunizm, że wrogość do komunizmu nie wynika z jakichś apriorycznych przesłanek, że nie lubimy takich idei, ale z tego, że ten system tak głęboko skrzywdził ludzi. Ta rozmowa była 2 czy 3 lata temu — od tego czasu wiem z wypowiedzi jego i moich znajomych, którzy z nim rozmawiali, że jego poglądy ulegają bardzo daleko idącej ewolucji, że on właśnie czuje się jakby winny temu, że uczestniczył w komunistycznym działaniu przeciwko Kościołowi i tutaj — myślę — że to trzeba traktować jako autentyczne — to nie są żadne gry polityczne, to jest już człowiek na to za stary.

Obserwuję czasem jego postępowanie na posiedzeniach komisji, gdzie stawiane mu są różne zarzuty, bardzo poważne zarzuty, które mogłyby kosztować go nawet dożywotnie wię-

zienie. Otóż on wszędzie występuje z olbrzymią godnością osobistą, przeważa kilkunastokrotnie swoich politycznych przeciwników, to jest Guliwer w kraju Liliputów, to jest człowiek o olbrzymim poczuciu rycerskiej godności, bierze na siebie wszystko, nigdy nie zwala na nikogo odpowiedzialności za swoje poczynania; jest zawsze tym, który mówi tak: ja dopuściłem się, ja odpowiadam, ja jestem gotów ponieść konsekwencje.

B.W.O.: — *Czy chciałby pan wypowiedzieć się o Urbanie? Mam też z nim wywiad do mojego filmu.*

A.M.: — Ja Urbana znam już blisko 40 lat. Kiedy przyjechałem do Warszawy, był to znany dziennikarz *Po prostu* — pisma bardzo opozycyjnego, człowiek, który był przez 30 lat w niełasce; raz po raz zakazywano mu pisanie, raz po raz były różne akty administracyjne skierowane przeciwko niemu, który z przyczyn nie bardzo dla mnie zrozumiałych — nigdy z nim na ten temat nie rozmiawiałem — w trudnym bardzo momencie opowiedział się po tej stronie, przeciwko której był przez całe życie, czyli po stronie komunistycznej. Został rzecznikiem rządu, w stanie wojennym odegrał w moim przekonaniu bardzo niedobłą rolę, bo był elementem jątrzącym, był tym człowiekiem, który zamiast łagodzić — jątrzył. Natomiast później ustawił się w bardzo wygodnej pozycji, mianowicie wydaje pismo agresywnie ateistyczne, agresywnie antysolidarnościowe, agresywnie antyprezydenckie; robi na tym olbrzymie pieniądze, ponieważ nastroje społeczne bardzo się zmieniły. Dzisiaj Solidarność jest źle traktowana przez społeczeństwo, prezydent jest częściowo zniechęcony, bo obiecał za wiele i nic z tego się nie spełniło, a Jurek Urban zarabia na tej niechęci duże pieniądze. Z tym, że to nie jest jakiś polski fenomen, bo we wszystkich krajach — nie znam rynku amerykańskiego — ale wiem, że we Francji istnieją takie pisma, takie *Le Canard enchaîné* i inne jeszcze bardziej drastyczne, które uprawiają podobną grę na negowanie tych wszystkich rzeczy, które dla ludzi są świętością, wyśmiewanie się z religii, wyśmiewanie się z kleru, walka z elitą władzy. Urban na tym robi olbrzymie pieniądze — to jest jedno z najbardziej czytanych pism w Polsce.

B.W.O.: — *Czy mogę pana prosić o refleksje na temat Tygodnika Powszechnego. Czy jego rola jest nadal duża, czy się zmniejszyła, czy jest kontrowersyjnym pismem?*

A.M.: — *Tygodnik Powszechny* był od początku swego istnienia sztandarem katolicyzmu polskiego. To nieprzypadkowo z tego kręgu wyszedł Jan Paweł II. To jest pismo o olbrzymich zasługach, które kształtowało pewien wzorzec przyzwoitości obywatelskiej. *Tygodnik Powszechny* nie wykluczał udziału katolików czy też w ogóle społeczeństwa w życiu publicznym komunistycznego kraju, okupowanego przez obcą armię, ale w zamieszczanych artykułach była zawsze wyznaczana granica tego, co wolno, a czego nie wolno; tego co się robi i czego się nie robi — granica przyzwoitości obywatelskiej.

Dzisiaj, kiedy komunizm upadł, *Tygodnik* stracił wielu czytelników, nakład jest mniejszy. Przez sporą część oficjalnych katolików, a także przez pewną część Episkopatu pismo to jest wręcz zwalczane, ponieważ reprezentuje katolicyzm nowoczesny, katolicyzm otwarty, katolicyzm wybaczenia, a nie nienawiści. Reprezentuje katolicyzm dialogu, katolicyzm posoborowy, podczas kiedy Kościół polski jest w dużej mierze jeszcze Kościołem przedsoborowym. Jest tu wyraźny konflikt.

Jerzego Turowicza oskarża się o różne bardzo źle przez społeczeństwo widziane sprawy. Często słyszy się te oskarżenia z ambon, często ze źródeł kościelnych, z gazet wydawanych pod auspicjami Kościoła, różne nieprawdziwe rzeczy. Środowisko *Tygodnika* uchodzi za coś pośredniego między środowiskiem masonsko-komunistycznym a środowiskiem antykościelnym. Takie są pomówienia — powiedziałbym — ludzi nieoświeconych. Konfliktem, czy istotą konfliktu jest różnica pomiędzy tą formacją bardzo endecką, bardzo antysemicką, bardzo dziewiętnastowieczną — jaka do dzisiaj jest obecna w Kościele (nie chciałbym powiedzieć, że dominuje, ale jest obecna w Kościele polskim) a środowiskiem soborowym, z którego wyszły liczne idee odradzające Kościół. Ten konflikt jest i będzie trwał. Nie sądzę, żeby to środowisko czarnoskinnie — jak ja to nazywam — tak łatwo wybaczyło *Tygodnikowi Powszechnemu* jego otwartość, jego inteligencję, jego wielkość. To tak bym to określił. To jest konflikt małych ludzików z olbrzymem.

B.W.O.: — Proszę o kilka słów na temat przyszłości Kościoła za 20 lat. Jak pan to widzi?

A.M.: — Myślę, że Kościół jest w groźnej sytuacji: półwie-

kowa okupacja komunistyczna wycisnęła na społeczeństwie polskim wielkie piętno. Kościół poniósł wiele przeogromnych klęsk duszpasterskich. Kilkaset tysięcy zabiegów przerywania ciąży, totalny alkoholizm znacznej części społeczeństwa, łapówkarstwo, nierzetelność, tragedia rodzin rozbitych, masowe rozwody, porzucanie przez ojców rodzin matek z małymi dziećmi i pozostawianie ich bez opieki, ucieczka za granicę dziesiątków tysięcy młodych ludzi, którzy zostawiają swoje rodziny w tragicznym stanie bez opieki. To wszystko są klęski Kościoła. Trzeba do tego dodać jeszcze postępy ateizacji, i to ateizacji groźnej, bo ateizacji, która pozwala tym nowo upieczonym ateistom kierować się zasadami egoizmu, zasadami głęboko niemoralnymi z każdego punktu widzenia. I to są te zagrożenia Kościoła. Są teraz dwie drogi wyjścia: jedna to droga jakiegoś moralnego odrodzenia społeczeństwa. W moim przekonaniu, na tę drogę Kościół nie może wejść jako formacja polityczna. Na tę drogę może wejść tylko jako formacja duszpasterska i Kościół ma tu szanse odrodzenia się, ale będzie się musiał pogodzić z tym, że można być uczciwym i rzetelnym człowiekiem, godnym szacunku i zaufania — nie będąc człowiekiem wierzącym. To Kościołowi jeszcze z bardzo dużym trudem przechodzi dzisiaj przez gardło. Dla znacznej części księży niechrześcijanin, a nawet innowierca — protestant czy prawosławny — to jest wróg, to jest postać groźna, to jest postać, którą należy zwalczać wszystkimi siłami.

Ja prowadziłem jeden z najbardziej oglądanych programów (TV) na świecie — dziesięć do piętnastu milionów ludzi oglądało mnie co tydzień. W związku z tym dostawałem do tysiąca listów dziennie. W tych listach było bardzo wiele skarg właśnie ludzi, takich jak protestanci czy prawosławni, czy niewierzący, czy też ludzie o innym kolorze skóry, którzy użalali się na potępienie, które ich spotykało ze strony kościelnej, ze strony kleru, ze strony ludzi wierzących, bo Kościół to przecież nie tylko kler, to także społeczność wiernych. Ja twierdzę, że to są rzeczy do przezwyciężenia i że Kościół się odrodzi, tzn. że Kościół ma szansę, ponieważ Ewangelia daje tę szansę wejścia na drogę św. Franciszka, wejścia na drogę pokoju, miłosierdzia. Wielkim wrogiem Kościoła jest pycha księży, a przede wszystkim zachłanność na dobra materialne. Księża w Polsce to jest kasta ludzi żyjących w wyjątkowym przepychu i luksusie. Oczywiście są skromne zakonnice, żyjące w skrajnym ubóstwie, są bardzo

uczciwi księża, którzy nie pobierają opłat wygórowanych za posługi religijne, którzy są jakby pokornymi sługami społeczeństwa, ale jest olbrzymia ilość pewnych siebie, aroganckich, zdzierających z wiernych ostatni grosz za posługi religijne, którzy szkodzą Kościołowi. I teraz — pyta pan, co będzie za 20 lat. Ja wierzę, że zwycięży ta droga franciszkańska, może dlatego, że wróciłem niedawno z Asyżu i jestem pod wrażeniem św. Franciszka.

B.W.O.: — *Proszę o pana refleksje na temat gigantycznych kościołów, budynków kościelnych, które zbudowano w Polsce. Mówi się o tysiącu kościołów na tysiąclecie...*

A.M.: — Te kościoły były budowane jakby przeciw komunizmowi, a także były wynikiem pewnego wyobrażenia społeczeństwa o tym, jak ma wyglądać świątynia. Ja mogę panu opowiedzieć przykład sąsiedniej miejscowości, obok mnie, gdzie mieszkam. Tam zaprojektowano bardzo piękny, bardzo skromny, spokojny kościół, taki, powiedziałbym, jakby trochę w amerykańskim stylu, funkcjonalny kościół. I rada parafialna z oburzeniem to odrzuciła, że takiego kościoła to oni nie chcą. Postawiono gigantyczną, betonową, bardzo brzydką świątynię, której koszt ogrzania w tej chwili, przekracza możliwości tych wiernych. Tam jest zawsze zimno. Niepotrzebne to wszystko.

Styl kościołów jest różny; są bardzo piękne kościoły nowoczesne, nawet, jeśli przyjmiemy tę ich manię wielkości, że muszą być takie olbrzymie — to są i bardzo piękne. No ale jest dużo architektów, którzy jakby uczyli się dopiero budowy kościołów i którzy nie dali sobie rady. Budowa kościoła to jest bardzo nowa rzecz dla architektów polskich, bardzo niewiele kościołów budowano dotąd i nagle posypały się setki, tysiące zamówień i nie dali sobie z tym rady. Naprawdę wielkich dzieł sztuki jest bardzo niewiele.

ROZMOWA Z JERZYM TUROWICZEM,
NACZELNYM REDAKTOREM TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

(Filmowane w jego krakowskim biurze)

BOHDAN W. OPPENHEIM: — *Czy możemy zacząć naszą rozmowę od pytania na temat rozdziału Kościoła od państwa w Polsce? Czy powinien on mieć odmienny charakter niż ma w Ameryce, czy podobny i od czego by to zależało?*

J. T.: — Dobrze. W polskiej rzeczywistości, jaka powstała po upadku komunizmu, problem stosunków między Kościołem a państwem jest szczególnie ważny. Sądzę, że w normalnym układzie społecznym rozdział Kościoła od państwa jest najlepszym rozwiązaniem. Ale w Polsce istnieje swego rodzaju zrozumiała alergia księży biskupów i całego kleru względem tego pojęcia. W okresie panowania komunizmu nazywało się że żyjemy w reżimie rozdziału Kościoła od państwa, ale nie był to rozdział uczciwy, jego zasady były notorycznie gwałcone przez władze. Naturalnie biskupi chcieliby widzieć stosunki między Kościołem a państwem oparte na lojalnej współpracy autonomicznego Kościoła z równie autonomicznym państwem. Oczywiście jest, że w Polsce, i chyba nie tylko w Polsce, Kościół i państwo muszą ze sobą współpracować. Być może u nas jest to nawet bardziej potrzebne państwu niż Kościołowi.

Ponieważ Polska jest w 90 do 95 procent krajem katolickim i mamy katolików zarówno w sejmie, jak i w rządzie, a katolikiem jest również prezydent, jest rzeczą oczywistą że chodzi tu o przyjazny rozdział Kościoła od państwa.

B.W.O.: — *Proszę mi powiedzieć, czy pośród biskupów istnieje na ten temat zróżnicowanie opinii. Jeżeli tak, to na czym ono polega?*

J. T.: — Jakie jest do tej sprawy nastawienie poszczególnych członków hierarchii nie wiem, bo oczywiście nie wiem co się dzieje na posiedzeniach Episkopatu, być może że istnieją pewne różnice poglądów, ale jeśli chodzi o całość zagadnienia to niewątpliwie stanowisko Episkopatu jest jednolite.

B.W.O.: — *Czy mógłby pan amerykańskim widzom wyjaśnić*

znaczenie encykliki „Centesimus annus” w odniesieniu do Polski?

J.T.: — Jak wskazuje tytuł tej encykliki została ona ogłoszona w setną rocznicę encykliki „*Rerum novarum*”, która do pewnego stopnia była zaczątkiem rozwoju społecznej nauki Kościoła. Oczywiście od tego czasu miały miejsce olbrzymie zmiany w całym układzie stosunków międzyludzkich i obserwowaliśmy poważny rozwój myśli zawartych w tamtej encyklice. Sądzę jednak, że Jan Paweł II w swoich poprzednich encyklikach znacznie przyczynił się do rozwoju społecznej nauki Kościoła pozostawiając nietknięte jej zasady. Naturalnie w obliczu olbrzymich przemian jakie nastąpiły po upadku komunizmu, a ciągle jeszcze jesteśmy w trudnym okresie przechodzenia z jednego systemu do drugiego, zasady nauki społecznej Kościoła mają wielkie znaczenie. Nie oznacza to, że Kościół proponuje konkretne rozwiązania dla problemów, jakie stoją przed nami, ale nauka społeczna Kościoła wskazuje zasady na których winny się opierać te rozwiązania, zasady które winny obowiązywać katolików w ich politycznym zaangażowaniu.

B.W.O.: — *Czy Kościół w Polsce kieruje się jeszcze zasadami sprzed II Soboru Watykańskiego?*

J.T.: — Jestem przekonany, że po latach, a nawet niemal stuleciach antagonizmu między współczesnym światem a chrześcijaństwem, kiedy Kościół był w stałej defensywie w obliczu świeckiej myśli, ten Sobór był jednym z najważniejszych wydarzeń w jego historii. Nastąpiło otwarcie na świat połączone z ofertą dialogu z całą współczesnością. Zostały tym objęte nie tylko inne chrześcijańskie Kościoły, ale również niechrześcijańskie religie takie jak islam i judaizm. Polski Kościół katolicki brał udział w Soborze poprzez swoich biskupów i przyczyniał się do formułowania zaleceń, które później były w Polsce wprowadzane bez oporów, czego przykładem może być reforma liturgii. Nie ma u nas ani opozycji do tych zmian, ani nie mamy stronników arcybiskupa Lefebvre'a. W sumie jednak mam wątpliwości czy duch II Soboru, owa gotowość otwarcia się na świat, gotowość do prowadzenia dialogu naprawdę u nas w pełni zaistniały. Obawiam się, że w tych sprawach mamy jeszcze wiele do zrobienia.

B.W.O.: — *Czy pan myśli, że polskie duchowieństwo powinno lepiej zaznajomić się z zasadami demokracji?*

J.T.: — Kościół obecnie znalazł się w nowej sytuacji, a ponieważ koniec komunizmu przyszedł zupełnie niespodziewanie, Kościół nie był na nią całkowicie przygotowany. Toteż Kościół musi znaleźć swoje miejsce w demokratycznej i pluralistycznej rzeczywistości społecznej. Zmieniły się nawet zadania księży pracujących w parafiach, którzy powinni nie tylko zrozumieć zasady demokracji, ale zaznajomić się również z nowymi problemami moralnymi jakie stawia przed nami współczesność. Nie jestem pewien czy seminaria dostatecznie przygotowują księży do ich zadań w nowych warunkach.

B.W.O.: — *Jak pana zdaniem etniczne i religijne mniejszości w Polsce zapatrują się na tak silne podkreślanie „wartości chrześcijańskich”?*

J.T.: — Dzisiejsza Polska jest tak z etnicznego jak i wyznaniowego punktu widzenia o wiele bardziej jednorodna, niż była kiedykolwiek w ciągu całej swojej historii. Przed wojną mieliśmy liczne mniejszości narodowe i wyznaniowe. 10 % czyli ponad 3 miliony Żydów, zgładzonych w czasie wojny przez nazistów. Mieliśmy prawosławnych i protestantów o wiele więcej niż obecnie. W wyniku przesunięcia naszych granic na zachód, wędrówek ludności i deportacji pokaźnych grup ludności mamy teraz w Polsce 90-95 % rzymskich katolików, podczas gdy ogólna ilość prawosławnych nie przekracza jednego miliona, zaś Kościoły wszystkich protestanckich wyznań nie liczą więcej niż 250 000 członków. Oczywiście, że w sytuacji, kiedy mniejszości są tak nieliczne zabezpieczenie ich praw w wielkim i onieśmielającym morzu katolicyzmu stało się problemem. Sądzę, że nie tylko polski rząd, władze cywilne, ale i Kościół są świadomi konieczności zagwarantowania tym mniejszościom pełnych praw i ich ochrony. Naturalnie, że w pewnych sytuacjach te mniejszości czują się zagrożone, obawiając się, że Polska może stać się katolickim państwem wyznaniowym. Na przykład, kiedy zaproponowano prawa o wartościach chrześcijańskich, co zostało zrozumiane, jako forsowanie zasad czysto katolickich. Zrodziły się więc protesty szczególnie ze strony grup niechrześcijańskich i ludzi niewierzących, których jest może niewiele, ale jednak są.

B.W.O.: — *Jak pan widzi sytuację polskiego Kościoła w ciągu najbliższych 20-tu lat?*

J.T.: — Biorąc pod uwagę zupełnie nowy rozwój wypadków trudno jest przewidywać przyszłość Kościoła. Nie wiem jak Kościół będzie działać w tym dwudziestoletnim okresie. Nie jestem prorokiem. Sądzę jednak, że we współczesnym społeczeństwie, w warunkach demokracji i pluralizmu pewna sekularyzacja a nawet dechrystianizacja będą nieuniknione. Myślę jednak, że ten proces nie będzie tak szybki, jak w niektórych krajach zachodnich. Mam nadzieję, że polski Kościół temu zdoła się oprzeć. Musi jednak dostosować się do nowej sytuacji i jak to przedtem powiedziałem, wprowadzić w życie ducha II Soboru Watykańskiego. Sądzę, że będzie to Kościół stawiający akcent na dialog i na uczciwy kompromis, nie dążąc do dominowania instytucji publicznych i praw ale posługując się metodą przekonywania i udowadniania swoich racji. Nie jestem pesymistą, jeżeli chodzi o przyszłość Kościoła w Polsce. Chociaż Kościoły w różnych krajach mają wiele wspólnych cech, to nie myślę by Kościół polski miał stanowić jakiś wzór dla innych Kościołów.

B.W.O.: — *Niektórzy księża nie kryli się z tym, że w czasie ostatnich wyborów sugerowali wiernym, jak mają głosować. Jak dalece pana zdaniem było to niewłaściwe?*

J.T.: — W obecnej sytuacji, w okresie politycznej i instytucjonalnej transformacji tego kraju, problem stosunku Kościoła do polityki jest bardzo istotny. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że Kościół ma prawo pełnić to co nazywa się jego funkcją profetyczną, to znaczy, że ma prawo, a nawet obowiązek zabierać głos w sprawach politycznych, bo życie publiczne także podlega moralnym normom. Niemniej jednak jestem zdecydowanie przeciwny bezpośrednim interwencjom i jego mieszanii się do polityki. Wiem, że w poprzednich wyborach niektórzy biskupi polecali wiernym głosowanie na taką, albo inną partię, albo na takiego czy innego polityka. Uważam to za pewnego rodzaju nadużycie, szkodliwe nawet dla samego Kościoła, bo prowokuje obawy przed państwem wyznaniowym i jest źródłem antyklerykalnych nastrojów.

B.W.O.: — *Proszę pana, w czasie całego okresu panowania komunizmu był pan w Polsce prawdziwym bohaterem walczącym o polski katolicyzm, symbolem opozycji. Teraz zaś wydaje*

się pan być wystawiany na ataki zwolenników prawicy. Co mi pan może powiedzieć na ten temat?

J.T.: — Mówi Pan, że w przeszłości byłem rodzajem bohatera walcząc o polski Kościół. Nie lubię takich wielkich słów. Nie byłem wtedy sam, ani w naszym środowisku, ani poza nim. Wielu innych ludzi dzielnie broniło praw Kościoła. Niemniej jednak prawdą jest, że *Tygodnik Powszechny*, który redagowałem od 1945 roku był głównym organem katolickiej inteligencji w Polsce, a szczególnie w ostatnim dziesięcioleciu był najważniejszym pismem, w którym demokratyczna opozycja mogła wypowiadać się przeciwko reżimowi komunistycznemu pomimo istnienia cenzury. Sytuacja zmieniła się z chwilą upadku komunizmu, kiedy nastąpiła era politycznego pluralizmu. Wiadomo jak scena polityczna się podzieliła, powstało przeszło 200 partii politycznych. Nawet w Kościele zjawily się podziały, jakich nie było przedtem. Kościół był zjednoczony wtedy, kiedy mu zagrażał komunizm. Teraz ma prawe skrzydło, lewe skrzydło i centrum. Fundamentalisci prawego skrzydła uważają nas i mnie samego za lewicowców albo liberalnych katolików, co w ich ustach nie jest bynajmniej komplementem. Być może, że niektórzy biskupi i pewni księża sądzą nas podobnie. Myślę, że nie jest to usprawiedliwione, bo jesteśmy takimi samymi, jakimi zawsze byliśmy. Nie jest nawet wykluczone, że *Tygodnik Powszechny* odgrywa teraz większą rolę niż poprzednio.

B.W.O.: — *Jakie jest pana zdanie o Jaruzelskim teraz? Czy poddaje go pan ciągle jeszcze ostrej krytyce za wprowadzenie stanu wojennego, czy też znajduje pan jakieś okoliczności łagodzące, które go usprawiedliwiają?*

J.T.: — Na pewno nie można uwolnić Jaruzelskiego i jego ekipy od odpowiedzialności za to, co się działo w tamtym okresie. Miały wtedy miejsce wykroczenia kryminalne, pano wało bezprawie, ale jeśli chodzi o wprowadzenie stanu wojennego to ta sprawa w dalszym ciągu ma charakter kontrowersyjny. Nie wiem czy w ogóle kiedykolwiek będzie można odpowiedzieć na pytanie, czy stan wojenny był konieczny, czy nie, oraz czy niebezpieczeństwo sowieckiej inwazji naprawdę nam groziło. Przyznaję, że dużą zasługą Jaruzelskiego było przyłożenie ręki do rozłożenia komunizmu, doprowadzenia do Okrągłego Stołu i pokojowego przejścia od totalitaryzmu do demokracji i gospodarki rynkowej. Jestem

zdania, że jego działalność będzie można osądzić obiektywnie dopiero w przyszłości i że trudno to zrobić dzisiaj. Natomiast on sam może pozostać w Polsce jeszcze na długo postacią kontrowersyjną.

B.W.O.: — *Czy mógłby pan powiedzieć Amerykanom, jak należałoby patrzeć na Kościół katolicki w Polsce.*

J.T.: — Jak już powiedziałem, nie sądzę, by Kościół w Polsce mógł być czymś w rodzaju wzoru na Zachodzie, czy gdzie indziej. Historyczne uwarunkowania, włączając wpływ tego, co się ostatnio stało, są wszędzie bardzo różne. Ludzie patrzący na nas z zewnątrz powinni zdawać sobie z tego sprawę i oceniać to obiektywnie. Przeżyliśmy bardzo trudne zmagania. Kościół polski z ogromną odwagą i przy pełnym zaufaniu wiernych, całego społeczeństwa opierał się zewnętrznej presji. Z drugiej strony, jak to również wspomniałem, jest to Kościół dość tradycyjny i względnie klerykalny, ale znajduje się w fazie daleko idących przemian i nie należy wydawać o nim pochopnych sądów. Przypuszczam, że będziemy mogli obserwować w nim daleko idące zmiany już w ciągu dziesięciu lat. Powtarzam, nie jestem pesymistą.

Tłumaczył z angielskiego Jerzy SZEPTYCKI

ROZMOWA Z JERZYM URBANEM, WYDAWCĄ
TYGODNIKA *NIE*, RZECZNIKIEM PRASOWYM
RZĄDU KOMUNISTYCZNEGO
(Filmowane w redakcji *NIE*)

BOHDAN W. OPPENHEIM: — *Prośba o wypowiedź o stosunku pana do Kościoła katolickiego i w ogóle do religii.*

J.U.: — Pochodzę z rodziny żydowskiej choć Żydem się nie czuję. Moi przodkowie — przynajmniej od połowy dziewiętnastego wieku — byli ateistami. Wywodzę się z rodziny ateistycznej o ile mi wiadomo przynajmniej od połowy dziewiętnastego wieku, bo wcześniej niczego o swojej rodzinie nie wiem. Ja nie rozumiem zjawiska religii podobnie jak np. nie rozumiem zjawiska sportu; uważam to za swoją ułomność, jest to szczególnie jakieś wielkie ograniczenie w rozumieniu zjawisk w Polsce. No ale zawsze się do takiej ułomności przyznawałem. Jestem ateistą rzeczywistym, to znaczy nie mam jakichś zakamarków w mózgu czy sytuacji, w których odwołuję się w jakikolwiek sposób do jakiegokolwiek abso-lutu, siły wyższej. Może raz w życiu, w młodzieńczym okresie robiłem jakby zakłady z jakimś partnerem będącym jakąś siłą sprawczą, że jeśli coś mi się uda, to czegoś nie zrobię, powiedzmy nie upiję się przez tydzień. Tak, że to, co mnie samego zdziwiło, jakiś odruch parareligijny miałem.

B.W.O.: — *Jaką ma pan hierarchię wartości?*

J.U.: — Uważam za ważną lojalność wobec zespołu, z którym się utożsamiam, z którym gram. Uważam, że życie powinno być komponowane z możliwie wielu czynników; moją ideą jest nieuprawianie w życiu monokultury, nieograniczanie życia do jednej dziedziny, do jednej pasji. Sądzę, że z życia trzeba szybko czerpać możliwie wiele.

Jestem zwierzęciem politycznym; od 15 roku życia kibicuję polityce, zajmuję się polityką w różny sposób. Odrzucam czułościowość, ale jestem przekorny — wobec tego kontestuję wszystkie takie obiegowe pojęcia związane z dobrem czy jakąś pomocniczością wobec ludzi. Udamę bardziej zimnego niż jestem.

Dla mnie system wartości to są przede wszystkim wybory typu ideologicznego i politycznego. Mój życiorys poli-

tyczny z jednej strony był bardzo zmienny, lecz jak patrzeć na to z dystansu — jednorodny, spójny. Jako młody chłopak, tak jak prawie wszyscy w Polsce zapasjonowałem się komunizmem, uznając to za kompletny sposób poznawania świata i jakiś idealny sposób jego urzędzenia w każdej dziedzinie, na każdym piętrze życia społecznego i osobistego. Mniej więcej kiedy byłem studentem, ten świat się zawalił — myślę tu o roku '56 i XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego — wówczas przeszedłem na pozycje skrajnej kontestacji. Byłem w redakcji czasopisma, które wówczas w Polsce odgrywało główną rolę w zwalczaniu stalinizmu. To było czasopismo, które nie ograniczało swoich funkcji do publikacji; staliśmy na czele niespójnego organizacyjnie, ale ruchu na rzecz demokracji. Jednakże to co głosiliśmy mieściło się w obrębie socjalizmu, nawet było żarliwie prosocjalistyczne. Ten tygodnik, który nazywał się *Po prostu* inicjował co prawda dyskusje z katolikami, wyciągał dłoń, był rzecznikiem dialogu, ale jednocześnie zajmował się tym, czym nikt się potem w Polsce na serio nie zajmował, mianowicie zwalczaniem Pana Boga, deprecjonowaniem światopoglądu religijnego. Była w tym taka jakaś naiwna pryncypialność.

B.W.O.: — *Jako rzecznik w poprzednim okresie miał pan kontakty z hierarchią kościelną. Jak pan redaktor ocenia ludzi z hierarchii?*

J.U.: — Nie miałem bezpośrednio kontaktów z hierarchią. Do kontaktów z hierarchią dobierani byli politycy łatwiej strawni dla hierarchii, bardziej układni niż ja. Natomiast rolę hierarchii w stosunkach z nami oceniam jako niezwykle obłudną. Istniał pewien styl uprawiania polityki przez biskupów polegający na tym, że cokolwiek nasz przedstawiciel mówił, oni nigdy nie oponowali, nie spierali się, wyjąwszy załatwianie różnych spraw kościelnych czy innych, pozakościelnych, których pragnęli być rzecznikami. Ale ogólny charakter tych rozmów był taki, że na ogół milczeli, dawali wygadać się Jaruzelskiemu, Rakowskiemu czy innym przedstawicielom władzy, kiwali głowami lub w inny sposób sygnalizowali wielką zgodność opinii, po czym wychodzili i swoje czynili. Tzn. te rozmowy, ich konkluzje nigdy nie miały żadnego znaczenia dla politycznej praktyki Kościoła, natomiast były znakomite psychologicznie, ponieważ przywódcy ówczesnego państwa byli zawsze zachwyceni sobą w tych rozmowach, i zachwyceni swoimi partnerami, nabierali ogrom-

nej ufności. Wszyscy oni mieli jakieś kompleksy w stosunku do hierarchów kościelnych więc gabinetowe rozmowy, z których nic nigdy nie wynikało uznawali za wielki sukces polityczny.

B.W.O.: — *Czy akceptuje pan, że Kościół miał ogromnie pozytywną rolę w historii Polski?*

J.U.: — Rola Kościoła w historii Polski uznawana jest powszechnie za pozytywną i koniec. To jest nieprawda, a raczej może powiem — pół prawdy, ponieważ ta rola była i pozytywna i negatywna. Bardzo trudno zrobić wykład historii i opowiadać o bardzo zmiennej roli Kościoła, ale Kościół np. był co najmniej podzielony w XIX wieku w swoim stosunku wobec aspiracji Polaków do wyzwolenia i przywrócenia własnego państwa. Każde tutaj sformułowanie będzie uproszczeniem, ale biorąc pod uwagę tę poprawkę można powiedzieć, że kler niższy związany społecznie z warstwą szlachty i inteligencji dosyć licznie objawiał skłonności powstańcze i uczestniczył w powstaniach. Hierarchia wyższa w większości opowiadała się za ugodą lub też wręcz zwalczała skłonności powstańcze, czego nie uważam za wadę polityczną, tylko konstatuje tego rodzaju postawy. Często miały one charakter lojalistyczny. W istocie upadek niepodległości Polski w końcu osiemnastego wieku wiązał się z wieszaniem biskupów na latarniach w czasie ostatniej prowadzonej przez Kościuszkę wojny polsko-rosyjskiej mającej zapobiec ostatecznemu upadkowi państwa polskiego.

B.W.O.: — *Uważa się, że Kościół miał ogromną rolę w zniszczeniu komunizmu. Chciałbym prosić o refleksje, emocje: nienawiść? pogarda? obojętność? zazdrość? Co pan czuł, co pan czuje?*

J.U.: — Ja nie czuję ani nienawiści, ani pogardy. Kościół — myślę — źle wymierzył swoją politykę. Po prostu oceniam, że ostatni okres schyłkowego, słabego komunizmu był najlepszym w dziejach dla Kościoła; wtedy mu się wiodło najlepiej. Byliśmy słabi, szukaliśmy oparcia w hierarchii kościelnej, ona była mediatorem między nami a opozycją, języczkiem u wagi. W zasadzie uzyskiwała co chciała, jednocześnie przewodziła społeczeństwu, była jakąś trwałą opoką dla aspiracji społecznych zmierzających ku zmianie ustroju. A więc byli to zarazem przyjaciele władzy, przyjaciele społeczeństwa i arbi-

trzy. Kler nikomu się nie narażał, wszystkim był przyjacielem i cieszył się ogromną popularnością. Kiedy osiągnął swoje ówczesne cele, jego sytuacja ogromnie i gwałtownie zmarniała.

Uważam, że wszystko to ma w znacznym stopniu za przyczynę lub w każdym razie impuls sprawczy rolę papieża. Jan Paweł II, kiedy został papieżem, nie tań, że jego jakąś misją życiową jest wyprowadzenie Polski z obszaru niewoli, wyzwolenie z imperium zła, czyli komunizmu. No i podszedł do tego z cechującą go wówczas delikatnością i przebiegłością. Jego koncepcja była taka, żeby katolicyzm w Polsce nie tylko promieniował jako metoda przewyciężenia komunizmu, ale, aby był przedstawiony społeczeństwu Rosji i innym krajom ówczesnego bloku socjalistycznego jako sprawny instrument do pozbywania się komunizmu. Papież wobec tego czynił z tej ewolucji w Polsce, której patronował, jakby okno wystawowe na Wschód wyobrażając sobie, że kiedy właśnie Kościół katolicki będzie takim sprawnym instrumentem autonomizacji społeczeństwa wobec władzy, poszerzania zakresu wolności jednostki, demokracji itd., a także azylem dla kultury, życia społecznego, to katolicyzm jako religia stanie się atrakcyjny także dla niekatolickich krajów Wschodu.

Samo obalenie komunizmu przebiegało inaczej niż to Kościół sobie marzył, bez szczególnej roli Kościoła; bardzo szybko stał się on niepotrzebny jako mediator i siła motoryczna. Zmiana ustroju dokonała się o wiele szybciej niż sobie wszyscy wyobrażali, zakładając ewolucję wieloletnią. Odnoszę wrażenie, że kiedy w Polsce zmienił się ustrój, papież pragnął jakby tę witrynę katolicką odwrócić o 180 stopni ze Wschodu na Zachód i zacząć budować w Polsce modelowy ustrój katolicki oparty o mętną i ogólnikową chrześcijańską doktrynę społeczną jako atrakcję dla społeczeństw zachodnich.

O ile pierwszy plan papieża związany z komunizmem okazał się planem w jakimś stopniu realistycznym i papież osiągnął spodziewany sukces, o tyle pomysł, żeby z Polski uczynić okno wystawowe dla świata zachodniego jest wyrazistym idiotyzmem, ponieważ Polska nie ma żadnych walorów gospodarczych, społecznych już dziś nawet kulturalnych, które by były dla Zachodu pasjonujące czy mogące stanowić jakiś wzorzec.

B.W.O.: — *Czy pamięta pan moment wybrania kardynała Wojtyły na papieża — jakie odczucia miał pan wtedy?*

J.U.: — No, byłem zirytowany, ponieważ uznałem, że siły, z którymi jestem w antagonizmie, uzyskały wielkie wzmocnienie.

B.W.O.: — *Prosiłbym pana teraz o opinię na temat separacji Kościoła od państwa.*

J.U.: — Jest w Polsce paradoksem, że tak podstawowa i obrosła tradycją zdobycz współczesnej cywilizacji jak oddzielenie Kościoła od państwa, w Polsce staje się celem walki politycznej, która może być przegrana przez większość, która oddzielenia Kościoła od państwa pragnie. W badaniach opinii publicznej niezmiennie ogromna większość społeczeństwa pragnie tego rozdziału, autonomizacji roli państwa i Kościoła. Kler katolicki obecnie zdecydowanie dąży do zespolenia Kościoła z państwem w najrozmaitszym rzeczy rozumieniu. Pragnie sterować ustawodawstwem, przynajmniej tym ustawodawstwem, które go interesuje — na pewno nie szczególnym ustawodawstwem gospodarczym, choć już ustawodawstwem dotyczącym modelu gospodarczego, jak np. koncepcją prywatyzacji. Głosi doktrynę, iż prawo państwowe powinno mieć źródło w prawie naturalnym, przez które rozumie doktrynę katolicką. Pragnie, aby w życiu publicznym istniały ograniczenia, tzn. żeby nie było dozwolone to, co Kościół potępia — od aborcji przez homoseksualizm, rozwody, choć jego żądania prawne nie zawsze już wyraźnie się pojawiają. Raczej w takich sprawach jak rozwody, homoseksualizm, stosowanie środków antykoncepcyjnych Kościół mówi ogólnie, że prawa rządzące społeczeństwem powinny mieć źródło w jedynej słusznej prawdzie, którą Kościół katolicki przedstawia. Ale nie mniej ważne niż to, jest przesądzanie życia państwowego ceremoniałem kościelnym, zacieranie różnic pomiędzy uroczystościami państwowymi a kościelnymi, delegowanie do wszystkich ważnych instytucji państwowych księży, którzy pełnią rolę kapelanów, uzyskują posady w państwowej hierarchii służbowej i są jakby politycznymi, a w każdym razie ideologicznymi kontrolerami wojska, policji, szkolnictwa, także różnych instytucji i organizacji mniejszego znaczenia.

Ważna jest bardzo, choć mniej uchwytna, rola księży w życiu gmin, w życiu podstawowych społeczności. Jako dziennikarze obserwujemy w bardzo wielu miejscowościach, że władza jest zależna od proboszcza i proboszcz określa np. kto powinien dostać jakąś posadę, kto powinien dostać dzierża-

wę jakiegoś sklepu itd. W ten nieformalny sposób jego rola jest kluczowa. Ale to, a także arogancja kleru, jego styl życia, zamożność, która zresztą się zmniejsza, wszystko to powoduje bardzo silną reakcję społeczną. W Polsce typowe jest łączenie powierzchownej religijności (która zatrzymuje się w tej powierzchownej warstwie, szczególnie ceremonialnej i jest nienaruszona) z antyklerykalizmem rozumianym jako niechęć do księży. Ma to zresztą tradycje na wsi polskiej.

Czy mogę powiedzieć jak ja rozumiem politykę Kościoła?

B.W.O.: — *Jak najbardziej.*

J.U.: — Za poprzedniej władzy, kiedy ja byłem członkiem rządu, Kościół nie drażnił, nie działał przeciw interesom jakiegokolwiek grupy społecznej. Kokietował wszystkie grupy społeczne i był zdolny do objawienia nawet liberalizmu obyczajowego, żeby tylko nie zrazić sobie młodzieży. Pamiętam, że kiedy przegnano z takiego półwyspu nad morzem nudystów, którzy tam sobie zrobili swoje wakacyjne miejsce spotkań, a uczyniła to ludność miejscowa, to Kościół w swojej miejscowości nadmorskiej ich przygarnął i świetnie koegzystowali nadzy plażowicze z księżmi i zakonnicami, którzy wypoczywali w tej miejscowości, i wszystko było świetnie.

Kiedy Kościół uzyskał tak wielki sukces polityczny, kiedy w swoim rozumieniu — zresztą przesadnym — uznał, że on obalił komunizm i on dokonał tej wielkiej, w Polsce przynajmniej, zmiany, to dostał zawrotu głowy od sukcesu i zaczął ogromną ofensywę dla zdobycia całej władzy i to władzy o tyle nagannej, że nieformalnej, a więc nie związanej z odpowiedzialnością: o wszystkim decydować, za nic nie odpowiadać. Spowodowało to znaczną niechęć społeczną wobec Kościoła i ostatnio już Kościół przyznaje się do tego, że jest ofiarą tej niechęci, krzycząc, iż jest prześladowany w Polsce, że istnieje jakaś zmowa prasy, liberałów, ekskomunistów, niekiedy powiada i masonów, Kościół czyni z siebie ofiarę ogromnych prześladowań. Na spadek popularności Kościół reaguje tym pilniejszym wpijaniem się we władzę państwową i szukaniem źródeł swojej potęgi w strukturach państwa. Czym mniej jest popularny społecznie, tym bardziej stara się swoje pozycje zachować poprzez poszerzenie tego źródła władzy. W historii Kościoła — jak wiadomo — niejednokrotnie się to zdarzało.

I teraz tak: jeśli na przykład w Polsce pojawi się jakaś

dyktatura prawicowo-nacjonalistyczna — co jest niewykluczone — to z góry można przewidzieć, że będzie ona miała oparcie w Kościele i będzie dla Kościoła oparciem. Kościół zaczyna być ośrodkiem wszystkich tendencji przeciwnych współczesności i już w tej chwili wyrażnie przeciwnych demokracji. Sterowane przez niego partie polityczne wyrażnie są niechętnie integracji europejskiej, wolnej grze sił rynkowych, wszystkiemu temu, co jest kanonem zachodniego modelu życia politycznego i gospodarczego. Wobec tego, jeśli w Polsce zwycięży kierunek autorytarny, to Kościół będzie główną siłą wspierającą tę dyktaturę tak jak to było w Hiszpanii gen. Franco czy we Francji Pétaina i będzie sprawował współwładzę represyjną. Jeśli natomiast zwycięży ta większość, która się jednak tej tendencji nacjonalistyczno-klerykalnej sprzeciwia, to Kościół znacznie słabnąć także w strukturach państwa. Po prostu, jeśli w najbliższych wyborach okaże się, że ludzie nie głosują zbyt często na tego, kogo wskazuje proboszcz z ambony lub też nawet głosują na przekór proboszczowi, to z tą chwilą kończy się siła polityczna Kościoła i zaczyna się odwet wszystkich jego klientów za te upokorzenia, których teraz doznają.

Przewiduję np. antykościelną reakcję tych generałów, którzy wbrew własnym poglądom dla kariery muszą teraz klęczeć w kościołach, tych wszystkich indyferentnych religijnie polityków, którzy chodzą do kościoła ostentacyjnie i prowadzą biskupów pod ramię, żeby pokazać się publiczności, że są z Kościołem związani, tych wszystkich biznesmenów, którzy dają pieniądze w zamian za to, żeby sfotografować się z biskupem i w ten sposób zabezpieczyć przed urzędem podatkowym itd. Wszyscy się rzucają Kościołowi do gardła, co z przyjemnością będę obserwował.

B.W.O.: — *Jak pan widzi przyszłość Kościoła w Polsce za jakieś lat 20?*

J.U.: — Kościół z całą pewnością będzie za 20 lat dalej miał istotne znaczenie w życiu kraju, sądzę jednak, że bardzo osłabnie po tej nieudanej — jak już dziś widać — ofensywie klerykalizmu i w wyniku arogancji oraz nieopanowania w pchaniu się do władzy. A także wziąć trzeba pod uwagę niezwykłą skłonność Kościoła do wykorzystywania swojej pozycji politycznej dla odbierania majątków i poszerzania zakresu własności kościelnej z uszczerbkiem dla własności innych insty-

tucji. Bo to nie dzieje się kosztem własności prywatnej, tylko własności publicznej. Po tym wszystkim Kościół będzie jednak bardzo osłabiony. Już ten czas, kiedy polski Kościół był fenomenem popularności chyba nigdy nie wróci.

Inna alternatywa to upadek demokracji w Polsce, uformowanie się władzy autorytarnej, przynajmniej półautorytarnej bo w Polsce nigdy nic nie jest kompletne i doskonałe — no to wówczas Kościół będzie znienawidzoną, ale wielką siłą w istocie rzeczy państwową. Już dziś my uważamy, że w znacznym stopniu Kościół katolicki zastąpił Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą w jej uprzednich rolach. To też była władza dominująca, a jednocześnie formalnie, prawie nieodpowiedzialna za nic. Ta, która określała treść ustaw, ale nie ponosiła odpowiedzialności ani za ich kształt, ani za ich wykonanie. Analogie są dosyć oczywiste.

B.W.O.: — *Jak pan emocjonalnie podchodzi do tej analogii? Czy pan się czuje współwinny za nadużycia poprzedniej ekipy?*

J.U.: — Ja w tej dziedzinie, o której mówię, czuję się współodpowiedzialny za niemądrą politykę wobec Kościoła, tzn. uważam za mądrą politykę współdziałania z Kościołem, którą prowadziliśmy, natomiast za niemądrą — wiarę w lojalność hierarchów kościelnych.

W ogóle zaś sprawa mojej współodpowiedzialności jest nieco bardziej złożona. Ja nigdy nie byłem członkiem partii — to zresztą nie ma tak istotnego znaczenia — bardziej istotne znaczenie ma to, że ja byłem przez jakieś 30 lat dziennikarzem, który funkcjonował w obiegu oficjalnym, lecz na skrzydle liberalnym istniejącego *establishment*'u i uchodził za bardzo krytycznego i był kiepsko przez władze tolerowany, aczkolwiek nie miałem nic wspólnego z opozycją. To znaczy nie mieściłem się w zachodnich schematach, które dzielą siły publiczne działające ongiś w Polsce na prokomunistyczne i opozycyjne — ten podział był o wiele bardziej zniuansowany i ja byłem bliższy formacji pośredniej.

Wszedłem do rządu w latach osiemdziesiątych, po powstaniu Solidarności jako przeciwnik związku Solidarność, ale też reformator, liberał i w imię przeprowadzenia tych reform, które nam się wydawało, że przeprowadzimy. Jeśli idzie o stosunek do Kościoła, to ja po prostu nie lubię Kościoła, ale to nie ma nic wspólnego z koncyrowaniem polityki. Ogłoszono ostatnio list, który ja, zanim jeszcze zostałem człon-

kiem rządu, napisałem do ówczesnego szefa partii z propozycją stworzenia gabinetu koalicyjnego z politykami katolickimi i co za tym idzie — znacznych koncesji politycznych wobec Kościoła. Myślą przewodnią tego było stworzenie takiego sojuszu, który by nieco zostawił na boku i osłabił impet populistyczny Solidarności — Solidarność bowiem niszczyła gospodarkę pod hasłami, w istocie rzeczy, ultrasocjalistycznymi.

Ale to wszystko właśnie jest dosyć skomplikowane i trudne do wyjaśnienia zachodnim obserwatorom, którzy znają historię Europy Wschodniej uporządkowaną wedle bardzo uproszczonych schematów.

B.W.O.: — *Prośba o krótką charakterystykę wskazanych organizacji politycznych w Polsce.*

J.U.: — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — prawica skrajnie klerykalna i skrajnie nacjonalistyczna; faktycznie przeciwna związkowi z Europą; umiarkowanie populistyczna.

Konfederacja Polski Niepodległej — to są najbardziej skrajni nacjonałiści o skłonnościach do władzy autorytarnej typu wodzowskiego, natomiast nie są to klerykałowie, oni nawiązują do tradycji Piłsudskiego przed wojną, czyli przyznają się do katolicyzmu, ale nie prowadzącego do opierania władzy o hierarchię kościelną.

Porozumienie Centrum — jest to partia ogromnie niewyraźna, która nie ma spójnego charakteru; ona ma różne oblicza w różnych okresach. Obecnie należy do bloku skrajnej prawicy ogromnie klerykalnej, ogromnie nacjonalistycznej. Ale tak jest dzisiaj, tak wczoraj nie było, tak jutro być nie musi.

Unia Demokratyczna — ugrupowanie najsilniej wyrastające z elity poprzedniej opozycji; liberalno-demokratyczne, ma różne frakcje od lewicowych po centrowe. Ugrupowanie wspierające demokrację klasyczną, wszelkiego typu wolności. Największą jego wadą jest niesprawność. Jest to partia intelektualistów, a tym samym ludzi, którzy wiele w polityce mogą powiedzieć, a mało zrobić.

Parlament Polski przeżywa ogromną depresję, blisko 3/4 społeczeństwa uważa, że nie spełnia swojej roli, ośmiesza się itd. Nie ma wyrazistych w nim podziałów, wyrazistej grupy wspierającej rząd, wyrazistej opozycji, większość klubów jest podzielona, nie zdyscyplinowana w głosowaniach; w opinii spo-

łącznej jest to parlament gadulczy, parlament popisów oratorskich a nie rządu. Parlament, który co innego mówi, a inaczej głosuje, Parlament złożony z ludzi niegodnych zaufania, dokonujący najrozmaitszych wykroczeń banalnych, lecz niezwykle licznych.

Sojusz Lewicy Demokratycznej — zrodzony przez PZPR, ściślej przez tę grupę reformatorów, która miała władzę i ją oddawała. Wywodzi się ze skrzydeł liberalnych poprzedniej partii komunistycznej, z reformatorskich jej tendencji obwinianych o socjaldemokratyzm, który teraz dopiero jawnie zamanifestowali. Partia ta ciągle broni się przed odium postkomunizmu i to bardzo hamuje śmiałość jej działalności programowej, powoduje kompleks przeszłości. Z tych przyczyn partia ta nadmiernie jest uwikłana w różne przetargi gabinetowe, po to, żeby nareszcie ją uznano za pełnowartościową i godną przebywania na salonach demokracji, natomiast to się dzieje kosztem jej rezonansu społecznego i działania na rzecz pracowników, których chce być polityczną reprezentacją. Dramat tej partii polega jednak także i na tym, że dziedziści ona myślenie w kategoriach państwa — bo jej przywódcy są ludźmi, którzy już współodpowiadali za państwo, wobec tego nie może popierać rewindykacji płacowych, tendencji populistycznych, a więc nie może spełniać roli lewicy klasycznej. Ja jestem członkiem tej partii.

Pismo *Nie* — to jest pismo, które założyłem z myślą o tym, że będzie ono ogromnie wesołe, zabawiające publiczność polityką. Nie wyszło. Jest to pismo smutne — w tej chwili jest ono największym politycznym tygodnikiem w Polsce, ma ponad 700 tysięcy nakładu i 2,5 miliona czytelników co tydzień. Jest wpływowe, ale nie odgrywa roli w życiu umysłowym treścią swoich komentarzy, czy potencjałem intelektualnym. Odgrywa rolę ze względu na zdolność do gromadzenia i przedstawiania faktów niekorzystnych dla władzy i ugrupowań ją popierających. Jest więc pismem faktów. Oceniane jest przez władze jako pismo brukowe, szmatławce i sensacyjne. My prowadzimy przez różne ośrodki analizujące opinię publiczną badania rezonansu *Nie* i opinii o nas. *Nie* jest inaczej oceniane przez czytelników, zaś sami czytelnicy nie należą do klasycznej klienteli pism brukowych czy bulwarowych. Nas czytają ci, którzy są czytelnikami pism poważnych, najwybitniejszych, czyli tygodnik współoddziałuje na środowisko opiniotwórcze, ale jako źródło faktów, a nie osądów.

Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich stanowi pewien fenomen nonkonformizmu w Polsce. Już drugi z kolei Rzecznik Praw Obywatelskich okazuje niezależność, sprzeciwia się roszczeniom kleru do narzucania swoich rozwiązań prawnych. Po prostu rzeczywiście w każdej sprawie jest zdolny do sprzeciwu wobec dominujących sił politycznych.

Jest to zasługa Unii Demokratycznej, która takiego rzecznika wylansowała w parlamencie, bo jest on obierany przez parlament. Jest to również zasługa poprzedniej rzeczniczki, powołanej jeszcze za naszych, czyli Jaruzelskiego czasów, która ten styl działania i ten etos rzecznika stworzyła. Obecny rzecznik to postać tak szlachetna i mająca tak gigantyczny autorytet społeczny, że jest niezwykle głupotą kleru, iż atakują tego rzecznika w sposób niezwykle brutalny. Czyni to kler również przez te partie, które są dyspozycyjne wobec biskupów, domagają się w parlamencie jego unicestwienia, wysuwając argumenty typu: „nie może być rzecznikiem w katolickim kraju ktoś, kto występuje przeciwko Kościołowi”, czyli w oparciu o argumenty w ogóle nie stykające się z całą płaszczyzną prawa i obrony praw człowieka, na których ten rzecznik działa. Jednym słowem: ten atak zdradza nieczułość klerykałów na współczesną koncepcję prawa i roli jednostki.

B.W.O.: — *Panie redaktorze, ja jestem w Polsce 11 dni i kogokolwiek się zapytam o pana, to słyszę opinie co najmniej negatywne — mówię o zwyczajnych ludziach. Wzbudza pan ciągle ogromne emocje. Słyszę wiele inwektyw których nie powtarzam, byłoby to po prostu nietaktowne. Czy zgadza pan się z tymi nienaukowymi opiniami, jak pan reaguje na te sprawy?*

J.U.: — Ja jestem przyzwyczajony do takich reakcji i także do takich jak pańska opinii. To jest nieprawda. Urban jako osoba ostatnio był badany — tzn. ostatnio badano moje szanse wyborcze. Bardzo obszerne badania o roli rzecznika i stosunku do rzecznika Urbana odbywały się, kiedy ja byłem rzecznikiem, wówczas 28 % społeczeństwa aprobowало tego bezczelnego, krzykliwego rzecznika, 48 % dezaprobowало, reszta nie miała zdania. Wobec tego nawet w czasach bliskich stanowi wojennemu nieprawdziwą byłaby opinia, że wszyscy ziali nienawiścią; prawdziwą byłaby opinia, że większość objawia niechęć. W czasach tygodnika *Nie* to się wszyst-

ko gwałtownie odwróciło. Ja jestem otoczony sympatią i ona też jest dominująca i bardzo się żywo manifestująca, ale towarzyszy jej wzmożona nienawiść niezmierzonej dokładnie części społeczeństwa, przede wszystkim wszystkich ludzi związanych profesjonalnie z katolicyzmem. Profesjonalnie. Ale już np. dawna opozycja, która mnie nienawidziła *en bloc* jest już dzisiaj rozłamana; ja mam coraz więcej autorów spośród poprzednich działaczy Solidarności, którzy programowo zgłaszają akces lub cichą sympatię do tego antysolidarnościowego pisma — bo taki dalek ton utrzymujemy.

B.W.O.: — Czy sądzi pan, że wśród ludzi, którzy mają o panu negatywną opinię jest to umotywowane pana działalnością, czy ich antysemityzmem?

J.U.: — Nie, ja odrzucam motywy antysemityczne w niechęci do mnie. W ogóle antysemityzm w Polsce, to jest kwestia dość złożona. Co prawda, w listach które przychodzą do redakcji z obelgami, często jest: ty Żydzie, ale zwyczajni ludzie, którzy powodowani emocją negatywną chcą mi narzekać szukają takich epitetów jakie znają. Nie, żadne motywy antysemityczne nie mają istotnego znaczenia. To jest już w tej chwili jakiś margines w polskiej świadomości i to mocno tajony, bo już każdy antysemita wie, że to, co czuje i wyznaje jest bardzo nieładne, więc się do tego nie przyznaje.

Główną erupcją niechęci jest antyklerykalizm *Nie*, moja przeszłość jako rzecznika. Powinienem więc być w rozumieniu wielu ludzi, poza życiem publicznym, a jestem w nim i prosperuję, więc to powoduje agresję. Agresję powoduje także to, że ja jestem bogaty, ale nawet nie w tym rzecz, lecz w tym że ja ostentacyjnie demonstruję bogactwo, libertynizm i lekceważenie osądów publicznych — to doprowadza do wściekłości.

Wreszcie, w tygodniku *Nie* znaczną część jego czytelników denerwują rysunki sprosne, które czasem publikujemy chcąc wyjaskrawić jakąś myśl polityczną, z którą takie obrazki są związane. I tutaj ja świadomie działam wbrew gustom czytelników, którzy, czym bardziej idealizują tygodnik *Nie* i czym bardziej się z nim utożsamiają, tym bardziej chcą, żeby on był jakiś taki godny i żeby tam jego rysownicy narzędzi męskich nie rysowali.

B.W.O.: — Czy w różnych towarzyskich kontaktach z poprzednimi członkami rządu mają miejsce inkryminacje typu: gdy-

byś ty postąpił tak, to byłoby może inaczej — czy odbywają się tego typu rozmowy?

J.U.: — Lękam się, że się odbywają; mnie te rozmowy niezwykłe śmieszą, bo przypominają jakieś rozmowy emigrantów, powiedzmy Rewolucji Francuskiej czy emigrantów po Rewolucji Rosyjskiej, którym się wydaje, że szalenie ważne było, co Ludwik XVI 20 lipca zrobił lub czego nie zrobił. Ja w takich rozmowach nie uczestniczę, choć jestem nadal zaprzyjaźniony z wieloma członkami poprzedniej władzy, zwyczajnie ja tak intensywnie zajmuję się polityką bieżącą, że nie bardzo mnie interesuje życie z głową do tyłu. To jest cecha politycznych emerytów, którzy spacerują po parkach i rozpamiętują przeszłość.

B.W.O.: — *Panie redaktorze, w historii polskiego komunizmu, co było największym błędem?*

J.U.: — Największym błędem były stalinowskie represje, ale trudno mi to nazwać błędem polskiego komunizmu.

ROZMOWA Z TADEUSZEM ZIELIŃSKIM,
RZECZNIKIEM PRAW OBYWATELSKICH
(Filmowane w jego biurze, w Warszawie)

BOHDAN W. OPPENHEIM: — *Panie Profesorze, proszę o definicję pana roli jako Rzecznika Praw Obywatelskich.*

T.Z.: — Ustawa o rzeczniku praw obywatelskich z 1987 r. stanowi, że rzecznik „stoi na straży praw i wolności obywatelskich przewidzianych w konstytucji oraz innych przepisach prawa”. Rzecznik nie może wdawać się w politykę gospodarczą i społeczną rządu, ma czuwać nad tym, aby obowiązujące prawo było szanowane przez organy władzy, administracji publicznej, sądy i inne instytucje powołane do stosowania prawa.

B.W.O.: — *Gazeta Wyborcza z 5 maja 1993 zacytowała pana zdanie: „Moim zadaniem jest zapobieganie wojnom krzyżowym”.*

T.Z.: — W sprawie nauczania religii w szkołach publicznych rozpetała się wielka burza wokół wniosku, który skierowałem do Trybunału Konstytucyjnego, o stwierdzenie niezgodności rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej z ustawą o systemie edukacji. Ustawa przewidywała, że minister powinien zgodnie z przepisami tej ustawy określić warunki organizacyjne nauki religii w szkołach publicznych. Niestety, mój wniosek został zrozumiany jako akt wymierzony przeciwko nauczaniu religii w szkołach publicznych i w okresie Wielkiejnocy były wypowiedzi ze strony kleru, że jest to akt wrogi wobec Kościoła. Ponieważ w tym czasie wierni byli pogrążeni w modlitwach — był to okres Wielkiejnocy — obawiałem się, że takie wypowiedzi w tym szczególnym czasie ze strony Episkopatu mogą doprowadzić do niepokoju wśród wiernych i podziałów w społeczeństwie. Jedni będą mówili, że są przeciw religii, inni za, i w tym sensie — metaforycznym — rozumiałem wojnę krzyżową. Metafory są zresztą zawsze niebezpieczne, bo później z nich się wyprowadza daleko idące wnioski.

B.W.O.: — *Proszę o komentarz o prawie do aborcji i referendum w sprawie aborcji.*

T.Z.: — Jako rzecznik praw obywatelskich nie mogę wdać się w ocenę czy przerywanie ciąży powinno być karalne, od tego jest parlament, który stanowi prawa, natomiast moim obowiązkiem jest czuwać, aby każda ustawa, która ukazuje się w państwie, pozostawała w zgodności z konstytucją. W sprawie aborcji wystąpiłem do Trybunału Konstytucyjnego z zarzutem, że Kodeks Etyki Lekarskiej przewidujący niedopuszczalność dokonywania zabiegu aborcji (z pewnymi wyjątkami) pozostaje w sprzeczności z niektórymi ustawami. Tylko w tych granicach mogę się wypowiadać na temat aborcji. Jest oczywiście kwestia, czy aktualna ustawa anty-aborcyjna ze stycznia br. jest zgodna z konstytucją. Do chwili obecnej nie wystąpiłem do Trybunału Konstytucyjnego ze skargą na tę ustawę chociaż otrzymałem z dwóch organizacji ze Stanów Zjednoczonych pisma, z sugestią, abym zajął się tą sprawą. Na razie badam ją z udziałem ekspertów.

B.W.O.: — *Proszę opisać pana wątpliwości w sprawie nauczania religii w szkołach publicznych.*

T.Z.: — Uważam że w chwili obecnej Rzecznik Praw Obywatelskich nie może kwestionować dopuszczalności nauczania religii w szkołach publicznych, ponieważ ustawa z 1991 r. o Systemie Edukacji Narodowej taką możliwość przewidywała. Natomiast muszę oponować przeciwko niewłaściwym formom organizowania nauki religii w szkołach publicznych. Takim formom, które naruszają zasadę swobody sumienia i wyznania. W rozporządzeniu ministerialnym zauważyłem takie właśnie postanowienia, które naruszają konstytucyjną zasadę wolności sumienia i wyznania. I dlatego też do Trybunału Konstytucyjnego skierowałem wniosek.

Jako rzecznik — powtarzam — nie mogę kwestionować ustawy, jeżeli ona pozostaje w zgodności z ustawą. Jednakże rozporządzenia ministerialne muszą być w pełni zgodne zarówno z ustawami, jak i z Konstytucją. Natomiast uważam — to już jest, powiedziałbym, mój pogląd prywatny — że nauczanie religii w szkołach publicznych w żadnym wypadku nie może ograniczać praw mniejszości. Nie można narzucać mniejszościom religijnym woli większości. I o to bardzo zdecydowanie zabiegam w swojej działalności. Aby prawa mniejszości były szanowane.

B.W.O.: — *Prośba o wypowiedź o zapisie o wartościach chrześcijańskich w telewizji i mediach.*

T.Z.: — W sprawie zapisu o wartościach chrześcijańskich w Ustawie o Radiofonii i Telewizji zabierałem publicznie głos w jednym z wywiadów i powiedziałem, że ten zapis jest niepokojący, ponieważ jest nieprecyzyjny. Nie bardzo wiadomo dzisiaj, co przez to określenie należy rozumieć. Toczy się zresztą wielka dyskusja w prasie na temat pojęcia wartości chrześcijańskich. Niemniej jednak nie wystąpiłem do Trybunału Konstytucyjnego z zarzutem, że to postanowienie narusza Konstytucję, ponieważ nie wystąpiły w tej chwili jakieś konkretne niepokoje, a jako rzecznik zwykle decyduję się na wystąpienie do Trybunału wówczas, gdy stało się jakieś nie-szczęście, to znaczy gdy prawa obywatelskie zostały naruszone, a także wtedy, gdy prawa lub wolności obywateli są zagrożone. W tym przypadku czekam na sygnały. Na razie takich sygnałów nie mam.

B.W.O.: — *Czy pana poglądy zbieżne są z amerykańskim „Bill of Rights” i Konstytucją USA?*

T.Z.: — Prawa i wolności obywatelskie, które są mi znane z literatury, a dotyczące obywateli amerykańskich, są mi zdecydowanie bliskie. Niemniej jednak trochę się różnimy w poglądach z Amerykanami jeśli idzie o prawa socjalne. Moim zdaniem do podstawowych praw obywatelskich należą także prawa socjalne i dlatego muszą być zapisane w Konstytucji. I w aktualnym stanie są w Konstytucji zagwarantowane. O ile wiem amerykańskie prawodawstwo konstytucyjne nie przypisuje tak wielkiej wagi prawom socjalnym jak europejskie.

B.W.O.: — *Czy można prosić o krótką definicję co pan rozumie przez „prawa socjalne”; prawo do mieszkania, prawo do...?*

T.Z.: — W zasadzie moje poglądy na temat praw i wolności obywatelskich są zbieżne z poglądami amerykańskimi. Natomiast uważam, że Polska powinna zagwarantować swoim obywatelom realizację praw socjalnych. Polska jest członkiem Rady Europy; jednym z dokumentów Rady Europy jest Europejska Karta Socjalna, która przewiduje takie gwarancje dla obywateli jak prawo do pracy, prawo do mieszkania. Przez prawo do pracy rozumiem system gwarantujący obywatelom możliwość starania się o pracę i uzyskiwania zasiłków dla bezrobotnych w czasie, kiedy ludzie zdolni, chętni do pracy tego zatrudnienia nie otrzymali. Oczywiście rozumiem

przez prawa socjalne także prawo do uzyskiwania mieszkania w sytuacji, kiedy obywatel sam sobie poradzić nie może. Generalnie stoję na stanowisku tzw. zasady Pomocniczości, która jest uznana przez społeczną naukę Kościoła katolickiego — państwo powinno pomagać obywatelom, którzy sami poradzić sobie nie mogą. Czyli państwo nie opiekuńcze, lecz pomocnicze. To jest istotna różnica.

B.W.O.: — *Prośba o zreasumowanie wydarzeń, które spowodowały pana do wypowiedzi: „boję się, że stajemy się państwem wyznaniowym”.*

T.Z.: — Obawy, że Polska może stać się państwem wyznaniowym były wyrażane przez liczące się autorytety w Polsce. Dwa lata temu dokładnie, Czesław Miłosz, który gościł w Polsce, powiedział to samo, co ja ostatnio. Również i Leszek Kołakowski, filozof, mówił, że państwo wyznaniowe to takie, w którym Kościół panujący rości sobie pretensje, aby być najwyższym arbitrem w sprawach moralnych i chce sankcjonować wykroczenia przeciwko tym normom moralnym, które uznaje za obowiązujące wszystkich. Czyli, innymi słowy, w państwie wyznaniowym zaciera się różnica pomiędzy konfesjonalem a sądem. To, co powinno być wyłącznie przedmiotem rozmowy w konfesjonale staje się przedmiotem oskarżenia przed sądem. I takiego właśnie państwa się obawiałem. Powtórzyłem to, co powiedział wcześniej Czesław Miłosz. Ostatnio nasz znakomity pisarz, Gustaw Herling-Grudziński przypomniał w „Dzienniku pisanym nocą” za lata 1989-1992 obawy Czesława Miłosza.

Niedawno temu biskupi wydali orędzie w sprawie wartości chrześcijańskich, w którym są akcenty uspokajające. Orędzie to zostało wydane już po mojej wypowiedzi, a więc może miała ona pewien wpływ na treść wspomnianego dokumentu? Wyraźnie bowiem w tym Orędziu biskupi odzégnują się od idei państwa wyznaniowego. Ten dokument budzi we mnie pewne nadzieje.

B.W.O.: — *Panie Profesorze, jakie pan widzi rozwiązanie z obecnego impasu?*

T.Z.: — Jestem Rzecznikiem Praw Obywatelskich, który patrzy władzy na ręce, czuwa nad tym, aby prawa i wolności były respektowane, natomiast nie wdaje się w żadne prognozy. Nie mogę być mediatorem w konfliktach zbiorowych,

które obecnie w Polsce istnieją. Dlatego też w roli proroka nie mogę wystąpić. Nie mogę powiedzieć jak wydarzenia się potoczą. Z natury jestem optymistą i uważam, że do tej demokracji, wzorowanej także na systemie amerykańskim, wcześniej czy później musimy dojść. Nie jest rzeczą możliwą, abyśmy w tym impasie tkwili bez przerwy. Więc myślę, że państwo prawne w końcu w Polsce zwycięży, mam nadzieję, że doczekamy się demokracji, w której dochodzić się będzie do kompromisów w sprawach społecznych, a praca parlamentarna nie będzie sprowadzać się do ciągłych kłótni, tak jak to jest dzisiaj.

Rzecznik Praw Obywatelskich nie wdaje się w żadne prognozy, nie jest mediatorem w sporach zbiorowych, ale pewne moje spostrzeżenia na temat przyszłości naszej demokracji mogę przekazać. Jako optymistą jestem przeświadczony, że dojdziemy do takiego modelu demokracji, w którym w parlamencie będzie się rozstrzygać sprawy istotne dla obywateli w drodze kompromisu. Obecnie obserwuje się w naszym sejmie, a także w senacie, walkę pomiędzy „właścicielami prawdy”. Każda z partii uważa, że ma monopol na prawdę, a kompromisy są niesłychanie trudne przy takim założeniu. Jestem przeświadczony, że wcześniej czy później musimy dojść do prawdziwej demokracji i będziemy mieli parlament na miarę nowoczesnego państwa, w którym istotne sprawy są rozstrzygane w drodze wspólnych rozmów, dialogu, bez kłótni, które cechują w tej chwili, niestety, naszą scenę polityczną.

B.W.O.: — *Partie polityczne: ZChN, KPN, PC chcą pana odwołać. Czy jest szansa, że im się to uda?*

T.Z.: — Uważam, że wniosek trzech partii w parlamencie skierowany do Marszałka Sejmu o odwołanie mnie ze stanowiska Rzecznika Praw Obywatelskich nie ma szans. Złożyłem Sejmowi obszernie sprawozdanie z mojej działalności, które wykazuje, że zgodnie ze złożonym ślubowaniem wykonywałem swoje obowiązki. Po rozpoznaniu tego sprawozdania z pewnością Sejm uzna, że wykonywałem te obowiązki bez żadnych zastrzeżeń.

B.W.O.: — *Czy robi pan dostatecznie dużo, by wyedukować naród w zasadach demokracji. Czy wpływa pan dostatecznie na proces edukacji?*

T.Z.: — Poziom świadomości prawnej społeczeństwa polskiego jest niestety przeciętnie bardzo niski. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że nasi obywatele w większości wychowani zostali w systemie sowieckim, w państwie totalitarnym, w państwie realnego socjalizmu. Było to państwo opiekuńcze, które dawało obywatelom minimum egzystencji na bardzo, bardzo niskim poziomie. Obywatele do tego przywykli i chcieliby, aby to państwo nadal było opiekuńcze. Staram się przekonywać obywateli, że w państwie prawnym, demokratycznym musi istnieć wolność i że obywatel musi dbać sam o własne interesy. W państwie prawnym nie może być tej opiekuńczości, pozornej zresztą, jaka była w systemie realnego socjalizmu, w systemie sowieckim. Dzisiejszy obywatel, który zachował mentalność dawnego obywatela sowieckiego to tzw. *Homo sovieticus*. Staram się z tym *Homo sovieticus* walczyć na co dzień w swojej działalności Rzecznika Praw Obywatelskich.

B.W.O.: — *Jak pan widzi przyszłość Kościoła za 20 lat?*

T.Z.: — Pochodzę z rodziny katolickiej, z Kościołem rzymskokatolickim byłem związany przez lata, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, należałem do opozycji i korzystaliśmy z pomocy Kościoła w tym okresie. Bardzo związałem się z hierarchią kościelną w tym czasie. Osobiście uważam, że Kościół katolicki jest autorytetem moralnym i ufam, że takim pozostanie. Przyznam jednak, że dla mnie pewnym dramatem osobistym jest to, że wywiązał się, niestety, konflikt pomiędzy mną a hierarchią kościelną. Pomagałem Kościołowi, współpracowałem z Radą Prymasowską w tym minionym okresie, miałem kontakty z wieloma księżmi w tamtym czasie. Wszystko to się urwało niepotrzebnie. Całkowicie niesłusznie zarzuca mi się teraz, że ja jestem przeciwny Kościołowi przez to, że wniosłem do Trybunału Konstytucyjnego wnioski o trybie nauczania religii w szkołach publicznych. A uczyniłem to przecież w celu obrony mniejszości religijnych. Moim obowiązkiem — jako Rzecznika Praw Obywatelskich — jest chronić także mniejszości wyznaniowe. Myślę, że zdobyłem się tutaj na wielką uczciwość, że jako katolik nie stałem po stronie większości tam, gdzie trzeba było bronić mniejszości. I tak będę robił dalej.

B.W.O.: — *Prośba o komentarz na temat ZChN i innych partii politycznych.*

T.Z.: — Rzecznik Praw Obywatelskich musi być obiektywny, a w związku z tym nie wolno mi uczestniczyć w życiu politycznym i nie powinienem oceniać także działalności poszczególnych partii politycznych, które są czynne na scenie politycznej. Niemniej jednak obserwuję z pewnym niepokojem działalność pewnych ugrupowań partyjnych w tym zwłaszcza Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, które okazuje się partią dość agresywną. Ta partia mnie atakuje niesprawiedliwie, przypisuje mi etykietkę wroga Kościoła. Nie mogę oczywiście z tym zarzutem się zgodzić. Myślę, że odbędą się wcześniejsze wybory do Sejmu i Senatu i wtedy dojdzie do lepszego niż do tej pory doboru posłów i senatorów w przyszłym parlamencie. Bardzo na to liczę.

B.W.O.: — *Może jakaś anegdota na zakończenie?*

T.Z.: — W Polsce instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich cieszy się dużym szacunkiem i obywatele uważają, że z każdą sprawą do rzecznika mogą się zwrócić. Były różne spory; spory o psa, czy jeden czy drugi małżonek ma tego psa otrzymać, a rozsądzić miałyby to Rzecznik Praw Obywatelskich. To oczywiście do mnie nie należy, lecz do sądów. Miałem też niedawno dość zabawną sprawę, mianowicie, kiedy został wprowadzony letni czas w Polsce zwróciła się do mnie jedna z autorek listów i napisała, żebym przeciwko temu wystąpił, że to jest ograniczenie praw obywatelskich, jeśli od wiosny mamy inny czas niż w zimie. Jest to taka trochę zabawna historia z mojej działalności najnowszej, ale listy obfitują w wiele innych, podobnych bardzo śmiesznych historii. Czasem rzeczywiście dochodzę do wniosku, że powinienem właściwie być ombudsmanem od wszystkiego.

Józef ŁAPTOS, Grzegorz MAZUR

STOSUNKI PAŃSTWO-KOŚCIOŁ W PIERWSZEJ POŁOWIE LAT 50-TYCH W ŚWIELE RAPORTÓW DYPLOMATÓW FRANCUSKICH I BELGIJSKICH

Wydawałoby się, że w czasach kiedy otwierają się różne archiwa historycy mają szanse odkrywania nie znanych wcześniej faktów i informacji. Trzeba jednak pamiętać, że w większości archiwa te mówią o wydarzeniach, które dziś nam są znane, co więcej często mamy do czynienia z informacjami, o których wiemy już, że są błędne czy częściowe.

Do takich faktów należała niewątpliwie ocena za granicą sytuacji Kościoła katolickiego w Polsce w okresie stalinowskim.

Niniejsze raporty dają nam wyobrażenie o dezorientacji zagranicy, którą spowodowało istnienie tzw. „katolicyzmu postępowego”.

Dwa pierwsze dokumenty, ukazujące „na gorąco” aktualne wydarzenia, są to raporty ówczesnego posła belgijskiego w Warszawie, Fernanda Justice. Trzeci raport, sporządzony przez ówczesnego *attaché* ambasady francuskiej w Polsce Georges Sidre’a, ukazuje całą panoramę stosunków państwo-Kościół, na podstawie dostępnych wtedy autorowi źródeł. Wszystkie trzy dokumenty opatrzone zostały przez nas niezbędnymi przypisami objaśniającymi, zaś nazwiska wymienionych w nich osób uzupełnione imionami w kwadratowych nawiasach tam, gdzie zostały ominięte.

Posel Fernand Justice do Paula van Zeelanda
Ministra spraw zagranicznych

dot.: procesu w Krakowie

Wielki proces krakowski zakończył się 27 stycznia. Jak już Panu zapewne wiadomo z prasy, główny oskarżony, ks. Józef Lelito, został skazany na karę śmierci, podobnie jak pewien student, członek stowarzyszenia katolickiego i inny człowiek z diecezji krakowskiej¹. Ks. [Franciszek] Szymonek został skazany na dożywocie, księży [Wit] Brzycki i [Jan] Pochopień odpowiednio na 15 i 8 lat więzienia.

Tak kończy się to, co stanowi w istocie pierwszy etap okrutnego ataku przeciwko Episkopatowi polskiemu. Nie należy bowiem dać się zwieść pozorom; proces krakowski jest bardziej procesem Episkopatu niż tych kilku księży (w Krakowie na ławie oskarżonych posadzony został bardziej Episkopat niż ci księża). Nawet kardynał Sapieha, zmarły w lipcu 1951 r.², nie został pominięty w tej akcji inkwizycyjnej, prowadzonej przez władze. Rząd warszawski próbuje od pewnego czasu oczerniać w oczach opinii tego wielkiego Polaka, który potrafił przeciwstawić się nazistom i którego pamięć czczona była do dziś nawet przez niektórych dygnitarzy komunistycznych (zob. raport z 26 VII 1951 r.).

Trzej księża i oskarżone wraz z nimi osoby odpowiadali za poważne naruszenie obowiązujących praw. Jeśliby wierzyć ich zeznaniom na procesie, mieliby oni być zamieszani w akcję szpiegowską i współpracować z amerykańskimi tajnymi służbami wywiadowczymi. Taki skandal stanowi sam w sobie doskonałą pożywkę dla propagandy komunistycznej, usiłującej od kilku tygodni dyskredytować wyższe i niższe duchowieństwo. Nic więc dziwnego, że prasa skorzystała skwapliwie z tej nie lada gratki. Zresztą już od pierwszego dnia było wiadomo, że Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego chodziło o coś więcej niż *tylko* o głowy oskarżonych, mierzyło ono

1. Chodzi o Michała Kowalika, być może jednak księdza i pracownika Kurii (zob. dok. nr 31).

2. Dokładnie: 23 VII 1951 r.

wyżej, pragnąc wywołać nienawiść do zmarłego kardynała Sapięhy, do wikariuszy generalnych i innych przedstawicieli arcybiskupstwa, do wielkich polskich rodów, do byłych właścicieli ziemskich, pozbawionych obecnie wszelkich posiadłości.

Teza prokuratora generalnego zbieżna była całkowicie z tezą propagandy: podżegaczami działalności antypolskiej i wszelkiego zła są Stany Zjednoczone i Watykan sprzymierzeni z neohitlerowcami. Te wrogie niepodległej Polsce siły wzięły na swój żołd zdrajców i posługują się Kościołem katolickim w celu zrealizowania swych nikczemnych planów. Powtarzana do znudzenia powyższa teza nie znajduje, jak się wydaje, głębszego oddźwięku w opinii publicznej. Większość społeczeństwa, jak się dowiedziałem, nie jest w pełni przekonana co do winy skazanych księży. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, ale przekazuję tę informację, by wskazać, do jakiego stopnia część społeczeństwa odrzuca to wszystko, co mogłoby stanowić zamach na autorytet polskiego duchowieństwa. Mówi się również, że Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego kieruje Rosjanin, miał go ponoć zdradzić moskiewski akcent³.

Podobnie jak w każdym spektakularnym procesie za żelazną kurtyną, tak i tu oskarżeni nie tylko przyznali się do zarzucanych im czynów, ale opisywali dokładnie wszystkie działania i zamiary skierowane przeciw reżimowi. W procesie krakowskim księża pełniący wysokie funkcje w Kurii Arcybiskupiej denuncjowali arcybiskupa i innych członków Episkopatu, opisując przebieg ich rzekomych spotkań z przedstawicielami kół watykańskich, w których mieli uczestniczyć w charakterze sekretarzy. Jako bezwolne narzędzia w rękach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, księża ci splamili sutanny swych kolegów i swych przełożonych, przedstawiciele Kościoła polskiego.

Moi koledzy z korpusu dyplomatycznego są przekonani, że ci nieszcześnicy nie byli w pełni władz umysłowych i nie panowali nad wypowiedzianymi słowami. Moce zła będące w służbie Moskwy nie cofają się przed żadnym środkiem, by zaspokoić swą nienawiść. Tak tylko da się wyjaśnić to, co widziane z każdej innej perspektywy byłoby potwornością.

Od dwóch tygodni prasa publikuje deklaracje intelektualne

3. Informacja nieprawdziwa, na czele tego resortu stał Stanisław Radkiewicz, ale radzieccy doradcy odgrywali w nim rzecz jasna rolę dominującą.

listów i działaczy katolickich, a nawet komitetów księży, potępiających krakowską kurię metropolitalną i wyrażających pragnienie uczciwej współpracy z rządem dla osiągnięcia jedności narodowej. Do jakiego stopnia ci księża, profesorowie teologii, dziekani wydziałów itp. działają w dobrej wierze podpisując tego rodzaju manifesty? To pytanie, na które jest mi bardzo trudno odpowiedzieć. Z rozmów przeprowadzonych w polskich środowiskach katolickich wygląda na to, że opinie są podzielone. Może się wydać rzeczą dziwną, a nawet niebezpieczną, żeby prymas i jego najbliżsi współpracownicy posługiwali się w dzisiejszej sytuacji pseudo-dysydentami, ale jeden z księży zapewnił mnie poufnie, że tak w istocie jest. Proszę ze swej strony, aby powyższą wiadomość traktować także jako bardzo poufną.

[podpis]

(Archives du Ministère des Affaires Etrangères Belge, vol. 12497).

●
Nr 2

Poselstwo Belgijskie

No 255/C1 30

Warszawa, 11 II 1953 r.

Posel Fernand Justice do Paula van Zeelanda

Ministra spraw zagranicznych

dot.: stosunki państwo-Kościół

Niniejszym pozwalam sobie przedłożyć dalszy ciąg raportu z 30 stycznia 1953 r., nr 74.

Coraz liczniejsze są manifestacje organizacji świeckich oraz księży-patriotów przeciwko tzw. reakcyjnej postawie wysokiego duchowieństwa.

Pretekstem do ich organizowania jest, jak Pan wie, ostatni proces w Krakowie. Jest on bardzo zręcznie wykorzystywany nie tylko przez władze, ale także, jeśli tak się można wyrazić, przez wewnętrznych satelitów reżimu, tzn. ugrupowania które pozostają poza partią komunistyczną, ale popierają politykę rządu. Nadają sobie one szumne nazwy, mające sugerować istnienie licznych zwolenników. Błędem byłoby przywiązywać do nich, w obecnej chwili, zbyt wielką

wagę, ale byłoby lekkomyślnością także ich ignorowanie. Co prawda społeczeństwo polskie w swej masie jest zdecydowanie katolickie i tradycjonalistyczne, ale nigdy nie wiadomo do jakiego stopnia może być ono poruszone wielce dziwnymi wystąpieniami tych, których tu się określa mianem postępowego duchowieństwa.

Weźmy tytułem przykładu sprawozdanie prasowe z ostatniego kongresu w Opolu. Ten zjazd inteligencji katolickiej wyróżnia się spośród innych podobnego rodzaju tym, że mówcy starali się nie wychodzić poza sferę duchową i zdołali to osiągnąć. Bronili oni przede wszystkim tezy niezależności wiary w stosunku do teorii systemów społecznych i ekonomicznych głosząc się obrońcami swobody prawa katolików do akceptowania systemu „socjalistycznego”, tzn. komunistycznego. Zebrani tam przedstawiciele kleru powołując się właśnie na wiarę potępiali rząd Stanów Zjednoczonych, któremu zarzucali przygotowywanie wojny agresywnej i prezentowanie planów wojennych niczym wyprawy krzyżowej w obronie wiary. „Tej kłamliwej i obłudnej kampanii Amerykanów katolicy polscy przeciwstawiają swą jedność z całym narodem pod sztandarami Frontu Narodowego i uważają za fundament tej jedności porozumienie podpisane między państwem a Kościołem (1950), które pozwala im być zarówno dobrymi obywatelami, jak i dobrymi katolikami”.

Argument ten, Panie Ministrze, jest z pozoru tylko prawdziwy, jako że porozumienie z 1950r., mimo że stanowiło wówczas ostateczną granicę ustępstw na jakie mógł się zgodzić Episkopat, było już wielokrotnie naruszane przez stronę rządową, która za każdym razem żądała od Kościoła wysokiej ceny za każde ustępstwo i przywrócenie części tych praw, których Kościół został wcześniej w całości pozbawiony.

Na zjeździe w Opolu członkowie postępowego duchowieństwa przypomnieli także historyczny fakt działalności Kościoła katolickiego od 1000 lat pod różnymi systemami ekonomicznymi i społecznymi. „Ponadczasowa misja Kościoła pozwoliła katolikom wypełniać zawsze ich zadania. Z analizy długiego okresu historycznego, o który tu chodzi powinny zostać wyciągnięte pożyteczne wnioski odnoszące się do współczesnej działalności polskich katolików”. Taką właśnie tezę głosił jeden z głównych mówców. Inni wskazywali na przełomowy moment dziejów, w którym zostały stworzone specyficzne warunki dla działalności katolików. Konflikty o

charakterze politycznym wynikające z odmiennych warunków społecznych i ekonomicznych nie mogą i nie powinny mieć wpływu na ponadczasową misję Kościoła katolickiego. A jednak, dodawali oni z reguły, istnieją w świecie elementy, które podchodzą do tego zagadnienia w sposób błędny działając tym samym na szkodę katolicyzmu.

Jaka powinna być postawa wiernych i duchowieństwa w Polsce Ludowej? Zdaniem uczestników opolskiego zjazdu, tylko ludzie złej woli odmawiają wartości i znaczenia porozumieniu podpisanemu między Episkopatem a rządem, które stanowi jedną z podstawowych zasad Frontu Narodowego. Tak oto, Panie Ministrze, księża-patrioci odwołując się do tysiącletniego autorytetu jakim cieszy się każdy duchowny w Polsce, usiłują z wysokości mównicy przekonać do współpracy z państwem, będącym satelitą Moskwy, młodzież uniwersytecką, przedstawicieli wolnych zawodów, literatów, artystów. Ci zwolennicy współpracy Kościoła z państwem nawet potępiając działalność wywrotową swych braci krakowskich starają się zachować ton pogodny i stosują wyważony język. Zręczną sztuczką jest z ich strony odwoływanie się do deklaracji prymasa Polski, o której była mowa w raporcie z 23 XII 1952 r.).

Postawa części polskiego duchowieństwa stanowi często przedmiot rozmów zachodniego korpusu dyplomatycznego. W ocenie wielkości tego ruchu⁴ zdania są podzielone, ale wszyscy są zgodni co do tego, iż stanowi on poważne zagrożenie dla jedności Kościoła w Polsce. Na uwagę zasługuje, moim zdaniem, opinia wyrażona w tej sprawie przez ambasadora tureckiego. Ten wszechstronnie wykształcony i doświadczony dyplomata uważa, iż wśród Polaków, a zwłaszcza młodych intelektualistów, występuje coraz częściej pewna postawa zrodzona z przekonania, że sytuacja geopolityczna nie pozwala Polsce korzystać z pełnej niepodległości. Odwołując się do historii i przykrego doświadczenia z rządów Becka i jego współpracowników, młodzi ludzie dochodzą do przekonania, że Polska powinna dobrowolnie związać się z jednym z dwóch potężnych sąsiadów: Niemcami lub Rosją, by za tę cenę zachować swoją kulturę, tożsamość narodową i pewną spójność.

W obecnej chwili nie mając wielkiego wyboru Polska powinna, ich zdaniem, dobrowolnie stowarzyszyć się z

4. Chodzi o tzw. ruch katolików postępowych i księży-patriotów.

sowiecką rodziną narodów, by tym sposobem uratować to, co jest jej najdroższe: język i wiarę. Ci, którzy podzielają taki punkt widzenia wątpią w skuteczność interwencji państw zachodnich dla wyzwolenia jej spod kontroli rosyjskiej bez wsparcia ze strony Niemiec, uważanych z kolei przez wielu za jeszcze bardziej groźnego niż Rosja wroga Polski autonomicznej.

Opinia mojego tureckiego kolegi warta jest zapamiętania. Nie brak jej głębokiego uzasadnienia, zwłaszcza w tym, co się tyczy obaw związanych z „wyzwoleniem” Polski przy użyciu wojsk niemieckich⁵.

(Archives du Ministère des Affaires Etrangères Belge, vol. 12497)

●

Nr 3

Warszawa, 31 III 1955 r.

Sytuacja Kościoła Katolickiego w Polsce

Od 1950 r., kiedy Episkopat polski został zmuszony do podpisania z rządem układu, daje się zaobserwować stały, aczkolwiek powolny, wzrost wpływów „księży-patriotów” i towarzyszące mu osłabienie pozycji hierarchii w jej oporze przeciwko marksistowskiemu państwu. Współzależność obydwu zjawisk doprowadziła do aresztowania we wrześniu 1953 r. prymasa i do deklaracji lojalności biskupów wobec rządu. Po tych sukcesach rząd złagodził w 1954 r. presję wobec kleru, który ze swej strony usiłuje obecnie kontynuować swoją misję wspierając werbalnie od czasu do czasu, „katolików postępowych”.

[1.] *Układ z 1950 r.*

Zwycięstwo „Bloku Demokratycznego” w wyborach 1947 r. i ucieczka przywódcy chłopskiego [Stanisława] Miko-

5. Aluzja autora raportu do żywych wówczas dążeń amerykańskich włączenia Niemiec do europejskich sił zbrojnych, do czego doszło ostatecznie w 1955 r., kiedy Bundeswehra weszła w skład NATO. Budziło to obawy w Polsce, bardzo żywe wobec świeżej jeszcze pamięci o II wojnie i zresztą wykorzystywane przez władze.

łajczyka dały przywódcom komunistycznym możliwość przystąpienia do „socjalistycznej przebudowy” kraju, wyrażającej się przede wszystkim w walce przeciwko „polityce watykańskiej” i „reakcyjnym tendencjom” w Kościele katolickim. Uzyskawszy poparcie bardzo wąskiej grupy „księży-patriotów” komuniści skierowali swój atak przede wszystkim przeciwko Episkopatowi, sięgając do bogatego arsenału środków presji i systematycznego nękania poszczególnych jego przedstawicieli.

Biorąc pod uwagę fakt zaistniałego ostatnio w stosunkach między Kościołem a rządem pewnego uspokojenia czy nawet odprężenia uznaliśmy za pożyteczne sporządzenie całościowego raportu zawierającego najważniejsze informacje dotyczące ewolucji tych stosunków i ich natury oraz swobód religijnych i pozycji kleru katolickiego. Zamieszanie wywołane za granicą z powodu sprzecznych ocen napływających z Polski od wrogich sobie stron skłania nas przy tym do jak najszerszego uwzględnienia różnorodnych aspektów tego zagadnienia. By uniknąć jednak popadania w schematyczne formuły, uważamy za stosowne sięgnąć także do pewnych faktów z przeszłości, bez znajomości których trudno byłoby zrozumieć obecny stan rzeczy.

Pierwsza część tego memoriału stanowić będzie krótki przegląd wydarzeń od 1950 r., druga zaś zawierać będzie charakterystykę aktualnej sytuacji wspartą kilkoma tabelami i danymi statystycznymi dotyczącymi instytucji katolickich i przedstawicieli Kościoła polskiego.

Rozwój sytuacji od 1950 r.

W ciągu 1949 r., w atmosferze wzrastającego napięcia między rządem a Kościołem doszło do kilku bardzo poważnych starć. W tym samym czasie „księża-patrioci” korzystając z inspiracji i wsparcia ze strony władz państwowych zaczęli konsolidować swoje szeregi, wydawać czasopisma i głosić chwałę oficjalnej ideologii aprobowując m.in. brutalne posunięcie władz komunistycznych, jakim było pozbawienie Kościoła jego wielkiej organizacji charytatywnej „Caritas”.

Po ponad rocznych, trudnych rozmowach, Episkopat zdecydował się ostatecznie na podpisanie w dniu 14 kwietnia 1950 r. specjalnego układu z rządem⁶, w którym zobowiązy-

6. W polskiej literaturze używa się określenia „porozumienie”. Warto przypomnieć w dosłownym brzmieniu niektóre jego punkty: „1. Epi-

wał się do respektowania „prawa i autorytetu państwa” i kierowania się „polską racją stanu” we wszystkich sprawach nie mających związku z religią.

Wielokrotnie już zwracano uwagę na niejasność sformułowań i nierównoprawność podpisanego układu, w którym zobowiązania rządu zostały wyraźnie zakreślone i zwężone do konkretnych spraw, zaś zobowiązania Episkopatu ujęte w sposób podatny na daleko idącą interpretację. Nie było więc rzeczą przypadku, iż niemal od następnego dnia po podpisaniu układ ten stał się niebezpiecznym narzędziem w rękach władzy i jej „postępowych” sojuszników, wykorzystywanym do walki z hierarchią i wiernymi broniącymi swobody kultu.

2. *Walka przeciw Episkopatowi (1950-1953)*

Po podpisaniu układu rząd wzmógł wysiłki zmierzające do objęcia kontrolą szerokich rzesz katolików. Mimo że swoboda kultu została utrzymana i wszystkie kościoły pozostały otwarte, księża, którzy odmówili „współpracy”, tzn. przejścia do obozu „księży-patriotów” zostali poddani szykanom i różnorodnym formom presji. Napotykali oni trudności nie tylko w sprawowaniu funkcji duszpasterskich, ale nawet w kwestii podróżowania po kraju. Równocześnie zmuszani byli do zapisywania się do organizacji opanowanych przez księży-patriotów, jak Komisja Księża przy ZBoWiD-zie, „Caritas” czy Komisja Intelktualistów i Działaczy Katolickich (KIDK)⁷ przy Ogólnopolskim Komitecie Obrońców Pokoju. Postępowała nadal konsolidacja ugrupowań związanych z hasłami katolicyzmu społecznego. Księża-patrioci na licznych kongresach mnożyli rezolucje wspierające rząd w kwestiach dotyczących polityki wewnętrznej i zewnętrznej.

Najwygodniejszą płaszczyznę walki z Kościołem tak dla

skopat wezwie duchowieństwo aby w pracy duszpasterskiej — zgodnie z nauką Kościoła — nauczalo wiernych poszanowania prawa i władzy państwowej. (...) 6. Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie sprzeciwiało się rozwojowi spółdzielczości na wsi. (...) 7. Kościół — zgodnie ze swymi zasadami — potępiając wszelkie wystąpienia antypaństwowe będzie przeciwstawiał się zwłaszcza nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych”.

7. KIDK powstała 4 XI 1950 r. z inicjatywy PAX-u, jej prezesem został ks. Jan Czuj, a wiceprezesami ks. Eugeniusz Dąbrowski i Tadeusz Lehr-Spławiński, zob.: A. Albert (W. Roszkowski), *Najnowsza historia Polski 1918-1980*, Londyn 1989, s. 639; A. Micewski, *Współtrządzić czy nie kłamać? PAX i Znak w Polsce 1945-1976*, Paryż 1978, s. 48-49.

władz, jak i dla księży-patriotów stanowiła sprawa administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych, co do której biskupi znaleźli się między młotem a kowadłem. Z jednej strony obowiązywała ich bowiem „polska racja stanu” wymagająca objęcia tych ziem administracją wprowadzoną w pozostałej części kraju, z drugiej zaś należało liczyć się ze stanowiskiem Watykanu, który wierny wielowiekowej tradycji odmawiał uznania zmiany granic zachodnich przed podpisaniem traktatu pokojowego z Niemcami.

Obóz rządowy zyskiwał na tej płaszczyźnie cenne punkty przeciwko Episkopatowi. Księża-patrioci wykorzystując żywe wśród Polaków uczucia nacjonalistyczne zyskali poparcie licznych katolików występujących wraz z nimi przeciwko „niemieckiemu rewizjonizmowi” i „polityce watykańskiej” sprzyjającej „podlegaczom wojennym” z Waszyngtonu i z Bonn (Kongres wrocławski w obronie Ziemi Odzyskanych)⁸.

Od stycznia 1951 r. rząd zaczął usuwać administratorów apostolskich mianowanych po wyzwoleniu przez kardynała Hlonda w byłych diecezjach niemieckich, zmuszając kapituły do zaakceptowania na opuszczone stanowiska „wikariuszy kapitułnych” zatwierdzonych ostatecznie przez prymasa Wyszyńskiego w dniu 18 lutego [1951 r.]⁹.

Do decydującego starcia dwóch obozów doszło w 1953 r. Trwająca już od dłuższego czasu między nimi „zimna wojna” przybrała gwałtowny charakter w związku z procesem księży z Kurii Krakowskiej, w czasie którego dwóch z nich zostało skazanych na karę śmierci (27 I 1953 r.) pod zarzutem szpiegostwa i zdrady. Katolicy postępowi piętnowali oskarżonych na łamach swej prasy i wyrażali satysfakcję z ogłoszonego wyroku¹⁰.

13 lutego „Dziennik Ustaw” opublikował tekst dekretu

8. Miał miejsce 12 XII 1951 r., uczestniczyło w nim 1.500 księży. A. Micewski, s. 49.

9. 26 (lub 28) I 1951 r. usunięto następujących administratorów apostolskich mianowanych w 1945 r. przez prymasa Hlonda: ks. Teodora Benscha z Olsztyna, ks. Bolesława Kominka z Opola, ks. Karola Milika z Wrocławia, ks. Edmunda Nowickiego z Gorzowa i ks. Andrzeja Wronkę z Gdańska. Wybór wikariuszy kapitułnych był z punktu widzenia prawa kanonicznego nieważny, ale prymas Wyszyński chcąc uniknąć komplikacji związanych z samowolną administracją udzielił nielegalnie wybranym wikariuszom jurysdykcji kościelnej.

10. Jan Dobraczyński, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego* od 22 IX 1953 r., pisząc o procesie użył m.in. takiego oto sformułowania: „Gdyby próbować stworzyć analogię historyczną, to chyba najbliższa byłaby postawa Krzyżaków”. (*Tygodnik Powszechny* z 27 IX 1953 r.).

ustanawiającego zatwierdzanie przez rząd nominacji na wszystkie stanowiska kościelne i narzucającego duchownym obowiązek ślubowania na wierność państwu. 8 marca *Tygodnik Powszechny*, wydawany w Krakowie pod patronatem Kurii Arcybiskupiej, został zawieszony¹¹. Było to ostatnie pismo katolickie, które do tego czasu zdołało zachować pełną niezależność.

8 maja miał miejsce ostatni akt czynnego oporu ze strony Episkopatu w postaci skierowanego do prezydenta Bieruta długiego listu, w którym kardynał Wyszyński przytaczał wszystkie przypadki łamania przez rząd porozumienia z 1950 r. i piętnował działalność niektórych prokomunistycznych księży. Katolicy postępowi odpowiedzieli na ten list zorganizowaniem w dniach 18 i 19 czerwca ogólnopolskiej konferencji działaczy świeckich i duchownych oraz kolejnych konferencji na terenie całego kraju, na których głosili konieczność „rozwinięcia” układu z 14 IV 1950 r., posuwając się nawet do piętnowania Episkopatu za jego rzekome naruszenie.

Kolejnym elementem tej kampanii było rozpoczęcie 14 IX 1953 r. procesu biskupa lubelskiego¹² Kaczmarka oskarżonego o współpracę w czasie wojny z Niemcami, a po wojnie ze Stanami Zjednoczonymi i Watykanem oraz z zachodnimi służbami wywiadowczymi. Oskarżony przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów i 21 września skazany został na karę 12 lat więzienia. Proces ten, jeszcze przed ogłoszeniem końcowego werdyktu, został wykorzystany do wzmożonych ataków przeciw Episkopatowi za imputowaną mu działalność „antypolską” i „antynarodową”. Katolicy postępowi i tym razem manifestowali swą aprobatę dla wyroku, który jak się miało okazać, stanowił część przygotowań do aresztowania kardynała.

Warto zwrócić uwagę na to, że dzisiejsza prasa komunistyczna, podobnie jak i prorządowa prasa katolicka nie powraca wcale do tego okresu. Ułatwia to postępowym katolikom w Polsce i za granicą rozpowszechnianie błędnych opinii.

Jak wynika z naszego dalszego wywodu, rząd Polski

11. Bezpośrednim powodem zawieszenia *Tygodnika Powszechnego* było ukazanie się tego pisma bez żałobnej obwódkii po śmierci Stalina. Warunkiem stawianym przez władze dla wznowienia go było m.in. usunięcie z redakcji Jerzego Turowicza. Wobec nieustępliwego stanowiska redakcji *Tygodnik Powszechny* został przekazany Spółce Wydawniczej „Pax”. Nowym redaktorem został 12 VII 1953 r. Maciej Kurzyński.

12. Oczywiście pomyłka autora raportu, Czesław Kaczmarek był biskupem kieleckim.

Ludowej mimo iż nie „prześladował” Kościoła dosłownie, prowadził nieubłaganą wojnę przeciwko jego głównym przywódcom i części kleru wiernej hierarchii. Wykazał przy tym nie lada zręczność zastępując otwarte prześladowania taktyką „zimnej wojny”, w prowadzeniu której zyskał mniej lub bardziej świadome wsparcie ze strony księży-patriotów. Sukcesy te dowodzą raz jeszcze politycznej wartości komunistycznych metod dywersji i infiltracji.

3. Aresztowanie prymasa i konsekwencje tego kroku

15 września 1953 r., a więc w cztery dni po ogłoszeniu wyroku w procesie biskupa Kaczmarka, kardynał Wyszyński wygłosił w kościele św. Anny w Warszawie kazanie (ostatnie, jak się niebawem okazało), w którym bez czynienia jakiegokolwiek aluzji do ostatnich wydarzeń przeciwstawił sprawiedliwość ludzką sprawiedliwości boskiej, gloryfikując odporną na niszczycielskie wpływy „wewnętrzną wolność człowieka”. Aresztowanie nastąpiło dzień później i wywołało wielkie poruszenie. Od tego czasu aż po dzień dzisiejszy ani władze sądownicze, ani administracyjne nie ujawniły tego faktu ani nie wskazały miejsca jego uwięzienia. W prasie księży-patriotów nie pojawił się żaden protest przeciwko temu gwałtowi. Los prymasa nie pozostał natomiast obojętny większości wierzących, tzn. większości Polaków.

29 września prasa opublikowała deklaracje rządu, Episkopatu oraz premiera Cyrankiewicza, z których wynikało, że prymas pozbawiony swych funkcji został zamknięty w klasztorze¹³. W tej sytuacji Episkopat wybrał na swego „przewodniczącego” biskupa [Michała] Klepacza i zobowiązał się do ścisłej współpracy z reżymem.

Z uwagi na rosnącą dezorientację wiernych, księża-patrioci działając z poduszczenia rządu postanowili rozszerzyć i wzmocnić swe wpływy na terenie całego kraju. 15 października utworzyli Komisję działaczy katolickich świeckich i duchownych przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego jednoczącą przedstawicieli różnych tendencji „po-

13. „Episkopat zwrócił się do rządu o wyrażenie zgody, aby arcybiskup Wyszyński mógł zamieszkać w jednym z klasztorów. Rząd wyraził zgodę” — pisała *Trybuna Ludu* 29 IX 1953 r. Ta kłamliwa informacja została niejako uwiarygodniona dopiero 27 X 1955 r., kiedy to po więzieniach w Rywałdzie, Stoczku Warmińskim i Prudniku Śląskim prymas został przewieziony do klasztoru w Komańcy.

stępowych". W październiku i w listopadzie we wszystkich województwach powołano Komisje regionalne wciągając do nich nie tylko notorycznych działaczy prorządowych, ale także licznych katolików wiernych hierarchii. W czasie kongresu tych Komisji przyjęto stanowisko komunistów w sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz zaproszono katolików do angażowania się po stronie „obozu pokoju”. 17 grudnia biskupi i wikariusze kapitulni złożyli ślubowanie na wierność Polsce Ludowej.

Tak więc pod koniec 1953 r. tryumf państwa komunistycznego nad Kościołem był niemal pełny. Nie istniała już żadna organizacja ani wydawnictwo katolickie niezależne od władzy świeckiej. Episkopat i niższy kler zamanifestowali, przynajmniej werbalnie, swe podporządkowanie reżimowi. Księża-patrioci pozostali jedynymi katolikami, którzy mogli głosić otwarcie swe poglądy przypominające oczywiście do złudzenia stanowisko rządu.

4. „Odprężenie” 1954 r.

Jak już kilkakrotnie wspominaliśmy, przez cały rok 1954 w stosunkach państwo-Kościół panował spokój kontrastujący zdumiewająco z serią dramatycznych wydarzeń z poprzednich lat. I właśnie w porównaniu z tym okresem niesłychanie silnych napięć uzasadnione jest być może mówienie o „odprężeniu”, opartym zresztą na bardzo kruchych podstawach. Termin „rozejm” byłby tu chyba bardziej stosowny.

Na nasuwające się nieodparcie pytanie o przyczyny takiej zmiany trudno dać wyczerpującą odpowiedź. Nie pretendując do jej sformułowania pragnęlibyśmy jednak przedstawić kilka istotnych przesłanek.

a) Z punktu widzenia polityki wewnętrznej wydaje się, że czynniki rządowe uznały, iż po rezonansie wywołanym aresztowaniem prymasa należy doprowadzić do pewnego uspokojenia umysłów. Chodziło też chyba i o to, by nie zrazić sobie szerokich rzesz katolików w chwili, gdy władza zabiegała o poparcie chłopstwa, jako że te dwie kategorie społeczne są w dużej mierze tożsame.

b) „Odprężenie” w stosunkach między państwem a Kościołem mimo swego niepewnego charakteru zdaje się pozostawać w wyraźnej relacji ze zmianami zachodzącymi w całej polityce wewnętrznej rządu objawiającymi się m.in. zniesieniem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i odczuwalnym złagodzeniem dyktatury kulturalnej. Zwolnienie z wię-

zien licznych księży na początku 1955 r. należy też wiązać z równoległym wypuszczeniem na wolność byłych członków ruchu oporu i innych ofiar reżimu¹⁴.

c) Obecne zmiany w polityce wewnętrznej Polski zależne są, oczywiście, od zmian zachodzących w całym bloku komunistycznym i być może, że chodzi tu także o zmianę podejścia do kwestii religii. Istnieje wiele przesłanek przemawiających za taką tezą, m.in. oficjalna deklaracja sowiecka o pokojowym charakterze walki podjętej w ZSSR przeciwko „przeżytkom religijnym”, jak i fakt wykluczenia z Komunistycznej Partii Czechosłowacji pewnego działacza, któremu zarzucono zbyt gwałtowne wystąpienia publiczne przeciwko Kościołowi i jego wiernym.

Tak czy inaczej nowe podejście do spraw związanych z Kościołem przyjęło w Polsce następujące objawy:

— Zbiorowe ceremonie i manifestacje religijne nie napotyka już na większe trudności ze strony władz.

— Zniknęła z łamów prasy gwałtowna krytyka Episkopatu stanowiąca nieodłączny element antykościelnej propagandy aż do końca 1953 r. Od ponad roku nie spotkaliśmy się z żadną zorganizowaną kampanią prasową w tej kwestii.

— W ciągu pierwszych dwóch miesięcy 1955 r. zwolniono z więzień licznych księży (według dobrze poinformowanego źródła — co najmniej stu) i dwóch prałatów (biskupa Kaczmarka aresztowanego w 1951 r., a więc na dwa lata przed procesem, i księdza [Wojciecha] Zinka, wikariusza kapitulnego z Olsztyna, aresztowanego bez sądu w 1953 r.).

Nie widać natomiast wyraźnych zmian w postawie księży-patriotów. Prowadzą oni nadal intensywną działalność organizacyjną i propagandową upowszechniając swe teorie społeczno-polityczne na łamach podporządkowanej im prasy katolickiej. Ostatnio — 22 lutego br. Komisja Działaczy Katolickich Świeckich i Duchownych przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego zwołała znów kongres, na którym podjęła konkretne postanowienia mające na celu dalsze rozszerzanie działalności i zwarcie szeregów. Ale i na tym kongresie pojawić się musiały pewne tendencje liberalne, skoro z prasy można się było dowiedzieć, iż skrajna frakcja musiała uznać autorytet większości delegatów.

14. Należy zaznaczyć, że w tym czasie więzienia opuszczali dopiero pierwsi więźniowie polityczni, wielka fala uwalniania następnych miała miejsce w całym 1955 i 1956 r.

II. Sytuacja obecna

Natura przyczyn leżących u podstaw obecnego rozejmu nie daje żadnych gwarancji jego trwałości. „Odpężenie” nie rekompensuje bowiem, ani też nie likwiduje poważnych strat poniesionych przez Kościół w poprzednich latach. Zwolennicy katolicyzmu społecznego w Polsce i za granicą nie chcą jednak o tym pamiętać. Zaistniała sytuacja, pełna dwuznaczności, stała się wygodna dla obrońców odmiennych racji politycznych. Pozwala im z pełnym przeświadczeniem, a często nawet w dobrej wierze, głosić opinie diametralnie przeciwstawne.

W istocie prawdą jest, że rząd zwolnił z więzień ponad stu księży, ale przecież nie można zapominać, że pozostaje tam, bądź w aresztach domowych kilkuset innych (niektórzy mówią nawet o tysiącu). Prawdą jest też i to, że rząd wywiera dużą presję polityczną na kler i praktykujących wiernych, ale nie można nie dostrzec, iż pozostawia swobodę kultu pewnej kategorii katolików i darzy ich sympatią, a nawet udziela wsparcia. Listę paradoksów można wydłużać: z jednej strony w latach 1952-1954 wzrosła (nieznacznie) liczba kościołów¹⁵, z drugiej zaś zmniejszała się ilość instytucji szkolnych i dobroczynnych; rosła liczba świątyń restaurowanych na koszt państwa, ale zmniejszały się dobra i dochody ziemskie Kościoła (likwidacja „dóbr martwej ręki” itp.).

Biorąc powyższe pod uwagę, czas już przejść, bez zbędnych komentarzy, do zebranych informacji odnośnie sytuacji hierarchii kościelnej i kleru oraz różnych aspektów socjologicznego obrazu życia religijnego w Polsce.

1. Hierarchia

Kardynał Wyszyński, prymas Polski, został zawieszony w swych funkcjach i aresztowany we wrześniu 1953 r. Jego miejsce internowania nadal nie jest znane¹⁶. Po aresztowaniu prymasa biskupi wybrali 28 IX 1953 r. na „Przewodniczącego”

15. Według współczesnych danych statystycznych ilość wybudowanych kościołów w tych latach kształtowała się następująco: w 1951 r. — 14, w 1952 r. — 16, w 1953 r. — 12, w 1954 r. — 7. Wyraźniejszy wzrost odnotowano dopiero w 1958 r. — 32. Zob.: Kościół katolicki w Polsce 1945-1972, oprac. W. Zdanowicz, Poznań-Warszawa 1978, s. 73.

16. Zob. przypis 13.

Episkopatu łódzkiego biskupa Klepacza i ustanowili biskupa [Zygmunta] Choromańskiego „sekretarzem” Episkopatu.

A oto jak wygląda sytuacja Hierarchii w poszczególnych diecezjach w świetle „Rocznika Papieskiego” i zgromadzonych przez nas informacji:

A) Archidiecezja Krakowska

a) Kraków: arcybiskup [Eugeniusz] Baziak i jego generalny wikariusz biskup [Stanisław] Rospond zostali aresztowani w 1953 r. Zwolnieni po pewnym czasie nie mogli już objąć poprzednich stanowisk. Obecnie archidiecezja krakowska jest administrowana przez wikariusza kapitulnego [Franciszka] Jopa wspomaganego przez dwóch wikariuszy generalnych „postępowych” — [Stanisława] Hueta i [Bonifacego] Woźnego¹⁷.

b) Częstochowa: biskup ordynariusz — [Zdzisław] Gołiński, koadiutor — [Stanisław] Czajka;

c) Staliność (Katowice): biskup ordynariusz [Stanisław] Adamski został aresztowany w listopadzie 1952 r. wraz z koadiutorem Herbertem Bednorzem i wikariuszem generalnym [Juliuszem] Biełkiem. Diecezja zarządzana jest od tego czasu przez wikariusza kapitulnego „postępowego” — ks. [Jana] Piskorza, któremu towarzyszy inny „postępowy” wikariusz — ks. Kwolik.

d) Kielce: biskup ordynariusz Kaczmarek został zwolniony z więzienia na początku 1955 r., ale nie mógł powrócić do swych funkcji. Diecezja jest zarządzana przez jego koadiutora — biskupa [Franciszka] Sonika.

e) Tarnów: biskup ordynariusz — [Jan Piotr] Stepa, koadiutor — [Karol] Pękała.

B. Archidiecezja Poznańska

a) Poznań: arcybiskup — [Walenty] Dymek, koadiutor — [Franciszek] Jedwabski;

b) Chełmno: biskup ordynariusz — [Kazimierz] Kowski, koadiutor — [Bernard] Czapliński;

c) Włocławek: biskup ordynariusz — [Antoni] Pawłowski, koadiutor — [Franciszek] Korszyński.

17. Obaj nie figurują w pracy P. Niteckiego, *Biskupi Kościoła w Polsce. Słownik biograficzny*, W-wa 1992; o objęciu przez nich archidiecezji zob.: A. Micewski, s. 51

C. Archidiecezja Gnieźnieńsko-Warszawska

a) Gniezno: kardynał Wyszyński był biskupem ordynariuszem gnieźnieńskim. Jego dwaj koadiutorzy: [Antoni] Baraniak i [Lucjan] Bernacki zostali aresztowani równocześnie z kardynałem. Biskup Bernacki, który został zwolniony w krótkim czasie, przejął administrację archidiecezji. Natomiast biskup Baraniak w lutym 1955 r. nadal pozostawał w więzieniu. Według informacji z dobrego źródła, przejętych następnie przez prasę zachodnią, miał on jakoby umrzeć w marcu br. w wyniku złych warunków w jakich był przetrzymywany¹⁸.

b) Warszawa: kardynał Wyszyński był biskupem ordynariuszem w Warszawie równocześnie sprawując tę samą funkcję w Gnieźnie. Dwóch spośród jego trzech koadiutorów: [Antoni] Szlagowski i [Wacław] Majewski objęło administrację diecezją; trzeci z nich biskup Choromański został, jak wspomniano wyżej, sekretarzem Episkopatu.

c) Łódź: biskup ordynariusz — [Michał] Klepacz, koadiutor — [Kazimierz] Tomczak;

d) Lublin: biskup ordynariusz — [Piotr] Kałwa, koadiutor — [Tomasz] Wilczyński;

e) Płock: biskup ordynariusz — [Tadeusz] Zakrzewski, koadiutor — [Piotr] Dudziec;

f) Sandomierz: biskup ordynariusz — [Jan] Kanty Lorek;

g) Siedlce: biskup ordynariusz — [Ignacy] Świrski, koadiutor — [Marian] Jankowski.

D. Archidiecezja Lwowska

Z tej archidiecezji pozostała przy Polsce tylko część diecezji przemyskiej. Na jej czele stoi biskup [Franciszek] Barda, a jego koadiutorem jest biskup [Wojciech] Tomaka.

E. Archidiecezja Wileńska

Jej siedziba została przeniesiona do Białegostoku. Spośród dwóch sufraganii — łomżyńska pozostała przy Polsce, a z drugiej — pińskiej, Polska posiada kilka skrawków, którymi zarządza biskup Krzywicki.

a) Białystok: biskup ordynariusz — [Romuald] Jałbrzy-

18. Informacja błędna, zmarł 13 VIII 1977 r.

kowski, koadiutor — [Władysław] Suszyński. Koadiutor części diecezji znajdującej się po stronie ZSSR został deportowany przez władze sowieckie;

b) Łomża: biskup ordynariusz — [Czesław] Falkowski, koadiutor — [Aleksander] Mościcki.

F. Diecezja Gdańska

Diecezja ta podlega bezpośrednio Rzymowi i jest administrowana przez wikariusza kapitulnego — biskupa Cymańskiego¹⁹.

G. Archidiecezja Wrocławska

Kościół Polski uważa za sufraganię tego arcybiskupstwa nie tylko diecezję warmińską (Olsztyn), ale także Gorzów i Opole ustanowione na Ziemiach Zachodnich od 1945 r., ale nie uznane definitywnie przez Watykan. Prałatura „nullius” w Pile (Schneidemühl) została włączona do diecezji gorzowskiej, ale Watykan przyznał ten tytuł, całkowicie honorowy, prałatowi niemieckiemu, biskupowi Ludwigowi Polzinowi w 1953 r.

Każda z obecnych diecezji jest administrowana przez wikariusza kapitulnego, który sprawuje większość funkcji biskupich. Arcybiskupstwo wrocławskie jest kierowane przez księdza-patriotę Kazimierza Lagosza. To właśnie z nim, w czasie podróży do Polski, obejmujących zazwyczaj Wrocław, spotykają się goście z Zachodu, komuniści i inni, zapraszani do Polski Ludowej. Wielokrotnie już zdarzyło się, że brali go za biskupa lub nawet arcybiskupa i, nie uprzedzeni na czas, traktowali jego prorządowe wypowiedzi jako opinie Episkopatu.

Administracją diecezjami znajdującymi się na Ziemiach Zachodnich zajmują się obecnie następujące osoby:

a) Wrocław: wikariusz kapitulny — ks. Lagosz;

b) Olsztyn: wikariusz kapitulny — biskup Biskupski²⁰ (jego poprzednik biskup Zink został aresztowany w 1953 r. i zwolniony na przełomie stycznia i lutego 1955 r.)

c) Gorzów: wikariusz kapitulny — biskup [Adolf] Szelązek;

d) Opole: wikariusz kapitulny — biskup Kobierzycki²¹.

19. Nie wymieniony w pracy P. Niteckiego.

20. Nie wymieniony w pracy P. Niteckiego, nie figuruje tam też taka diecezja.

21. Nie wymieniony w pracy P. Niteckiego.

2. Księży

Żadna statystyka nie podaje od wielu lat liczby księży w Polsce. Według nieoficjalnych danych ich liczba wynosiła w 1954 r. 8.800, przy czym nie wiadomo czy obejmuje także księży aresztowanych i zaginionych.

Liczba seminarzystów została oszacowana w 1954 r. na 3.400. Oficjalnie podaje się, że w Polsce są 5.684 parafie.

Ilość kościołów określa się na ok. 8.300. Według nieoficjalnych danych ich liczba wzrosła w ciągu dwóch ostatnich lat o 72.

Z porównania danych dotyczących ilości kościołów, księży i parafii można wyciągnąć pozytywne wnioski o działalności duszpasterskiej kleru.

3. Szkolnictwo

a) Katechizacja w szkołach zagwarantowana w zasadzie przez rząd została zniesiona w 1954 r. we wszystkich placówkach szkolnych. Na początku 1955 r. została jednak przywrócona niemal w całości.

b) Spada z roku na rok liczba szkół katolickich. W latach 1952-1954 zmniejszyła się z 111 do 75, zaś liczba uczniów spadła z 16 tys. do ok. 10 tys.

Szkoły męskie: 1952 — 45 (6.400 uczniów), 1953 — 31 (4.100 uczniów);

Szkoły żeńskie: 1952 — 56 (9.900 uczennic), 1953 — 44 (6.000 uczennic).

c) 3 lipca 1953 r. rząd zniósł wszystkie „małe seminaria” duchowne. Mimo zabiegów Episkopatu decyzja ta nie została dotychczas cofnięta.

Wisząca od dwóch lat groźba nad dużymi seminariami duchownymi została zażegnana, jak się wydaje, na początku 1955 r. Nadal jednak istnieje obawa przed narzuceniem zmian organizacyjnych (w kierunku bardziej „demokratycznym”), a zwłaszcza przed wprowadzeniem zmian w programie nauczania (który dawałby wiele miejsca „naukom społecznym” i marksizmowi). Księża-patrioci wielokrotnie opowiadali się za tego rodzaju zmianami.

d) Wydziały Teologii, które w Warszawie i w Krakowie funkcjonowały w ramach państwowych uniwersytetów, zostały zniesione i przekształcone w listopadzie 1954 r. w Akademię Teologii Katolickiej z siedzibą na Bielanach koło Warszawy. Katolicki Uniwersytet Lubelski zdołał przetrwać i zdaje się

dobrze prosperować. Jego profesura od czasu do czasu, nie ujawniając rzeczywistej postawy, podpisuje apele czy manifesty publikowane w prasie „postępowej”.

4. Instytucje charytatywne

Wielka organizacja charytatywna, jaką był „Caritas” została przejęta w 1950 r. przez rząd. Po przeprowadzeniu procesu przeciwko jego kierownictwu, „Caritas” został oddany pod zarząd księży-patriotów. Jego prezesem jest obecnie ks. Lemparty, który ze względu na swoje opinie i postępowanie został obłożony przez władze kościelne interdiktem.

Nawet jeśli się uwzględni instytucje charytatywne kontrolowane przez państwo i przez księży-patriotów, to ich łączna liczba wykazuje tendencję spadkową. W 1952 r. były 792 instytucje tego rodzaju, zajmujące się opieką nad 26.000 ludźmi; w 1954 r. pozostało 505 placówek z 14.000 podopiecznych.

5. Prasa i wydawnictwa

Znana jest powszechnie mocna pozycja prasy katolickiej w przedwojennej Polsce. Takie pisma jak *Rycerz Niepokalanej* sięgały milionowego nakładu. Po wyzwoleniu pojawiło się wiele publikacji katolickich, ale wśród nich nie było żadnego dziennika. W 1947 r. zaczął wychodzić dziennik katolików postępowych — *Słowo Powszechne*.

Po zamknięciu *Tygodnika Warszawskiego* w 1953 r. na placu boju pozostał tylko jeden tygodnik niezależny, któremu patronowała Kuria Arcybiskupia w Krakowie — *Tygodnik Powszechny*. Zawieszony 8 III 1953 r. zaczął się ukazywać ponownie kilka miesięcy później, ale już pod redakcją księży-patriotów²².

Dwa duże organy „postępowców” to obecnie *Słowo Powszechne* oraz tygodnik *Dziś i Jutro*, wydawane w Warszawie. Pisma te wyróżniły się w ostatnich latach gwałtownymi atakami przeciwko partiom chrześcijańsko-demokratycznym w Europie Zachodniej. Ton kampanii prasowych osłabł znacznie w 1954 r., w miarę jak dzienniki komunistyczne stawały się mniej agresywne wobec Zachodu.

W tym co dotyczy wydawnictw i publikacji książkowych

22. Ściślej: PAX-u.

zwraca uwagę wielka ilość książek o tematyce religijnej (powieści, studia teologiczne), wydawanych przez oficynę katolików postępowych — „Pax” i całkowity niemal brak publikacji związanych z ewangelizacją. Jest rzeczą godną uwagi, że nie został wznowiony żaden mszał, a książeczki do nabożeństwa są nie do zdobycia.

Ruch katolików postępowych

Początkowo bardzo słaby i pozbawiony większego znaczenia, ruch ten zaczął poszerzać swe wpływy od 1950 r. zyskując wyraźne poparcie władz politycznych. Jego celem stała się walka z tradycyjnymi tendencjami polskiego duchowieństwa wyrażającymi się w wierności Rzymowi i we wrogości wobec marksizmu. Przy wydatnej pomocy rządu katolicy zdobywali przewagę w prasie katolickiej, wydawnictwach i instytucjach dobroczynnych. Mimo to Episkopat pozostawał zarówno dla ruchu, jak i dla władz bardzo groźnym przeciwnikiem.

Podstawowa teza głoszona przez „postępowców” skupiających się początkowo wokół *Dziś i Jutro* opiera się na założeniu, że nie istnieje sprzeczność między doktrynalnym podporządkowaniem się Stolicy Apostolskiej, rzekomo przez nich respektowanym, a współpracą z komunistami we wszystkich dziedzinach życia społecznego i politycznego.

Katolicy postępowi znaleźli się początkowo w dwóch organizacjach: w Komisji Księży przy ZBoWiD-zie i w Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Obrońców Pokoju. Pierwsza z nich powołana do życia we wrześniu 1949 r. grupowała głównie kapelanów wojskowych wywodzących się z armii polskiej utworzonej na terenie ZSSR (tzw. armii Berlinga) oraz księży, którzy przebywali w niemieckich obozach koncentracyjnych. Duchowni ci, okreśłani, jak wspomniano wyżej, mianem „księży-patriotów”, wyróżniali się gwałtownością ataków przeciw Episkopatowi i ślepym posłuszeństwem wobec reżimu komunistycznego. Druga Komisja, powstała w 1950 r., grupuje przedstawicieli inteligencji świeckiej i duchownej, a zwłaszcza dziennikarzy i profesurę. Ta właśnie grupa, o wiele liczniejsza niż poprzednia, dzięki posiadanej Spółce Wydawniczej „Pax” zdołała narzucić pełną kontrolę polskiej prasie katolickiej.

W październiku 1953 r. utworzono z kolei „komisję działaczy katolickich” przy Polskim Komitecie Frontu Naro-

dowego grupującą w zasadzie wszystkich członków dwóch poprzednich organizacji. Na jej czele stanął ks. Czuj, który przystąpił natychmiast do organizowania licznych sekcji: prasowych, wydawniczych, szkolnych itp. na terenie całego kraju. Kongres tych ugrupowań z 22 II 1955 r. doprowadził do pełnego podporządkowania się linii politycznej partii²³.

Według danych zawartych w artykule ks. Hueta opublikowanym w grudniu 1954 r. w *Słowie Powszechnym*, liczba członków komisji centralnej i jej oddziałów regionalnych sięga 2 tys.



Mimo iż trudno wypowiadać się miarodajnie na temat przyszłości Kościoła katolickiego w Polsce z uwagi na tajemnicę jaka otacza zamysły rządu i na podporządkowanie tegoż władzy sowieckiej, jedno wydaje się pewne — obecny rozejm nie będzie trwał długo. Doktrynalne uwarunkowania i praktyczne względy nie mogą skłaniać marksistowskiego państwa do tolerowania w nieskończoność działającej równolegle z jego władzami silnej wspólnoty duchowej, zwłaszcza że nie chce się ona wyrzec swych ponadnarodowych powiązań.

Z tego względu uważamy, iż przedkładany raport może stać się punktem odniesienia przy ocenie zmian zachodzących w przyszłości w życiu religijnym Polski.

(*Archives du Ministère des Affaires Etrangères, Série Europe 1944-1960, Pologne t. 139, k. 226-251*)

23. A. Albert (W. Roszkowski), s. 692, pisze o okolicznościach tego zjednoczenia następująco: „Pod koniec września 1953 r. Franciszek Mazur [członek Biura Politycznego PZPR — przyp. JŁ, GM] polecił Piaseckiemu połączenie PAX-owskiej Komisji Intellektualistów i Komisji „księży-patriotów” przy ZBoWiD w jedną organizację pod nazwą Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich (KDiSDK) przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego. Na zjeździe zjednoczeniowym obecnych było 4 tys. księży. Było to posunięcie o tyle dla PAX-u niewygodne, że komisja zbawidowska „księży-patriotów” nadal istniała. Piasecki próbował wielokrotnie doprowadzić do jej likwidacji, jednak cel osiągnął dopiero w czerwcu 1955 r. Jedyną organizacją polityczną księży pozostała odtąd KDiSDK, będąca pod silnym wpływem PAX-u jako siły z dwójga złego lepszej niż ZBoWiD lub UB”.

Tadeusz WYRWA

OŚWIATA I PROPAGANDA RZĄDU POLSKIEGO NA EMIGRACJI PODCZAS 2-EJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Po ukonstytuowaniu się, jesienią 1939 roku, rządu polskiego w Paryżu i przeniesieniu jego siedziby do Angers, działalność rządu skupiała się głównie — i w większości wypadków jedynie — wokół tworzenia jednostek wojska i jak to określił gen. Sikorski „odbudowa wojska polskiego jest najważniejszym i zasadniczym zadaniem rządu... Armia polska na obczyźnie jest ostatnią nadzieją broczącego we krwi i zboląłego Kraju”¹. W tym duchu Stanisław Mikołajczyk, wówczas wiceprzewodniczący Rady Narodowej zapewniał: „Najbardziej bliskie jest nam wojsko, bliskie sferze naszych zainteresowań”².

Wraz z odbudową armii zaczęto dla niej organizować Wydział Propagandy i Oświaty (WPO), którego szefem został ppłk Janusz Sopoćko. Wydział ten podlegał Ministerstwu Spraw Wojskowych (MSW). Tekę ministerialną tego resortu zachował gen. Sikorski dla siebie, a pierwszym zastępcą był gen. Marian Kukiel, drugim płk (później generał) Izydor Modelski. Przewidziane były etatowe stanowiska oficerów oświatowych w tworzących się oddziałach. W myśl rozkazu z 22 lutego 1940 roku oficerowie ci winni być mianowani przez MSW, które nimi dysponowało i „bez którego aprobaty w

1. *Głos Polski* z 7 marca 1940, Paryż.

2. *Głos Polski* z 10 marca 1940.

odniesieniu do nich nie są dopuszczalne żadne przesunięcia personalne. W sprawach fachowych oficerowie oświatowi podlegli są Wydz. Propagandy i Oświaty MSW, służbowo zaś swym dowódcom³”. Podporządkowanie referentów oświatowych w „sprawach fachowych” ośrodkowi centralnemu, jakim było MSW, w dość specyficznym wtedy układzie rządu Sikorskiego, miało swoją wymowę pod względem orientacji politycznej.

Prasa żołnierska, w przeszło półrocznym okresie odbudowy wojska polskiego we Francji, zbyt żywo nie rozwinęła się. Jej reprezentacyjnym organem, wydawanym przez WPO, była *Polska Walcząca*, której pierwszy numer wyszedł dnia 29 listopada 1939. Pierwszym redaktorem naczelnym był płk Januarey Grzędziński. W lutym 1940 nastąpiło połączenie *Polski Walczącej*, redagowanej w obozie wojskowym Coëtquidan, z pismem wydawanym w Lille pt. *Żołnierz Polski na Obczyźnie*. Pismo to zachowało nazwę w podtytule tygodnika *Polska Walcząca*, której redakcję objął Tymon Terlecki (teatrolog), przeniesioną wówczas z Coëtquidan do Paryża „nie cieszącego się wśród nas (dziennikarzy ekipy — T.W.) wielką popularnością⁴”. Na łamach *Polski Walczącej* publikowano głównie materiały poświęcone wojsku, życiu obozowemu, unikając artykułów polemicznych, co też nie sprawiało kłopotu rządowi.

Gorzej natomiast było jeśli chodzi o stosunki rządu polskiego z prasą niewojskową. Na konferencji prasowej, jaka miała miejsce dnia 3 marca 1940 w Angers, gen. Sikorski poddał ostrej krytyce — za „szkodliwą, zgubną i niedopuszczalną polemikę i partyjność” — *Narodowca*, *Wiarusa*, *Czarno na Białym*, *Słowo*, *Robotnika* we Francji a nawet, dość ściśle związany z rządem *Głos Polski*⁵.

Dla nawiązania bliższej łączności z prasą polską i skłonięcia jej do „współpracy nad realizowaniem głównych celów MSW” został wydelegowany por. (później kpt.) dr Tadeusz Kiełpiński, kierownik referatu wydawniczo-prasowego WPO. Z powierzonej mu misji por. Kiełpiński zdał sprawozdanie swojemu szefowi ppłk. Januszowi Sopoćko w raporcie z 22 kwietnia 1940. Autor raportu pisze tam m.in. że w rozmowach z wydawcą *Głosu Polskiego* Tadeuszem Czarneckim

3. *Dziennik Rozkazów* nr 3 z 22 lutego 1940., pkt. 4.

4. Zob. Witold Leitgeber, *W kwaterze prasowej. Dziennik z lat wojny 1939-1945. Od Coëtquidan do 'Rubensa'*, Veritas, Londyn 1972, str. 25.

5. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 68, str. 223-225.

zaznaczył iż „należy stanowczo i zasadniczo oddzielić społeczeństwo polskie od rządu poprzedniego i poprzedniego Naczelnego Dowództwa. Pan Czarnecki był — takie miałem wrażenie — zwolennikiem obrony, przynajmniej formalnej, poprzedniego rządu, gdyż sądził, że w taki sposób oddamy pewne usługi ogólnej naszej sprawie na terenie francuskim. Przekonywałem go, że te zasługi nasze będą o wiele większe, jeżeli będziemy się starali wykazać, iż ani żołnierze, ani obywatel polski nie zasłużył na tak złych dowódców i tak złych ministrów, jacy byli przed rokiem 1939”.

Po rozmowie z redaktorem *Słowa* Catem-Mackiewiczem, Kiełpiński sądził, że praca z tym pismem „ułoży się dobrze. Mackiewicza można będzie mieć za sobą a nie przeciwko sobie, jednakże pod warunkiem, że nie będzie się drażnić jego ambicji, które są ogromne i które w dzisiejszym stanie rzeczy są nieszkodliwe”. Najciężej pójdzie, sądzi Kiełpiński, z *Czarno na Białem* (pisząc uparcie „Białym” zamiast „Białem”), pismem redagowanym przez płk. Januarego Grzędzińskiego, ale sprawozdawca pociesza się, że „da sobie radę”.

W dalszym ciągu raportu Kiełpiński przypomina, że „inspiracja prasy jest rzeczą i bardzo trudną i bardzo delikatną... musi być dokładnie przemyślana i celowa, gdyż inaczej wyleje się wodę z dzieckiem”. Następnie proponuje program działania: „Szczegółowość odrębności poszczególnych dzienników i tygodników politycznych trzeba starać się grać na wszystkich klawiszach tych kontaktów, jakie te pisma posiadają we Francji i poza Francją. Przez *Słowo* trzeba trafić do prawników i monarchistów francuskich i angielskich. Przez *Czarno na Białem* do tych sfer, ogromnie wpływowych, z jakimi *Czarno na Białem* ma bezpośrednie stosunki. To samo dotyczy prasy socjalistycznej i żydowskiej”. Na podjęcie pracy w tym kierunku Kiełpiński uzyskał zgodę władz zwierzchnich, jak to wynika z adnotacji pod tym raportem⁶.

W tym wszystkim nasuwa się jedno zwłaszcza pytanie: z czym, z jakim konkretnym programem należało trafić do sfer francuskich i angielskich? Udowodnioną jest przecież dzisiaj rzeczą, że sfery te wiedziały o waśniach w środowisku polskim, o powołaniu komisji do „ustalenia przyczyn klęski kampanii wrześniowej” i wnioskach o „postawienie w stan

6. Raport ten, jak i inne, na których opieram moje opracowanie, znajduje się w Archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS) w Londynie. Sygnatura: A.XII.7/1.

oskarżenia winowajców tej klęski” ku zgorszeniu sfer rządowych Francji i Wielkiej Brytanii⁷.

Nawiązanie przez Kiepińskiego ściślejszego kontaktu z prasą celem uzgodnienia z nią współpracy nie wyeliminowało problemu cenzury polskiej, która — jak pisano w kwietniu 1940 roku w *Robotniku we Francji* — „istnieje od kilku tygodni, jeszcze ma charakter niezupełnie ustalony, ale wykazuje wyraźnie tendencje coraz silniejszego ograniczenia swobody słowa polskiego, wtedy właśnie, kiedy prasa francuska korzysta z coraz większej wolności⁸”.

Kilka tygodni później, na łamach tego samego pisma domagano się zniesienia cenzury rodzimej, „wprowadzonej dla prasy polskiej obok cenzury francuskiej”. Dopóki jednak, czytamy dalej, „cenzura ta istnieje należałoby usprawnić jej technikę. Prasa chce wiedzieć w jakich granicach może się poruszać. Zaczęło się od cenzury wojskowej, potem rozszerzono ją na sprawy polityczne, i nożyce cenzury zaczęły hasać po szpaltach pism, jak polne koniki, chaotycznie, bez jasnego celu i powodu. Co wczoraj było 'prawomyślne', naza jutrz stawało się ofiarą ołówka cenzora⁹”. W następnym miesiącu Francja kapituluje, rząd polski ewakuuje się, wraz z całym balastem nie rozwiązanych problemów, cenzury i innych, do Wielkiej Brytanii, gdzie prawie wszystko zaczyna od nowa, ale dawnymi przeważnie metodami.



Po wstrząsie, jaki wywołała klęska Francji i zaprzepaśczenie jednostek wojska polskiego, z których przedostała się do Wielkiej Brytanii zaledwie niecała jedna czwarta żołnierzy i co też było głównym powodem tzw. „przesilenia lipcowego” naszego rządu w Londynie, podjęto w Anglii organizowanie kierownictwa centralnego aparatu oświaty i propagandy, oraz obsad stanowisk referentów i oficerów kulturalno-oświatowych w formacjach wojska polskiego. W sprawie tej gen. Marian Kukiel, wiceminister spraw wojskowych, pełniący jednocześnie funkcję dowódcy Okręgu wojskowego w Szkocji, w piśmie z dnia 18 września 1940 roku do płk.

7. Zob. np. *Zeszyty Historyczne* nr 92, str. 111 i nast., oraz numery 93, 94, 95.

8. *Robotnik we Francji* z 5 kwietnia 1940 roku, Paryż.

9. *Robotnik we Francji* z 12 maja 1940.

Tadeusza Klimeckiego, szefa Sztabu N.W.¹⁰, nalegał żeby nominacje ich należały wyłącznie do Naczelnego Wodza, czyli wówczas gen. Sikorskiego.

Według gen. Kukieła, powierzanie pełnienia tych funkcji kandydatom wybranym przez dowódców wielkich jednostek, utrudniałoby stworzenie odpowiednich ram dla pracy kulturalno-oświatowej w wojsku i ustalenie zadań i odpowiedzialności, oraz zależności służbowej i fachowej. Gen. Kukielowi chodziło bowiem o to, że praca kulturalno-oświatowa wymagała „nie tylko fachowych umiejętności poszczególnych oficerów, lecz ustalenia programu działania” podkreślając, że gdyby referenci kulturalno-oświatowi nie byli mianowani przez wodza naczelnego „stanowiłoby to cofnięcie się z osiągnięć, ustalonych już na terenie Francji i utrudniałoby bardzo zależność fachową, tak decydujące mającą w tym wypadku znaczenie”. Istotne w tym wszystkim było to, co należało rozumieć przez „fachowość” i jak ją w praktyce stosowano, o czym będzie później mowa.

W następnym miesiącu, mjr Adam Morbitzer, szef wojskowego Biura Propagandy i Oświaty w Wielkiej Brytanii, raportował dnia 8 października 1940 w notatce służbowej dla gen. Izidora Modelskiego, drugiego wiceministra Spraw Wojskowych i generała do zleceń Naczelnego Wodza, że „podległość oficerów oświatowych jest bardzo różna”. Z prasy do oddziałów wojska zaczęły dochodzić: *Dziennik Polski*, *Polska Walcząca* i *Wiadomości Polskie* (dwa ostatnie czasopisma, wydawane we Francji, zostały przez te same redakcje wznowione, bez większej zwłoki w Anglii). Jednocześnie liczna była prasa obozowa licząca jedenaście pism „których poziom i zakres — jak podkreśla mjr Morbitzer — są bardzo różne. Nie jest ona zupełnie opanowana z góry, nie ma żadnych wytycznych ani wskazówek ogólnych, zaspokaja ogólny głód wiadomości, jest i może być bardzo skutecznym środkiem w ręku dowódców względnie redaktorów, którzy przy jej pomocy przeprowadzą co chcą”. Autor sugeruje ograniczenie prasy obozowej i stworzenie centralnego organu o charakterze informacyjnym. Odnośnie audycji BBC w języku polskim, to są słuchane jedynie dla komunikatów, poza tym „są oceniane bardzo krytycznie i odczuwa się ogromny brak rozgłośni czy programu własnego¹¹”.

10. Zob. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/2.

11. W tym samym czasie, gen. de Gaulle, który znajdował się wtedy

Notatka służbowa kończy się uwagą, że w oddziałach „stosunek do Wodza Naczelnego ulega oziębieniu i pewnemu zubożeniu”, co można byłoby zmienić m.in. przez „przyjazdy N.W. do obozów...¹²”. Być może w związku z tą uwagą kpt. Kiełpiński, w sprawozdaniu z dnia 25 listopada 1940, jakie złożył mjr. A. Morbitzerowi pisał, że jeden z plutonów, stacjonującej w Szkocji 10 Brygady, wstał o godzinie czwartej rano, aby znaleźć się przy drodze, którą miał przejeżdżać gen. Sikorski. Nie mogąc w pośpiechu otrzymać środków transportowych, pluton biegł przez dwa kilometry i z trudem zdążył na czas i stanął na baczność przy drodze, ale „auto wiozące Sikorskiego i Prezydenta przeszło, nie zatrzymując się zupełnie. A jedna minuta czasu — byłaby może wspomnieniem dla tych ludzi na całe życie¹³”.

Problem prasy był dla rządu gen. Sikorskiego jednym z kluczowych problemów nie tylko z punktu widzenia oświaty, ale i orientacji politycznej. Wyżej było już wspomniane w raporcie mjr. Morbitzera, że w Wielkiej Brytanii licznie zaczęła powstawać prasa obozowa. Każde skupisko żołnierskie dążyło do stworzenia własnej prasy, stąd zwłaszcza w pierwszych miesiącach pobytu na wyspie, prasa ta — jak potwierdził redaktor *Polski Walczącej*, Tymon Terlecki — „rozmnożyła się niezmiernie”, wyjaśniając nadto, że „pisma obozowe tworzone często w bardzo trudnych warunkach, zapalę, ofiarnością pojedynczych ludzi, mają ten przywilej, że nie muszą szukać czytelnika, są na swoim podwórku, u siebie w domu. Pismo centralne ma zasięg nieporównanie szerszy, stąd i drogę i bardzo daleką i niełatwą. Bez pomocy państwa trudno mu dojść i nie pobić¹⁴”.

Pisma obozowe w jednostkach wojska polskiego, redagowane w dużo trudniejszych warunkach niż pismo centralne, jakim była *Polska Walcząca*, miały jednak, szczególnie w

w Londynie od kilku zaledwie tygodni i był w sytuacji bez porównania gorszej od rządu polskiego, osiągnął dla „Wolnej Francji” regularne, cieszące się powodzeniem audycje w BBC. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 104, str. 118-121.

12. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/2.

13. *Supra*.

14. Tymon Terlecki, „Prasa wojskowa” w: *Poradnik świetlic Y.M.C.A.* nr 15, listopad 1941, Perth (Szkocja).

początkowym okresie, większą swobodę w doborze treści. Ale wkrótce czynniki rządowe zaczęły tam interweniować, niejednokrotnie w sposób gwałtowny, czego przykładem była sprawa O. Innocentego Marii Bocheńskiego, dominikanina, po wojnie światowej sławy filozofa, profesora i rektora Uniwersytetu we Fryburgu.

Otóż gen. Kukiel, pismem z dnia 2 października 1940 roku meldował gen. Sikorskiemu, że „w wydawanym w Peebles (Szkocja), w zgrupowaniu oficerskim podległym gen. Stefanowi Dembińskiemu, *Dzienniku Obozowym* pojawiły się w numerach z 24 i 27 września dwa artykuły z powodu których musiałem rozkazem z 1 października zawiesić wydawnictwo i wdrożyć dochodzenie, które prowadzę osobiście i przez Oddział II... Odpowiedzialność koncentruje się na O. Bocheńskim¹⁵”.

Chodziło o dwa artykuły: pierwszy napisany przez ppor. Nałęcza-Korzeniowskiego w sprawie Rady Narodowej, a drugi był tłumaczeniem z prasy angielskiej na temat wyjazdu Ignacego Paderewskiego ze Szwajcarii do Stanów Zjednoczonych, artykuł który w opinii Kukieła „zawierał oświecenie wyjazdu prez. Paderewskiego zupełnie w duchu piątej kolumny: wyjeżdża na zawsze, bo stracił wiarę w odbudowanie Polski. Nacechowany był przy tym tendencją do poniżenia roli dziejowej Paderewskiego”. W dalszym ciągu Kukiel pisze, że ostateczne wnioski przedstawi dodatkowo, ale „już teraz jednak stwierdzam, że działalność Ks. Bocheńskiego, pod płaszczykiem akcji katolickiej godząca w siłę moralną wojska i powagę Rządu musi być w interesie służby przerwana”. Następnie informuje, że prosi ks. Biskupa polowego (Józefa Gawlinę) o odwołanie O. Bocheńskiego „ze zgrupowania w Peebles i w ogóle z okręgu wojskowego w Szkocji¹⁶”.

Artykułu Nałęcza-Korzeniowskiego nie znam, nosił tytuł „Nieporozumienie” i według Kukieła „ironizował na temat wizyty Rady Narodowej w obozie Broughton i zarządzeń dowódcy obozu”. W archiwach znajduje się natomiast, w tłumaczeniu na język polski, odpis na maszynie artykułu o Paderewskim, o którym wyżej mowa i który przytaczam tutaj *in extenso*:

15. IPMS. A.XII. 7/2.

16. *Supra*.

Dziennik Obozowy, Peebles, piątek 27 września 1940 roku.

„Odjazd Paderewskiego”

„Doniesienie z Zurychu, że Paderewski opuścił Lizbonę, udał się do Stanów Zjednoczonych i nie ma zamiaru powrócić do Europy, jest odbiciem tragicznego rozczarowania Wielkiego Polaka. Tak jak wszyscy Polacy wzrastał On z gorącą nadzieją, że Jego kraj rodzinny będzie wolny. To co spadło na Niego, człowieka nie przygotowanego ani do roli demagoga ani do praktycznego udziału w polityce, odegranie naczelnej roli w urzeczywistnieniu snu o niepodległości musiało być ciężarem wprost trudnym do wyobrażenia. Teraz w osiemdziesiątym roku życia zobaczył ukochaną ideę zrujnowaną. Lecz dusza Polski nie umarła, ci ludzie walczący, którzy są zorganizowani w innych krajach, są pełni zapału w szukaniu okazji do walki ze wspólnym wrogiem. Ale łatwo można zrozumieć, że człowiek tak wyczerpany i rozczarowany uważa sytuację za beznadziejną. Był to niesłychany zbieg wypadków, który wysunął najsławniejszego pianistę świata w roli Premiera (w 1919 roku) nowo ukonstytuowanego Rządu Polskiego, lecz wrażliwy muzyk doszedł do głosu. Jego premierostwo nie było długie. Nie mógł stosować się do bezwzględności i ostrości praktycznej polityki, lecz w początkach nowo utworzonej Polski był bezsprzecznie twórczą siłą¹⁷⁾”.

W archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu znajduje się raport Gilberta Arvengas, konsula generalnego Francji w Lozannie, wysłany dnia 8 października 1940 roku do Paryża. W raporcie tym konsul pisze, że „wyjazd p. Paderewskiego z Morges (kilka kilometrów od Lozanny) do Ameryki spowodował tutaj krążenie licznych pogłosek mniej lub bardziej sprzecznych... Zapewnia się mnie, że to przede wszystkim pod naciskiem przyjaciół polskich z Ameryki p. Paderewski zdecydował się na opuszczenie Szwajcarii i udanie się do Ameryki. Polacy ci uważają, iż ich prezydent nie miał już w Europie, od kiedy Niemcy narzucili w niej swoją hegemonię, odpowiedniej swobody ruchów. Nadto, jeżeli Niemcy, jak krążą od pewnego czasu pogłoski, rozciągną kontrolę nad granicą francusko-szwajcarską, p. Paderewski znalazłby się poniekąd w sytuacji więźnia, a w razie okupacji Szwajcarii mógłby stać się

17. *Supra.*

zakładnikiem w rękach Niemców... Polacy liczą, że obecność p. Paderewskiego w Ameryce wzmocni propagandę na rzecz demokracji i katolicyzmu. Kłopotliwa sytuacja finansowa p. Paderewskiego nie jest może również obca podjętej przez niego decyzji. Jego ładna posiadłość Rion-Bosson w Morges jest ciężko obciążona hipoteką. Cała grupa Polaków żyje pasożytniczo wokół niego. Z drugiej strony p. Paderewski, jak i niewątpliwie jego otoczenie, obawiałby się, że nie otrzyma już więcej pieniędzy z Ameryki. Prawdę mówiąc można się zastanowić czy p. Paderewski jest jeszcze w stanie rozwinąć w Ameryce propagandę dla sprawy polskiej. Wiosną widziałem go kilka razy w Rion-Bosson; w niektóre dni był tak osłabiony, że nie mógł wymówić ani jednego słowa. Ale — jak się mnie zapewnia — sama jego obecność w Ameryce bardzo ożywiłaby serca¹⁸”.

Z korespondencji I. Paderewskiego z prezydentem W. Raczkiewiczem wynika, że Paderewski nie wyjechał do USA z ramienia rządu polskiego w Londynie, jak to się czasem słyszy. W drodze do Stanów Paderewski wysłał, z Lizbony dnia 15 października 1940, depeszę do rządu polskiego, gdzie podawał: „Gdyby Pan Prezydent, pan Generał (W. Sikorski) czy Rząd mieli jakieś życzenia czy uwagi, zastosuję się do nich najchętniej”, co m.in. potwierdza, iż wcześniej Paderewski nie uzgadniał z rządem swojego wyjazdu; nie było to zresztą rzeczą łatwą w ówczesnej sytuacji z przestrzeganą przez Szwajcarię neutralnością¹⁹.

Warto tutaj jeszcze przypomnieć, że Paderewski został wybrany przewodniczącym Rady Narodowej na jej inauguracyjnym posiedzeniu, jakie odbyło się dnia 23 stycznia 1940 roku w siedzibie ambasady polskiej w Paryżu. Wybór ten był symboliczny, gdyż już wówczas Paderewski czuł się bardzo osłabiony. Dwa dni później powracał do Szwajcarii i grupa osób, która odprowadzała go na dworzec paryski, zdawała sobie sprawę, że jest to „rozstanie na zawsze z nami²⁰”. Paderewski zmarł w czerwcu 1941 w Nowym Jorku, a więc w kilka miesięcy po przybyciu do Stanów Zjednoczonych.

Powracając do meldunku gen. Kukiela odnośnie *Dzienni-*

18. *Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu. Série: *Guerre 1939-1945. Vichy-Europe, Pologne. Dossier* nr 910.

19. Zob. Korespondencja prezydenta W. Raczkiewicza z I. Paderewskim, IPMS. A.48.1/A1.

20. Zob. Marian Kukiel, *Generał Sikorski. Żołnierz i mąż stanu Polski Walczącej*, Instytut Polski, Londyn 1970, str. 107-108.

ka Obozowego i O. Bocheńskiego, to w dalszym ciągu tego meldunku Kukiel pisał, że gen. Dembiński (dowódca zgrupowania w Peebles), „człowiek najzaczepniejszy i najlepszych intencji, dał się w zupełności opanować O. Bocheńskiemu. Jemu powierzył redakcję *Dziennika Obozowego*. Odsunął od wszelkiego wpływu na dziennik mianowanego przeze mnie referentem kulturalnym zgrupowania mjra Quiriniego. Dembiński nie zareagował na to niesłychane wystąpienie (artykuł o Paderewskim — T.W.) w stylu piątej kolumny. Jest zupełnie opanowany przez Ks. Bocheńskiego... Gen. Dembiński winien jest zaniedbania dozoru²¹”.

Rozkazem Sztabu N.W. z dnia 8 października 1940, „komendant zgrupowania obozów oficerskich w Peebles, gen. bryg. Dembiński Stefan przeniesiony został do obozu oficerskiego w Rothesay na wyspie Bute²². W Rothesay, na popularnie zwanej „Wyspie Węzów” w Szkocji, utworzono tzw. obóz odosobnienia (na wzór podobnego obozu w Cerizay we Francji), gdzie internowano oficerów (zwłaszcza wyższych stopni) niewygodnych dla rządu Sikorskiego i co też stanowi jedną z najbardziej ciemnych plam historii tego rządu.

W archiwach znajduje się trzystronicowy maszynopis, zatytułowany „Notatka” z datą 16 listopada 1940 i z podpisem gen. Dembińskiego. Autor tej notatki (stanowiącej rodzaj listu skierowanego zapewne do wyższych władz), po otrzymaniu rozkazu o przeniesieniu go do obozu w Rothesay, czekał — jak pisze — „cztery tygodnie na wyjaśnienie mojej sprawy. Nikt mnie dotychczas o powodach tego zarządzenia nie powiadomił, natomiast dochodzą mnie plotki z Londynu, które uwłaczają mojej czci... Rozpuszcza się pogłoski, że występowałem przeciw Radzie Narodowej, co jest wstrętne i tchórzliwe oszczerstwo”. W zakończeniu gen. Dembiński prosi „o powiadomienie mnie czy są jakieś zarzuty przeciw mnie abym mógł na nie odpowiedzieć²³”. Dalszego biegu tej sprawy nie znam. W papierach, jakie znajdują się w kolekcji gen. Dembińskiego w Instytucie Sikorskiego²⁴ nie ma w ogóle nic o jego pobycie w Szkocji.

Ze sprawozdań referentów kulturalno-oświatowych, jakie

21. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/2.

22. IPMS. Sygnatura: A.XII.3/69.

23. *Supra*.

24. IPMS. Kolekcja nr 157.

otrzymywało Biuro Propagandy i Oświaty sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, rząd polski mógł się dowiedzieć o nastrojach panujących w jednostkach wojska w Szkocji²⁵. Dla ogólnej orientacji warto przytoczyć kilka wyjątków. W sprawozdaniu mjr. E. Ligockiego — przesłanym do Londynu przez kpt. Brummera w raporcie z 25 września 1940 — jest mowa o kryzysie „zaufania do aliantów i pewien kryzys zaufania do naszego Naczelnego Dowództwa”, ale „...nie do osoby Naczelnego Wodza”. Jest bardzo mało zaufania do oficerów sztabowych. „Pełnym zaufaniem cieszą się jedynie 4 nazwiska: Szyszko-Bohusz, Duch, Maczek i Prugar-Ketling”. Poziom umysłowy oficerów „obniża się z każdym dniem — zarówno pod względem fachowym jak i w ogóle intelektualnym. Ludzie ci od roku nic nie przeczytali... Za mało wiedzą co się dzieje na świecie”. Jeżeli nawet mają dostęp do książek czy czasopism to brak im czasu: „dzień jest zajęty często powtarzaniem rzeczy potrzebnych dla rekruta, a nie dla oficera — a w nocy palić światła pod namiotem nie wolno²⁶”.

W sprawozdaniach podkreślano życzliwy stosunek ludności szkockiej do polskich żołnierzy. Pewnym paradoksem, niezbyt zrozumiałym dla tej ludności, była obecność rodzin żołnierzy w ich miejscach postoju. W raporcie z 18 listopada 1940 roku mjr Laskowski pisał, iż „wywalczone ustępstwo od ogólnie przyjętej w Wielkiej Brytanii zasady, że żony wojskowych nie powinny mieszkać w miejscu postoju swoich mężów”. Były to przeważnie żony oficerów stopniowo ściągane z Kraju „głównie dzięki osobistym wpływom i stosunkom”, do czego szeregowi siłą rzeczy musieli się przyzwyczaić, ale nie obyło się oczywiście bez niepożądanych komentarzy. Gorzej natomiast było z ludnością miejscową, która „nie bardzo rozumie dlaczego Polacy wybrali się na wojnę ze swoimi żonami i dziećmi. Przy tej sposobności wyłoni się wszędzie kwestia współpracy Polek z kobiecymi organizacjami szkockimi w kantynach żołnierskich, w świetlicach itp. utrzymywanych na rzecz naszego wojska przez społeczeństwo miejscowe. Wiemy, natomiast, że niemal wszędzie tam, gdzie tego rodzaju współpracę zapoczątkowano, już w bardzo krótkim czasie wynikły poważne rozdzwinki i nieporo-

25. Sprawozdania te otrzymywał przede wszystkim generał do zleceń Naczelnego Wodza Izidor Modelski, którego działalność w rządzie polskim, we Francji i w Anglii, miała daleko idące, w sensie ujemnym, skutki.

26. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/2.

zumienia głównie na tle robót porządkowych, a może i z innych powodów²⁷”.

Dość charakterystyczny jest również wyciąg (jedna strona maszynopisu) z listu ppor. C.J., bez podania pełnego nazwiska autora i adresata. W rogu tego maszynopisu jest ręczny dopisek: „proszę wykorzystać częściowo do komunikatu tajnego”, opatrzony nieczytelnymi inicjałami i datą — 5.IV(?)42r. Oto kilka zdań z tego wyciągu: „nastroje (w wojsku w Szkocji) są złe. Dużo w tym winy nieumiejętnej polityki naszego rządu, stale podkreślającego różnice polityczne i personalne, które w gruncie rzeczy nikogo tutaj nie obchodzą, dużo winy różnych 'politycznych' organizacji, które z uporem maniaków zajmują się oślemi spiskami i konspiracjami... a najwięcej winy, czy raczej przyczyn jest wynikiem charakteru narodowego. Zupełna niedbałość o zachowanie tzw. 'twarzy', apatia czy atrofia umysłowa jegomościów od trzydziestki w górę, płaczliwa i cikliwa histeria patriotyczna, wypowiadanie głupich sądów nie popartych jakimikolwiek argumentami, krytykowanie wszystkiego i wszystkich...”²⁸”.



Ostrej przeważnie krytyce była poddana propaganda polska dla cudzoziemców i w ogóle jej brak. W raporcie z dnia 20 grudnia 1941 roku — przeznaczonym dla gen. Modelskiego, ppłk T. Rudnicki, szef Wydziału IV, O.II. sztabu N.W., naświetlając stosunki polsko-szkockie pisał: „Pewien szkocki dziennikarz wyrażał się bardzo źle i niedwuznacznie o polskiej propagandzie oficjalnej. M.in. podkreślił, że dopiero w końcu września br. redakcja *Sunday Express* otrzymała pierwszy biuletyn informacyjny Ministerstwa Informacji i to nie drogą oficjalną, lecz prywatną. Za to ambasada rosyjska przesyła co dzień dwukrotnie po 2 biuletyny z fotografiami do wszystkich, nawet najmniejszych redakcji w całej Szkocji. Zdaniem tego dziennikarza, winno być więcej wydawnictw, szczególnie tanich broszur o Polsce i Polakach, jednak pod warunkiem, że pisane byłyby przez Szkotów”.

Opinia o Polsce i Polakach — zdaniem tego dziennikarza — „ustala się najczęściej w drodze bezpośrednich osobistych kontaktów ze Szkotami. Dlatego koniecznym jest

27. *Supra*.

28. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/11.

nawiązanie jak najściślejszych kontaktów między inteligencją szkocką a oficerami polskimi”. Opinia ta, według płk. T. Rudnickiego, jest w zasadzie słuszna, ale „istnieją jednak obawy, że sukces propagandowy zacieśnienia kontaktów osobistych polsko-szkockich może być ujemny, ponieważ coraz częściej napływają informacje, że oficerowie wynoszą nasze 'sprawy domowe' na teren szkocki, nie krępując się w wypowiedzaniu swych uwag krytycznych, dotyczących zarówno dyscypliny wojskowej (stosunek oficerów do szeregowych i oficerów młodszych do starszych), jak i polityki. Wobec tego konieczny jest wpływ osobisty dowódców, celem zahamowania tak szkodliwego gadulstwa wobec Szkotów, względnie wydania odpowiedniego rozkazu²⁹”.

Na łamach *Polski Walczącej* został zamieszczony, w lutym 1941 roku, artykuł kpt. T. Kiepińskiego, kierownika „Biblioteczki żołnierskiej”, w którym autor pisał: „wysiłek wojskowy, wiedza wojskowa, gotowość do walki i umiejętność walki są w tej chwili zagadnieniami tysięcy razy ważniejszymi aniżeli wszystkie sprawy propagandy zewnętrznej, które potrafimy zawsze postawić na odpowiedniej wyżynie, jeżeli będziemy mogli powołać się na wysoką liczbę strąconych samolotów nieprzyjacielskich, zatopionych statków i zestrzelonych tanków czy też motorowych łodzi inwazyjnych³⁰”.

Na niewłaściwe podejście kpt. Kiepińskiego do propagandy zewnętrznej zwrócił uwagę ppłk pilot Michał Bokalski, komendant Centrum wyszkolenia ziemnego lotnictwa polskiego przy R.A.F., który w piśmie do gen. Modelskiego wyraził zdziwienie, że tego rodzaju artykuł mógł się ukazać w *Polsce Walczącej*, będącej „oficjalnym tygodnikiem Biura Propagandy i Oświaty przy Naczelnym Wodzu”. Następnie ppłk Bokalski podkreśla, że „propaganda dzisiaj jest najnowszym środkiem walki... Nieliczna ilość Polaków za granicą musi przejąć zadanie propagandy za cały Kraj... Mając nawet duże atuty w ręku a nie będąc odpowiednio przygotowani nie będziemy potrafili od razu postawić propagandy zewnętrznej na wymaganym poziomie. Propaganda to nie tylko atuty w ręku, to i technika pracy oraz długie i często żmudne przygotowania terenu... Propaganda zewnętrzna, która nastawi ludzi państw decydujących, przysporzy nam przyjaciół z rozsądku a nie ze współczucia, którzy w silnej

29. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/10.

30. *Polska Walcząca* z 1 lutego 1941 roku.

Polsce będą widzieli... przede wszystkim interes własny³¹”.

W referacie, liczącym pięć stron maszynopisu (bez podpisu autora) na temat działalności polskiej propagandy za okres od sierpnia 1940 do listopada 1941 roku, który był opracowany dla gen. Modelskiego, autor stwierdził: „... Propagandę uważam za broń dotychczas przez nas prawie zupełnie nie wykorzystaną i niedocenioną. W porównaniu do innych krajów walczących, w akcji propagandowej stoimy na szarym końcu bardzo daleko za Czechami... Tragedią Czechów jest to, że umiając robić dobrą propagandę nie mają właściwie o czym pisać, ani czym się chwalić — tragedią naszą jest to, że mając wszystkie możliwe atuty w swych rękach nie umiemy ich odpowiednio wykorzystać”.

Polemiki na łamach prasy, pisze dalej autor, stwarzają „zamęt w emigracyjnych umysłach. Oczywiście jest, że w takiej atmosferze nie może się zrodzić żadna konstruktywna myśl, nie może powstać żadna idea, która by porwała wszystkich bez różnicy przekonań, bo energia spala się w walce o posady, o zapewnienie sobie pierwszeństwa jeżeli nie tutaj, to przynajmniej po powrocie do kraju. Takie to są wysiłki naszej propagandy, zarówno tej, która broni rządu, jak i tej, która ten rząd energicznie zwalcza. Nic tedy dziwnego, że zajęcia sporami wewnętrznymi nie dostrzegamy co się wokół nas dzieje. Nie dostrzegamy jak nasi przeciwnicy i wrogowie systematycznie podkopują naszą dobrą pozycję na terenie międzynarodowym... Spory i kłótnie urosły do zagadnień polskiej racji stanu. Nasza oficjalna propaganda nie potrafiła jak dotąd wypracować własnego programu i własnych linii postępowania. Rozmieniła się na drobne w sporach personalnych i wzajemnym zwalczaniu³²”.

W konsekwencji tego stanu rzeczy urzędy zajmujące się propagandą były w większości obsadzone protekcyjnie przez ludzi nefachowych, stąd m.in. nieudolność redagowania komunikatów dotyczących wojska polskiego dla prasy brytyjskiej, o czym pisze w notatce służbowej z dnia 24 listopada 1941 roku Czesław Jeśman. Autor zwraca uwagę, że serwis prasowy polskiego Ministerstwa Informacji „podkreśla stale momenty indywidualnych przewag, niezwykłej odwagi itp. polskich lotników, marynarzy i żołnierzy”. Dla Brytyjczyków system ten jest niewłaściwy, gdyż w Anglii pisząc o momentach

31. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/3.

32. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/10.

bohaterstwa należy mówić „jak najmniej o sobie i w jak najprostszych słowach... W literackiej tradycji angielskiej (Kipling) chwala siebie Hindusi, Murzyni i inni bardzo waleczni żołnierze ostatnich ras... Redakcja komunikatów przez polskie Ministerstwo Informacji i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych stosuje taką właśnie 'murzyńską' propagandę³³”.

Brak krytycyzmu w środowisku polskim nie ograniczał się do naszych tylko spraw. Przykładem tego była książka Czesława Jeśmana pt. *Klejnót srebrzystych mórz*, wydana w 1941 roku w „Bibliotece żołnierskiej”. Jak określił ją wówczas jeden z polskich dziennikarzy: „jest to bardzo żywo i barwnie napisana historia Anglii w skrócie... przejawia tendencję do 'odbrązowienia' tej historii³⁴”.

Innego jednak zdania była nasza generalska elita. W piśmie z 15 maja 1941, skierowanym do gen. Modelskiego, gen. Sikorski rozkazał: „na podstawie oceny gen. dyw. Kukieła odnoszącej się do broszury *Klejnót srebrzystych mórz* zarządzam natychmiastowe, dyskretne i całkowite wycofanie tej broszury. Zechce Pan Generał przeprowadzić śledztwo przeciwko Jeśmanowi (błąd w ortografii nazwiska, winno być Jeśmanowi — T.W.) celem stwierdzenia czy jego opracowanie jest podyktowane złośliwością, czy głupotą. Jeśmana zwolnić bezzwłocznie z Propagandy i Oświaty odsyłając do oddziału liniowego³⁵”.

Zajęcie tego rodzaju stanowiska przez Kukieła i Sikorskiego wpływało przypuszczalnie z obawy, żeby nie „narazić się” Anglikom, którzy mogliby czuć się urażeni publikacją, zawierającą jakieś ustępy krytyczne o historii kraju, w którym znajdował się rząd polski. Tego rodzaju postawa „nienarażania się” obcym charakteryzowała nasz rząd pod każdym względem, zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej, do czego przywiązywano nieporównanie większą wagę niż do zmiany metod i udoskonalenia propagandy dla cudzoziemców, oraz oświaty dla uświadomienia żołnierza polskiego o sytuacji w świecie, szczególnie anglosaskim.

33. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/6.

34. Witold Leitgeber, *W kwaterze prasowej...*, op. cit. str. 107.

35. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/8.

Wbrew temu, co usiłowano samemu sobie wmówić, Polska nie miała — i ciągle nie ma — w świecie wielu przyjaciół. Do tych nielicznych, przyjaźnie ustosunkowanych do Polski podczas drugiej wojny światowej, należał Ernest Graham-Little, poseł do Parlamentu brytyjskiego.

W raporcie z 7 listopada 1942 roku, kpt. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz zdał sprawozdanie szefowi Wydziału Oświaty i Kultury, mjr. A. Morbitzerowi, z rozmowy jaką odbył z Ernestem Graham-Little. Na wstępie Graham-Little przypomniał, że jest szczerym przyjacielem Polski, czemu rzeczywiście dał wiele dowodów i co też, jak podkreślił „ośmiela mnie do szczerego wyjaśnienia sytuacji i roli Polaków, oraz ich możliwości. Uważam, że potrzebna jest nam Brytyjczykom silna Polska, dlatego, że na Polsce możemy bardziej polegać niż np. na Związku Sowieckim. Chcę żebyście lepiej prowadzili wasze sprawy na terenie Wielkiej Brytanii... gdzie panuje jeszcze opinia, że Polska jest krajem książąt i niewolników... Wasi dyplomaci nie umieli tutaj stworzyć właściwego pojęcia o Polsce... Trzeba dobrze sprzedawać swoje wartości. Trzeba mówić głośno i twardo, a nie wytwornie i delikatnie”.

Następnie poseł Graham-Little zwracał uwagę na „ogromną aktywność propagandy sowieckiej, a w szczególności ambasadora Majskiego, którego ciągle się widzi w Parlamencie. Propaganda polska działa za wolno i bez kompetencji. Naśladujcie Czechów, którzy działają daleko skuteczniej. Nie pozwalajcie, aby waszymi sprawami zajmował się Majski... Dobierajcie dyplomatów energicznych, twardych i umiejących bezpośrednio docierać do ludzi na obcych terenach... Muszą to być ludzie silni, zręczni i przystosowani do rzeczywistości tych naszych demokratycznych, bynajmniej nie eleganckich czasów”.

W końcowym ustępie swojego sprawozdania Strumph-Wojtkiewicz podkreślił że „relacja posła Grahama-Little była szczerą, prostą i sygnalizowała konieczność szybkiej i energicznej akcji ze strony Polski. Osobiście zrozumiałem ją jako może ostatnie trochę desperackie ostrzeżenie³⁶”, które — jak wiele innych — nie wywołało w środowisku rządu polskiego żadnego echa.

Tadeusz WYRWA

36. IPMS, Sygnatura: A.XII.7/8.

M. ROLICKA

POLACY A TAJEMNICZY PROBLEM EPIDEMII W CZASIE WOJNY KOREAŃSKIEJ

W roku 1952 propaganda prasowa Bloku Wschodniego wielokrotnie powtarzała, że amerykańskie samoloty zrzucają na linii frontu w Korei i na zapleczu, owady i inne wektory bakterii chorobotwórczych, co powoduje epidemie chorób zakaźnych. Chiny, które współuczestniczyły w tym konflikcie po stronie Północnej Korei, twierdziły, że są również ofiarą zrzutów amerykańskich. Dokumentacja jak było naprawdę nie została do dnia dzisiejszego odkryta. Do dzisiaj są tacy, którzy mimo zaprzeczeń Stanów Zjednoczonych wierzą, że w 1952 roku Amerykanie prowadzili wojnę bakteriologiczną. W roku 1990 telewizja w Stanach Zjednoczonych wyświetliła serię „Korea — wojna nieznana” wyprodukowaną wspólnie przez Thames Television (Londyn) i WGBH (Boston). Z podanych danych można wywnioskować, że nie było wojny bakteriologicznej, ale brak rozstrzygającej dokumentacji sprawił, że np. australijski dziennikarz W. Burchett — który był w Korei w 1952 roku — jest do dziś przekonany, że wojna bakteriologiczna miała miejsce. W 1991 roku na konferencji „Mikrobiologia i studia na temat obrony biologicznej” w Maryland, sprawa wojny bakteriologicznej w Korei była przedstawiona przez Van Courtland Moona. Na podstawie nowych materiałów stwierdził on, że w 1952 roku Stany Zjednoczone nie były przygotowane do prowadzenia wojny bakteriologicznej, ale tego faktu nie można było podać do wiadomości publicznej.

Jak to było możliwe, że taki mały i biedny kraj jak Północna Korea — przez parę lat mógł się opierać Armii Narodów Zjednoczonych na czele z Armią Amerykańską? Korea ma tradycje tysięcy lat kultury, ale nie znała podstaw współczesnej nauki i medycyny. Podczas wojny szpitale wojskowe były koniecznością, i zostały zorganizowane. Niektóre działały pod medycznym przewodnictwem krajów demokracji ludowych, np. szpital węgierski, czeski, rumuński, bułgarski i sowiecki. W kwietniu 1953 przyjechał do Korei szpital polski o którym mam najwięcej informacji. Polski szpital PCK był „nałożony” na istniejący wojskowy szpital koreański w Hiczon. Personel medyczny (lekarze, pielęgniarki, laboranci, a nawet część personelu pomocniczego) przybył z Polski i współpracował z personelem szpitala wojskowego w Hiczon. W szpitalach koreańskich brak było personelu, część funkcji lekarzy sprawowali felczerzy. Personel był niedoszkolony. Po rozejmie w roku 1953 część szpitala polskiego pozostała w Korei jako szpital szkoleniowy dla studentów i lekarzy koreańskich. Większość polskich lekarzy wysłanych do Korei miała wysokie kwalifikacje. Profesor Barcikowski, naczelný lekarz szpitala był później wiceministrem zdrowia. Profesor Oszacki z Krakowa został Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor Piątkowski z Lublina został prorektorem Uniwersytetu Lubelskiego. Doktorzy Szulc, Fejkiel, Suchanek i inni byli również związani z polskimi uniwersytetami. Polski szpital PCK przywiózł do Korei 30 wagonów kompletnego wyposażenia. Od początku roku 1951 Korea dostawała z Polski lekarstwa, surowice, szczepionki i różne sanitarne przedmioty otrzymywane od organizacji i różnych ofiarodawców pomocy dla Korei, które dostarczano bez opłaty. Surovice i szczepionki były opłacane przez Polski Komitet Obróńców Pokoju.

Od roku 1950, gdy Korea Północna zaatakowała Koreę Południową, losy wojny ulegały stałej zmianie. Wojska Narodów Zjednoczonych wkrótce wkroczyły do Korei Północnej i zajęły jej stolicę, Pjongjang. W styczniu 1951 jednostki chińskie poszły naprzód i z wielką fanfarą wkroczyły do stolicy Południowej Korei, Seulu. To nie trwało długo. W marcu padły pierwsze oskarżenia, że „amerykańscy agresorzy i japońscy kryminaliści prowadzą wojnę bakteriologiczną przeciw miłującym pokój mieszkańcom Północnej Korei”. Te oskarżenia wkrótce znikły. Związek między losami wojny, Służbą Zdrowia i oskarżeniami o wojnę bakteriologiczną był

dyskutowany szczegółowo przez Alberta Cowdrea w artykule „Wojna bakteriologiczna a Służba Zdrowia w konflikcie koreańskim”, opublikowanym w *Journal of the History of Medicine* w kwietniu 1984. Cowdrey przytoczył artykuł zamieszczony w czasopiśmie *Nowa Korea* (w języku angielskim) z listopada 1951 z obszerną dyskusją o kampanii antyepidemicznej, w której nie wspomniano w ogóle o uprzednich oskarżeniach o wojnie bakteriologicznej w Korei. W istocie Korea ma bardzo niedobry klimat, upalne lata i mrozy w zimie, co sprzyja epidemiom chorób zakaźnych. Ponadto Północna Korea była zdewastowana przez działania wojenne. Węgierski dziennikarz, Tibor Meray, który był w Korei od sierpnia 1951 do września 1952 w serii telewizyjnej uprzednio wspomnianej, mówi: „Jechaliśmy w świetle księżyca, a mnie zdawało się, że podróżujemy na księżycu. Widać było tylko zniszczenia, w śmieszny sposób każde miasto było kolekcją kominów. Nie wiem dlaczego domy były zburzone, a kominy nie były?”.

Zniszczona bombardowaniem Północna Korea była niewątpliwie podatna epidemiom. W obu częściach Korei, Północnej i Południowej rozpoczęto kampanię antyepidemiczną. W Południowej Korei zdarzyły się wypadki tyfusu plamistego. Natychmiast żołnierze Narodów Zjednoczonych zostali zaszczepieni przeciw tyfusowi i następnie zostali poddani powtórnemu szczepieniu. Podobno (według Cowdrea) w Północnej Korei Ministerstwo Kultury i Propagandy zorganizowało i zmobilizowało ludność do akcji dezynfekcji i szczepień ochronnych. Od czasu do czasu powtarzano twierdzenia o wojnie bakteriologicznej. Na przykład wysuwano oskarżenia, że Amerykanie opuszczając Północną Koreę spowodowali epidemię tyfusu plamistego i ospy.

Systematyczne oskarżenia, że Amerykanie prowadzą wojnę bakteriologiczną rozpoczęły się w lutym 1952. Dwudziestego drugiego lutego Minister Spraw Zagranicznych Chińskiej Republiki Ludowej, Czou En-lai i Minister Spraw Zagranicznych Północnej Korei, Pak Hen-en ogłosili oficjalne oświadczenia o wojnie bakteriologicznej. Oświadczenia te były opublikowane na całym świecie. W Polsce ukazały się w *Trybunie Ludu*, oficjalnym piśmie polskiej partii komunistycznej. Pak Hen-en zaznaczył, że oryginalna dokumentacja, potwierdzająca co zaszło i gdzie, jest w posiadaniu Armii Koreańskiej i Chińskich Ochotników. W celu szerzenia epidemii chorób zakaźnych w Armii i wśród ludności cywilnej, amery-

kańskie samoloty zrzuciły na linii frontu i na zapleczu duże ilości owadów zakażonych bakteriami chorobotwórczymi. Jedenastego lutego samoloty nieprzyjacielskie zrzuciły w rejonie Czholwon tekturowe pudełka, wypełnione pchłami, pajakami, mrówkami i muchami. W rejonie Sanjanni torebki papierowe wypełnione muchami a w rejonie Kunhwa torebki papierowe z muchami, komarami i pajakami. W rejonie Phengan tekturowe pudełka wypełnione muchami, komarami i pajakami. Szesnastego lutego w rejonie Hansu i Oczenri zrzucono tekturowe pudełka i papierowe torebki, a siedemnastego lutego zrzuty nastąpiły w rejonie Hasinni. Badania bakteriologiczne wykazały, że owady zakażone były bakteriami powodującymi dżumę, cholere i inne niebezpieczne choroby zakaźne. W sierpniu 1951 polski dziennikarz, Lucjan Pracki przybył do Korei, gdzie przebywał do września 1952. Pracki pisał reportaże, które były na gorąco publikowane w warszawskim *Żołnierzu Wolności*. W 1953 roku reportaże Prackiego były wydane jako książka pt. „Korespondent wojenny z Korei donosi”. W marcu 1952 Pracki przeprowadził wywiad z Ministrem Zdrowia Północnej Korei, Li Bien-namem. Już w styczniu, twierdzi Li Bien-nam, zidentyfikowano owady zakażone bakteriami dżumy i cholery. Wkrótce potem nastąpiły jeszcze 22 zrzuty, co „jest dowodem” że wojna bakteriologiczna miała miejsce. Li Bien-nam dokładnie opisywał metody zrzutów: 1) Papierowe pakunki wypełnione owadami pękają na ziemi i owady wypryskują na zewnątrz, 2) Owady znajdują się w przedziałkach metalowych „bomb”, zaopatrzonych w słabe zapalniki. Przy lądowaniu „bomby” następuje wybuch, nakrywa bomby odpada i owady wylatują na zewnątrz. 3) Metoda bezpośredniego wyrzutu owadów z samolotów według Li Bien-nama nie była zupełnie pewna. Między opisem *Trybuny Ludu* i Li-Bien-nama jest różnica: jeden nie zawiera informacji o „bombach”, drugi o tekturowych pudełkach. Metoda używania „bomb” była szeroko dyskutowana. Naukowcy amerykańscy podali, że jedyne „bomby” nie będące pociskami były to pojemniki, używane do rozprowadzania propagandowej literatury. *New York Times* z 2 kwietnia 1952 określa rzekome „bomby” z owadami jako fałsz.

Jak wspomniano uprzednio, znajdowanie zakażonych owadów i innych wektorów bakterii chorobotwórczych było „dowodem”, że Amerykanie prowadzą wojnę bakteriologiczną. W Korei panowała prawdziwa obsesja zbierania „wek-

torów". Wszystkie owady, niezależnie od tego czy mogły być uważane za zdolne do przenoszenia bakterii, czy nie, były zbierane i niszczone. Zbieranie wektorów, które opisuje Pracki, było okazją do rzucania oskarżeń na „amerykańskich kanibali”, którzy chcą wymordować wszystkich mieszkańców Korei. Była to kampania terroru, która powodowała zacięty opór ludności Północnej Korei. Żołnierze, ochotnicy chińscy, ludność cywilna nawet dzieci szkolne ubrani w specjalne gumowe stroje ochronne z kapturem na głowę, w którym pozostawiono tylko dwa otwory na oczy, wszyscy szukali „wektorów”, i znajdowali je w ogromnych ilościach. Pracki szukał „wektorów” wraz z grupą chińskich ochotników, którzy prócz niszczenia owadów mieli w kieszeni metalowe pudełka dla zidentyfikowania zebranych próbek. Pracki dostarczył te próbki do pobliskiego szpitala, ale nie każdy szpital miał laboratorium. Wobec tego Pracki przesłał je do Ministerstwa Zdrowia. Naturalnie zgłosił się po wynik i dowiedział się, że znalezione owady były zakażone cholerą. Ani Pracki, ani Meray nie znali języka koreańskiego i w swoich kontaktach z miejscową ludnością posługiwali się przysłanymi przez rząd tłumaczami. Meray był w kontakcie ze szpitalem węgierskim. Jeden z lekarzy znał język koreański na tyle, aby się porozumieć. Od niego Meray usłyszał, że owady znalezione po przelocie samolotów amerykańskich były w istocie umieszczone przez żołnierzy. Meray opublikował te informacje w paryskim czasopiśmie *Franc Tireur*, gdy opuścił Węgry po roku 1956. Meray miał wątpliwości co do metod używanych w Korei, które nazwał „straszliwą komedią”. Wygląda na to, że Koreańczycy święcie wierzyli w informacje gazetowe. W Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajdują się teczki akt Polskiej Partii Robotniczej. Wśród nich jest raport wysokiego urzędnika polskiego J. Burgina, który w roku 1951 był w Korei. Píše on: „Ludność Korei jest głodna, brak mięsa i tłuszczów. Brak mieszkań, odzieży, mydła i jedzenia. Wszystko to przyczynia się do epidemii tyfusu brzuszego, płamistego i dyzenterii. Oczekuje się epidemii cholery, również epidemii dżumy. W Północnej Korei Amerykanie zrzucili duże ilości zakażonych szczurów”. Burgin uskarżał się również, że w Północnej Korei jest tylko jeden polski przedstawiciel dyplomatyczny, *Chargé d’Affaires* Deparasiński.

Jeśli w tej okropnej sytuacji Koreańczycy nie poddali się, to musieli być przekonani, że walczą na śmierć i życie i nie

mają innego wyjścia. Informacje podobne do Burgina były przekazane także przez Cowdrea. Amerykanie wiedzieli, że sytuacja w Korei jest fatalna i że panują tam choroby zakaźne. Według Cowdrea w lutym 1952 było 38.000 wypadków chorób zakaźnych. *New York Times* w kwietniu 1952 podał, że 10 % Chin jest w okowach chorób zakaźnych. Liczba zachorowań wyniosła 400.000, a zgonów 50.000. Ale już w czerwcu 1952 *Times* zauważył, że Chiny nie mają ochoty ujawniać rozmiaru epidemii. Były hipotezy, że komunistyczna propaganda wojny bakteriologicznej jest próbą zamaskowania nieudolności rządu Północnej Korei w walce z epidemiami. Prawdziwe fakty jednak były trudne lub niemożliwe do wyjaśnienia. Międzynarodowa Organizacja Zdrowia (WHO) i Międzynarodowy Czerwony Krzyż (IRC) uważały, że epidemie są rezultatem złych warunków higienicznych i ekonomicznych. Jednak te organizacje nigdy nie były dopuszczone do Korei. Na Konferencji IRC w Toronto w połowie 1952 roku delegat australijski zaproponował wysłanie do Korei Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża. WHO proponowało pomoc dla cierpiącej ludności Północnej Korei. Oferty nie zostały przyjęte, ponieważ „organizacje te nie są obiektywne i mogą szpiegować na rzecz Stanów Zjednoczonych”. Ale nie tylko organizacje zachodnie nie zostały dopuszczone do Korei.

W sierpniu 1952 polski Minister Zdrowia, Sztachelski, w liście do wicepremiera Gede podał szczegółową propozycję dotyczącą zorganizowania polskiego szpitala zakaźnego w Korei, wraz z ruchomą jednostką sanitarno-bakteriologiczną. „Struktury tego szpitala i jednostki sanitarno-bakteriologicznej mają być oparte na etatach stanu wojennego z uwzględnieniem warunków specjalnych, które polegają na jednoczesnym występowaniu niebezpiecznych chorób zakaźnych”. Według doktora Barcikowskiego, taki szpital nigdy nie powstał. Sztachelski miał w Polsce światowej sławy specjalistę epidemiologii czasu wojennego. Profesor Ludwik Hirszfeld był Dyrektorem Centralnego Laboratorium Wojskowego Armii Serbskiej w czasie I Wojny Światowej. W czasie II Wojny Światowej był Przewodniczącym Rady Zdrowia getta warszawskiego gdzie szalały epidemie tyfusu brzusznego i płamistego. W lutym 1952 Hirszfeld zaproponował ministrowi Janowi Karolowi Wende, który prowadził sprawę wymiany kulturalnej z Chinami, swój wyjazd do Chin wraz z żoną Hanną, profesorem pediatrii, która współpracowała z

nim w wielu pracach naukowych i z asystentem Andrzejem Kelusem, immunologiem z doświadczeniem w technice bakteriologicznej. Hirszfeld podkreślił, że pojedzie wtedy, jeśli będzie miał tam swoje laboratorium. Hirszfeld nie pojechał do Chin.

Tak więc nawet Polacy, którzy byli specjalistami w dziedzinie epidemiologii i mogli być „podejrzani” o obiektywność, nie zostali dopuszczeni na terytorium Chin i Korei. Natomiast sprawa wojny bakteriologicznej w Korei była badana przez kilka Komisji, złożonych z osób przychylnych Blokowi Wschodniemu. Największe znaczenie na arenie międzynarodowej miała Międzynarodowa Komisja Naukowa dla badania faktów wojny bakteriologicznej w Korei i w Chinach. Członkiem Komisji znanym na terenie międzynarodowym był dr. Joseph Needham, brytyjski biochemik, który przebywał wiele lat w Chinach, był urzędnikiem British Council w Chungkingu i miał honorowy tytuł doradcy naukowego Ambasady Brytyjskiej. Tylko jeden członek Komisji pochodził z Sowietów. Dr Żukow Weresznikow był bakteriologiem z Moskwy. Dowodem jego uprzedzeń jest to, że przed rozpoczęciem pracy Komisji, której zadaniem było zbadanie problemu wojny bakteriologicznej, oświadczył publicznie, że Stany Zjednoczone są winne prowadzenia takiej działalności. Dr Andrea Andreen ze Sztokholmu była przewodniczącym Komitetu Wojny Bakteriologicznej na Zjeździe Międzynarodowym Obrońców Pokoju w Wiedniu (grudzień 12-19 1952), gdzie mówcy referowali oskarżenia dotyczące wojny bakteriologicznej. Trzej pozostali członkowie Komisji Naukowej, naukowcy z Zachodu, uczestniczyli aktywnie w Ruchu Obrońców Pokoju, komunistycznej organizacji, ideologa wojny bakteriologicznej w 1952 roku.

Na Zjeździe w Wiedniu No Din-khuan z Korei referował szczegółowo sprawę epidemii chorób zakaźnych jako konsekwencji rzutów amerykańskich. Przytoczył on statystykę zachorowań na cholere między rokiem 1910-1946, kiedy cholera występowała często; między rokiem 1947 i 1952 nie było zachorowań na cholere. Wszystkie poprzednie przypadki występowały w miesiącach letnich, w 1952 roku epidemia cholery zaczęła się w lutym. Nowe ośrodki cholery stwierdzono w marcu, kwietniu i maju. Żadne dane tych epidemii nie były podane, z wyjątkiem dwóch przypadków cholery, tych samych, które były podane przez Komisję Naukową, przez Meraya i Prackiego.

Komisja Naukowa nie miała problemów językowych, obecni byli eksperci języka chińskiego, koreańskiego i trzech języków europejskich. Komisja obradowała 10 tygodni, głównie w Chinach. Trzy ostatnie tygodnie były użyte na napisanie raportu, który opublikowano jednocześnie w Pekinie i w Pradze. Komisja przyjęła szereg dowodów zebranych uprzednio przez grupę chińską. Nie podano liczby ludzi którzy zmarli na skutek ataków bakteriologicznych, ale podano ogólny wniosek „wiele ludzi zginęło w odosobnionych wypadkach i w epidemiach w nienormalnych warunkach, z których ślady wiodą wstecz do działalności Amerykanów”. Opisano te same dwa przypadki cholery, podane w Wiedniu.

Faktycznie podawane w prasie rzuty wektorów zakaźnych bakteriami chorobotwórczymi, których nikt obiektywnie mógł sprawdzić, nie były „dowodem”, że Amerykanie prowadzą wojnę bakteriologiczną w Korei, nawet jeśli wektory były odnajdywane, a owady poddane identyfikacji nie były „normalnymi mieszkańcami” Korei. Jedynym dowodem, że wojna bakteriologiczna była faktem a nie propagandowym trikiem byłoby stwierdzenie, że w Korei panują epidemie chorób zakaźnych ściśle związane ze zrzutami wektorów zakażonych odnośnymi bakteriami. Właśnie takie wnioski podała Międzynarodowa Komisja Naukowa, a szczegóły podał No Din-khuan w Wiedniu. Pracki był w Korei przez cały ten okres, który podał wiedeński referent. Był w kontakcie z Ministerstwem Zdrowia; zawieziono go do dwóch klasycznych przypadków cholery, które znalazły się w centrum uwagi propagandy. Nigdy nie zawieziono go do żadnych innych przypadków cholery, co więcej twierdzi on z całą stanowczością, że w Korei *nie było epidemii chorób zakaźnych*. Niewątpliwie ta informacja pochodzi ze źródeł koreańskich, jak również wytłumaczenie, dlaczego nie było epidemii cholery, które on powtórzył w swoim reportażu: „(Prezydent) Truman, (Sekretarz Stanu) Acheson i inne sługusy kapitalizmu są tak bezczelni, że proponują poszukiwania w Korei przyczyn epidemii. W Północnej Korei nie powinniśmy walczyć z epidemiami, których nie ma, lecz należy walczyć aby zaprzestano kryminalnej aktywności. Ataki bakteriologiczne o których agresorzy myśleli, że spowodują epidemie, zawiodły”. Następnie Prackiemu musiano wytłumaczyć, dlaczego ataki bakteriologiczne zawiodły i on powtarza to w swoich reportażach:

1. „Ludność Korei jest chroniona przez licznych lekarzy”. Według danych ze szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża, jak podałam wyżej — w Korei był brak lekarzy a koreańscy lekarze byli niedoszkoleni.

2. „Ludność Korei jest chroniona przez liczne punkty szczepienia”. Niewątpliwie Pracki widział te punkty szczepienia, ale nie miał informacji o szczepieniach. Rząd Północnej Korei dysponował szczepionkami otrzymanymi z Węgier, Chin i z Sowietów (według Cowdrea). Autorka tego artykułu znalazła dokładną listę szczepionek otrzymywanych z Polski co miesiąc od początku roku 1951. Lista ta znajduje się w archiwum polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Od 1951 roku spodziewano się w Korei epidemii cholery. Jeśli wypadki cholery o zasięgu epidemicznym były w Korei od lutego 1952, to jest co najmniej dziwne, dlaczego ludność cywilna nie była szczepiona przeciw cholerze. Nie były szczepione dwa klasyczne przypadki, które będą opisane poniżej, ani okolica w której, według opisów tych przypadków, były zrzucone owady z samolotów amerykańskich. Szczepionka przeciwcholeryczna w Korei była nie tylko osiągalna, ale w sierpniu 1952 nie była już potrzebna. Był to szczyt prasowej kampanii zrzutów amerykańskich, która ciągnęła się do listopada i grudnia 1952 (*New York Times* opublikował informacje na ten temat 21 listopada i 2 grudnia). W archiwach Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie jest list Sekretarza Polskiego Komitetu Obronców Pokoju Trepczyńskiego do Wicepremiera Gede z sierpnia 1952 z informacją, że partia koreańska prosi o wysyłanie z funduszy na szczepionki odzieży dla Koreańczyków. List ten potwierdza twierdzenie Prackiego, że nie było epidemii. W roku 1952 WHO zalecało stosowanie szczepionek dla ochrony przed cholerą.

3. Następnym argumentem Prackiego tłumaczącym fakt, że nie było epidemii, jest ochrona przed szerzeniem epidemii przez kampanię antyepidemiczną i brygady antyepidemiczne. Punkt ten będzie dyskutowany przy opisie dwóch wymienionych uprzednio klasycznych przypadków cholery.

Przypadek pierwszy

Czwartego marca 1952 68-letni Han San-kuk zauważył na froncie domu duże skupiska owadów. Takie same skupiska były również przed innymi domami. Na podstawie prasowej propagandy można było wywnioskować, że były to

zrzuty owadów przez samoloty amerykańskie, które krążyły nad domami uprzedniej nocy. Syn Han San-kuka, który pracował w Komitecie Ludowym potwierdził w biurze informację, że uprzedniej nocy samoloty amerykańskie zrzuciły na miasto owady zakażone bakteriami chorobotwórczymi. Jeśli kampania antyepidemiczna i brygady antyepidemiczne miały jakiegokolwiek znaczenie, to Han San-kuk i dwoje jego wnuków, wszyscy nie szczepieni przeciw cholerze i bez żadnej ochrony, powinni byli trzymać się z daleka od owadów, zamiast zmiatać je łopatką do dołu i podpalić. Następnie umyli ręce i zasiedli do jedzenia. Był to doskonały sposób zakażenia się bakteriami. Następnego dnia wszyscy zachorowali z objawami wymiotów i biegunki. Zawezwany lekarz zabrał ich do szpitala miejskiego. W bardzo długiej rozmowie z Merayem nie było ani razu wspomniane, że pokój chorego, i jego pościel były zdezynfekowane, co jest koniecznością w każdym przypadku zakażeń pokarmowych. Również rodzina, która była w kontakcie z chorymi, nie była pod obserwacją i nie była badana, co jest koniecznością w takich przypadkach. Diagnoza została postawiona następnego dnia na podstawie badania owadów — również nie wspomniano badania kału chorych. Następnego dnia wszyscy troje zmarli. Żaden członek rodziny, mimo kontaktu z chorymi nie zakażył się cholerą, nie było również przypadków cholery w okolicy, gdzie znaleziono zakażone owady, nawet nie było zakażeń poronnych. Mimo tak niefachowego traktowania chorych i braku akcji zapobiegania zakażeniom, cały teren został odosobniony jako teren kwarantanny i otoczony żołnierzami. Meray i Pracki musieli włożyć ubrania ochronne i posiadać świadectwa szczepienia i — żeby wejść na teren kwarantanny — zostali spryskani płynem dezynfekcyjnym od stóp do głów przed wkroczeniem na ten teren i po jego opuszczeniu. Informacje od Meraya pochodzą z książki J. Clewsa: „Technika propagandy komunistycznej”. Po prostu potwornością jest sposób, w jaki postąpiono z ciałami ofiar. Zostały one spalone, a prochy były pogrzebane w anonimowym grobie w pobliskich górach, 23 stopy pod ziemią. Rodzina nie wiedziała gdzie grób się znajduje i nie postawiła pomnika. Nic dziwnego, że Meray nazwał postępowanie władz „straszną komedią”. Według zaleceń WHO o których koreańska Służba Zdrowia musiała wiedzieć, ciała zmarłych na cholerę po obmyciu płynem dezynfekcyjnym miały być pogrzebane według religijnych zwyczajów rodziny. Okropności wyżej opisane mogły tylko

szerzyć terror wśród ludności koreańskiej i pogłoski w światowej społeczności, że Stany Zjednoczone zaraziły Koreańczyków straszną chorobą. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o rozmowie z bolejącą matką dwojga małych dzieci, która w rozmowie z Merayem nie mówiła o swojej stracie, tylko powtarzała pytanie: „Dlaczego ich zamordowano?” Jest bardzo prawdopodobne, że opisany tu przypadek nie był przypadkiem cholery, a nawet mogła to być fikcja.

Przypadek drugi:

Dnia 17 maja 1952 mieszkanka wsi Czari znalazła w górach, w odległości 400 jardów od stacji pomp, paczkę skorupiaków w opakowaniu z krzyżowo plecionej słomy. Mimo że skorupy były potłuczone, kobieta wzięła podejrzaną paczkę do domu i przyrządziła surowe małże dla siebie i dla męża. Tego samego dnia zachorowali na cholere a następnego dnia zmarli. Poprzedniego dnia stacja pomp, która dostarczała wodę ze źródeł była zbombardowana, ale nie była uszkodzona. Z tego przypadku wysnuto daleko idący wniosek, że skorupiaki zostały zrzucone przez Amerykanów, aby zatruć wodę, co się nie udało. Skorupiaki uznano za rzut amerykański, bo były opakowane w krzyżowo plecioną słomę, opakowanie charakterystyczne dla miejscowości Pusan w Południowej Korei. Znaleziono jeszcze 4 paczki małży, które oblano naftą i podpalono. Nie było epidemii „na skutek doskonałej profilaktyki”. Co tu mówić o profilaktyce, jeśli mieszkańcy Północnej Korei w czasie reklamowanej epidemii cholery nie wiedzieli, że surowe ryby, małże, a nawet owoce i jarzyny w czasie epidemii cholery powinny być wyeliminowane.

Tyle o tych dwóch klasycznych przypadkach cholery, powtarzanych przy wszystkich okazjach. Faktem jest, że nie było na skutek tych zachorowań żadnej epidemii, co potwierdza oświadczenie Prackiego. Nie można dzisiaj dowieść, dlaczego nie było tej epidemii, ale jest to faktem. Możliwe, że koreańska Służba Zdrowia była tak zła, że nie umiała rozpoznać cholery, żadnych dowodów nie można znaleźć bez wglądu w archiwa koreańskie, o co bezskutecznie zabiegałam.

W 1952 roku kłamstwa i fałszerstwa szerzone przez Blok Wschodni pod kierownictwem Moskwy poskutkowały. Na całym świecie odbywały się demonstracje przeciw wojnie bakteriologicznej w Korei. Generała Matthew Ridgwaya w

ulicznych demonstracjach przezywano „generał Zarazek”. Samolot z wektorami obładowanymi bakteriami nigdy nie został znaleziony. Zamiast tego posłużono się fałszerstwami. Czterej pojmani do niewoli amerykańscy lotnicy w obliczu terroru i gróźb, że nigdy nie wrócą do domu, „przyznali się” że uczestniczyli w wojnie bakteriologicznej. Po powrocie do Stanów natychmiast odwołali wymuszone „zeznanie”.

Należy zaznaczyć, że afera „wojny bakteriologicznej” została zorganizowana w najgorszym okresie stalinowskiego terroru, gdy nie wahano się fałszywie oskarżać każdego, a z przeciwnikami rozprawiano się bez pardonu. Nikomu nigdy nie przyszło na myśl, że można znaleźć szczegóły tej afery badając źródła w Polsce. Jednak z tego artykułu widać, ile nowych informacji można było tam znaleźć, z których chyba najbardziej sensacyjny jest Lucjan Pracki. Jeśli idzie o mnie zdecydowałam się na badanie polskich źródeł, gdy w swej pracy nad publikacją biografii Profesora Hirszfelda stwierdziłam, że w 1952 roku polscy mikrobiolodzy byli jedyną grupą mikrobiologów Bloku Wschodniego, która odważyła się stanąć w opozycji do oskarżania Stanów Zjednoczonych o prowadzenie wojny bakteriologicznej w Korei. Wnioskując z tego, że polscy mikrobiolodzy mieli informacje na ten temat, rozpoczęłam poszukiwania w opublikowanej literaturze i w polskich archiwaliach, niektóre z nich uprzednio były ściśle tajne. Wiele z nich (ale nie wszystkie) udostępniono obecnie. Jak było do przewidzenia, polscy mikrobiolodzy którzy stanęli w opozycji mieli wielkie kłopoty. Tuż po oficjalnych oskarżeniach o wojnę bakteriologiczną, Zarząd PTM opublikował w *Acta Microbiologica Polonica* notę z apelem do mikrobiologów amerykańskich, aby sprawdzili fakty i nie dopuścili do wojny bakteriologicznej. Apel, powtórzony gdzie indziej był autentyczny, ale dalsza część noty nie była. Wymagało to wielkiej odwagi, aby prosić mikrobiologów wroga o sprawdzenie twierdzeń Bloku Wschodniego i można było spodziewać się rewanszu. Część noty zawierała nieprawdziwe fakty, znane podpisanym i potwierdzone danymi literatury (potępienie mikrobiologów biorących udział w badaniach bakteriologicznych na Zjeździe Mikrobiologów w Kopenhadze i potępienie takiej działalności przez polskich mikrobiologów na Zjazdach Międzynarodowych i Zjazdach w Polsce). Wkrótce po opublikowaniu apelu, polscy mikrobiolodzy wiedzieli już, że wojna bakteriologiczna była fikcją, której popierania odmówili. Przewodniczący Komitetu Zjazdu Polskich

Mikrobiologów w Łodzi, Zabłocki (Zjazd odbył się w listopadzie 1952) nie umieścił tematu wojny bakteriologicznej w planie Zjazdu. *Trybuna Ludu* w raporcie ze Zjazdu podała przemówienia programowe prezydenta PTM Szymanowskiego i byłego prezydenta, Hirszfelda. Żaden z nich nie wspomniał o wojnie w Korei i o roli USA w „wojnie bakteriologicznej”, *de facto* zaprzeczając jej. Mimo propagandy zwolenników polityki antyamerykańskiej rezolucja o wojnie bakteriologicznej w Korei nie została uchwalona przez Zjazd. Komunistyczny dziennik jednak wykorzystał prywatne przemowy zwolenników polityki antyamerykańskiej, którym nie można było zamknąć ust, do fałszywego tytułu raportu: „PTM potępiło Stany Zjednoczone za wojnę bakteriologiczną w Korei”. Nie było to jedyne fałszerstwo przeciw zbuntowanym mikrobiologom. W *Nowej Kulturze* ukazało się sfalszowane przemówienie Hirszfelda na Zjeździe PTM w Łodzi, które jest w archiwach PANu. W *Postęпах Higieny i Medycyny Doświadczalnej* (153, 1953) jest również nieautentyczny artykuł Hirszfelda: „Wojna i etyka lekarska”, który można przeczytać w Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie. Nawet w Stanach Zjednoczonych jest nieautentyczny list Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów z 1952 roku, w którym Hirszfeld jest podpisany jako pierwszy. List ten jest potępieniem Stanów Zjednoczonych za wojnę bakteriologiczną w Korei, ale ani tego listu nie ma nigdzie w Polsce, ani odpowiedź na ten list nie doszła do Polski. Archiwum Iowa University, gdzie ten list jest w aktach, zgodziło się ze mną, że jest to fałszerstwo. W ten sposób zemszczono się na polskich mikrobiologach za ich opozycję do polityki stalinowskiej.

M. ROLICKA

Piotr WANDYCZ

O STOSUNKACH POLSKO-CZESŁOWACKICH: GARŚĆ REFLEKSJI

Lektura polemicznej odpowiedzi Tadeusza Kisielewskiego (*Dzieje Najnowsze*, nr 2, 1993) na krytyczną recenzję jego książki¹ przez Jaroslava Valentę skłania mnie do pewnych refleksji. Nie jest moim zamiarem włączanie się do tej dyskusji. Poza wszystkim innym nie znam tekstu Valenty w periodyku *Slovanský přehled* (luty 1992) ani jego repliki na odpowiedź Kisielewskiego, której *Dzieje Najnowsze* nie mogły już umieścić. Chodzi mi zresztą o bardziej zasadniczą sprawę. Zagadnienie stosunków czesko-słowacko-polskich nie przestaje być aktualne nawet w dobie obecnej, a wokół ich dziejów w XX wieku nagromadziło się wiele uprzedzeń i uproszczonych sądów czy to wynikających ze złej woli, ignorancji, czy po prostu będących kalkowaniem pewnych stereotypów od których jakże ciężko się wyzwolić. Zadaniem historyka jest ciągła weryfikacja i kwestionowanie starych ocen w świetle nowych czy reinterpretowanych faktów; okres drugiej wojny światowej i poprzedzające go lata stanowią obszar wymagający szczególnych wysiłków w tej mozolnej i często niewdzięcznej pracy.

Od czasu ukazania się w 1956 r. mego „młodzieńczego” opracowania o próbach konfederacji czesko-słowacko-polskiej,

1. Tadeusz Kisielewski, *Federacja środkowo-europejska: pertraktacje polsko-czechosłowackie 1939-1943* (Warszawa, 1991).

które Kisielewski uprzejmie nazywa „wnikliwą monografią”, a którego słabe strony dziś najlepiej widzę, upłynęło wiele lat. Podczas ostatnich czterech dekad wydano szereg cennych pozycji, które znakomicie wzbogaciły naszą znajomość tych dziejów. Ja sam wracałem do tej tematyki w kilku artykułach, starając się m.in. przeprowadzić pewną analogię pomiędzy próbą Sikorskiego i Beneša a Dymitrowa i Tity², czy też wprowadzając jakieś nowe naświetlenia i fakty i uzupełniając dane bibliograficzne³. Wciąż jeszcze jest jednak dużo do zrobienia.

Książka Tadeusza Kisielewskiego, o której jedynie wspomniałem w jednym z mych przeglądów nowych książek w *Zeszytach Historycznych*, zasługuje niewątpliwie na baczniejszą uwagę. Pragnąłbym spojrzeć na nią w całokształcie zagadnienia i w kontekście istniejącej literatury naukowej. Nie piszę więc recenzji *sensu stricto*, ale raczej dzielę się z czytelnikami *Zeszytów* pewnymi obserwacjami czy refleksjami na jej marginesie. *Primo*, trzeba stwierdzić, iż główną zaletą monografii Kisielewskiego jest rzetelne wykorzystanie takich zespołów archiwalnych jak kolekcja Gen. Sosnkowskiego w Ossolineum, kolekcja Stanisława Kota w Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego w Warszawie czy kolekcja Edwarda Raczyńskiego w Instytucie Polskim i w Muzeum Gen. Sikorskiego w Londynie. Do archiwów czechosłowackich, jak autor zaznacza, nie uzyskał wstępu — książka była pisana w 1988 roku — co, mówiąc jego słowami „czyni zapewne pracę jednostronną”. Z tym niestety musimy się zgodzić i to nie tylko ze względu na brak archiwów polskich, ale także ze względu na niedostateczne wykorzystanie czechosłowackich źródeł drukowanych.

Przede wszystkim uderza brak wydawnictwa: *Dokumenty z historie československé politiky 1939-1943* (2 tomy, Praga) pod red. Libuši Otáhalovéj i Milady Červinkovej. Mniej poważną, ale niemniej istotną lukę stanowi brak wspomnień

2. Po angielsku, „Recent traditions of the quest for unity: attempted Polish-Czechoslovak and Yugoslav-Bulgarian Confederation 1940-48” w: Jerzy Lukszewski ed., *The People's democracies after Prague* (Bruges, 1970) a po polsku w nieco skróconej wersji w: Piotr Wandycz, *Polska a zagranica* (Paryż, 1986).

3. Ostatnio w artykule pt. „Próby stworzenia konfederacji polsko-czechosłowackiej podczas II wojny światowej”, *Znaki Czasu* nr 20, 1990 oraz w nie publikowanym dotąd referacie wygłoszonym w 1992 r. w Pradze pt. „Beneš v Londýně”.

Ladislava Feierabenda, szczególnie tomy *Ve vládě v exilu i Beneš mezi Washingtonem a Moskvou* (Washington, 1965-1966). Świadectwem czasu są też wspomnienia Rudolfa Bechyňe *Pero mi zustalo 1938-1945* (Praga, 1947). Książka Edwarda Taborský'ego, *President Edvard Beneš between East and West 1938-1948* (Stanford, 1981) zasługuje na bardzo uważną lekturę ze względu na fakt, iż Taborský był sekretarzem Beneša i stosunek jego do prezydenta choć bardzo bliski nie był bezkrytyczny. W książce tej autor powołuje się też na szefa kancelarii prezydenta Jaromíra Smutný'ego, którego zapiski np. z konferencji moskiewskiej wykorzystał i cytował obszernie Vojtěch Mastný w opracowaniach w języku czeskim i angielskim⁴. Pominiecie tych wszystkich dzieł jak i innych pisanych przez Czechów i Słowaków, których tytuły znajdzie czytelnik w bibliografiach moich artykułów, jest poważnym mankamentem. Jednostronność książki staje się dość oczywista i byłoby lepiej gdyby autor mocniej uwidatnił fakt, że przedmiotem jego pracy jest polityka rządu polskiego w Londynie wobec Czechosłowacji a nie obopólne stosunki czy też ich kontekst międzynarodowy. Skoro mowa o tym ostatnim to nie można zignorować opartego na brytyjskich archiwach opracowania: Detlef Brandes, *Grossbritannien und seine osteuropäischen Alliierten 1939-1943* (München, 1988), ale zapewne ukazało się ono zbyt późno, aby Kisielewski mógł z niego skorzystać.

Rokowania i rozmowy londyńskie są oczywiście trudne do analizy, zwłaszcza jeśli chodzi o stronę czechosłowacką, bez gruntownej znajomości okresu międzywojennego. Po napisaniu mojej pracy o próbach konfederacyjnych odczułem bardzo mocno brak wystarczającej znajomości tego okresu i poświęciłem wiele lat studiów dziejom tych stosunków od 1919 do 1936 co zaowocowało dwoma tomami⁵. Okres przed i pomonachijski został już też solidnie przepracowany. Nie wiem oczywiście jak dobrze Kisielewski jest czytany w tym okresie, ale jego krótki z konieczności wstęp traktujący o latach przedwojennych stwarza wrażenie, że autor nie porusza

4. „Benešovy rozhovory se Stalinem a Molotovem”, *Svědectví*, XII, nr 47(1974) i *Russia's Road to the Cold War* (New York, 1979).

5. *France and her Eastern Allies 1919-1925: French-Czechoslovak-Polish Relations from the Paris Peace Conference to Locarno* i *The Twilight of French Eastern Alliances 1926-1936: French-Czechoslovak-Polish Relations from Locarno to the Remilitarization of the Rhineland*.

się w tej tematyce ze swobodą i znajomością literatury przedmiotu. Trudno przyjąć na przykład opinię, że Mała Ententa miała być przeciwwagą dla Polski; to nie był jej cel i zadanie. Mając do dyspozycji tyle poważnych i dogłębnych opracowań nie można traktować wypowiedzi Kazimierza Wierzbiańskiego, skądinąd uroczego i interesującego pana, jako miarodajnych ocen polityki czechosłowackiej. Jako *attaché* prasowy Wierzbiański o wielu rzeczach nie wiedział czy wiedział niedokładnie, a jego punkt widzenia na sprawy czeskie był typowy dla polskiego inteligenta z lat 1930-ych. Traktować go jako źródło jest rzeczą nieco niebezpieczną. Misja Nečasa, wysłanego przez Beneša do nawiązania kontaktu z Blumem, do czego w końcu nie doszło, nie ma większego znaczenia, jakkolwiek Borowy a za nim Kisielewski zdają się jej takowe przypisywać. Rzekome aresztowanie gen. Ingra (*nota bene* korektor nie może się zdecydować czy nazwisko brzmi Ingr czy Ingra), jeśli w ogóle miało miejsce, wydaje się nieco tajemnicze. Skąd autor czerpie swe informacje? Stwierdzenie, iż Tomasz Masaryk postulował unię czechosłowacko-polską w 1917 r. jest jakimś nieporozumieniem, jakkolwiek podczas pierwszej wojny Masaryk wyrażał często cytowaną opinię o współzależności istnienia Polski i Czechosłowacji. Stwierdzenie tego faktu a dążenie do unii to jednak nie to samo.

Zdanie o zaproponowanej „w 1919 r. przez Anglię granicy z Rosją Radziecką zwaną linią Curzona” (s. 24) ustanawia rekord nieścisłości. W grudniu 1919 r. Najwyższa Rada a nie Anglia przyjęła rezolucję o tymczasowym rozgraniczeniu Polski na wschodzie. W 1920 r. Lord Curzon podpisał telegram (z którym poza tym nie miał nic wspólnego) w imieniu konferencji w Spa, żądający, aby armia czerwona nie przekroczyła linii określonej w powyższej rezolucji. Można powiedzieć, że są to drobne nieścisłości, ale pozwolę sobie zacytować moją ulubioną francuską maksymę, iż *la vérité est dans les nuances*. Skoro mowa o niuansach to Kisielewski nie zawsze rozróżnia między ambasadami a poselstwami, a przed drugą wojną światową to była *duża* różnica, o której historyk dyplomacji winien wiedzieć. Podobnie nazwanie Hodży i Sidora ludowcami może nasuwać wrażenie, iż dla autora tzw. ludacy a agrariusze to było jedno i to samo. Albo weźmy lakoniczną uwagę o porażce Sidora po październiku 1938 r. Czyż tzw. poprawki graniczne na korzyść Polski m.in. na Orawie i w Jaworzynie nie były ciosem dla popolskiej orien-

tacji Sidora? A o tym aspekcie konfliktu polsko-czechosłowackiego, który zwykle się ograniczać do Zaolzia nie ma tu ani słowa. Jest rzeczą oczywistą, iż na tych kilkunastu stronach dotyczących okresu przedwojennego Kisielewski musi z natury rzeczy pewne sprawy upraszczać a inne opuszczać. Ale właściwe rozłożenie akcentów i dobór materiału odgrywa w takim wypadku zasadniczą rolę. Tło nie jest tu najszczęśliwiej naszkicowane.

Wchodząc *in medias res* Kisielewski wnosi wiele interesującego materiału. Niewątpliwie ciekawy i wart przytoczenia jest nieznany referat radcy Hładkiego z przedwojennego poselstwa RP w Pradze, w którym daje on charakterystykę Czechów. Autor żałuje, że nie mógł sprawdzić czy istnieje jakiś odpowiednik czechosłowacki w archiwach praskich, ale w braku takiego można było powołać się chociażby na wnikliwe przedwojenne studium o Polsce i Polakach pióra czechosłowackiego dziennikarza związanego z *Prager Presse* i *Le Monde Slave*, który spędził sporo czasu w Polsce. Jest to Václav Fiala a tytuł książki brzmi *Soudobé Polsko*. Istnieje też wersja francuska tej książki. Niewątpliwie ciekawie brzmi charakterystyka Jana Masaryka w sprawozdaniach polskich dyplomatów (Kajetana Morawskiego) podkreślająca jego krytyczny stosunek do ZSSR. Masaryk był człowiekiem o bardzo złożonej osobowości. Jego styl i jędrny język pasował raczej do cyganerii niż do dyplomacji i powodował krytyczne uwagi. Ale był to może tylko zewnętrzny pancerz ochronny, pod którym Masaryk krył swą wielką wrażliwość i nerwowość, graniczącą nieomal z depresją. Przytoczone tu antysowieckie czy nawet antyrosyjskie wypowiedzi Masaryka kontrastują z wynurzeniami w jego rzekomym liście do Stalina napisanym tuż przed śmiercią. Które poglądy były prawdziwe? W każdym razie Kisielewski ma z pewnością rację gdy zauważa, że o polityce zagranicznej (jak i zresztą o polityce *tout court*) na emigracji decydował Beneš a nie Masaryk. Choć byli prawie równi wiekiem Masaryk nie zwracał się do Beneša inaczej jak „panie prezydencie”, zaś tamten mówił mu Honzo (Jasiu). To też rzuca światło na ich wzajemny stosunek.

Wydaje mi się, że autor stanowczo przecenia znaczenie podróży gen. Sikorskiego do USA i sugeruje się jego zapewnieniami o sukcesach jakie uzyskał. Amerykanie nigdy nie byli „żywo zainteresowani ideą federacji”, a jeśli Sikorski tak twierdził, przynajmniej w swych oficjalnych wystąpieniach, to

łudził siebie i innych. Ostatnia, trzecia podróż Sikorskiego była fiaskiem, co widać z zapisków takich osób jak płk Mitkiewicz. W tym wypadku również nie widać, aby autor sięgnął do opracowań takich autorów jak Kacewicz, Lukas czy Terry, które dają dobry wgląd w politykę międzynarodową tego okresu⁶. Propagandowe oświadczenie Sikorskiego, cytowane przez autora: „znalazłem zrozumienie” u Roosevelta, mówi dużo o Sikorskim ale mało o Rooseveltcie. Szkoda też, że Kisielewski nie uwypuklił silniej niezadowolenia Beneša z prób Sikorskiego występowania jako rzecznik obu rządów a nawet całej Europy środkowo-wschodniej w Ameryce. Podobnie Eden uważał, iż Sikorski komplikuje tylko sprawy swym orędownictwem mniejszych państw na emigracji. Nie chciałbym jednak pozostawić wrażenia, że Kisielewski ma bezkrytyczny stosunek do Sikorskiego i jego polityki. W konkluzji stwierdza on wyraźnie, iż wiele z ambitnych planów polityki zagranicznej generała było zawieszonych w próżni. Im większy nasz dystans do tych spraw tym bardziej ma się wrażenie, że motto rządu mogło być „mierz siły na zamiary”.

W głównej części książki mniej jest pośliźnięć niż w krótkim wstępie. Z obowiązku recenzenta wspomnijmy o niektórych z nich. Wydaje mi się niesłuszne nazywanie umowy sowiecko-czechosłowackiej z 1941 r. sojuszem. Czym w takim razie był układ z 1943 r., któremu Anglia początkowo sprzeciwiała się nie tylko dlatego, iż izolował rząd polski, ale też dlatego, że nie chciano aby mniejsi sojusznicy zawierali odrębne alianse z mocarstwami wielkiej koalicji. Przy wzmiance o Seton-Watsonie jest chyba błędnie sugerowane, że chodzi tu o Hugh'a, bo raczej mógł tu wchodzić w grę jego ojciec Robert. Rzucają się w oczy literówki w wypadku nazwisk Feierabenda i Hejreta. Końcowy rozdział o nastawieniu Kraju do planów federacyjnych jest użyteczny, ale nie wyczerpuje tematu. Przy tej okazji warto zasygnalizować choćby jedną książkę: *Europa-Föderations-pläne der Widerstandsbewegungen 1940-1945* w opracowaniu Waltera Lipgens'a (Monachium, 1968). Brak jest też wzmianki o pró-

6. George Kacewicz, *Great Britain, the Soviet union and the Polish Government in exile 1939-1945* (Haga, 1979); C. Lukas, *The Strange Allies: The United States and Poland 1941-1945* (Knoxville, 1979); Sarah M. Terry, *Poland's Place in Europe: General Sikorski and the Origin of the Oder-Neisse Line 1939-1943* (Princeton, 1983).

bach propagowania koncepcji federalistycznych wśród emigracji polskiej i czeskiej. Interesująca pod tym względem jest broszura Vladimíra Jezerníka, *Západoslovenská unie a svaz středoevropských států* (Londyn, Edenburg 1942). O sprawach tych pisał też Jerzy Lerski w swoich wspomnieniach.

Ogólnie biorąc uważam, że Kisielewski skreślił poprawny obraz stosunków między obu rządami, choć obraz ten jest widziany zasadniczo przez polski pryzmat i nie jest wszechstronny. Autor zresztą zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli chodzi o istotę prób konfederacyjnych to Kisielewski słusznie zwraca uwagę na wypowiedź Beneša w listopadzie 1942 r., w której stwierdził on, że konfederacja z Polską miała inne znaczenie przed i po wejściu ZSSR do wojny. Tu leży klucz do całej sprawy. Nie ulega dziś wątpliwości, że w 1939/40 Beneš dążył do zbliżenia z Polską z dwóch powodów. *Primo*, pragnął wyrównania tych stosunków, czego nie udało się osiągnąć przed wojną a co dla Czechosłowacji miało duże znaczenie. Jak pisał w 1940 r. do swego brata Vojty, nawiązując w jakimś sensie do wypowiedzi Masaryka z okresu pierwszej wojny (Czechy nie będą mogły egzystować bez Polski tak jak Polska bez Czech) „*my bychom bez jejich restaurace restaurování býti nemohli*”. Wydawało mu się początkowo, iż rząd Sikorskiego, złożony z przedwojennej opozycji do „beckowskiej Polski”, jak to określano z patologiczną wprost nienawiścią do polskiego ministra spraw zagranicznych, zmieni kompletnie orientację polityki na nie tylko antyniemiecką ale i na prorosyjską, dostosowując się do linii politycznej Beneša. Okazało się jednak, że tak nie jest. Informując w 1943 r. czeskie czynniki polityczne pod okupacją, czyli w Protektoracie, pisał: „czekaliśmy wszyscy na to, że Polacy się czegoś nauczą ze swej katastrofy. Niestety... tak się nie stało⁸”.

W tym momencie Beneš starał się oczywiście uzasadnić dlaczego nastąpiło zerwanie z Polakami, ale już wcześniej podkreślał, że dąży do umowy „nie z Sikorskim, ale z polskim narodem”. Zdaniem Beneša musiało w Polsce przyjść po wojnie do przewrotu, który uniemożliwiłby dojście do władzy „beckowcom, czy magnatom czy sikorszczykom”. Powojenna Polska z którą współpraca byłaby możliwa musiałaby być „nie szlachecka, nie obszarnicza, [ale] silnie socjalna i

7. Cytowane w Otáhalovej i Cervinkovej, *Dokumenty*, I, 99.

8. Tamże, II, 704. Mój przekład.

demokratyczna. A także nie może i nie śmie być antyrosyjska⁹. Tak więc właściwie od początku Beneš kładł nacisk na ideologiczną stronę zbliżenia z Polską i chyba wcześniej zaczął uważać emigrację polską za „reakcyjną”¹⁰.

Secundo, niewątpliwą rolę odgrywały względy taktyczne. Zbliżenie z rządem Sikorskiego dawało większe szanse na uzyskanie uznania od Brytyjczyków i postawienia całej sprawy czechosłowackiej na odpowiednim poziomie międzynarodowym. Dlatego też można przyjąć przynajmniej za częściową prawdę tłumaczenie jakim posługiwał się Beneš wobec Mołotowa w 1943 r.: „Potrzebowaliśmy uznania od Anglików a ci stawiali warunek, nie uznamy was jeśli się nie dogadacie z Polakami. Nalegali na federację. Polacy też. Pod taką presją rokowaliśmy”¹¹.

Reasumując, Beneš pragnął uregulowania stosunków z Polską, ponieważ droga do tego wiodła poprzez konfederację wysuwana przez Sikorskiego i Brytyjczyków zaangażował się w tę koncepcję. Nie wydaje się, aby kiedykolwiek był zwolennikiem rozwiązań federacyjnych *per se* jak na przykład Hubert Ripka, który znalazłszy się powtórnie na emigracji po 1948 r. propagował nadal myśl związku środkowo-europejskiego¹². Wzorem bliskiej współpracy była dla Beneša przedwojenna Mała Ententa. Zbliżenie z Polską miało oczywiście inny cel w okresie kiedy ZSSR był neutralny, a inny gdy stał się sojusznikiem. W żadnym wypadku jednak nie mogło ono stanowić obciążenia dla polityki czechosłowackiej i utrudniać stosunków z Moskwą. Wprost przeciwnie, miało w jakiś sposób uzupełniać nową konstelację w Europie środkowej i wschodniej.

Pomimo częstych zaprzeczeń Beneš występował w 1943 i 1944 r. jako *de facto* pośrednik między Stalinem a Polakami, pragnący doprowadzić do rozładowania napięć sowiecko-polskich. Podczas gdy Churchill uważał, że za cenę ustępstw terytorialnych będzie można uratować suwerenność Polski, a ambasador amerykański w Moskwie Harriman sądził, że „re-

9. Tamże, I, 237, 242, 131-132.

10. W maszynopisie pamiętników z własnoręcznymi poprawkami przechowywanym w Hoover Institution Archive czytamy: „složení polské emigrace v r. 1939 [bylo] převážně reakční”.

11. Cytowane w Mastný, „Benešovy rozhovory”, s. 486.

12. W 1953 roku wydał w Nowym Jorku własnym nakładem powielaną broszurę pt. *A Federation of Central Europe*. Jest to niewątpliwie biały kruk, który posiadam z dedykacją Ripki.

konstrukcja” rządu londyńskiego pozwoli na ponowne nawiązanie stosunków między rządami polskim a sowieckim, Beneš był bliższy linii Harrimana¹³. Oceniał jednakże bardziej pesymistycznie niż Harriman możliwość przekształcenia rządu w Londynie po myśli sowieckiej, uważając, że trzeba będzie czekać na powstanie nowego rządu polskiego w kraju wyzwolonym przez Sowiety. Po roku 1943 czyli już po ostatecznym podzwonnym planów konfederacyjnych a nawet sojuszniczych polsko-czechosłowackich, wystąpienia Beneša w polskich sprawach nacechowane były nadal tym samym krótkowzrocznym „realizmem” politycznym, którego skutki miał odczuć boleśnie na własnej skórze w 1948 r. I to może jest najważniejsza „lekcja” i morał jaki wypływa z rokowań londyńskich, morał, który niektórzy dzisiejsi liderzy Republiki Czeskiej zdają się ignorować, nie doceniając realnych lub potencjalnych korzyści płynących ze współpracy regionalnej.

Książka Kisielewskiego przy wszystkich jej brakach, na które starałem się zwrócić uwagę, stanowi z pewnością cenny przyczynek do tematyki polsko-czechosłowackiej podczas drugiej wojny. Temat ten wciąż jeszcze stwarza możliwości dalszych badań. Ze strony czeskiej czy czesko-amerykańskiej powstają w Ameryce nowe rozprawy poświęcone Benešowi pióra Milana Haunera czy Igora Lukesa. Dobrze będzie jeśli ukaże się drukiem ukończona parę lat temu i szeroko udokumentowana praca doktorska Izabeli Tereszczenko. Różne aspekty nadają się do głębszych studiów, na przykład aspekt sowiecki w oparciu o archiwa rosyjskie. Podzielam w pełni nadzieję Tadeusza Kisielewskiego, iż doczekamy się poważnego opracowania ze strony czechosłowackiej z wykorzystaniem archiwaliów praskich, co pozwoli na jakąś ostateczną i wszechstronną syntezę całego zagadnienia.

Piotr WANDYCZ

13. Na ten temat dużo informacji i wnikliwych interpretacji wnosi w oparciu o archiwum Harrimana William Larsh, „W. Averell Harriman and the Polish Question, December 1943-August 1944”, *EEPS*, 7, nr 3 (1993).

WYWIADY

„ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Andrzej FRISZKE, Jerzy POKSIŃSKI

POMIĘDZY LONDYNEM A WARSZAWĄ ROZMOWA Z MARIANEM UTNIKIEM

Marian Utnik, ur. 7 grudnia 1902 r. Od 1943 zastępca, od 10 lipca 1944 szef Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

Po likwidacji Oddziału VI w 1945 r. wraz ze Stanisławem Tatarem i Stanisławem Nowickim członek komitetu Fundacji „Drawa” administrującej m.in. funduszami pozostałymi z prac Oddziału, darem Roosevelta dla Mikołajczyka i złotem FON. Wraz z innymi członkami komitetu Fundacji zdecydował się przekazać ten majątek do kraju. W 1948 mianowany pułkownikiem przez marszałka PRL Michała Rolę-Żymierskiego. Aresztowany w Łodzi 3 listopada 1949 r. Sądzony w 1951 r. w tzw. procesie Tatara i skazany na karę 15 lat więzienia. Zwolniony w 1956. Zrehabilitowany.



PYTANIE: — *Był Pan zastępcą, a następnie szefem Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza. Był to jeden z ważnych i bardzo czułych organów sił zbrojnych w warunkach wojny. Oddział VI zajmował się łącznością z okupowanym krajem, przyjmował i wysyłał korespondencję z dowódcą Armii Krajowej, ekspediował kurierów, skoczków-cichociemnych. Koncentrowała się więc tutaj rozległa i najściślej tajna wiedza dotycząca konspiracji w kraju. Wśród wielu cech i kompetencji*

potrzebnych w tej pracy kilka miało znaczenie szczególne: absolutna lojalność, dyskrecja, bezstronność i apolityczność.

MARIAN UTMAN: — Jako zastępca szefa Oddziału do spraw szkolenia musiałem znać różnych ludzi polityki, aby orientować się w ich poglądach. Widziałem jaki jest nacisk na tych szkolonych przeze mnie kurierów, skoczków, którzy mają iść do walki w kraju. Co chwila wyskakiwały partyjne wtyczki. Musiałem to weryfikować. Był co prawda w Oddziale oficer kontrwywiadu, Giedronowicz, ale to był kontrwywiad „Dwójki”, czyli Oddziału II i on nas wszystkich miał kontrolować.

PYT.: — *Łączność z krajem utrzymywały właściwie dwie komórki w Londynie — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które kontaktowało się z Delegatem Rządu i stronnictwami oraz Oddział VI utrzymujący łączność z Dowódcą AK. Ponieważ w MSW dominowali ludowcy, więc przeciwnicy polityczni Mikołajczyka mieli trudności w kontaktowaniu się z krajem. Czasami udawało im się przestać jakąś depeszę właśnie przez Oddział VI.*

M. U.: — Kiedy przyjechałem z Kanady w kwietniu 1942 r. powiedział mi Józef Winiewicz, pracownik w biurze min. Seydy, że prezydent chciałby się ze mną zobaczyć. Poszedłem. Raczkiewicz skarżył się, że ma urwane kontakty z krajem i nie może nic tam przysłać. Wszystko ludzie Sikorskiego mu wyrzucają. Odpowiedziałem, że nic wyrzucać nie będę, ale zapytałem o co konkretnie chodzi, gdyż muszę wiedzieć na ile mogę naruszyć regulaminy. Prezydent wymienił nazwisko Romana Knolla, byłego wysokiego urzędnika MSZ, z którym chciał nawiązać kontakt. Zgodziłem się, aby skoczek zabrał coś dla niego. Umówiłem się, że przed jego odlotem do kraju przywiozę go na rozmowę do prezydenta. Tak też zrobiłem.

PYT.: — *Pana ówczesny szef ppłk Michał Protasewicz należał do oficerów bliskich Sikorskiemu, czy może Sosnkowskiemu?*

M. U.: — Był zdecydowanym „sikorszczykiem”.

PYT.: — *W 1944 r. podziały polityczne w Londynie ogromnie przybrały na ostrości wobec wejścia Rosjan na tereny polskie i poszukiwania przez Polaków w Londynie właściwej koncepcji*

reagowania na ten fakt. Mikołajczyk usiłował znaleźć porozumienie z Rosją i gotów był na duże ustępstwa, jego przeciwnicy ustępstwom się sprzeciwiali.

M. U.: — Kiedy organizowałem bazę w Brindisi (grudzień 1942-marzec 1943) przyjechał tam płk dypl. Leopold Okulicki z setką ludzi, którzy mieli być wyszkoleni na agentów antysowieckich. Przyszedł do mnie i mówi: przejmuję bazę. Odpowiedziałem, że mam pełnomocnictwa od szefa sztabu gen. Stanisława Kopańskiego i że ja tu rządę. Dyskutowałem z Okulickim całą noc. Mówił, że idzie do kraju i musi poznać zadania Bazy Oddz. VI w Latiano. Odpowiedziałem mu, że człowiek idący do kraju nie powinien za wiele wiedzieć o tym, co się dzieje tutaj, za granicą, o naszych przygotowaniach. Zatem, albo zrezygnuje z lotu do Polski, albo obejmie kierownictwo Bazy. W tym sporze pomógł mi gen. Tadeusz Kossakowski, który przyznał mi rację. A tę setkę ludzi przeszkoliliśmy jako kandydatów do akcji „Nie”.

PYT.: — *W kwietniu tzw. mostem (samolotem z lądowaniem w kraju) przyleciał do Londynu gen. Stanisław Tatar, dotychczasowy Szef Operacji i I zastępca Szefa Sztabu Komendy Głównej AK.*

M. U.: — Kiedy Tatar przyjechał do Londynu od razu między nim a gen. Kopańskim powstał konflikt. Obaj znali się zresztą dobrze z Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu — jeden był dowódcą baterii a drugi wykładowcą. Ja zaś byłem tam wtedy słuchaczem. Tatar w 1944 r. przyjechał z pretensjami, że Londyn nie spełnia właściwie swych obowiązków wobec kraju. Pewnego dnia dostaję telefon od Kopańskiego, żebym pojechał na spotkanie z Tatarem. Mówię, że przecież szefem Oddziału VI jest płk Protasewicz i on powinien pójść na rozmowę. Kopański na to, że Protasewicz odmawia. Dodał następnie, że z Tatarem w ogóle trudno jest rozmawiać, bo do wszystkich ma pretensje. Spytałem, czy ja mogę to zmienić? Zgodziłem się jednak. Rozmawiałem z Tatarem parę godzin. Opowiadał, co dzieje się w kraju. Narzekał, że z nikim w Londynie nie można się dogadać. „Dogadać się można — mówiłem — ale musi się Pan Generał ujawnić. Jeśli nie zacznie Pan tutaj działać, to za 6 tygodni nikt w Londynie nie będzie wiedział po co Pan przyjechał. Jeśli nie może Pan podawać prawdziwego nazwiska ze względu na rodzinę w kraju, to trzeba przybrać inne”. Tak też uczynił i wybrał nazwisko „Tabor”.

PYT.: — *Czy Tatar przyjechał z intencją hamowania wpływów piłsudczyków i budowania poparcia dla Mikołajczyka?*

M.U.: — Trudno powiedzieć. Tatar nie był „piłsudczykiem”, ale nie był też „sikorszczykiem”. Miał nastawienie endeckie, poglądy prawicowe, właściwie nacjonalistyczne.

PYT.: — *Ale z Bieleckim przecież się nie łączył.*

M.U.: — Jak to nie. Przyjechał razem z Zygmuntem Berezowskim, wybitnym endekiem. Berezowski i Tatar podobnie widzieli sytuację w kraju, chociaż wyciągali różne wnioski. Berezowski uważał, że trzeba zmusić Anglików, aby oni z kolei zmusili Rosjan do cofnięcia się, natomiast Tatar nie wierzył, że Rosja się wycofa. Ja zresztą uważałem tak samo. Pozostawała tylko kwestia, czy zostaniemy satelitą, czy znajdziemy się pod okupacją. Jeszcze przed powstaniem warszawskim Tatar próbował montować swoje kierownictwo, jakby bardziej akowskie. Ściągnął płka Stanisława Nowickiego, swego znajomego sprzed wojny, który był dobrym artylerzystą, ale o tej robocie do której teraz został wzięty nie miał większego pojęcia. Protasewicz nie zgadzał się z Tatarem w wielu rzeczach i zdecydował, że odchodzi.

PYT.: — *W maju 1944 r. gen. Tatar został powołany na stanowisko zastępcy Szefa Sztabu z zadaniem kierowania całącią zagadnień wojskowych związanych z Armią Krajową. Oddział VI miał więc być najważniejszym chyba narzędziem działania Tatara.*

M.U.: — Po odejściu Protasewicza w czerwcu 1944 proponowano mi objęcie szefostwa Oddziału VI. W nowych warunkach wytworzyła się cała hierarchia zależności: Naczelnny Wódz — Szef Sztabu — Zastępca Szefa Sztabu do Spraw Krajowych — Szef Oddziału VI.

PYT.: — *Trzeba dodać, że piramida ta nie mogła działać harmonijnie, gdyż każdy jej członek reprezentował inną orientację i inną koncepcję polityczną. Sosnkowski antymikołajczykowską i piłsudczykowską, Tatar mikołajczykowską i antypiłsudczykowską. Kopański — jak myślę — zajmował stanowisko pośrednie.*

M.U.: — W końcu lipca premier Mikołajczyk polecał do Moskwy. Naczelnny Wódz, który powinien siedzieć w Londy-

nie, choćby ze względu na decydujący okres walk AK w ramach planu „Burza”, pojechał do Włoch i znajdował się pod Anconą. Był więc o 100 km. od miejsca skąd było połączenie z dowódcą AK. Do Oddziału Specjalnego przychodziły przez sztab Andersa i przez prezydenta zarządzenia od Sosnkowskiego, gdy coś trzeba było przekazać komendantowi AK. A zatem czas przekazywania depesz ogromnie się wydłużał. W kraju tymczasem był przedstawiciel Sosnkowskiego — gen. Okulicki, który miał inną koncepcję, niż „Burza”. Jakie miał od Sosnkowskiego instrukcje, tego nie wiedzieliśmy.

PYT.: — Czy *promikolajczykowska orientacja w Oddziale Specjalnym była silna?*

M.U.: — Po ustąpieniu gen. Sosnkowskiego we wrześniu 1944 r. i w okresie niepewności co do dalszego losu rządu Mikołajczyka otrzymałem od Tatar wiadomość, że na szefa Oddziału ma przyjść płk Matecki, jeden z bliskich współpracowników Sosnkowskiego. Odpowiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, ale proszę, aby w takim razie przenieść mnie do linii. Tatar się zachnął. W październiku, kiedy Tatar wraz z Mikołajczykiem pojechał do Moskwy przyszedł Matecki i mówi, że interesują go tylko dwie rzeczy: klucze do kasy i szyfry do Polski. Pytam, czy ma to na piśmie. Odpowiedział, że nie, ale ma takie polecenie. Zrobiłem odprawę z oficerami Oddziału. Byli oburzeni. Powiedziałem im, że nie mogę utrudniać, skoro jest rozkaz, a rozmawiać też nie ma z kim, póki Tatar nie wróci z Moskwy.

Rano dostaję telefon z adiutantury gen. Kopańskiego, że mam przyjść do Oddziału dopiero o 10-tej. Przyjeżdżam i mój zastępca ppłk Hartman mówi mi, że odbyła się odprawa wszystkich oficerów Oddziału z gen. Kopańskim. Melduję się u Kopańskiego i słyszę: Twój Oddział się zbuntował, moich zarządzeń nie chcą wykonywać. Jakich zarządzeń — pytam. Przejęcia przez Mateckiego Oddziału. Powiedzieli, że odejdą z Oddziału. Kopański dodał, że interweniował również minister Władysław Banaczyk z MSW, który ostrzegał, że jeśli Matecki przyjdzie do Oddziału, to MSW zerwie współpracę. Zapytałem wobec tego jaka jest decyzja generała. Odpowiedział: pozostajesz szefem Oddziału.

Kiedy Tatar przyjechał nie powiedział, czy zrobiłem dobrze, czy źle. Nie zapytał nawet, czy to ja montowałem bunt Oddziału.

PYT.: — *A montował Pan?*

M. U.: — Nie. Bunt organizował ppłk Hartman, były adiutant Mościckiego, człowiek dość biegły w sprawach politycznych.

Tatar przyjechał i opowiedział, jaka jest sytuacja polityczna.

PYT.: — *Jaki był Pana stosunek do istniejącej sytuacji politycznej?*

M. U.: — Panował rozkład. Naczelnny Wódz gen. Bór-Komorowski znajdował się w niewoli. Rząd Mikołajczyka upadł w listopadzie. Różnica między Mikołajczykiem a resztą polegała na tym, że oni wierzyli w wybuch III wojny światowej. Tymczasem ja miałem stosunki z Anglikami i oni mówili: człowieku, zastanów się, był Teheran i musimy się do tego stosować. Znałem oficerów amerykańskich, którzy mówili mi w 1945 roku, że po śmierci Roosevelta jego następcą — Truman — brał pod uwagę zniszczenie Rosji kilkoma bombami atomowymi. W jego sztabie doszli do wniosku, że obezwładnienie Rosji wedle wzoru japońskiego jest możliwe. Ale co robić potem? Potrzebnych byłoby 12 milionów ludzi do okupacji kraju. Tak więc plan taki został odrzucony.

PYT.: — *Czy Oddział Specjalny był kontrolowany przez władze zwierzchnie pod względem finansowym i personalnym?*

M. U.: — Oddział VI nie był przez nikogo kontrolowany. W 1945 r., wystąpiłem do gen. Kopańskiego z prośbą o likwidację Oddziału. Uważałem, że jeśli będzie dalej prowadzona jakaś robota, musi to być robione inaczej. Kiedyś, jeszcze przed przyjazdem Bora do Londynu, a więc już w 1945 r. otrzymałem telefon, że mam się zgłosić w kancelarii Prezydenta. Przyszedł też Tatar. Kiedy weszliśmy do gabinetu Prezydenta zobaczyliśmy, że są tam już generałowie Marian Kukiel i Stanisław Kopański. Władysław Raczkiewicz powiedział, że spraw krajowych likwidować nie można, wojna się jeszcze nie skończyła i nie wiadomo, co będzie. Toteż, czy podobnie jak prowadzi Pan Oddział VI, zgodziłby się Pan poprowadzić antysowiecką konspirację? Odpowiedziałem, że jeśli taka będzie decyzja najwyższych władz państwowych, to jako żołnierz muszę się temu podporządkować. Musiałby

być jednak spełnione pewne warunki. Pierwszy, że wyciszymy sprawę III wojny światowej, nie będziemy tego propagować. Drugi, że poza mną nie będzie w nowej organizacji ani jednego człowieka z jakiegokolwiek akcji konspiracyjnej przeciw Niemcom. Wszyscy oni są bowiem znani komunistom i zostaną szybko rozpracowani. „Jak długo to może potrwać?” — spytano. Odpowiedziałem, że dla rozwinięcia komórek potrzeba paru tygodni, ale organizacja musiałaby być nastawiona na działalność przez nawet 10-15 lat. Na tym rozmowa się skończyła. Kiedy wyszliśmy Tatar był wyraźnie niezadowolony. Odpowiedziałem, że nie mogę inaczej sprawy stawiać. Tylko tak można postawić sprawę uczciwie.

Powracam do sprawy likwidacji Oddziału. Przystąpiłem do niej w końcu 1944 r., kiedy Tatar wrócił z Moskwy. Poprosiłem więc o przeprowadzenie kontroli finansowej. NIK wyznaczył komisję w osobach wiceprezesa NIK Zygmunta Nagórskiego i kontrolera Taszakowskiego. Od lutego do maja 1945 r. ustalała ona prawidłowość dotychczasowej gospodarki Oddziału. Zrobiono protokół, ale z kierownikiem NIKu ustaliłem jedną rzecz: dysponuję w bazie włoskiej sumą 6,5 mln. dolarów, które Mikołajczyk dostał od Roosevelta w czerwcu 1944 r. na akcję wojskowo-polityczną w Polsce w okresie powojennym. Ponieważ jest to dotacja przeznaczona na określony cel, musi być traktowana odrębnie. On jednak oświadczył, że muszę tę sumę w sprawozdaniu wykazać, gdyż wpłynęła do Oddziału. Odparłem, że w Londynie tych pieniędzy już nie ma, a jeśli ktoś będzie o to pytał, proszę skierować go do mnie.

Komitet powołanej dla administrowania tym majątkiem fundacji „Drawa” składał się z pięciu osób: gen. Tatara, płk. Nowickiego, płk. Edwarda Maliszewskiego, ppłk. Franciszka Prochaski i mnie. Dla władz angielskich został on zarejestrowany jako Komitet Samopomocy Koleżeńskej. Wszyscy oni byli ściśle związani z orientacją na Mikołajczyka.

PYT.: — *Czy powstanie tej fundacji było jakoś sformalizowane w postaci układu, porozumienia między Tatarem a Mikołajczykiem?*

M.U.: — Trudno mi powiedzieć.

PYT.: — *W artykule „Oddział Łącznikowy Komendy Głównej AK” pisze Pan że z funduszy Oddziału pozostało w 1945 r.*

8 milionów dolarów, które do 1 października 1945 były w dyspozycji gen. Tatar. Większość tej sumy — 6550 tys. dol. papierowych i ok. 30 tys. dol. w złocie było zdeponowanych w bazie włoskiej, zaś około 700 tys. dol. papierowych i ok. 100 tys. funtów szterlingów w londyńskiej kasie Oddziału. Funduszem tym dysponowali generałowie Tatar i Kopański, zaś za jego przechowywanie i zabezpieczenie odpowiadali ppłk Utnik i ppłk „Hańcza” (ppłk Ryszard Dorotycz-Malewicz), komendant bazy włoskiej. Nadto: „W maju 1945 r., gdy został zrealizowany plan wyjazdu do Polski Mikołajczyka i jego zwolenników, gen. Tatar uzyskał decyzję ministra obrony narodowej gen. Kukieła i szefa sztabu NW gen. Kopańskiego na przejęcie przez Oddział VI od Funduszu Darów MON — depozytu Funduszu Obrony Narodowej, wycenionego przez wyznaczoną w tym celu komisję na sumę 32 740 funtów szterlingów (ok. 131 tys. dolarów). Faktycznie wartość tego depozytu była wyższa”.

Wspomina Pan także, że po zakończeniu działań wojennych, w maju 1945 kierownik polskiej sekcji w SOE zwrócił się do Pana z żądaniem przekazania pozostałych z akcji dolarów do depozytu w Bank of England. Poinformowani o tym Pana przełożeni, generałowie Kopański i Tatar polecieli oświadczyć, że wszystkie dolary zostały wysłane do kraju. Podobne oświadczenie Pan złożył.

Jednocześnie pisze Pan, że od czerwca do października 1945 toczył się spór między trzema generałami — Andersem, Kopańskim i Tatarem — o prawo do dysponowania tymi pieniędzmi. W rezultacie tego sporu — jak Pan pisze — stracił życie płk Hańcza, a pieniądze uległy podziałowi. Gen. Anders opanował siłą bazę we Włoszech 2 października 1945 i zajął pozostałą tam jeszcze sumę 1 136 tys. dol. papierowych. Gen. Kopański przejął sumy zdeponowane w kasach 1 Dywizji Panc. i 1 Brygady Spadochronowej czyli 2 669 tys. dol. papierowych i 20 tys. dol. w złocie. Gen. Tatar zatrzymał w swej dyspozycji fundusze zamelinowane we Francji, Belgii i Anglii wynoszące 3 450 tys. dol. papierowych i 10 tys. dol. złotych. (Wojskowy Przegląd Historyczny nr 1/1986, s. 145-47).

Czy nie uważa Pan po latach, że te pieniądze, znajdujące się w posiadaniu oficjalnych władz RP na obczyźnie powinny pozostać w rękach konstytucyjnego rządu?

M. U.: — Którego rządu? Emigracyjnego, czy uznanego przez mocarstwa rządu w Warszawie? Pieniądze te były prze-

znaczone na wspieranie działalności Mikołajczyka w Kraju. W czerwcu 1944 r. Mikołajczyk otrzymał od Roosevelta dotację w wysokości 10 mln. dolarów. To były jego pieniądze.

PYT.: — *Czy nie widzi Pan jednak problemu. Skoro tak pokaźną sumę otrzymał urzędujący premier, to przecież była ona własnością państwa polskiego. Przetransferowanie tych pieniędzy na potrzeby jednego z przywódców politycznych budzi zasadnicze wątpliwości.*

M. U.: — Ale to był przyszły wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Ten fundusz nie był częścią majątku narodowego, a prezentem.

PYT.: — *W artykule „Obrona utopijnych planów” część II (Wojskowy Przegląd Historyczny nr 1/1986, s. 148) sam Pan pisze jednak, że amerykańska dotacja zaraz po otrzymaniu jej została podzielona. Rząd Mikołajczyka zatrzymał do swej dyspozycji 1,5 mln. dol., zaś 8,5 mln. przekazał Oddziałowi Specjalnemu, który przed końcem 1944 r. wysłał ok. 2 mln. do kraju na potrzeby Komendy AK gen. Leopolda Okulickiego. A zatem gospodarowano tymi pieniędzmi na bieżąco, tak jak gospodaruje się pieniędzmi państwowymi.*

M. U.: — Można i tak na ten problem patrzeć. Jeśli jednak panowie uwzględnią, że ten fundusz próbowano zmarnotrawić na emigracji, to czy nie podjęliśmy słusznej decyzji? Chcieliśmy udzielić Mikołajczykowi maksymalnej pomocy, aby uzyskał w Polsce jak największe wpływy.

Kiedy Mikołajczyk wybierał się do kraju poszliśmy do niego we trójkę: Tatar, Nowicki i ja, aby się pożegnać. Tatar rozmawiał z Mikołajczykiem co będzie, co trzeba robić. Ja milczałem. Wreszcie powiedziałem, że życzę mu wszystkiego najlepszego, ale robiąc to, co mam robić chciałbym wiedzieć, czy pan premier nie ma dla nas jakichś zleceń specjalnych, jak się zachowywać w stosunku do władz angielskich. Mikołajczyk odpowiedział zupełnie wymijająco. W moim pytaniu chodziło o to: czy ma Pan jakieś zobowiązania wobec Anglików. Gdy wyszliśmy, Tatar mówi do mnie: jak możecie o takie rzeczy pytać? Odpowiedziałem: mam pilnować jego interesów, nieprawdaż? Wiem, że będzie za mną chodzić dwóch andersowców, dwóch Anglików, ale jeśli będzie chodzić jeszcze dwóch, to tego nie wytrzymam.

PYT.: — *Czy w czasie tego spotkania rozmawiano o zagospodarowaniu pieniędzy Fundacji „Drawa”?*

M.U.: — Właśnie o to pytałem. Za to też odpowiadałem. Tatar miał tylko jedną kasę wydzieloną — u swego szwagra ją przechowywał. Zatrzymał ten milion dolarów, które „Hańcza” miał przekazać. „Hańcza” zaś stracił życie...

Kiedy się mówi o komitecie fundacji „Drawa”, traktuje się to jako pewną instytucję. Tymczasem była to nie instytucja, a pewien aparat do przechowywania pewnej ilości pieniędzy by nie dostały się w ręce tych, którzy chcą je zbyt szybko wydać. A pieniądze mogą się przydać, np. po wygraniu wyborów przez Mikołajczyka.

PYT.: — *Czy w ciągu roku — od lata 1945 do lata 1946 — PSL i Mikołajczyk rzeczywiście skorzystali z tych pieniędzy?*

M.U.: — Owszem, 380 tys. zostało zdeponowane w banku na koncie p. Stefanii Liebermanowej do dyspozycji Mikołajczyka. To jedna suma nie rozliczona.

PYT.: — *W stosunku do ogólnej sumy, która pozostała w Waszej gestii po zakończeniu wojny jest to suma skromna. Dlaczego tak mało zostało wykorzystane na akcję Mikołajczyka?*

M.U.: — Ba, myślę, że i ta suma 380 tys. dol. nie została wykorzystana. A dlaczego — tego nie wiem. Wiedziałem jedynie o potrzebach finansowych *Jutra Polski*, wydawanego przez ludzi Mikołajczyka w Londynie.

Muszę też powiedzieć, że decyzje Tataru nie były jednoznaczne. Popierał Mikołajczyka, ale związał się też z Komitetem Pomocy Dzieciom i Młodzieży na Ziemiach Odzyskanych, gdzie działali m.in. Marian Seyda i Tadeusz Romer. W 1947 r., kiedy Tatar przyjechał do Polski spotkał się też z kard. Augustem Hlondem.

Tatar prowadził nie tylko Fundację „Drawa”. Prowadził też inwestycje zagraniczne: kupił farmę we Francji, farmę pod Londynem, domy w Londynie, Lauriston w Paryżu.

Ja sam próbowałem się angażować w inną stronę. W 1946 r. generał Izidor Modelski, który wrócił w 1945 r. do kraju, był przejazdem w Londynie. Przejazdem, gdyż jechał do Waszyngtonu objąć posadę *attaché* wojskowego w ambasadzie polskiej. Kiedy dowiedziałem się, że Modelski jedzie

do Ameryki, nie miałem wątpliwości jak potoczą się dalsze jego wybory. Zbyt dobrze znałem tych ludzi i nie miałem wątpliwości, że do Warszawy już nie wróci.

PYT.: — Oprócz fundacji „Drawa” powołano również w 1945 r. komórkę „Hel”, która miała być nieformalną i nielegalną siecią łączności z krajem. Przejść więc miała wiele z dotychczasowych prac Oddziału VI, łącznie z kurierami, skrzynkami kontaktowymi, ale miała być nastawiona na „obsługiwanie” potrzeb Mikołajczyka. Czy „Hel” podtrzymywał kontakty z grupą płk. Jana Rzepeckiego w Polsce?

M.U.: — Tak. Centrala „Hel” była w Londynie placówką związaną z działalnością Mikołajczyka i spełniała rolę pozakrajowego łącznika między PSL a podziemiem poakowskim w kraju. Równocześnie „Hel” był komórką Sztabu Głównego w Londynie podległą gen. Kopańskiemu i informującą Sztab o sytuacji w Polsce. Pisałem o tym nieco szerzej w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* nr 2 z 1986.

Do Londynu Wiktor Kulerski przyjechał i kontaktował się z Tatarem. Praca polegała na tym, aby mieć dobre informacje o tym, co się w kraju dzieje. Uważałem zresztą, że kierujący „Helem” Nowicki nie miał do takiej roboty kwalifikacji. Rozumiał ją tak, jak gdyby to była konspiracja z lat I wojny światowej.

PYT.: — Czy w Londynie utrzymywał Pan kontakty z Franciszkiem Wilkiem albo innymi ludźmi Mikołajczyka stale przebywającymi w Anglii? Czy mieliście kontakt z prof. Stanisławem Kotem, ambasadorem w Rzymie?

M.U.: — Kontakty z ludźmi Mikołajczyka w Londynie w imieniu Komitetu „Drawa” utrzymywał głównie Tatar, a w czasie jego nieobecności Nowicki. Ja nie miałem takiego upoważnienia od Komitetu. Czasami załatwiałem doraźne potrzeby materiałowe redakcji *Jutra Polski*. Kontakt z amb. Kotem podczas pełnienia przez niego funkcji dyplomatycznej w Rzymie nie miałem. Również nie miał tego kontaktu Komitet „Drawa”.

PYT.: — Co więc praktycznie zrobiliście na rzecz Mikołajczyka?

M.U.: — A co zrobił Mikołajczyk? Nic. Nie było wyborów w 1945 roku, tak jak to obiecano w Jałcie. Tatar i Nowicki

w tym czasie jeszcze zdania nie zmienili, ja tak. Miałem dwie rozmowy z Józefem Kuropieską — pierwszą w październiku 1945 r., gdy tylko przyjechał do Londynu, drugą kiedy już był *attaché* wojskowym w ambasadzie polskiej. Ta druga rozmowa odbyła się na przełomie 1945 i 1946 r. w obecności gen. Wiktora Grosza.

PYT.: — *Z każdej z tych rozmów Kuropieska przekazywał meldunek do Warszawy.*

M.U.: — Meldunki te pokazywał mi potem w czasie śledztwa płk Antoni Skulbaszewski. W 1950 r. odpowiedziałem, że za fałszywe meldunki Kuropieski nie odpowiadam. Bo przecież Kuropieska pisał, że będę wykonywał wszystkie rozkazy Żymierskiego.

PYT.: — *Powiedzmy sobie, że Kuropieska był przedwojennym Pana znajomym i przedwojennym oficerem. Natomiast Grosz był przedwojennym komunistą, eksponowaną postacią PPR i ludowej armii. Czy spotkanie z nim nie było niełojalnością wobec Mikołajczyka?*

M.U.: — Kuropieska, mój przedwojenny znajomy zaprosił mnie do domu. A tam zastałem Grosza. Zaczął on ze mną rozmawiać, jak to jest. Odpowiedziałem: Rozumiem, że Pana generała interesują różne rzeczy, ale mnie też interesują różne rzeczy. „Jakie” — spytał. „Kiedy wyrzucicie Mikołajczyka?” Grosz uniósł się: „Jeszcze nie wiadomo, kto kogo będzie wyrzucał”. Odpowiedziałem: „Jeśli tak pan stawia sprawę, to nie mam więcej pytań”.

PYT.: — *Co zdecydowało, że zdecydował się Pan na nie tylko koleżeńskie rozmowy z Kuropieską?*

M.U.: — Kiedyś zostałem zaproszony na ciekawą rozmowę w gronie Kuropieska, Żebrowski i ja. Namawiali mnie, bym przystąpił do ich akcji. Powiadali, że trzeba będzie przecież coś zrobić z tą ekipą moskiewską, trzeba będzie się ich pozbyć. Odpowiedziałem, że miałem lepszą propozycję od mego kolegi szkolnego, oficera II Korpusu gen. Andersa, który dowodził, że skoro mam parę milionów dolarów, możemy zbudować państwo polskie w Libii. Wasza propozycja — mówiłem — że ekipa oficerów-komunistów uformowana w oflagu niemieckim obejmie rząd w Polsce jest podobnej wartości.

PYT.: — Czy Pan zdawał sobie sprawę, kogo reprezentuje Kuropieska? Był przecież attaché wojskowym.

M.U.: — Kuropieska nikogo nie reprezentował. Był *attaché*, ale wyszedł z niemieckiego oflagu i nie wiedział, co się dzieje.

PYT.: — *Tak Pan sądzi?*

M.U.: — Oczywiście, że tak. Powiedziałem mu nawet w pewnej rozmowie „w cztery oczy”, że gdyby tu siedział ruski oficer, to szybciej doszedłbym z nim do porozumienia.

PYT.: — Czy o tych rozmowach z Kuropieską, a także o spotkaniu z Groszem informował Pan Tatara i Nowickiego?

M.U.: — Nie informowałem, uważałem, że nie było takiej potrzeby.

PYT.: — Z pańskich ogłoszonych drukiem opracowań wynika, że decydująca dla Panów reorientacji była połowa 1946 roku. W maju rząd brytyjski podjął definitywną decyzję likwidacji Polskich Sił Zbrojnych, a 5 września — jak Pan wspomina — zawiadomił Pan generała Kopańskiego, że nie wstąpi do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. W kraju w czerwcu 1946 r. nastąpiło fałszerstwo wyników referendum w atmosferze terroru wobec PSL. Mikołajczyk był bezradny. Píše Pan wężcz: „Komitet Fundacji „Drawa”, nie rezygnując z możliwości powrotu do Polski, musiał więc nawiązać kontakty z oficjalnymi przedstawicielami PRL — z ambasadorami w Londynie i Paryżu oraz z attachatem wojskowym w Anglii”. Píše Pan o kolejnych spotkaniach z wysłannikami władz PRL („Obrona utopijnych”, WPH nr 1/1986, s. 157). Wynika z tego jasno, że jeszcze przed wyborami 1947 r. przestaliście wspierać akcję Mikołajczyka, co przecież było dotąd Waszym zasadniczym celem. Dlaczego?

M.U.: — Odpowiedź na to pytanie byłaby „oceną działalności Komitetu Drawa” do czego jako członek tego Komitetu nie jestem upoważniony. Taką odpowiedź — dodatnią czy ujemną — musi wydać historyk (historycy). Można to zrobić tylko na podstawie wydarzeń historycznych z lat 1948-56 i to przy wykorzystaniu dokumentów z wielu źródeł. Jednym z tych źródeł — mniej lub więcej wiarygodnym — na pewno mogą być i nie wolno mi wtedy uchylać się od odpowiedzi.

PYT.: — *W kwietniu 1947 r., a więc już po wyborach w Polsce spotkaliście się z płk. Stanisławem Flato, zastępcą szefa II Oddziału d.s. operacyjnych. To była postać ważna i czytelna w hierarchii komunistycznych władz bezpieczeństwa i wywiadu.*

M.U.: — Flato był chyba ważniejszy od gen. Wacława Komara, szefa Oddziału II. Ja jednak z Flato nie rozmawiałem. Tatar miał nawet o to pretensję. Odbyła się konferencja, podczas której Flato, Tatar, Kuropieska radzili, a ja z nowym *attaché* płk. Maksymilianem Chojeckim siedzieliśmy z boku i popijaliśmy.

Po wyborach klamka zapadła, że mamy wracać do kraju. I o tym też rozmawiano z Flato. Został z nim uzgodniony wyjazd Tatara do Polski latem 1947 r. na rozmowy z gen. Marianem Spychalskim, wiceministrem obrony narodowej. Wizyta Tatara została poprzedzona przekazaniem do Warszawy złotego FON-u.

PYT.: — *Kto mógł Wam taką decyzję wydać? Przecież byliście wolnymi obywatelami w wolnym kraju? Jak Flato mógł od Was cokolwiek żądać?*

M.U.: — Bo nie mogę zostać na emigracji. Bo nie chcę składać przysięgi na wierność królowi angielskiemu. Bo mam żonę i dzieci w kraju. Mogłem ich sprowadzić, ale po co? Żeby się wynarodowiły?

PYT.: — *Dlaczego zdecydowaliście się oddać komunistom taki majątek?*

M.U.: — Zanim zdecydowaliśmy oddanie czytałem protokół komisji emigracyjnej, która zastanawiała się, co zrobić z FON-em. I przeczytałem, że trzeba go przetopić i użyć na wydatki emigracyjne. To mnie do emigracji nastawiło jak do marnotrawców. Im mniej będą mieli do wydania, tym mniej zmarnują. Albo też zostawione pieniądze rozejdą się nie wiadomo jak i nie wiadomo na co. Tak się stało na przykład z tymi dwoma milionami dolarów, które zostały w kasie I Dywizji Pancerniej. Ktoś powie: dałeś komunistom. Nie, dawałem dla Polski.

PYT.: — *Pieniądze można było przekazać do kraju nie władzom, ale np. PSL-owi, albo Kościołowi na cele charytatywne.*

M.U.: — Kościołowi, który mnie wyrzucił! — Formuła na akcie urodzenia: „w kwietniu 1942 roku wystąpił z Kościoła katolickiego”, chociaż tego nikomu nie mówiłem. Oglądałem ten dokument w Urzędzie Stanu Cywilnego w 1956 r., a na pytanie kto to dopisał, urzędnik odpowiedział: „Tak otrzymaliśmy z parafii”.

PYT.: — *W lipcu 1947 gen. Tatar był w Warszawie, a wizytę zorganizowali — jak Pan pisze — ambasador w Londynie, Wydział Zagraniczny MON i II Oddział Sztabu Generalnego.*

M.U.: — Została zawarta umowa między Spychalskim a Tatarem, który reprezentował komitet trzech, czyli siebie, mnie i Nowickiego. Tatar przekazał FON na cele odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych oraz otrzymał zapewnienie, że członkowie komitetu nie będą mieli żadnych nieprzyjemności w kraju.

PYT.: — *Pisze Pan też we wspomnianym już artykule: „Celem tej wizyty było omówienie przekazania majątku fundacji — funduszy gotówkowych i sprzętu ruchomego do kraju, a nieruchomości w Anglii i Francji przedstawicielstwu PRL w tych krajach” (s. 159). Wtedy też definitywnie przerwano kontakty z Mikołajczykiem.*

M.U.: — Tak. Nastąpiło zawieszenie kontaktów z PSL oraz ze sztabem Kopańskiego. Zlikwidowano „Hel”. Polikwidowano skrzynki, kontakty.

Kiedy Tatar wrócił rozmawialiśmy we trójkę o tym, co załatwił. Nie powiedział nam wszystkiego, co tam robił. Miał różne kontakty, ale niewiele z tego wynikało. Pytam go: „Kiedy likwidujemy interes i wracamy, żeby pracować w Polsce?”. On na to, że nie można tak od razu jednoznacznie zdecydować. Powiedziałem, że ja mogę zdecydować. Wtedy zapytał: „O co wam chodzi właściwie?”. „Chodzi o to — odparłem — by wydać te pieniądze na właściwe cele, a my je chowamy nie wiadomo dla kogo”. Rozmawiałem też z Nowickim, któremu mówiłem: „Tatar idzie w złym kierunku. Jeśli chcemy wrócić do kraju, to nie z 'prezentami', jak chce Tatar. 'Prezenty' trzeba oddać wcześniej. I sam robiłem te 'prezenty' ponad rok, w sumie za jakieś 2 miliony dolarów”.

PYT.: — *Spróbujmy podsumować ten wątek pieniędzy. Były one przeznaczone na akcję niepodległościową w czasie wojny, następnie miały wspierać akcję Mikołajczyka zmierzającą do zapobieżenia komunizacji kraju, potem następuje ich przesunięcie na inne cele — odbiorcą pieniędzy stają się instytucje komunistycznego państwa, głównie armia.*

M. U.: — A czy danie jedzenia Polakowi mieszkającemu w kraju też jest prokomunistyczne? Kupiłem najnowocześniejsze urządzenia amerykańskie do ślepego pilotażu, dla Dębłina. Jest to prezent dla komunistów bardzo wielki, ale według mnie był to prezent dla polskich pilotów, aby się nie zabijali. A to, że skorzystali z tego Ruscy, mnie nie obchodziło. Kiedy kupowałem dla Politechniki Warszawskiej instrumenty za 100 tys. £ i powiedziałem mojemu kontrahentowi, że to takie duże zamówienie, on mi na to odpowiedział, że z Moskwy ma zamówienie na 1,5 mln. £. Jeżeli kupowałem mikroskop elektronowy, którego nie było w Polsce dla Instytutu Fizyki w Warszawie i potem ludzie mogli się na tym uczyć, to przecież pomagałem nie komunistom, a po prostu Polakom. To samo z urządzeniami do nowoczesnych prac badawczych z fizyki, które kupiłem dla pracowni profesora Henryka Niewodniczańskiego. Kupiłem i wysłałem do Polski chyba półtorej tony książek, najnowszych wydawnictw naukowych.

PYT.: — *Czy nie myśli Pan po latach, że to jednak była naiwność?*

M. U.: — Nie. Powiada mi Wacław Komar, że nie ma radiostacji by porozumieć się z przywódcą komunistów greckich Markosem. Pytam, ile pan potrzebuje radiostacji? Choćby z pięć — słyszę odpowiedź. Mogę dostarczyć dzieśięć — powiedziałem. Oczywiście, że była to antyangielska robota. Kupiłem też za 500 £ znany później list Cadogana do Mikołajczyka, w którym zobowiązywał się on imieniem władz brytyjskich do popierania starań o zachodnią granicę na Odrze i Nysie. Uważałem, że moim obowiązkiem jest taki dokument kupić. Gdyby Anglicy mieli jakąś moc decyzji wobec mnie, to powinni mnie za wykupienie i dostarczenie do Polski tego dokumentu wsadzić przynajmniej na 5 lat do kryminału, bo było to zdradzenie angielskiej tajemnicy państwowej.

PYT.: — *Ale list Cadogana został w 1947 i 1948 r. wykorzystany przeciwko Mikołajczykowi. W 1947 r. wydano nawet specjalną broszurę propagandową pt. „Przyczyny ucieczki Mikołajczyka. Zatajony dokument. Rewelacyjne zeznania” zawierającą opis przesłuchań czołowych przywódców PSL m.in. na tę właśnie okoliczność.*

M.U.: — To dlaczego Mikołajczyk ukrywał ten list? Jeśli ukrywał, to był w tym momencie szkodnikiem sprawy polskiej.

PYT.: — *Przywieźliście do kraju około 3 tysięcy teczek archiwum Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza. Każdy zada pytanie: po co?*

M.U.: — Nie ja to przywiozłem, ale Alfred Wiśniewski, zaufany człowiek Tatara.

PYT.: — *Czy Tatar miał prawo dysponować dokumentacją, która do niego nie należała?*

M.U.: — Na to, by Tatar nie mógł nią dysponować, przekazałem całą dokumentację gen. Tadeuszowi Pełczyńskiemu. Później mi tu powiedzieli, że zrobiłem rzecz skandaliczną. W Londynie była zresztą taka sama tendencja, jak tu podczas likwidacji rozmaitych archiwów PZPR. Z trudem znalazłem na przykład dokument z konferencji w Belgradzie w 1940 r.

PYT.: — *Panie Pułkowniku, czy Pan rzeczywiście nie wiedział, że te teczki Oddziału VI są wywożone z Londynu?*

M.U.: — Decyzję o przewiezieniu części akt Oddziału VI podjął Tatar. Podczas spotkania z płk. Jerzym Kirchmayerem w październiku 1946 omówili, jakich dokumentów będzie potrzebował Kirchmayer do pracy w Biurze Historycznym. O przewiezieniu dokumentów dowiedziałem się od Wiśniewskiego już *post factum*. Przyszedł do mnie z pretensją, że się narażał przewożąc akta. Jakie akta? — pytam. — A dostałem od gen. Tatara polecenie aby to przewieźć.

PYT.: — *Te teczki natychmiast przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa.*

M.U.: — Ale one były przekazane nie do Ministerstwa Bezpieczeństwa, a dla płk. Kirchmayera do prac badawczych, historycznych.

PYT.: — *Kirchmayer nie miał jednak przecież takiej władzy, aby zabronić UB korzystania z tych akt. Jakie skutki mogło przynieść przekazanie tych archiwaliów? Były w nich materiały do odtworzenia siatek AK np. ze Lwowa, było mnóstwo opisów pewnych działań, które wobec synonimu AK-wroga wewnętrznego, mogły mieć jednoznaczne skutki negatywne. Z tego Tatar musiał sobie zdawać sprawę.*

M.U.: — *Czy te teczki były wykorzystywane przeciw ludziom represjonowanym, to trzeba by udowodnić. Natomiast Tatar z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy. Był człowiekiem zarozumiałym i trudno go było przekonać, że nie ma racji.*

Ktoś może mnie potępiać, ale odpowiem mu: no, dobrze, ale w takim razie za co mnie skazali? Ta historia brzmi naiwnie może dziś, ale nie była ona naiwna w sytuacji 1945 czy 1946 roku, bo nie było wiadomo czego się trzymać. Kiedy mówimy, że mamy być lojalni wobec państwa polskiego i dowództwa, to jest tak, jak ze sprawą munduru. A więc którego? Przedwojennego, noszonego w 1940 roku we Francji, czy angielskiego z naszywką „Poland”, czy polskiego, powojennego?

Rozmowę przeprowadzili

Andrzej FRISZKE i Jerzy POKSIŃSKI

WSPOMNIENIA

Danuta MOSTWIN

NOTATKI Z AMERYKAŃSKIEJ PROWINCJI 13 grudzień 1981 — 20 styczeń 1982

13 grudzień, 1981

Nagle, bardzo wcześnie rano telefon z redakcji *Sunpaper*. Telefonuje redaktor Hazard, ten, którego *cartoon* zabraliśmy półtora roku temu dla papieża. „Czy trzynasty grudzień był datą historyczną w Polsce? Nie? No to będzie”. Stan wojenny. Granice zamknięte. Przerwana komunikacja. Wojsko objęło komendę. A gdzie jest Wałęsa?

Telewizja (Kanał 2) przyjeżdża do nas do domu. Cały zespół z aparatami wtłacza się do naszego salonu. Polska znów w pierwszej linii *news'ów*. Zespołem dyryguje reporter Murzyn. Opowiada natychmiast o sobie: ma żonę lekarzkę. Dwóch fotografów z kamerami skierowanymi na Stasia. Staś mówi o sytuacji Polski w obecnym świecie. Teraz kamery na mnie. Mówię, że Polska to naród młodych ludzi, 18 milionów poniżej trzydziestki. Walczą o prawa człowieka. Naród jest zmęczony, ale życie domaga się ciągłości: rodzą się dzieci, ludzie chorują, starzy potrzebują opieki. Tymczasem toczy się walka o zmianę struktury społecznej.

Podczas gdy przeprowadzają z nami wywiad dzwoni inny kanał TV. Proszą o wywiad ze mną. Przyjeżdża reporterka. Znów światła, kamery. Mówimy o globalnym znaczeniu Solidarności, o zaufaniu społeczeństwa, ale i wielkim zmęczeniu. O jedenastej wieczór TV podaje nasze wywiady, wypadają dobrze.

14 grudzień, 1981

Od samego rana telefony. „Kanał 11”: „Czy mogę przyjść do nich na wywiad?” Odmawiam. „Kanał 13”: „Chcą tu zaraz przyjechać, zrobić wywiad”. Odmawiam. Znów „Kanał 11”, nalegają. Staś godzi się pojechać do nich wieczorem, po skończonej pracy. Dzwoni Barbara Mikulska: ambasador amerykański, który był w Stanach wrócił do Polski. Wpuścili go. Wstrzymano na razie dostawy żywności do Polski wysyłane przez rząd amerykański, ale charytatywne organizacje mogą nadal posyłać.

Jesteśmy zdenerwowani, przygnębienie: co tam się dzieje? Tak mało wiadomości.

Mój student, Bill Kirby, dzwoni. Chce wyrazić swoje współczucie. Co może dla nas zrobić? Przyniesie swoją krótkofalówkę (Ham), będziemy mogli słuchać Europy. Przychodzi, siedzi godzinę i opowiada cały czas o swoim rozwodzie. Współczuję mu i radzę. Słuchamy BBC, ale radio Moskwa zagłusza wszystko w języku angielskim i hiszpańskim.

15 grudzień, 1981

Śnieg z deszczem. Słucham radia. Trudno się skoncentrować. Wszystko przestaje mieć znaczenie. Jadę taksówką na uczelnię (Loyola). Studenci otaczają mnie. Mówią, że widzieli mnie w TV. „Nie wiedzieliśmy, że oni walczą o prawa człowieka. To wszystko teraz nabrało innej perspektywy”.

Przyjeżdża Tadeusz Radziałowski z Waszyngtonu. Staś odbiera go na dworcu. Śnieg... śnieg... samochody noga za nogą... boli mnie głowa, pęka z bólu. Zostawiamy samochód u stóp naszego wzgórza i pieszo pod górę. Przyjeżdża Stanisław Ciesielski. We troje omawiają *grant* na studium dot. wkładu robotnika polskiego w Ameryce w działalność unijną związków zawodowych. Wiadomości z Polski niepokojące, coraz gorętsze. Mówią o aresztowaniach. Wałęsa w areszcie domowym niedaleko Warszawy. Ted Radziałowski mówi, że jutro o ósmej wieczór manifestacja nowej Polonii przed ambasadą polską w Waszyngtonie. Nowej Polonii? To znaczy kto? „No, ci powojenni”. Ach więc jeszcze po trzydziestu latach jesteśmy nowi. „Ale ja też idę” — mówi. „Mimo tego, że jestem tu urodzony”. Ted, wielkie chłopisko, doktor historii (robił doktorat z intelektualnej historii rosyjskiej). Barczysty, broda i wąsy. Urodzony w Ameryce. Ale pierwszym językiem był polski. Patrzę z satysfakcją jak już trzeci

talerz zupy znika w jego żołądku. Mówi, że Ewa Morawska co pięć godzin telefonuje do Polski, ale nie może się przedostać. Boi się o ojca i o męża. Nasze podniecenie przechodzi w coraz wyższy stopień zdenerwowania. Śnieg wali niemiłosiernie. Krzak przed oknem naszego salonu wyrócił się pod ciężarem śniegu.

16 grudzień, 1981

Wiadomości jeszcze gorsze. Jesteśmy przerażeni, przynębiani. 450 tysięcy aresztowanych, są zabici, ranni. Podobno robotnicy zaminowali się w Stoczni Szczecińskiej. Gdańsk ustąpił. Warszawa ustąpiła. Aresztowania wśród intelektualistów. Aresztowani Gierek, Jaroszewicz i inni byli dygnitarze komunistyczni. Uciekinierzy z Austrii mówią, że Wałęsa jest załamany. Inni, że się trzyma, że pertraktuje.

Złamała się pod ciężarem śniegu wysoka *black pine* blisko schodków prowadzących do domu. Co się dzieje w Polsce? Staram się czytać prace studentów. Nie mogę. Nasze plany wyjazdu w lecie do Polski — przepadły. I tak zresztą nie daliby nam wizy. O Fulbright nie ma co marzyć. Rząd polski mnie nie wpuści. Staś przygotowuje odezwę dla „Studentium”. Należy wznowić pracę niepodległościową. Szykuje się nabożeństwo w niedzielę o dziesiątej rano w Holy Rosary na intencję spokoju w Polsce. Na TV manifestacje pięciu tysięcy Polaków w Chicago. Przemawia major miasta Chicago, kobieta. Ofiaruje 10.000 dolarów na pomoc Polsce. Zastanawiamy się, mówimy bez końca, telefony w nieustannym ruchu. Co zrobić? Jak pomóc? Rosja dławi Polskę jej własnymi rękami. Czy żołnierz polski będzie strzelał do ludności? Gen. Haig zawałał Brzezińskiego na naradę. Brzeziński mówi reporterom, że zdławienie *Solidarity* w Polsce jest prowadzone *indirectly* przez Rosję. Okropne uczucie zagrożenia. Poznają je: to lęk podczas bombardowania, obstrzału, ucieczki. Ale jednocześnie uczucie straty i nastrój żałoby, jakby ktoś umierał. I znów przerażenie, jakby palił się dom i jest się zupełnie bezsilnym. Czy ostatnie żądania Solidarności nie były zbyt przesadzone?

Na jutro przepowiadają śnieżycę. Blandyna Ehrenkreutz przy telefonie. Rozmowa z nią trwa zwykle godzinę. Andrzej musi ją przemocą odciągać od słuchawki. Ale dziś jest prawdziwie załamana i musi mówić. Syn jej i synowa (ta Polka z Australii) są w Polsce. „Ja się czuję potwornie — mówi —

moja matka w Polsce umierająca, brat mój chory jest w Gdańsku, i... Stefan mój syn w Krakowie". A jedna z pracownic w bibliotece (Blandyna pracuje w bibliotece uniwersyteckiej w Ann Arbor), niech pani sobie wyobrazi, to tak mówi do mnie: „gdyby twój syn został zabity to będę z ciebie dumna”. Ale Stefan muzyk i kompozytor łagodny, nieagresywny, przeciwieństwo matki — trzyma się na uboczu. Nie wydaje mi się, aby chciał się włączyć w manifestację na ulicach Krakowa.

Kardynał Król (ten, który powiedział, że „Kto smaruje, ten jedzie”) zapytany przez reporterów co sądzi o sytuacji w Polsce stwierdził oficjalnie: „Solidarność już tyle dostała, że domagając się więcej mogła spodziewać się represji”. Spytany czy jest za Solidarnością, odpowiedział, że jest za prawami robotników, które gwarantuje im religia.

17 grudzień, 1981

Dobijam się do wiadomości na krótkofalówce. Moskwa zagłusza. O drugiej po południu *Press conference* prezydenta Reagana. Zaczyna silnie i z przejęciem o Polsce. Nie jesteśmy naiwni. Wiemy kto jest za pacyfikacją w Polsce. Umowa w Helsinkach została zerwana. Polacy są bici, liderzy i intelektualści w więzieniach, ludzie pozbawieni praw. Jesteśmy za narodem polskim z którego tyłu wyemigrowało i stali się (razem z innymi) wspaniałymi obywatelami Ameryki. Reagan jest bardzo przejęty. Doskonały aktor. Mam łzy w oczach. Pod koniec przemówienia cała twarz mokra. Kto mu napisał to przemówienie? „Nasi europejscy sprzymierzeńcy są z nami! Nie jesteśmy naiwni!” — powtarza. Na pytania dwóch dziennikarzy: „Jak długo ma cierpieć naród polski? Co zrobi Ameryka?” odpowiada: „Nie mogę na te pytania teraz odpowiedzieć”.

W późniejszych wiadomościach przerażające nowiny: strzelaniny, ranni i zabici. Obozy koncentracyjne. Jaruzelski żelazną ręką pacyfikuje naród. Na dworze śnieg. Nastrój ogromnego przygnębienia. Telefonuję do Stasia. Płaczę. To wygląda strasznie. Zupełnie zniszczą kraj. Ginie młode pokolenie.

18 grudzień, 1981

Wczoraj po południu dzwoni Danuta Haciska, lekarz laryngolog. Skierowana do mnie przez Zdzisława Dziekońskiego

z Kongresu Polonii w Waszyngtonie. Zaczynamy łańcuch depesz: „*We demand that marshal law imposed on Poland be rescinded immediately and arrested members of Solidarity and intellectuals be released at once*”.

Zebranie organizacyjne dziś wieczorem u nas o godzinie siódmej. Zawiążemy Komitet Maryland For Human Right in Poland czy coś w tym rodzaju. Zaproszeni: Henry Keallein z AFL-CIO, Pasko, prezes Kongresu Polonii na stan Maryland, Dybski, senator stanowy, właściciele programu radiowego w języku polskim, Barbara i Jerzy Miegoniowie, ksiądz Franciszek Okroy z Holy Rosary, trzech reprezentantów z Polish Heritage Association of Maryland: Ciesielski, Wiśniewski i Kijowski, i Barbara Mikulska. Jacek podniecony i przejęty na równi z nami.

Telefon do *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku: przekazuję treść telegramu. Msza św. w Holy Rosary o 10.30 w niedzielę. Telefon do Andrzeja Ehrenkreutza. Jego syn i synowa w Krakowie. Wyczuwam sztuczny spokój: po co ma przyjeżdżać? Ktoś niedawno przyjechał z Polski i opijali swój wyjazd na rynku Starego Miasta w restauracji w Warszawie. Więc chyba nie jest tak znów źle?

Staś dopiero teraz odczuwa, jak bardzo jest zaangażowany emocjonalnie. Niebo białe, zimowe, znów śnieg. Wczoraj był mój student Walter W. Siedział z nami, uspokajał. Wzruszające jest przejście ich naszą sprawą, sprawą polską poprzez sympatię dla nas. Jesteśmy roztrzęsieni. Czasem uczucie, jakbym po raz drugi przeżywała śmierć mojej matki.

12 styczeń, 1982

Jutro upływa miesiąc od dnia ogłoszenia przez Jaruzelskiego stanu wojennego w Polsce. To przesilenie się z osiemdziesiątego pierwszego na rok osiemdziesiąty drugi jakże szybkie, zaskakujące, tragiczne. Ile rzeczy zdarzyło się! Ile nowych postanowień, projektów, emocji i nowych nici łączących nieznanych dotychczas ludzi.

W piątek, 18-go grudnia zwołaliśmy grupę ludzi, aby zawiązać komitet marylandzki pomocy Polsce. Przyszli ks. Franciszek Okroy, Bob Puła, obydwójce Hacıscy: ona lekarz, on architekt okrętowy, Barbara Mikulska, jej wuj, prezydent Kościuszko Bank, dwaj reprezentanci z Kongresu Polonii: potężny, wysoki, kanciasty Melvin Laszczyński, niewielki, schorowany prezes Kongresu, John Pasko. Wuj Barbary Mikul-

skiej nazywa się Edward Blazucki. Przyszedł Cornell Dybski, senator stanu Maryland, prezentuje się dobrze, ale leń spod ciemnej gwiazdy, Barbara i Ciesielski sarkają na niego, że nie-rób, że skończona de. Był nieodłączny ze Stasiem Ciesielskim Jasio Wiśniewski — dwaj amerykańscy pułkownicy. Barbara Miegoń z radia i nasza trójka: Staś, Jacek i ja. Zawiązaliśmy komitet. A teraz nazwy. W rezultacie wybrali moją: *Maryland Action for Poland*. Pisaliśmy naszą rezolucję: Bob pracował nad rezolucją dla Reagana, a Jacek do pierwszej naderanem pisał i opracowywał list do prezydenta. Powiedział: nigdy jeszcze nie pisałem listu do prezydenta. A ja na to: zawsze jest pierwszy raz.

Bob siadł do fortepianu i odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska” i „Rotę”. I zaraz wszyscy popłakaliśmy się. Tylko wuj Mikulskiej trzymał się sztywno, ale nie bardzo mi się podoba. Straszne ryło.

W niedzielę, dwudziestego, była uroczysta msza w Holy Rosary. A odprawiał arcybiskup Bordens. Potem w sali parafialnej — manifestacja. Przemawiali: Barbara Mikulska i dwaj przedstawiciele *Labor*: Thomas Bradley, prezydent AFL-CIO na stan Maryland; Henry Keallein, prezydent AFL-CIO na Baltimore, który nie przyszedł na nasze zebranie, na manifestacji tej wygłosił płomienne przemówienie „Wśród Polaków nad zatoką żyję i tu między nimi chcę umrzeć”. Potem ja deklamowałam wiersz Lechonia „Matka Boska Częstochowska” i wszystko co chociaż trochę rozumiało po polsku, a było tego bractwa ze 700 osób na sali, płakało. I jeszcze chóralny śpiew „*America the Beautiful*” (co mnie zawsze wzrusza, bo „Ameryko! Ameryko!”) i na zakończenie „Jeszcze Polska”. Kongres zebrał 2000 dolarów na pomoc dla Polski.

Na początku następnego tygodnia zebraliśmy się znów u nas: Ciesielski, Dybski i Zacharski (Kazimierz Zacharski, pan w pewnym wieku, poważny adwokat, mówi o sobie „Kazio”, ma spełniać rolę doradcy prawnego). Ustalamy strukturę Komitetu. Następne zebranie u mnie w Loyola College, 8-go stycznia.

Sylwester przeszedł bez szumu. Danuta Haciska zapraszała nas na obiad „z admirałem” i „innymi osobami na wysokich stanowiskach”. Ta kobieta ciepła, serdeczna i przejęta sprawą polską ma jednak zupełnego bzika na punkcie „moich przyjaciół na wysokich stanowiskach”, „moich sekretarek” itd. Jest to obsesja wielkości, znaczenia, która może

nią tak ośladnąć, że „wielkość” nią zawładnie, a ona da się połknąć „wielkości”. Podziękowaliśmy. Jesteśmy rozdygotani. Przeżywamy ten okres w inny sposób. Dla innych powodów wyjechalśmy z Polski. Wojna i okupacja spłotła nas tak bardzo z narodem, że nie możemy się oderwać. Haciscy to późniejsza emigracja, już nieco inne pokolenie.

Nie poszliśmy nigdzie. Jacek został w domu. Zmusił mnie, abym wypila trochę wina. Nastrój smutku i straty. Depresja? Czy to może nadchodzi okres starzenia się i dlatego? Cały czas łyzy w oczach. Żal: zaczęło się coś pięknego na co tak długo czekaliśmy i już zamrożone w paku. Ach jaki nierówny jest nasz naród, jaki niedojrzały. Wzniosłe porywy i znów... złoty róg. A zawsze przyduszany, tłamszony, wyniszczany.

Na zebraniu u Barbary Mikulskiej w jej biurze w Federal Building ustalaliśmy kogo należałoby wziąć, zaprosić do komitetu honorowego *Maryland Action for Poland*. Barbara zobowiązała się napisać listy, a Dybski miał porozumieć się z prezydentem Baltimore University. A ja mam konferować z księdzem Sellingerem, prezydentem Loyola College. Listy poszły. I na tym koniec.

Telefonuję do biura Mikulskiej, rozmawiam z Gerry, jej sekretarką. Kto odpowiedział na listy z zaproszeniem do komitetu honorowego? Nic nie zrobiła. Nic nie wie. Mówię, że jeśli do jutra rana, do dziewiątej nic nie usłyszę od niej, zacznę sama telefonować do osób zaproszonych do komitetu honorowego.

Rozmawiając z Gerry dowiaduję się, że niejaki Jim Letcher, pracujący w jakiejś agencji czy też komitecie zajmującym się sprawami ludzi starszych, wspomniał, że jego przyjaciel wysyła okręt do Polski. Aż podskoczyłam z emocji. Proszę Gerry o telefon Letchera. Połączyłam się. Letcher brzmi sympatycznie. Tak, to prawda. Jego przyjaciel nazywa się Jack Webb. Mieszka w Madison, w stanie Ohio. Rzeczywiście wysyła żywność okrętem do Polski. Dobijam się teraz do Jacka Webba. Odtelefonowuje. Pracuje jako wolontariusz w Church of Christ. W Polsce, objaśnia mnie, istnieją 152 zgromadzenia w których zrzeszonych mają 10 tysięcy osób. Wszystko to dla mnie brzmi nader egzotycznie. Jeszcze nie wyzbyłam się wpojonego we mnie przeświadczenia, że Kościołem w Polsce jest tylko Kościół rzymskokatolicki. Ameryka nauczyła mnie tolerancji dla każdego wyznania, ale cóż to za tolerancja! Powierzchnowa. Zostało mi to uczucie z

dzieciństwa, z wczesnych lekcji religii, że jeśli nie rzymskokatolicki kościół to już nie kościół. Czuję te dwie osoby we mnie: małą dziewczynkę przerażoną, że jeśli wezmę udział w „zebraniu innowierców” (takie było pytanie w mszale przygotowywanym do spowiedzi), to grzech z którego trzeba się spowiadać i dorosłego człowieka szanującego każde wyznanie. Uczucie strachu, poczucie niezawinionej winy i dojrzałe, przemyślane, wypływające z intelektu i szacunku dla każdej istoty ludzkiej podejście do spraw człowieka. Tak. To dręczy. Odczuwam żal do przeszłości, że w ten zawężony sposób przygotowywano mnie do życia. Czy Webb zabierze paczki do Polski w swoim „kontejnerze” na okręcie? Zabierze. Chętnie. Zabierze listy do Hali (siostry Stasia) i do Joasi (mojej chrzestnej córki). Mówi, że „Starzyński” ma płynąć do Polski z portu w Baltimore. Pytam ile to będzie kosztowało? Webb mówi spokojnie: nic. To jest akcja charytatywna. Ogarnia nas wszystkich niepowstrzymany entuzjazm. Rzucamy się do organizowania wysyłki paczek.

Na zebraniu *Polish Heritage Association* w ostatnią niedzielę ogłosiłam, że mamy okazję przesyłki paczek do Polski bez opłaty za transport. Redaktor Jerzy Giedroyc przesłał mi adresy rodzin (drukarni Solidarności), które specjalnie potrzebują pomocy. Reakcja entuzjastyczna. Ludzie zgłaszają się po adresy. Przez jedną noc, w pokoju „muzycznym” szkoły parafialnej Holy Rosary nazbierało się przeszło 150 paczek, każda po 20 funtów. Ludzie dostali gorączki, ogarnął ich jakiś szal paczkowy, jakby te przesyłki uratować miały cały naród. Pamiętam podczas okupacji niemieckiej w Warszawie kiedy dowiedzieliśmy się, że przywożą transport dzieci z pacyfikowanej przez Niemców Zamojszczyzny. Lecieliśmy wtedy wszyscy, aby ratować te dzieci. Wieść o tym poszła jak płomień po suchych liściach. Tak i teraz, podobnie. Zbiorowy odruch, odzew, żeby pomóc, żeby ratować, żeby okazać serce. Polacy są wspaniali w tych odruchach. Patriotyzm potrafi wykrzesać z nich najszlachetniejsze uczucia. „Stara Polonia” i emigracja jakoś się w tym odruchu szlachetności zrównały, spotkały na wspólnej platformie archetypów. I wszyscy, jakby odmłodzeni. Powolny, ciężkawy Giernarczyk zaczął się ruszać żwawo, z entuzjazmem. On i Jasio Wiśniewski pilnują paczek. Ale jak ogłaszałam te paczki i że dołączymy się do pracy charytatywnej Church of Christ, patrzę, ksiądz Okroy wychodzi z sali. Więc ja za nim. „Księżę Franciszku, gdzie mamy te paczki składać?”. „Na ra-

zie — mówi — na plebanię. Ale zobaczmy co proboszcz Mieczkowski powie”. Ksiądz Mieczkowski jest porywczy, nie lubi bałaganu, w zakrystii, w kościele, w szkole, na parkingu powinien być porządek. A tu co kilka minut dzwonek do drzwi plebanii i ludzie z paczkami. Pierwsza przyszła Stykowa. Potężna, elegantka w białej czapie z puchu, takiej co głowę poszerza w głowisko, długie białe buty na wysokich obcasach. Po warszawsku zabójcza. Bardzo była ofiarna. Wzięła ode mnie aż cztery adresy rodzin drukarzy. I natychmiast, z samego rana z tymi paczkami na plebanię. Ktoś jednak nie bardzo był zadowolony z urzędnika paczkowego i ksiądz Okroy w złym nastroju powiedział Stykowej, żeby paczki zabrała do szkoły. Ona na to, że ma „hernię” (przepuklinę), dźwigać nie może i paczki tu zostawia. I już. Obraziła się. Za jej dobre serce taka wdzięczność! Ploty poszły natychmiast. Jamrosz dzwoni do Stasia, żeby jakoś sprawę załagodził. No i co miał robić? Tu telefonuje, tam telefonuje. Wszystko obrażone. W końcu powiedział: mam wszystko w de. Najważniejsze, żeby te paczki poszły!

A tymczasem paczki jeszcze nie idą. Giernarczyk i Wiśniewski warują na górze paczek, góra rośnie, rośnie. I nic. „Truck 44” nie nadjeżdża z Virginii. Coś mu się w drodze popsło. Ludzie się pchają w kolejce z tymi paczkami. A tu nic. Telefonuję do linii okrętowych Gdynia-Ameryka. Ledwie się przedostałam. „Starzyński”? Nie... „Starzyński” odpływa dziś po południu, ale nie do Gdyni, do Bremen. A do Gdyni popłynie „Kościszko”. Będzie tu 20 stycznia i tego samego dnia odpłynie. Pan Webb? Nie, w ogóle z Webbem nie rozmawiali”. Przeraziłam się. Zlinczują mnie za te paczki. Ale skończyło się dobrze. Zajechał ogromny wóz, potężny wagon. Władowaliśmy paczki. I to był początek. Z plebanii naturalnie musieliśmy się wynieść. Już po jednym dniu tych dzwonek do drzwi proboszcz był u kresu wytrzymałości. Cała plebania chodziła podminowana, zła na księdza Okroya, że na to pozwolił. Więc najpierw przenieśliśmy się z tym paczkowym „businesssem” do szkoły, a później „Sokolnia” użyczyła nam swego lokalu. Nędzne to było bo nędzne, ale zawsze dach nad paczkami. Giernarczyk z Wiśniewskim warowali uczciwie. Góry pak rosły. Co kilka dni zajeżdżały ogromne „trucki” i zawoziły paczki do portu, do Polish Ocean Lines. Z Webbem spotkaliśmy się i polubiliśmy go. Skromny był, uczynny, serdeczny. Kilka razy pojechał do Polski i na miejscu zorganizował przez swoją „siatkę”

„Church of Christ” rozdzielanie paczek. Odwozili je na prywatne, podane przez nas adresy, do domów. Punkt paczkowy w „Sokolni” wysyłał paczki nie tylko z Baltimore. Korzystał z naszych kontaktów cały Waszyngton. Do portu nad Chesapeake Bay przychodziły paczki z Chicago i wielu innych miast w których Polonia organizowała pomoc dla kraju. (Wysyłka ciągnęła się aż do czerwca i poszło w tym czasie najmniej kilkaset ton paczkowej pomocy. Pod koniec, w Polsce zaczęły się nadużycia. I zresztą nie było już tak ogromnej potrzeby).

Pamiętam, że raz mieliśmy wyjątkowo dużo paczek, a szofer, który dostarczyć je miał do portu nie przyjechał. Wtedy wynajęliśmy „truck” i Staś poprowadził do portu to potężne wozisko. Samochód miał zepsute hamulce i nie chciał się zatrzymywać na zakrętach. Przejechał nim jednak z tymi paczkami przez całe miasto aż do portu.

Mrozy, zapowiadają śnieżyce. Rembski chce malować portret, rozpisac na to loterię, aby w ten sposób zdobyć fundusze na *Maryland Action for Poland*. Staś organizuje wieloetniczny popis taneczny. Dochód na MAFP. No ale mamy kłopoty. Laszczyński i Pasko z Kongresu Polonii chcą cały dochód z imprezy dla Kongresu. Kongres, domagają się, powinien wszystko reprezentować. A my — nie. Na zebraniu podniósł się wielki, ciężki Laszczyński i wygłosił przemówienie, jak oni pracowali sami, bez pomocy intelektualistów i szlachty. Ta „szlachta” cały czas im siedzi w głowie. Nikt ich nie przekona, że nie jesteśmy żadną szlachtą.

19 styczeń, 1982

W ostatnią sobotę, 16-go, Alojzy Mazewski zwołał czterdziestu reprezentantów Polonii — sami mężczyźni. Byli: Andrzej Ehrenkreutz, Jur Lerski, Jan Nowak, Wacek Chrypiński, Zdzisław Dziekoński z Waszyngtonu, Polcyn ze „Studium” na jakimś urlopie z Pakistanu gdzie obecnie pracuje, i naturalnie wszechobecny Kazimierz Łukomski. Radzili w hotelu Hilton na lotnisku chicagowskim. Radzili nad sprawami sytuacji w kraju, czarnej i tragicznej. Telefonowałam wcześniej do Andrzeja E. aby mu przekazać sugestię Jerzego Giedroycia stworzenia ekspozytury Kongresu Polonii w Polsce. Również, że paczki Care i Czerwonego Krzyża są manipulowane.

Andrzej E. telefonuje w niedzielę. Mówi: „Ja telefonowa-

łem przedtem, ale musiałem odłożyć słuchawkę, bo wróbel wpadł do pokoju i siedzi teraz na Literaturze Francuskiej. Siedzi cicho bo mu ciepło, a Blanka karmi go jajkiem”. Pytamy: „No i co tam było? Co żeście uradzili?”

Padł projekt stworzenia tu armii polskiej, ale nie przeszedł. O placówce Kongresu w Polsce: no, nie ma pieniędzy. A w ogóle, to nic tak nie uradzili. Chodziło o zbadanie opinii”.

Dziś telefonuje Wacław Bniński do Stasia. Dziekoński zdawał relację w Waszyngtonie, że jedną z sugestii na zjeździe było, aby Mazewski przeprowadził głódówkę przed Białym Domem dopóki Reagan nie zmusi Jaruzelskiego do zniesienia stanu wojennego w Polsce. Nic... nic konstruktywnego. Zima, mróz, śnieg, marznę. Dręczy sytuacja polska. Beznadzieja wpływa depresyjnie. Co robić? Katastrofa samolotowa w Waszyngtonie, ginie prawie 80 osób.

Są jednak i dobre wieści. Telefon od Johna Tolla, prezydenta Maryland University. Dziękuje za zaproszenie do komitetu honorowego *Maryland Action for Poland*. Przyjmuje. Arcybiskup, Prezydent Johns Hopkins University, ksiądz Sellinger z Loyola i inni — przyjmują. Są zainteresowani.

Trzy dni temu, rano, telefon od Marty (Erdman): „Pierwszy dzień czuję się trochę lepiej, a ostatnio straciłam 14 funtów. To niebywałe, nie mam apetytu. Całe moje życie nie wiedziałam co to jest nie mieć apetytu”. W jej głosie brak dawnego blasku. Brak dźwięku. Matowość jak śniedź zachodzi na lśnienie jej głosu. Czuję w sobie rozpacz okropnego przeczucia. Mówię jej o paczkach do Polski. Rozjaśnia się. Sama niedawno posłała dwie paczki na adresy, które dostarczył jej Giedroyc. Ale zeszytów ani ołówków nie można wysyłać! Co za terror!

20 styczeń, 1982

Ronald Reagan ogłasza dzień trzydziestego stycznia „Solidarity Day”.

SPOTKANIE W HOTELU MAYFLOWER

31 styczeń 1982

Ostatni dzień stycznia, miesiąca tak brzemiennego w wypadki. A zwłaszcza interesujące i znamienne są te dwa ostatnie dni. Trzydziesty styczeń to dzień solidarności z Solidarnością na całym świecie. W Chicago generał Haig przemawia do 10.000 ludzi. Oskarża Moskwę o tragiczne wypadki w Polsce. W Waszyngtonie przemawia między innymi Jerzy Milewski. Kim jest Milewski? Kim jest Mohl? I kim jest ten 27-letni Sawa Małachowski, który jak demon rzucił się na Milewskiego wplątując go w organizację *Solidarity International*? Powracam do piątku wieczorem, 30-go stycznia w Hotelu The Mayflower, w Maryland Room.

Jedziemy tam wyruszając z Baltimore około 6-tej wieczorem. W pośpiechu, w gorączce, tyle spraw trzeba załatwić w czasie pomiędzy przyjazdem z pracy i wyjazdem do Waszyngtonu. Droga wiodąca do Malvern Avenue nierówna i trzeba się dobrze rozpedzić, aby wjechać pod górę. Nareszcie, jedziemy do Waszyngtonu. Bniński zorganizował zebranie w Mayflower. To Jerzy Milewski prosił o zebranie ze „Studium”. Nie wiemy właściwie o co chodzi. Co to jest *Solidarity International*? Andrzej E. prosi, aby wybadać. Kim oni są? Jakie różnice pomiędzy nimi a grupą Chojckiego, która stale pisze sprawozdania i prasowe komunikaty do *Nowego Dziennika* na temat obecnych stosunków w Polsce. Tadzio Walendowski mówi o nich, że są nieustannie w stanie amoku, latają na różne zebrania, przemawiają, agituja.

Dojeżdżamy do Mayflower. To stare hotelisko, ta rudera, która stoi i to w miejscu bardzo dostojnym, na Connecticut, mogłaby wiele powiedzieć o sprawach ludzkich wstydliwie ukrywanych. Nasze problemy emigracyjne też się tu kotłują: ileż to razy spotykaliśmy się w Mayflower! Tu zebrania Kongresu Polonii, tu spotkania „Studium”. Radzenie... dyskutowanie... analizowanie polskich spraw. Jesteśmy zaczadzeni polskimi sprawami.

Parkujemy w podziemnym parkingu należącym do hotelu. Biegniemy, już późno, jesteśmy pół godziny spóźnieni. Winda nie słucha nas. Podjeżdża na ósme piętro, za-

miast na 2-gie. I gdzie jest Maryland Room? Szerokie korytarze, kwiaty w malowanych wazonach, lustra. Ale z bocznych korytarzy, z pokoi, których drzwi są otwarte, wieje stęchlizną. Jak szczur ukryta w norach ta gęsta maziowata i lepka woń: stęchłego jedzenia, niedopałków papierosów, dymu, wilgoci, kurzu. Z jakiejś większej sali, przez uchylone drzwi — zapach prażonych krabów. Widać długi stół i ludzi zachłannie zatopionych w obżeraniu się krabami. *Crab feast*. Dopiero jak najedzą się będą mówić. Nareszcie Maryland Room! I tu wprost przeciwnie: żadnego jedzenia. Tylko kawa. Wchodzimy chyłkiem, spóźnieni. Bniński pośpiesznie, z cicha, ściszony, jakby przytłumiony, pochylony nad stołem — wprowadza nas. Przy długim stole, jeden obok drugiego siedzi ich czterech: Jerzy Mohl, Jerzy Milewski, Sawa Małachowski i jeszcze jakiś młody, korpulentny, czarniawy chłopiec (Tadzio Walendowski mówi o nim, że to taki lokalny Sawa Małachowski, nazywa się Joachimek).

Po „naszej” stronie: Jan Nowak. Nie utył, ale korpulentny. Różowy mocno na twarzy i jak na niego — spokojny. Nawet, uspokojony. I chyba pogodzili się z Bnińskim. Bo przecież Bniński zwraca się do niego uprzejmie i spokojnie: „Panie Janie”. Więc musieli się pogodzić po tej cholernej (kilka lat temu) awanturze u Dziekońskich, kiedy Bniński wybuchnął, że nie chce mieć z Nowakiem nic do czynienia, a Nowak na to „Pana żona była mi wdzięczna, że was uratowałem od nędzy” i wtedy Bniński ryknął: „Niech się pan do mojej żony nie wtrąca!” Ale to już historia przebrzmiała i ważny tylko ten Maryland Room i dwie grupy po obu stronach stołu: oni i my (Studium). Przy Nowaku, Rzeszotarski spokojny, zrównoważony i ciemny, sympatyczny i młodszy od pozostałych „panów”. Obok Rzeszotarskiego — ja, jedyna kobieta w tym „panowie” „proszę panów” — ginę. Zwracają się tylko do siebie. Ale kiedy poznajemy się, witamy, każdy wstaje i całuje mnie w rękę. Jest to ambarasu-jące, symbolicznie polskie. Na razie siedzimy cicho. Staś koło mnie i Wacława Bnińskiego, który niby „prowadzi” to samoprowadzące się zebranie w którym wyraźnie zarysowują się dwie strony badające się wzajemnie: „Kim jesteście?”, „Co możecie nam zaofiarować?”, „Czego chcecie od nas?” Jerzy Milewski jest doktorem fizyki. Zwracają się do niego per „docent Milewski”. Jest z Gdańska. Ma mandat poselski Solidarności. Pracował w zakładzie fizyki. Obserwuję go, notuję pierwsze wrażenia: drobny, wydręczony człowiek, silny

stopień *anxiety*, desperacja, upór. Wąsy otaczające półkołem wargi opadają poza kąciki ust. Te wąsy w jakiś sposób (nie wiem jaki) określają go, chce nimi coś zadokumentować. Trochę jakby z powstania styczniowego. Wyczuwam gorzkość a jednocześnie szaleństwo i pewne traktowanie nas z góry, z nonszalancją: patrzcie my gramy teraz najważniejsze role! I przychodzimy tu do was. Milewski mówi, słucham: „... ktoś, kiedyś musi się temu przeciwstawić... więc być może ktoś kiedyś musi to ziarenko... ktoś z tym sztandarem musi wystąpić... ten sztandar musi być dość silny, no to chyba tyle”. Orientuję się, że przyszedłmy późno i Milewski coś kończy, wykład który zaczął? Ma specjalną manierę mówienia. Wykład raczej popularny. Słuchamy w skupieniu.

„Szczegółowo, grupa 65 ludzi w Nowym Jorku założyła „chapter” *Solidarity International*. Są w Waszyngtonie *Friends of Solidarity*. I myślimy, że „oczkiem” w tej organizacji i innych, tak mówimy w Polsce, „oczkiem” w tej organizacyjnej sieci *Solidarity International*, mogą być właśnie takie różne organizacje. W Europie nie jest tak łatwo, no bo... socjaliści, którzy komunizują. Europa nie jest w stanie podjąć takiej rzeczy. I nam powiedziano, że jeśli to się zacznie w Ameryce, w Nowym Jorku, który ma taką renomę na świecie... zwracamy się więc do istniejących organizacji, aby organizację tę podjąć wspólnie...”. Nic z tego, jak dotąd nie rozumiem. O jaką organizację chodzi? Widzę, że Nowak trze łysinę i może też... nic.

Milewski mówi. Rozwlekłe, dźwięcznie, słowa jasne, wyraźne, ale tylko dźwięk słów jasny, bo treść taka niejasna, taka od wszystkiego oderwana, hulająca sama sobie, że, do cholery, o jakie znów nowe *Solidarity* tu chodzi? Z czym oni...? A Milewski dalej: „jak jest załączek to już można oddolnie jaki taki program uchwalić... zebranie wszystkich „chapters”. Jeśli chodzi o formę działań praktycznych, powinna się wyłonić forma pomocy naszemu związkowi w kraju. Jest około dziesięciu osób, które się znalazły... które się zastanawiają nad tworzeniem przedstawicielstwa. *Solidarity International* będzie ich popierała. W przyszłości — głos Milewskiego dźwięczy optymizmem i czuję już jak ta przyszłość będzie wyglądała — możliwe jest założenie *Solidarity International* w Polsce. To naturalnie będzie inna organizacja niż Solidarność”.

Zupełnie tu głupieję: Solidarność i *Solidarity International* i nie *International* mieszają mi się. Tyle słów! Takie wodo-

leństwo! Można by przecież jasno, krótko w kilku zdaniach. Widzę, że Nowak chociaż spokojny za chwilę trzaśnie w nich na zimno, ale może inni rozumieją, a ja nie? I zawsze trudno temu pierwszemu krzyknąć, że „król jest nagi”. Tymczasem Jerzy Mohl chce się dobrać do głosu. I podczas gdy Milewski błądy i ciemny i dźwięczny chociaż wydręczony, szczupły, niepozorny, traugutowaty, taki z drobnej szlachty zagrodowej, z leśniczówki, ale nie z lasów, bo z lasów chłopiska, a on drobny, ledwo się trzyma, podczas więc gdy on (Milewski) wywodzi i do głosu się przyczepił, przyssał, Mohl niecierpliwi się. Jerzy Mohl wysokie chłopisko, silny w jasno-brąz garniturze. Teraz domaga się głosu, lecz skoro Milewski nie dopuszcza, wpada mu w przerwę wywodu.

„Chciałbym się przedstawić. Jerzy Mohl z Krajowej Komisji Rewizyjnej z rejonu Małopolska. Nasz związek był pierwszym parlamentem w Polsce...”. (Obserwuję spokojne, opanowane twarze „naszej” strony. Wiem co myślą: na miłość Boską, człowieku, czy ty myślisz, że my jesteśmy idioci? Że nie wiemy tego?) Ale wracajmy do Jerzego Mohla. Twarz otwarta, szeroka, twarz hożego górala i na tej twarzy wszystko co wewnątrz — wszystkie uczucia. Mówi krzepko, wiecowo: „Na mnie głosowało sześć i pół miliona osób”. Wyciąga dokumenty i pokazuje legitymacje swoje, a ja mam uczucie przykrości, że tę legitymację przeglądam (bo ileż to fałszywych legitymacji widziałam! Ile się tego robiło w czasie okupacji! Zwykle wierzyłam bardziej ludzkiej twarzy i wyrazowi tej twarzy i temu co poza słowami, co emanowało z człowieka niż drukowanemu papierkowi z pieczętką). No ale legitymacja być musi. Też ważna. A dla Jerzego Mohla te sześć i pół miliona głosów (powtarza to kilkakrotnie), te sześć i pół jest muzyką niebiańską i fanfara organów i szczęściem życia, dumą i orężem i sztandarem. Właśnie, że sześć i pół miliona na niego głosowało. Na niego! Słyszycie ludzie? Rozumiecie, co to znaczy, że sześć i pół miliona na mnie głosowało? Na mnie, który siedem lat w komunistycznym więzieniu! A teraz mój dwudziestojednoletni syn też w więzieniu. Za ojca! Nie powiedział tego od razu, ale później i prywatnie. Ograniczył się do sześciu i pół miliona. A teraz mówی dalej:

„Tu nie chodzi o ludzi, którzy należeli (zwykłych członków Solidarności), ale o tych, którzy byli obligowani. Ponieważ Solidarność zesłała do podziemia, należałoby za gra-

nicami stworzyć przedstawicielstwo, ażeby wspomagać tę Solidarność walczącą w kraju. Trzeba powiedzieć — i tu słyszę nutę w głosie Jerzego Mohla, która dźwięczy oskarżeniem i rozczarowaniem. Rozpoznaję tę nutę sprzed lat trzydziestu — pieśń emigranta politycznego — trzeba powiedzieć (mówi Mohl) że naszym zaskoczeniem było, że... tu w Ameryce słyszeliśmy dużo o pomocy Solidarności... no a my jesteśmy częścią tej Solidarności. Wielu ludzi, którzy nam podali rękę, nie zapytało nawet: Czy macie chłopcy co zjeść na śniadanie? Nikt się nie zapytał: z czego wy ludzie żyjecie?" Mohl narzeka, a ja sobie myślę: nic się na tym świecie nie zmieniło. Poznaję te same sprzed lat trzydziestu uskarżania i żale. Pamiętam mego ojca który zgłosił się do SWAPu (Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej) z prośbą o pomoc w znalezieniu pracy. I posłali go do trucia szczurów i do kopania grobów. A potem, jak zgłosił się do Towarzystwa „Kościuszkę” i też tylko kręcili głowami, nie mogli skierować go do żadnego zajęcia, powiedział: „Legitymujecie się Kościuszką i to wszystko. I gdzie ta wasza polskość?”.

A oni nie umieli pomóc. Nikt ich nie nauczył jak należy pomóc. Ale my przyplęliśmy do Ameryki w czasie gdy słowo „Polak” miało wydźwięk *Polish joke*. Kiedy Polak nie liczył się. Nisko był widziany na drabinie społecznej. Wtedy, do mnie ze zdziwioną uprzejmością zwracali się amerykańscy znajomi i pracodawcy: „*Polish? Are you really Polish?* Wyglądasz jak Szwedka, albo Niemka, albo Francuzka”. A oni, Mohl, Milewski i inni wjechali tu na rydwanie Solidarności, sławy, glorii Solidarności. I w tej jasności stąpają i domagają się. A my pytaliśmy się tylko. Żal jednak jest podobny. I podobny jest konflikt tych co przyjeżdżają z tymi co już osiedli, mchem obrosli, przystosowali się. Takie samo psychospołeczne zjawisko. Antropolog czy socjolog natychmiast by to wziął na warsztat, rozpracował, wyciągnął wnioski. Nas włączonych emocjonalnie — boli. Dla naukowca to fenomen spodziewany. Jest to konflikt tych co przyjeżdżają z tego naszego nieustannie konwulsjami wstrząsanego granicznego pasa — który nazywamy Polską — i do którego, jak mieszkańcy obszarów spod wulkanu wracamy po najcięższych erupcjach lawy.

W naszym konflikcie wszystko ścieśnia się do polityki i osobistych pretensji. Mało, albo wcale nie zastanawiamy się wspólnie co w tej polskiej kondycji zależy od przyrody, praw kosmosu, ekologii naszych ziem, zmian w psychice człowieka.

Więc nic dziwnego w tym żalu Mohla. Identyfikuję się z jego żalem chociaż wiem, nie uwierzyłby mi, że to jest zjawisko powracające. Tak długo, jak długo Ameryka będzie krajem wolnym i bogatym, krajem w którym pierwszeństwem nie jest pytanie: „Chłopcy co jedliście na śniadanie?”, ale „co umiesz?” i jeśli umiesz „pokaż, jak to umiesz zrobić?”, pokolenia przyjeżdżających tu uciekinierów, generacje imigrantów odczują żal braku zainteresowania. Pomyłką jest spodziewanie się rzeczy, których pragniemy. Pragniemy troski, opieki, pytania „Chłopcy co jedliście dziś na śniadanie?” O to pyta matka. O to pyta najbliższa rodzina. A Ameryka jest federacją nie matką. Więc pewnie w Polsce, która jest matką (skrzywdzoną, ubogą, ale matką przede wszystkim), pytanie takie skierowane do przyjeźdnego z daleka byłoby pierwszeństwem. Nie tu. Mohl mówi dalej.

„Na to, aby zebrać tę dziesiątkę potrzebujemy funduszy. Pewna grupa naszych działaczy żyje na garnuszku komunistycznych związków zawodowych. No więc naturalnie mają usta zamknięte, bo odmówią im pomocy. Prowadziliśmy rozmowy z AFL-CIO. Na naszym zjeździe wygłaszali szumne przemówienia, co to oni dla nas mogą zrobić. Tu, poza tym wielkim, szumnym oświadczeniem wszystko ucichło. Z panem Kahnem rozmawialiśmy. W Nowym Jorku mówiliśmy z panem Manem. Interesowało go co żona Wałęsy mówi na temat Wałęsy, ale nie interesowało go co robią działacze i z czego żyją. A tutaj powiedzieli nam, że oni weszli w układy z Europą więc dla nas nic zrobić nie mogą. Tą naszą nazwą szafuje się. Na to są fundusze. Potrzebujemy funduszy; chcielibyśmy te fundusze na utworzenie własnej radiostacji Solidarności. Powinna uświadamiać nie tylko w języku polskim, ale i w angielskim... no i na utworzenie tego biura i dotarcie do rodzin uwięzionych. Proszę państwa, ja nie mam nic przeciwko Kościołowi, ale dają swoim parafianom, a my jesteśmy zainteresowani rodzinami...”

Tu wtrąca się Nowak. Najeżdża jak lokomotywa, ale wolno jeszcze i cicho: „Jest ponad 4000 uwięzionych...”

Znów Mohl, chociaż tuż przy nim niecierpliwi się Milewski. Więc Mohl:

„Ja przesiedziałem w więzieniu komunistycznym 7 lat. Moja ciotka przysyłała mi ze Stanów paczki. Naturalnie nie zobaczyłem ich. Ale to tak wyglądało: Mohl, Jerzy, syn Franciszka i Weroniki podpisał, że otrzymał paczkę. A próbowałbym nie podpisać! To bym tu dziś nie siedział. Nie ma-

my możliwości finansowych zwołania komitetu”.

Wtrąca się Milewski:

„Unia nas źle traktuje. Oni woleliby żebyśmy wyparowali. Jedyna organizacja, która się nami zajęła to *Solidarity International*. Robili manifestacje, zbierali pieniądze do skarbonki”.

Sawa Małachowski, młody chłopiec z romantyczną brodą i błądy, tragicznie spojrzął na Milewskiego z wdzięcznością bliską łez. Dowiedzieliśmy się później, że to on właśnie rzucił się na Przetakiewicza kiedy ten organizował biuro prasowe Solidarności w Nowym Jorku. Potem przeszedł do *Polish Workers Task Force*, a teraz zobaczył swoją szansę przy Milewskim. Chłopak wydaje mi się zupełnie wytracony z równowagi: kończył historię, pracował jako *truck-driver*, a teraz bez pracy. Mówi Milewski: „Otóż część tej grupy (Solidarności) zbierała się dwukrotnie, raz na Sylwestra w Paryżu, potem drugiego stycznia w Brukseli. Małachowskiego ojciec jest również w Komisji Rewizyjnej. Teraz w więzieniu”. (Brat ojca tego milczącego, bladego młodzieńca to ksiądz Małachowski, którego spotkałam na pogrzebie Stasia Gierata. Prowadził wtedy Klub Inteligencji Katolickiej w Nowym Jorku).

„Natomiast Sawa — mówi Milewski — jest w Ameryce od siedmiu lat i jest tym człowiekiem, który mnie wyłowił. Bo ja siedziałem u krewnych w Connecticut i wychodziłem z siebie. Nigdzie mnie nie potrzebują. Jestem *persona non grata*. Tysiące Polaków chodzi po Nowym Jorku i nie wie co robić. Ktoś musi im podpowiedzieć co zrobić. Więc ja zająłem się tym podpowiadaniem. Kiedy ogłosiliśmy w *Nowym Dzienniku*, że istniejemy jako *Solidarity International* to Jurek Mohl się do nas zwrócił”.

Milewski jest lojalny wobec Sawy: Sawa go wyłowił, uratował, dał mu rolę do odegrania. Bo przecież Milewski mimo swojej docentury w fizyce miał ambicje polityczne. To on organizował „Stronnictwo Pracy” i domagał się roli politycznej dla Solidarności. Na Uniwersytecie George Washington zebrano 4 i pół tysiąca dolarów ze sprzedaży znaczków i koszulek z napisem „Solidarność”. Oni robią pieniądze na Solidarności.

Sawa Małachowski zabiera głos:

„Wczoraj w rozmowie z AFL-CIO spytali: Ile? I na tym się skończyło. W samym Nowym Jorku kiedy robiliśmy akcję plakatową, dostawaliśmy setki telefonów z zapytaniem:

Co robić? Więc postanowiliśmy stworzyć strukturę. Niezależną. Ja jestem z wykształcenia historykiem. Jeśli działać to niezależnie i międzynarodowo. Sprawa Polski nie jest odizolowana. Wczoraj była Kambodża, przedwczoraj Afganistan... Nasza sprawa wymaga „zorganizowania sieci, kurierów, zorganizowania każdego na świecie...”

Milewski przerywa:

„No więc cóż my tutaj właściwie tworzymy? Trzeba to wypełnić treścią merytoryczną. Rozumiemy, że „Studium” to jest grono osób, intelektualistów, którzy nie mają nic wspólnego z masowym ruchem robotniczym, albo jakimkolwiek społecznym. „Studium” interesuje się sprawami polskimi. Nawiązując do sytuacji w Polsce, „Studium” mogłoby reprezentować Ośrodek Prac Zawodowych Centralnych — OPZC”.

Nowak: „Czy ja dobrze zrozumiałem? To „Studium” nie byłoby organizacją reprezentującą Solidarność?”

Milewski: „Reprezentować może tylko grupa...”

Nowak: „Nikt nie może reprezentować istniejącej organizacji bez jej upoważnienia”.

Milewski: „Tu w Nowym Jorku jest kilka tysięcy członków Solidarności”.

Nowak: „Jest szereg organizacji, które tą nazwą się posługują. Wrażenie na zewnątrz jest negatywne. Ja miałem telefon od pana Bałdygi. Jest dewaluacja hasła „Solidarność”. Solidarność jest słowem oznaczającym wspólne działanie. Teraz jest zmarnowane. Czy jest kooperacja pomiędzy panami i tą drugą sześcioposobową grupą? Ale oni nie chcą tworzyć międzynarodowej organizacji”.

Milewski: „Działamy, jak na dłoni. Pokazujemy swoje własne narodziny. Zupełnie tak, jak powstawała Solidarność w Polsce... rozważamy jak połączyć *Friends of Solidarity*... w pewnym momencie nastąpi zlewanie się grup... skuteczna pomoc kolegom w kraju. Ale należy zwalczać komunizm na świecie”.

Bniński: „Grupa nowojorska zasilana jest przez AFL-CIO, ale bez zlecenia Wałęsy żaden dolar nie był wydawany. Poprzez osobiste stosunki, pewne osoby, które tu dłużej przebywają „wkręciły się”. Należy rozróżnić pomiędzy funduszami AFL-CIO dla *Solidarity* i funduszami ubocznymi”.

Nowak: „Ja się niepokoję. Jest konfuzja. Tu istnieje cały szereg organizacji, które powstają jak grzyby po deszczu. Czy ci ludzie nie mogą się jakoś porozumieć? Co to właściwie jest? Rezultat jest ka-ta-stro-falny!”

Milewski: „Nie mamy funduszy”.

Nowak: „Nie można zaczynać z funduszami. Należy się wykazać”.

Milewski: „Wykazać? Nie wiadomo co pierwsze, kura czy jajo?”

Mohl: „My mamy mandaty. Ja jestem przede wszystkim... na mnie głosowało 6 i pół miliona ludzi... Myśmy się znaleźli na obczyźnie... Ja jestem we władzach... jestem przedstawicielem żywego związku... ale ta organizacja pomogła mi, żeby tu przyjechać... kolega Milewski ma mandat poselski...”

Milewski: „Ale jak przyszedłem do *Nowego Dziennika* i przedstawiłem się kim jestem to czekałem siedem dni...”

Dyskusja ciągnie się długo. Od czasu do czasu charakter jej staje się chaotyczny. „Oni” chcą pieniędzy. Spodziewali się funduszków. „Studium” pieniędzy nie ma. Skoro powiedzieliśmy sobie to najważniejsze, rozmowa staje się jałowa. Milewski zmęczony. Widać, że ma wszystkiego dosyć. Mohl natomiast daje adresy, na które możemy indywidualnie wysyłać paczki. Pierwszy to adres jego rodziny. (Paczkę wysłałam. Nigdy nie otrzymałam potwierdzenia).

Winda obejmuje naszą grupę. Milczenie. Na parterze, w holu mimo późnej pory jeszcze ruch. Milewski przeziębiony, kaszle, zakatarzony. Podchodzę do niego, pytam czy był u lekarza, czy ma lekarstwa. Machnięcie ręką. Pogrążony w swoich myślach. Jest zniechęcony i zły.

Długa droga z powrotem do domu. Staś zastanawia się w jaki sposób można by im pomóc. Teraz, mając fakty w ręku należy przedyskutować sprawę z zarządem „Studium”. Z całego tego długiego wieczoru pozostaje mi wrażenie podziału, a także pewnego odręczenia „nas” od spraw „ich” to jest spraw krajowych. Pogłębia się uczucie zawieszenia w próżni. Wyobcowania. Czyżbyśmy stawali się Polonią amerykańską? Czy już nie jesteśmy emigracją polityczną dla której pierwszym obowiązkiem jest dobro kraju?

— Oni chcą tylko pieniądze — mówię — tylko fundusze. Nie przyszli się dzielić, radzić, planować wspólnie. Nie chcą naszego doświadczenia.

Danuta MOSTWIN

Andrzej BOGUSŁAWSKI

PRZEZ FINLANDIĘ DO NARVIKU — ROK 1940

Na wiosnę 1940 r. grupa polskich uchodźców, którzy różnymi drogami dotarli do Sztokholmu z zamiarem przedostania się do Armii Polskiej we Francji i oczekiwali na załatwienie dalszych formalności, doczekała się przecięcia tej drogi przez inwazję Niemców na Danię, Norwegię a potem Belgię i Holandię. Wówczas zapadła decyzja, żeby grupę ochotników wysłać jako uzupełnienie kadrowe dla polskiej Brygady Podhalańskiej walczącej w Narviku. Szwedzi nie chcieli tej grupy przepuścić przez granicę prosto do Norwegii przez silnie strzeżone okolice przemysłowego ośrodka w Kirunie, wobec czego trzeba było jechać okólną drogą przez Finlandię i Nordkap. Do Narviku nie dotarli.

To był początek długotrwałego pobytu w Finlandii kilkudziesięciu Polaków, o czym chyba jeszcze nikt nie pisał. Szukając śladów tego epizodu w *Zeszytach Historycznych* natknąłem się na jeden artykuł i jedną wzmiankę o Polakach w Finlandii w latach 1940-1944.

Artykuł Norberta Żaby „Finowie i Polacy w 1944 roku” (*Zeszyty Historyczne* Nr 106 z 1993 r.) na str. 213 wspomina o grupie ok. 250 Polaków, którzy w wyniku fińsko-sowieckich i niemieckich działań wojskowych w 1944 r. znaleźli się w Finlandii. Byli to ludzie przymusowo zmobilizowani przez Sowiety na naszych ziemiach wschodnich lub też wcieleni do prac wykonywanych przez niemiecką organizację TODTA. Zostali oni ewakuowani do Szwecji przez zieloną granicę dzięki sprzyjającym Polakom fińskim oficerom, policjantom i dzielnym jednostkom, takim jak Gunnar Rügheimer i płk Ake Slöör, których red. Żaba wymienia z nazwiska. Jest to więc sprawa odrębna, późniejsza.

We wcześniejszej pracy Leonidasa A.B. Kliszewicza pt. „Baza w Sztokholmie” (*Zeszyty Historyczne* Nr 58 z 1981 r.) na str. 51 znalazłem wiadomość, która wiązać się może ze sprawą „ochotników do Narviku”. Oto istotne szczegóły:

Płk dypl. Tadeusz Rudnicki, który został 20/01/1940 r. mianowany kierownikiem ewakuacji z krajów nadbałtyckich na miejsce płk. dypl. L. Mitkiewicza...

„... w dniu 10 lutego podpisał w Helsinkach umowę z Ministrem Wojny gen. de Waldenem o organizowaniu oddziałów polskich dla armii fińskiej, a w dn. 12 lutego w tej sprawie był w Kwaterze Głównej marsz. Mannerheima. I chociaż wojna sowiecko-fińska się skończyła, ewakuacja żołnierzy polskich do Finlandii trwała nadal. W Rovaniemi powstał polski obóz zborny, gdzie do 16 czerwca 1940 r. zgromadzonych zostało około 200 ludzi pod dowództwem mjr. kaw. Janusza Korczyńskiego”.

Płk Rudnicki twierdzi — w uwagach na temat książki płk. dypl. L. Mitkiewicza „Z gen. Sikorskim na Obczyźnie”, przekazanych na prośbę Stefana Zamoyskiego z 22/XI/69 r. — że wszyscy ci ludzie zostali później przerzuceni do Anglii.

Sprawa organizowania oddziałów polskich dla armii fińskiej wiąże się z projektowaną przez Radę Wojenną Sprzymierzonych pomocą dla Finlandii po agresji sowieckiej z 30 listopada 1939 r., która rozpoczęła 2 i półmiesięczną „Wojnę Zimową”, kiedy to Finowie stawiali bohaterski opór siłom napastnika. Zaplanowane na 20 marca wysłanie 50-tysięcznego korpusu francusko-brytyjsko-polskiego nie doszło do skutku z powodu zakończenia wojny w dn. 12 marca. Przygotowywana na wyprawę do Finlandii polska Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich została użyta nieco później — w Narviku.

Pozostają do wyświeatlenia dwie sprawy. Czy w Rovaniemi rzeczywiście istniał obóz zborny, gdzie do 16 czerwca 1940 r. zgromadzono aż 200 ludzi? Nasza wyprawa, którą opisuję osobno, trwała 10 dni — od 1 do 10 czerwca. Przejżdżaliśmy przez Rovaniemi dwa razy — na północ i z powrotem — ale nie zostaliśmy tam internowani, ani zatrzymani w „zbornym obozie”. W naszej grupie było ok. 20-30 osób. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Oulu. Tam czekaliśmy na decyzję naszego ataszatu wojskowego — czy wracać do Szwecji koleją przez Haparandę, czy jechać do Helsinek, czy ładować się na statek w Turku? Nikt nie mówił o jakimś punkcie zbornym w Rovaniemi. Gdyby był — na pewno by ktoś o nim wspomniał.

Decyzja płk. Łosia, *attaché* wojskowego w Helsinkach przyszła szybko. Mamy się zatrzymać w miejscowości Ruukki, kilkadziesiąt km na południe od Oulu, przy głównej

linii kolejowej idącej na południe kraju. Znowu nie było mowy o Rovaniemi. W Ruukki mieliśmy dostać zakwaterowanie, wyżywienie zorganizowane przez fińską organizację kobiecą Lotta Svärd, i żołd. I tak się stało. Byli wśród nas wszyscy, którzy starali się dostać do Narviku. Był też mjr Korczyński — jako jeden z majorów. Ale nie narzucał się jako komendant, dowódca, czy szef. Ale czy mjr Korczyński podróżował z nami do Norwegii? Tego właśnie dokładnie nie pamiętam. I nie mam jego nazwiska w swoich notatkach. Czyżby się do nas przyłączył z mitycznego Rovaniemi? Może były dwa obozy zborne? A może Rovaniemi to symbol dalekiej północy a Ruukki, mała wioska, występuje w pamięci ludzkiej pod takim pseudonimem? Nie wiem.

Przeszukuję notatki. Mam trzy rodzaje materiałów: 1) pięć kartek z zeszytu w linie, zapisanych dwustronnie ołówkiem, numerowanych od 16 do 20; pisanych częściowo w drodze, poprawianych w Finlandii, datowanych z 8, 9 i 10 czerwca, z najbardziej dramatycznych chwil — ostatnich na ziemi norweskiej i powrotu do Finlandii; 2) 14 stron maszynopisu, przepisane z początkowych kartek tego samego zeszytu, co zrobiłem w Anglii; są to bardzo szczegółowe, wielokrotnie poprawiane i skracane notatki doprowadzone do nie ukończonego rozdziałiku „Katastrofa”, opisujące wszystko, co się działo przed relacją z trzech ostatnich dni; 3) mam wreszcie 12-stronicowe wspomnienie podróży ze Sztokholmu do Norwegii, zakończone powrotem tylko do Petsamo, bez żadnych nazwisk, nazw, całkowicie pozbawione wszelkich szczegółów związanych z niedawno zakończoną „Wojną Zimową” Finów przeciw sowieckiej napaści; jest to wspomnienie napisane z pamięci w 1972 r. dla kolegów z radia, opublikowane na prawach rękopisu przez Wydawnictwa Radia i Telewizji, a więc do użytku prywatnego; zostało ono wyprane ze wszystkich aluzji do sowieckiej agresji, zniszczeń wojennych, a nawet tego, że żołnierze fińscy — inwalidzi wracali wówczas do ojczyzny po leczeniu w szpitalach szwedzkich.

Oczywiście znalazło się w tym wspomnieniu sporo błędów wynikających z usterek pamięci. Wydarzenia następowały w iście filmowym tempie. Swoje notatki otrzymałem dopiero po wyemigrowaniu do Francji po 1981 r. od mojego kuzyna z Londynu, prof. Jerzego Żarneckiego, u którego były zdeponowane po wojnie, wraz z moimi różnymi pamiątkami z Finlandii, jak legitymacje, zaświadczenia, kilka listów i fotografia.

Postanowiłem oprzeć ostateczną wersję moich wspomnień na tej najbardziej ułomnej pod względem faktograficznym postaci, ale najzwęższej pisanej z dystansu 32 lat.

Katastrofa w fiordzie Varanger

Statek był na redzie. Za chwilę przycumuje do mola, wejdziemy na pokład i popłyniemy do Narviku.

Nagle spokojne wody w basenie portowym zaczęły się marszczyć. Koncentryczne koła rozchodziły się coraz szerzej i szerzej, jakby ktoś wrzucił kamień do cichego jeziora. W środkowych punktach tych kręgów jak ogromne meduzy unosiły się na wodzie żołnierskie czapki, mundury, części ekwipunku. Powoli nasiąkały wodą, tonęły, znikwały, ślad po nich ginął... Tylko kręgi na wodzie, już spłaszczone i ledwie widoczne, odpływały w dal. Z wolna wygładzały się na powierzchni wody, załamywały o brzegi, o kadłuby statków i łódki rybackich, o falochrony.

Co się stało? Patrzymy wokół, spoglądamy na siebie. Z niespokojną powierzchnią wody kontrastuje cisza na brzegu. Nie ma radosnych okrzyków, które nas witały gdy przybyliśmy do Vadso. Z twarzy rybaków znikły uśmiechy, ludzie oczekujący na zaokrętowanie też wyglądają jakoś nieswojo. Nikt głośno nie mówi, nie słysząc nawoływań ani krzyków. Grupki ludzi zbierają się, gestykują, ale mówią cicho, szepcąc. W tej ciszy skwir mew staje się jeszcze bardziej przenikliwy...

— Co się dzieje? — pytamy miejscowych. — Dlaczego statek nie przybija do brzegu? Dlaczego nasze bagaże wyładowano i wystawiono na mola?

— Jak to? Nic nie wiecie? — Obrót apłekarz z Białegostoku, magister Kłupt, zdołał się dowiedzieć co się stało. Powiedział mu o tym urzędnik portowy. — Sprzymierzeni opuścili Norwegię, zostawili nas Niemcom. Radio londyńskie podało przed kilkunastoma minutami, że wszystkie wojska sprzymierzonych, które walczyły pod Narvikiem, wycofano i pomyślnie załadowano na okręty. Król Haakon też wyjechał do Anglii. A nasze oddziały podhalańskie zapewne popłynęły do Francji, gdzie sytuacja jest groźna. Taka jest smutna prawda.

Urzędnik portowy pokiwał głową, dodał, że radio nie-

mieckie jeszcze wcześniej podało tę wiadomość, ale nikt nie uwierzył. Teraz potwierdziło się wszystko — od a do zet.

Ładna historia przytrafiła się nam, szukającym uparcie drogi do wojska w tym pięknym skądinąd dniu 8 czerwca 1940 roku, w małym porcie norweskim w fiordzie Varanger. Co robić w tej sytuacji?

Rozmawiamy z Norwegami, Szwedami, Finami, którzy — podobnie jak my — jechali do Narviku. Szwedzi i Finowie wracają do siebie, do swoich krajów. Większość Norwegów po prostu pozrzuciła mundury, potopiła je w morzu. Teraz przebierają się w cywilne ubrania. Postanowili wrócić do domów. Inni, którzy mają za sobą działalność antyfaszystowską, a jest między nimi i uczestnik walk w Hiszpanii po stronie republikańskiej, chcą płynąć do Anglii statkiem, który jeszcze nie przybił do brzegu i nadal jest na redzie. Przyłączamy się do nich.

Kilku Norwegów podpływa łódką do tego pół towarowego, pół pasażerskiego parowca „Soroy” aby sprawę obgadać. Widzimy jak wdrapują się po sznurowej drabinie, znikają gdzieś w nadbudówce, przy mostku kapitańskim. Długie chwile oczekiwania. Płyną minuty, kwadranse...

Przypominają się zdarzenia wieczora i dzisiejszego ranka, od kiedy małeńki stateczek przybrzeżnej żeglugi „Hornoy” wyładował nas w rybackim porcie Vadso. Byliśmy najlepszej myśli, pewni, że jesteśmy już u celu. Miasteczko, z którego mieliśmy wyruszyć wokół Nordkapu do Tromso, a potem do Narviku, przyjęło nas gościnnie i serdecznie, podobnie jak poprzednio Kirkenes. „Hornoy” natychmiast odpłynął z powrotem. My zaś czekaliśmy na większy statek, przybijający zgodnie z rozkładem rejsów wieczorem, a następnego dnia w południe odpływający dalej — w stronę Narviku. Było więc jeszcze sporo czasu, żeby się załadować i przespać wygodnie w kabinach, a rano ze trzy, cztery godziny aby się przejść po skrawku wolnej jeszcze, norweskiej ziemi, której już za kilka dni mieliśmy bronić pod Narwikiem. Trudno zresztą mówić o ziemi, raczej o skałach. Vadso, podobnie jak inne rybackie porty na północy, jest małeńką miejsciną przycupniętą nad szeroką gardzielą fiordu, na skalistym brzegu, który wprost z gór stromo spada ku morzu. Nawet tundra laponiska wydaje się wspaniałym, urodzajnym obszarem w porównaniu z nagimi skałami, na których królują mchy i porosty, a zaledwie gdzieś tam jakieś pojedyncze drzewko czepia się

kurczowo rozpadliny w płonnej skale, jeśli tam zgromadziło się trochę nawianego pyłu i uparta roślina może w tym miejscu zapuścić korzenie.

Drewniane domki, kilka uliczek, parę sklepów, rozległy plac portowy. Oto i całe Vadso. Szukaliśmy jakichś konserw i zapasów na drogę. Niewiele tego było: konserwy z ryb morskich, trochę śledzi w oleju i pomidorach, kilka tabliczek czekolady i puszek słodzonego, skondensowanego mleka. Po godzinie wszyscy ścigali z powrotem na nadbrzeże. Obe szliśmy całą mieścinę dwa razy wzdłuż i szerz. Zastanawialiśmy się, jak można żyć w takim odciętym od świata zakątku, zależnym tylko od morza, wichrów i kaprysów nieba.

Oprócz naszej grupki na statek oczekiwała znacznie liczniejsza grupa skandynawska. Byli to przede wszystkim Norwegowie z północnej części kraju. Niektórzy jechali na front ubrani jak na wycieczkę turystyczną ze wspianymi plecakami wspartymi na wygodnych stelażach. Inni — w szarych mundurach — zmobilizowani w tej części kraju. Był też jeden oficer-lekarz, zamieszkały w Oslo, który nazywał się... Kaczorowski. Jego ojciec pochodził z Krakowa.

Było kilku Szwedów-ochotników, chętnych do niesienia pomocy bratniemu krajowi, przeżywającemu niespodziewaną inwazję hitlerowską, wspartą przez zdradę faszystów Quislinga. Szwedzi znaleźli się tutaj na własną odpowiedzialność, nie bacząc na ściśle neutralną politykę rządu szwedzkiego. Jechali tą okólną trasą, co wyjaśniało nam rzecz dotychczas dla nas niepojętą, że Szwedzi nie chcieli nas przepuścić najkrótszą i najszybszą drogą do Narviku — wprost przez granicę szwedzko-norweską.

— Widzicie — mówili — jakie są kłopoty: jako kraj unii skandynawskiej — powinniśmy wystąpić w obronie Norwegii, jako kraj neutralny — nie powinniśmy występować. Jako bratni kraj powinniśmy wysłać przynajmniej ochotników, jako kraj neutralny — okrążony w dodatku przez wojska niemieckie — nie powinniśmy tego robić, bo mogą nam zarzucić, że nie przestrzegamy neutralności. I napaść na nas tak, jak napadli na inne kraje. Nie możemy im dać pretekstu do takiej napaści.

— Sytuację — wtrącił drugi Szwed — komplikuje jeszcze ten Quisling i jego „Femte Kolonna”. U nas w Szwecji nie ma tylu faszystów, co w Norwegii. A oni — faszyci — są bezwzględni i nie liczą się z nikim.

— Więc jest tak, że rząd nasz nie bierze odpowiedzialności za nasze podróże przez Finlandię. Nikt nie pyta nas dokąd jedziemy. Możemy jechać do Abo, miasta gdzie mówi się po szwedzku, aby pomagać w odbudowie zniszczeń dokonanych przez naloty sowieckie... Ale na pewno gdyby nie Quisling i obawa przed jego ludźmi nasza pomoc dla Norwegii byłaby większa. Więcej ochotników by tu przyjechało.

Finowie, którzy przeżyli przed kilku miesiącami okrutny najazd sowiecki na ich kraj, nie chcieli zapewne, aby wojna ponownie zbliżyła się do ich granic, tym razem od północy. Chcieli się ustrzec przed napadem hitlerowskich sojuszników Stalina. A może chcieli uchronić Finlandię przed tym, co mogło się stać (i stało się w rok później): przed współpracą militarną z Niemcami...

Z krajów skandynawskich — było jeszcze dwoje Duńczyków, którzy nie chcieli wracać do swego kraju świeżo zagarniętego przez Niemców. On rośli, o twardo rzeźbionych rysach twarzy, ona zgrabna, szczupła i wcale niebrzydka.

Spoza Skandynawii była kilkusobowa grupa francuska z Czerwonego Krzyża, ludzie którzy pełnili swą humanitarną służbę w czasie „Wojny Zimowej”. Podziwialiśmy ich wspinały ekwipunek, osobisty i sanitarny, który mógł się teraz bardzo przydać w Narviku.

Byliśmy i my. Dwudziestu kilku ludzi w różnym wieku, różnych zawodów, przedpoborowi, zawodowi wojskowi i rezerwiści, którzy różnymi sposobami i z różnych stron przedostali się z okupowanej Polski do Szwecji, chcąc stamtąd jechać do Francji. Oczekiwanie na wizy francuskie w Sztokholmie trwało jednak tak długo, że armie Hitlera odcięły nam drogę. Wówczas zapadła decyzja wysłania nas przez Finlandię do Brygady Podhalańskiej walczącej w Narviku. Odprawił nas *attaché* — mjr Brzeskwiński.

W polskiej ambasadzie w Helsinkach czekało na nas jeszcze kilku ochotników, którzy przyплыnęli z Estonii i Łotwy na wojnę z Sowietami, ale nie zdążyli wziąć udziału w walkach. Teraz dołączyli się do nas wraz z dwoma kwatermistrzami z ataszatu wojskowego. Kwatermistrzowie ci, mjr G., popularnie zwany Markiem, sypiący stale dowcipami jak z rękawa, i kpt. Tokarski, mieli nas przewozić mniejszymi grupami, bo były trudności z kupieniem większej ilości biletów na jeden autobus z Rovaniemi do Petsamo. Poza tym, podobno małe grupki mniej rzucają się w oczy...

Czekaliśmy na powrót delegacji ze statku zdenerwowani, milczący, świadomi znaczenia chwili decydującej o naszych dalszych losach. Aptekarz z Białegostoku, młody chłopak z Wilna, kilku zbiegów z obozów internowanych na Litwie, kilku marynarzy z polskich okrętów internowanych w Sztokholmie, uciekinierzy z Pomorza — przez Hel i Władysławowo. Dziwna zbieranina ludzi o najrozmaitszych umiejętnościach, temperamentach i cechach charakteru. Nie znający się poprzednio, najwyżej znający jednego z kolegów, podróżujący pod fałszywymi nazwiskami, z papierami ze sfalszowanymi danymi osobistymi, odmładzającymi lub postarzającymi, aby ułatwić przekraczanie granic i omijanie przepisów obowiązujących w basenie Morza Bałtyckiego.

Wszyscy czekali w ogromnym napięciu. Co będzie? Czy statek norweski nas zabierze? Czy popłynie do Anglii? Co zrobimy, jeśli nie popłynie? Jak czas potrafi się dłużyć, jaki staje się nieznośnie rozciągliwy w chwilach oczekiwania na wyrok, na ważną decyzję, na rezultat badania, wyniki egzaminu. Człowiek się poci i skręca w sobie. Zaciska pięści i stara się rozluźnić mięśnie. Próbuje nie myśleć, ale nie jest w stanie od myśli uciec...

Wreszcie ze statku zaczęły schodzić postacie norweskich delegatów, którzy mieli sprawę załatwić. Tylu ich popłynęło, tylu wracało. Niedobry znak. Gdyby się powiodło — wróciłby jeden, najwyżej dwóch. Albo nikt by nie wracał, a statek po prostu przycumował do mola.

Emisariusze wrócili zupełnie zgnębieni. Statek nie ma węgla na daleką podróż, a poza tym kapitan jest zdecydowany utrzymywać komunikację między portami północnej Norwegii, bez względu na to jak potoczą się losy wojny. Na wezwania króla Haakona do dalszej walki nie był czuły. Perswazje, że jeśli nie przyłączy się do floty brytyjskiej, Niemcy zarekwirują mu statek i będzie musiał robić co mu każą — nie trafiały mu do przekonania. Można było uwierzyć w trudności z paliwem, bo najbliższa baza zaopatrzeniowa znajdowała się w Tromsø, dokąd zapewne dotarli już Niemcy. Ale nie próbował zdobyć węgla ani na miejscu, ani w kilku pobliskich portach. Nasi norwescy przyjaciele wyciągali stąd wniosek, że kapitan musiał być sympatykiem Quislinga...

Klamka zapadła. Statek podniósł kotwicę i odpłynął w północną dal...

Byliśmy wściekli i zrozpaczeni. Jedyna możliwość — to wycofanie się do Kirkenes. Ale stateczek miejscowy kursuje

zaledwie dwa razy w tygodniu. Niemcy z pewnością nie będą czekać i postarają się szybko zawładnąć tym skrawkiem Norwegii, ażeby trzymać w szachu żeglugę na Oceanie Lodowatym i na Morzu Barentsa.

Zaczęły się pertraktacje z rybakami, właścicielami kutrów. Zostaliśmy z majorem Mierzejewskim i Józefem Kłup-tem obarczeni misją prowadzenia rozmów, które wcale nie były łatwe. Temu brakuje ropy, tamten ma chorą żonę i nie może wypłynąć, ów żąda astronomicznej zapłaty 12.000 koron, wliczając nie tylko koszty paliwa i pracy załogi, lecz również odszkodowanie za utracone połowy i kaucję na wypadek ewentualnej konfiskaty kutra przez Niemców, gdyby zjawili się w Vadso przed powrotem stateczku do bazy...

Zliczyliśmy wszystkie nasze zasoby przeznaczone na kupno biletów na dalszą podróż, wyżywienie i dodaliśmy własne oszczędności. O takiej sumie nie było co marzyć. Trzeba było szukać dalej. Przez serdeczne wstawiennictwo naszych norweskich kolegów, którzy widocznie potrafili rybakom przemówić do sumień, znalazł się w końcu rybak, który za niebagatelną sumę 500 koron zgodził się nas wszystkich przewieźć przez fiord i morze na fińską stronę, do samego Petsamo. Potem w drodze powrotnej miał zarzucić sieci i łowić ryby. Oczywiście wszystkie rybackie papiery miał w porządku i wyjazd na półow zarejestrowany w miejscowym urzędzie.

Załadowaliśmy się z rzeczami na kuter, stary rybak z jednym tylko pomocnikiem zapuścili silniki i — pyk, pyk, pyk — o 20.15 wypłynęliśmy w morze.

Trwała jasna, polarna noc czerwcową. Od kilku dni cierpieliśmy z tego powodu na bezsenność. Emocje, oczekiwania i niespodziewany zawód, który spadł na nas jak grom, zrobiły swoje... Bractwo ze swą nędzną chudobą, z walizczkami, plecakami i tobołkami, pokładło się byle gdzie. Starsi w kubryku, prowadzili tam jeszcze rozmowy o dniu dzisiejszym i niepewnym jutrze, młodszy — jak popadło — w ładowni, pod otwartym lukiem. Poczciwi rybacy ugotowali na kuchence kawę i poczęstowali nas. Nie wszyscy byli w stanie ją wypić.

Małym kutrem rzucało jak łupiną. Dziwne, że tylko dwóch dostało morskiej choroby. Fale zagniewanego morza wdzierały się na pokład i strumieniami zalewały ładownię. Monotonne pykanie silnika działało usypiająco. Wreszcie więc zapadliśmy w sen — niespokojny, nerwowy, pełen nagłych

ocknąć, przebudzeń, wspomnień z najnowszych i dawniejszych przeżyć, których historia nam nie poskąpiła.

Śniło mi się z jaką radością wyruszyliśmy 1 czerwca z owej przecudownej Wenecji Północy, z portu sztokholmskiego. Statek „Wellamo” odbijał późnym wieczorem z pobliża pałacu, gdzie mieszkała rodzina królewska. Pożegnaliśmy smukłą sylwetkę „Daru Pomorza” i dwie polskie łodzie podwodne przycumowane obok niego przy zielonym Kastelholmen, opodal Skansenu. Przypomniało mi się jakim olśniewającym zaskoczeniem było dla mnie wyiskrzone, świecące morze w pobliżu Wysp Alandzkich, jak stale płynęliśmy wśród wysp, wysepek i skał. Jakim kontrastem z radością świetlistego poranku była grupa Finów wracających do ojczyzny — żołnierze wyleczeni w szwedzkich szpitalach, inwalidzi bez rąk i nóg, kontuzjowani. Stali przy barierkach na obu pokładach i śpiewali swoje smutne i tęskne pieśni. Weselsza grupa — to gromadka dzieci ewakuowanych w czasie wojny, a teraz wracających do kraju. Porządnie ubrane, zdyscyplinowane, pod opieką wychowawczyni — każde z tabliczką zawieszoną na szyi. Na tabliczce: imię, nazwisko i adres.

Śniło mi się jak przybiliśmy do portu w Turku, znanego wszystkim miłośnikom krzyżówek pod swą szwedzką nazwą Abo, do portu i do miasta dotkliwie zniszczonego bombardowaniami sowieckiego lotnictwa. A potem, jak zatrzymaliśmy się na parę dni w stolicy Finlandii, białych Helsinkach, gdzie obejrzelśmy sklep prowadzony przez Paavo Nurmiego i stadion olimpijski, nie ukończony, ale przygotowany do olimpiady, która się miała odbyć właśnie teraz, w 1940 r. No i te napisy — wszystkie tabliczki z nazwami ulic w dwóch językach — po fińsku i szwedzku! Dlaczego my, w Polsce, nie nauczyliśmy się tak ułatwiać życia naszym mniejszościom?...

Śniły mi się potworne, zwalone na bok wzdęte trupy koni, natrętny słodkawy zapach padliny, snujące się dymy z pogorzeliśk wrześnie, sterczące kikuty kominów spalonych chat, czołgi niemieckie dudniące po szosach i biorące nas w potrzask, nie kończące się ucieczki z okrążeń, w których nas zamknięto, naloty pikujących samolotów sieczących bezbronną tłum uchodźców bombami i bronią maszynową. Tragiczna śmierć dowódcy pułku, polegli żołnierze, koledzy. Przemarsz przez upiorne, wymarłe Grodno, wszystkie okiennice zamknięte, na ulicach żywej duszy, tylko od czasu do

czasu złowieszczy strzał zza węgła. Bolszewickie macki już tu sięgnęły, po zdradzieckim ciosie w plecy...

Śniły mi się tragiczne chwile rozterki przed przekroczeniem litewskiej granicy. Co robić? Czy zostać, czy iść na tułaczkę? Rozpacz rozstania, ojcowskie słowa dowódcy, broń rzucona na stos na wyrębie na skraju lasu, na litewskiej granicy. Konie zabierane w Olicie przez obcych żołnierzy.

I znów najnowsze przeżycia. Śniła mi się długa podróż koleją do Rovaniemi, na samo koło podbiegunowe. Wielojęzyczny napis tuż za miastem: Napapiiri, Polarcirkel, Polarkreis, Arctic Circle. Później męcząca podróż zdezelowanym autobusem, pędzącym wąską szosą przez tundrę, gdzie jadąc setkami kilometrów nie można dostrzec żywego człowieka. Wśród karłowatych drzew i mizernej roślinności — renifery. Największe bogactwo tej ziemi, a dla nas największe zaskoczenie i rozczarowanie. Takie to małe, niepozorne, tak odmienne od tego cośmy oglądali na rycinach i pamiętali z książek szkolnych. Stada zwierząt pasły się tuż obok szosy, niewiele przejmując się przejeżdżającymi autobusami i ciężarówkami. Na jednym z przystanków — takie przerwy robiło się co pewien czas aby rozprostować kości — podszedłem do stada. Reny, żyjące na pół dziko, nie dały się zbliżyć do siebie.

Sen płacze się, odpływa znów w przeszłość. Na wielkiej wspólnej sali w obozie internowanych przedwieczne iskanie wszy. Smak gorzkiej kawy, zagryzanej pajdą czarnego chleba. Dużo chudej zupy. Ilustracja reklamująca obfity i smaczny posiłek, wycięta z jakiegoś zagranicznego pisma, rozłożona przed oczami. Zabijanie marzeniem trudnej i monotonnej rzeczywistości. Odrywanie się od braku wolności. Pisanie lakonicznych, dziesięciolinijkowych kartek, z ponumerowanymi wierszami — tak pozwalali Niemcy — do najbliższych. Czekanie miesiącami na ich odpowiedź, znak życia.

A oto znów zmiana. Sen wraca do najświeższych przeżyć. Kontrola celna w Salmijärvi na granicy norweskiej. Zabawny urzędnik fiński, tyczkowato chudy człowiek w kolorowej szlafmicy, sprawuje swoje obowiązki w namiocie pomalowanym na kolory ochronne, reagując żywo i z humorem na nazwisko majora Mazepy, bo to był przecie ataman kozacki! I wreszcie triumfalny przejazd przez granicę biegnącą środkiem jeziora, promem do norweskiego Svanvik. Serdeczna gościnność Norwegów — tu już nie trzeba kryć celów podróży, wszyscy i tak się domyślali. Ale trzeba było poczekać na przy-

jazd celników z Kirkenes — kontrola drobiazgowa, boją się przecież V Kolumny. Po cie prowadzą nas do pobliskiej „Turiststasjon”, pomagają nieść rzeczy do schroniska.

Surowe piękno gór i fiordów, małe kolorowe domki przyklepione tu i ówdzie do skał, skocznie narciarskie, rozrzucone hojnie nawet tutaj, na północnym odludziu. Przyjęcie wspaniałe — jakby nieba nam chcieli przychylić. Każdy chciał coś dobrego powiedzieć o Polakach i Polsce. Wszyscy wiedzieli, że tam, w Narviku biją się o ich wolność polscy żołnierze. No, a te wiadomości o Polsce, którymi chcieli się pochwalić, były zaskakująco naiwne, nieraz wręcz zabawne. Olav, nauczyciel, prosi, żebym zagrał coś na pianinie. Mówię mu, że nie umiem, ale mi nie wierzy.

— Jak to? powiada z powątpiewaniem — przecież każdy w ojczyźnie Chopina umie grać na fortepianie, nie bujaj!... W naszej gromadce tylko jeden umiał i to bardzo po amatorsku. Zagrał kilka mazurków i kujawiaków. Jakiś Norweg odwzajemnił się Griegiem. Norwegowie śpiewali swoje pieśni, my swoje. Ale przebojem dnia stała się piosenka ułożona przez Norwegów na melodię „Tipperary”, najpopularniejsza na północy kraju tego wojennego lata: „Det är long vei til sør i Norge” — Daleka droga na południe Norwegii. Śpiewaliśmy ją wszyscy jednym głosem. Ale teraz we śnie wydawała mi się jeszcze bardziej prawdziwa i prorocza — bo i droga na południe, do Polski, okazała się właśnie o wiele dłuższa, trudniejsza, bardziej skomplikowana. Jaka? Nikt nie był w stanie przewidzieć...

Sny zresztą nie wybiegały w przyszłość, nie były jeszcze ani prorocze. Melły nieuporządkowane, przypadkowe zdarzenia i wrażenia, przeżycia i doznane zawody, wstrząsy, nadzieje i rozpacz z przeszłości. Układały się w podświadomości sennej w nowe, zniekształcone obrazy, jak szkiełka w kalejdoskopie.

Obudziłem się. Ktoś wołał:

— Wstawać! Jesteśmy w Petsamo. Wysiadać!

Tak znaleźliśmy się z powrotem w Finlandii.

Notatki na kartkach z zeszytu w linie

9 czerwca. Minęło 6 godzin drogi. W porcie fińskim zobaczyliśmy pustki. Stało parę statków przy świeżo zbudowanych molach. Na brzegu zaledwie kilka baraków — to wszyst-

ko. Wyraźnie widać, że bolszewicy nie oszczędzali fińskiego okna na świat i, podobno wspólnie z cofającymi się Finami, zniszczyli je dokumentnie. Teraz nowy port dopiero powstaje.

Przybiliśmy do pomostu i czekaliśmy na przybycie urzędników portowych. Spuszczono drabinę, po której zszedł funkcjonariusz graniczny. Rzeczy nasze gotowe już do wyładunku, policjant zaczął stawiać na certyfikatach pieczętki wjazdowe, gdy nadjechało auto i wysiadł z niego ważniejszy urzędnik. Przerwał kontrolę dokumentów i kazał nam odpłynąć z powrotem, bo wolno nam było wrócić tylko w tym samym punkcie, w którym parę dni temu wypływaliśmy promem przez granicę z Salmijärvi! Żadne prośby i próby trafienia do rozsądku nie pomogły. Trzeba było wracać. Na zakończenie upominał nas, że brzegi są zaminowane, zapewne chciał zapobiec samowolnemu wyladowaniu poza portem...

Wracamy więc do Kirkenes. Wśród starszych — konsternacja i ciągłe dyskusje: co zrobić, gdyby... Zdajemy sobie sprawę, że Niemcy mogą już być w Kirkenes, ale raczej teoretycznie. Nie ma powodu do paniki. Co ma być — to będzie. Na wszelki wypadek staramy się pozbyć wszelkich dokumentów obciążających.

Do Kirkenes dopływamy koło 9-tej rano. Nagle „wujek” Boczkowski z przerażeniem pokazuje chorągiew hitlerowską powiewającą na brzegu. Nie wszyscy mogą ją dojrzeć i rozpoznać, a wszyscy wiedzą, że „wujek” jest pesymistą i łatwo się denerwuje. Przybijamy do tego samego pomostu, skąd tak niedawno z radością w sercach odpływaliśmy na małym „Hornoy”. Wyglądamy na rozbitków, bo przecież rozbitkami jesteśmy.

Norwegowie proszą nas żeby... nie wysiadać!... „Wujek” poczytuje to na zły omen. Prorokuje, że i tu nas nie zechcą wpuścić. Tak źle nie jest. Po pewnym czasie przyjeżdża do nas sam szef policji, pozwala wysiąść, opiekuje się nami bardzo troskliwie, ułatwia wysłanie depeszy do poselstwa w Helsinkach. Pomaga nam również jakiś wyższy urzędnik norweskiego MSZ. Rozpływając się wprost nad wyczynami polskiej brygady w Narviku — stara się okazać nam serce i opiekę.

Regulujemy należność rybakom. Zamiast 500 koron dostają aż 600, z dodatkiem za odcinek Petsamo-Kirkenes. Jedziemy autobusem do Turiststasjon. Po drodze widzimy hitlerowską flagę wyimaginowaną przez „wujka”. Okazała się zwiniętą przez wiatr flagą norweską, rzeczywiście posiadającą

podobne kolory i w środku krzyż. Ciemnogrnatowy zamiast czarnego.

W Turiststasjon spotykamy znajomą i miłą obsługę, dają nam jeść, nie chcą pieniędzy. Dopiero po południu mamy się przeprawić na tamtą stronę granicy. Kpt. von Hirsch żegna nas bardzo serdecznie życzy spotkania w lepszych czasach. My jemu też... Żegnaj Norwegio!

Płyniemy motorówką na stronę fińską mijając po drodze 3 hydroplany norweskie, stojące przy brzegu fińskim, a więc już poza granicą, która biegnie środkiem nurtu wodnego. Wkrótce stajemy przed „wigwamem” pana Björklunda. Przyjmuje nas jak starych znajomych i cieszy się na widok atamana Mazepy. Zbiera dokumenty, każe czekać. Z Norwegii napływają masy uchodźców. Wsadzają nas wraz z nimi do ciężarówek, gdzie ciasno jest jak w beczkach śledzi.

10 czerwca. Wielka kolumna samochodów w kurzu i zapachu paliwa dowozi nas do Rovaniemi. Wsiadamy zmaltretowani po 14 godzinach jazdy (23.00-13.00). Całe szczęście, że po drodze dostawaliśmy jedzenie w sprawnie zorganizowanych punktach obsługiwanych przez kobiety z organizacji „Lotta Svärd”. Znow przebyliśmy ponad 500 km, ale tym razem nie autobusem pocztowym, lecz zwykłą, słabo resorowaną, ciężarówką!

W Rovaniemi segregują nas na wojsko i cywilów. My, ze względu na niepoborowy wiek (starsi za starzy, a młodzi — za młodzi) nie nadajemy się do internowania. (Ja byłem np. odmłodzony o 4 lata, miałem według papierów tylko 17 lat!) Korzystamy z tego, że nie jesteśmy internowani i jedziemy dalej, do Kemi. Nie ma miejsc w hotelu, więc docieramy tego samego dnia przed północą do Oulu, gdzie miejsc w hotelach nie brak. Czekamy na rozwiązanie zagadki naszych dalszych losów przez płk. Łosia, *attaché* polskiego poselstwa w Helsinkach. Odpowiedź przyszła pod koniec następnego dnia.

Tu kończy się ostatnia kartka z „dziennika wyprawy”, pisanego na liniowanych stronach zeszytu szkolnego.

Do dalszej części wspomnień zbieram nadal materiały. Nasz pobyt w Ruukki trwał ponad rok i zakończył się przejściowym internowaniem grupy w Tornio, na granicy szwedzkiej, po ataku hitlerowskim na Sowiety. Wtedy, gdy Sowiety 22 czerwca 1941 roku po raz drugi napadły na Finlan-

dię, stała się ona sojusznikiem III Rzeszy.

Myślę, że uda mi się zakończyć kwerendę dokumentów jeszcze w tym roku. Mam cichą nadzieję, że ktoś z naszej grupy przeczyta te wspomnienia i odezwie się, ułatwiając mi dalszą pracę przez konfrontację przeżyć, które zawsze są sprawą wielce subiektywną.

Andrzej BOGUSŁAWSKI alias Antoni Kuczun

Waldemar ŻABA

MOJE WSPOMNIENIA Z OKRESU WOJNY I OKUPACJI

Po wielu trudach i tarapatach wojny obronnej 1939 roku, w której brałem udział jako podchorąży pełniąc funkcję działonowego w jednej z baterii 19-go Pułku Artylerii Lekkiej z Nowej Wilejki, dostałem się wreszcie po udanej ucieczce z obozu jenieckiego w Skarżysku-Kamiennej (listopad 39 r.) do linii demarkacyjnej dzielącej Wehrmacht od Armii Czerwonej. W okolicy Zambrowa, gdzie jeszcze tak niedawno ukończyłem Mazowiecką Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii, przeszedłem na tereny zajęte przez Sowieców i dotarłem do Wilna zastając tam w komplecie całą moją rodzinę zgromadzoną u mego stryja Juliana Żaby, ojca Norberta Żaby.

Ojciec mój, Zygmunt Żaba, ziemianin, ostatni właściciel Obabia, folwarku w gminie Słobódka Zawierska, były podpułkownik Wojska Polskiego, już od 1927 r. na emeryturze, uczestnik wojny z bolszewikami 1920 roku — naturalnie po wejściu we wrześniu 39 r. na nasz teren Armii Czerwonej — został zaaresztowany przez NKWD. Na tę wieść chłopci z sąsiednich wsi udali się furmankami do miasteczka Plusy (siedziby władz bezpieczeństwa ZSSR w tym rejonie), gdzie ojca zatrzymano, z petycją uwolnienia go jako ich przyjaciela, opiekuna i ogólnie szanowanego człowieka. Niespotykany to w historii ZSSR precedens, że takiego „wroga ludu” zdecydo-

wano się zwolnić pod warunkiem jednak opuszczenia swego Obabia. W tej sytuacji rodzice moi wraz z młodszą siostrą Danutą musieli wyjechać do Wilna (200 km) użyczoną przez chłopów furmanką zabierając ze sobą niezbędny tylko bagaż. Napotykań po drodze w granicach gminy Słobódka ludzie żegnali go z żalem (opowiadał mi o tym naoczny świadek Jan Rozwadowicz).

W Wilnie zmuszony byłem do podjęcia pracy fizycznej w budownictwie, jako jedyne źródło utrzymania mnie i mojej rodziny. Tydzień przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej tj. 16-go czerwca 1941 r. rodzice moi wraz z córką Danutą zostali wywiezieni w głąb ZSSR — do Kazachstanu. Ja ich losu nie podzieliłem ponieważ w tym czasie byłem na budowie prowadzonej pod Nową Wilejką. Po zajęciu Wilna przez Niemców, w celu uniknięcia możliwości aresztowania, udałem się na Brasławszczyznę do wspomnianego wyżej Obabia, położonego przy granicy z Łotwą, gdzie będąc uczniem spędzałem wakacje.

Wczesnym latem 1942 r. przybył do mnie, skierowany przez księdza proboszcza w Słobódce Zawierskiej, emisariusz polskiego ruchu podziemnego — Kazimierz Zienkiewicz, z propozycją dalszej służby dla kraju w ramach akcji sabotażowej na tyłach armii niemieckiej. Ustaliliśmy wtedy, że w pierwszym etapie damy schronienie u nas w Obabiu (zamieszkivali wraz ze mną moja starsza siostra Halina i jej mąż Feliks Kalinowski) por. Kazimierzowi Siemaszkiewiczowi ps. „Okrzeja” a następnie por. Markowi Kisielewiczowi ps. „Ostroga” w celu wspólnego rozpoznania przygranicznego terenu będącego obiektem planowanych działań dywersyjnych.

W niedługim czasie zgłosili się i okresowo zamieszkivali u mnie dwaj wspomniani oficerowie. Po wyjaśniających ze mną rozmowach i otrzymaniu danych o moim przeszkoleniu wojskowym, zostałem przez nich zaprzysiężony i wcielony w szeregi organizacji dywersyjnej „Wachlarz”, przyjmując pseudonim „Bocian”. Uzbrojony zostałem przez nich w pistolet typu colt oraz zapoznany wstępnie w zakresie minerstwa. Wspólnie z „Okrzeją”, „Ostrogą” i plut. Janem Libako ps. „War” tworzyliśmy patrol pod d-ctwem por. Kisielewicza. Stosownie do naszego zakresu działania dokonywaliśmy rozpoznania możliwości przeprawy przez rzekę Dźwinę oraz leżących po tamtej stronie linii kolejowych i szlaków komunikacyjnych. Powracając do miejsc wyjściowych niszczyliśmy linie łączności okupanta.

Nadmieniam, że działalność dywersyjna „Wachlarza” ograniczała się do terenów leżących poza granicami Rzeczypospolitej. W związku z tym nasza akcja miała obejmować przygraniczne tereny Łotwy. Operując w rejonie miasteczka Drui, położonego nad samą Dźwiną, korzystaliśmy niejednokrotnie z pomocy i informacji Jana Olszewskiego ps. „Ryś” podoficera WP należącego również do „Wachlarza”.

Jedną z akcji dywersyjnych, która szczególnie utkwiła mi w pamięci było zaminowanie przy użyciu angielskiego „plasticu” toru kolejowego pod stacją Indryca na terenie Łotwy. Była to ważna linia zaopatrzenia północnego frontu. W efekcie podłożonego pod szynami ładunku wybuchowego i jego samoczynnego odpalenia zleciało z toru i uległo zniszczeniu kilka wagonów, co potwierdzone zostało później przez nasz wywiad.

O ile nasza nocna wyprawa na miejsce akcji przez graniczną Dźwinę pokrytą lodem i śniegiem była trudna z uwagi na panujące ciemności i obcy teren, to powrót z niej okazał się wyjątkowo uciążliwy i ryzykowny. Jeszcze tak niedawno zamrożona rzeka, przy naszym powrocie okazała się nie do przebycia. Wskutek padającego już od momentu założenia miny nieoczekiwanego o tej porze roku (grudzień) ulewnego deszczu, odnosiło się wrażenie, że rzeka płynie pozbawiona pokrywy lodowej. W warunkach w jakich znaleźliśmy się nie mieliśmy innego wyboru jak próbować dostania się na drugi brzeg jeszcze przed świtem. Brodząc po lodowatej wodzie na utrzymującym się jeszcze lodzie, mając już zniszczone obuwie i doszczętnie przemoknięte ubrania, rozpoczęliśmy przeprawę przez Dźwinę przechodząc jeden po drugim w dużych odstępach na czele z Markiem „Ostroga”. Dzięki temu, że lód na rzece jednak się jeszcze nie załamał, szczęśliwie dotarliśmy na naszą stronę zupełnie wyczerpani, ale usatysfakcjonowani z wykonanego zadania.

Wkrótce potem awansowano mnie do stopnia podporucznika, czego dokonał w warunkach konspiracji z rozkazu dowództwa AK por. Marek Kisielewicz ps. „Ostroga”. Wiadomym mi jest, że w tym samym czasie został awansowany działający na innym terenie Michał Szepiło pseudonim „Pancerz” do stopnia podporucznika oraz Jan Olszewski ps. „Ryś” do stopnia ogniomistrza.

Na przełomie 1942/43 roku nastąpiło rozwiązanie „Wachlarza”, a jego żołnierze wraz ze mną podjęli inny rodzaj działalności konspiracyjnej w szeregach Armii Krajowej. Na terenie

Brasławszczyzny od początku 1943 r. rozpoczęła się rozwijać działalność konspiracyjna polskiego podziemia. Ja otrzymałem tym razem zadanie organizowania na terenie gminy Słobódka Zawierska i bliskich okolic Druś, jak też wśród Polaków zamieszkujących łotewskie miasteczko Krasławka, siatki konspiracyjnej i werbowania jej ochotników do naszych szeregów. Udało mi się wciągnąć do organizacji patriotycznie nastawioną młodzież wiejską, jak również kilku maturzystów z okolicznych majątków rolnych jak np. bracia Stanisław i Jerzy Nesslerowie. Szczególnie zależało mi na werbunku ludzi mających za sobą służbę wojskową, którzy byliby mi pomocni w pracy organizacyjnej i szkoleniowej.

W działalności konspiracyjnej kontaktowałem się z zaprzysiężonymi przeze mnie ludźmi koncentrując się na zdobywaniu broni, której odczuwaliśmy niedostatek w przygotowaniach do przyszłej walki. W celu utrzymania kontaktu z moim dowódcą (por. „Ostroga”) brałem udział w odprawach organizowanych przez niego i odbywających się w Brasławiu u Jana Libaki ps. „War”, a najczęściej w Nadleśnictwie Czerwony Bór koło Brasławia — zwanym przez nas potocznie „leśniczówką”. Leśniczówka ta, w której zamieszkiwały współpracujące z AK rodziny Pujszów i Błudzinów, była bazą i stałym miejscem spotkań dowódców pododdziałów mającej w niedługim czasie powstać brygady, jak również innych działaczy konspiracyjnych. Był tu również przejściowy magazyn broni jak też miejsce schronienia dla ukrywających się (pamiętam Lisowski Józef i Jeznach ps. „Amela”), a bywało i rannych członków organizacji. Tam też poznałem Lambertę Pujszo ps. „Rena” łączniczkę i sanitariuszkę, późniejszą moją żonę. Zajmowała się ona również kolportażem prasy podziemnej oraz współpracowała z p. Szadziewiczem ps. „Vis” z kierownictwa miejscowej administracji konspiracyjnej, który z nasłuchu radiowego wydawał biuletyny informacyjne.

W kwietniu 1944 r. otrzymałem rozkaz zorganizowania i wymarszu do „lasu” części ludzi z mego rejonu, których dało się jako tako uzbroić, względnie też takich, którym groziły w miejscu zamieszkania represje ze strony okupanta. Zebrałem pod Słobódką ok. 25-ciu moich ludzi i przeprowadziłem ich, organizując pobieżnie pluton, okrężnymi polnymi drogami (ponad 40 km) do powstającej w pobliżu miasteczka Opsa 23-ej Brasławskiej Brygady Partyzanckiej. Dowódcą tej brygady został por. Marek Kisielewicz. Po przybyciu do bryga-

dy zameldowałem się u „Ostrogi” i otrzymałem przydział na d-cę 4-ej kompanii kadrowej.

Będąc w brygadzie brałem wraz ze swą kompanią udział w szeregu akcji i działań bojowych. Jednostka ta w sile do 350 ludzi składała się początkowo z 4-ch, a później z 5-ciu kompanii kadrowych po ok. 60-ciu żołnierzy. Prócz tego był zwiad konny i tabory oraz poczet dowódcy. Stan uzbrojenia i wyszkolenia był początkowo dość słaby. Dowódcami poszczególnych komp. byli ppor. ppor. Michał Szepiło ps. „Pancerz”, Jan Pirteń ps. „Trzmiel”, Waldemar Żaba ps. „Bocian”, Franciszek Michańczyk ps. „Bos” oraz chorąży Jan Zapolski ps. „Wilk”. Nasze przygotowania do walki z okupantem starał się realizować prowadząc w czasie odbywanych stałych (raczej) przemarszów szkolenia bojowe piechoty. Na postojach ćwiczona była musztra i nauka o broni.

Równolegle do szkoleń dążyliśmy do uzupełnienia naszego uzbrojenia zdobywając je najczęściej wraz z umundurowaniem na nieprzyjaciela w zasadzkach i mniejszych potyczkach. Te wszystkie działania nie zawsze jednak kończyły się dla nas sukcesem.

Jako przykład nie dostosowanego do istniejących warunków i naszych możliwości działania była akcja mojej kompanii pod miasteczkiem Rymszany. Miała ta akcja przynieść pełny sukces przy uwzględnieniu momentu zaskoczenia, zwłaszcza, że tamtejsza załoga niemiecka, wg informacji naszego wywiadu, nie była zbyt liczna. Gdy więc otrzymałem rozkaz zdobycia Rymszan, niezwłocznie zaznajomiłem moich ludzi z rysującą się sytuacją i czekającymi nas zadaniami. Marszem ubezpieczonym wyprowadziłem oddział o zapadającym zmroku w kierunku ww. miasteczka, by po przebyciu parunastu km. w dogodnym miejscu zająć podstawę wyjściową do natarcia. Zamierzałem podejść pod osłoną krótkiej nocy (maj) pod spodziewane umocnienia nieprzyjaciela i z oskrzydlenia zdobyć je pod naporem naszego uderzenia.

W celu odcięcia łączności telefonicznej z Rymszan mogącej służyć uzyskaniu pomocy na wypadek zagrożenia — będąc już w niedalekiej odległości od pozycji nieprzyjaciela — poleciłem wyznaczonemu żołnierzowi przeciąć druty na słupie telefonicznym. Sam zaś z całą oddziału, przy zachowaniu stosownej ostrożności posuwałem się rowem wzdłuż toru kolejowego w kierunku rysujących się na tle nieba umocnień. Zanim jednak zdołaliśmy się zbliżyć na dogodną odległość i

zając stanowiska do natarcia — zostaliśmy wykryci przez wartownika. Przykuci do ziemi ogniem z broni maszynowej zaalarmowanej załogi Rymszan leżeliśmy w wykopie.

W zaistniałej sytuacji położenie 4-ej kompanii stało się bardzo trudne, tym zwłaszcza, że trzeci pluton dowodzony przez mego zastępcę plut. Jeznacha ps. „Amela” nie wykonał powierzonego mu zadania, polegającego na obejściu z flanki umocnień przeciwnika. D-ca plutonu opuścił swych ludzi i samowolnie wycofał się z akcji.

W przewidywaniu niechybnego ataku ze strony ukrytych za bunkrami Niemców, w warunkach gdy zaczynało już świtać podjąłem decyzję o wycofaniu mych ludzi, tym bardziej, że plan działania zupełnie się załamał. W tym celu wydałem, po linii zalegających w rowach partyzantów, rozkaz odwrotu pojedynczo z zachowaniem wzajemnego ubezpieczenia się. Dla wzmocnienia rezultatów manewru rozlokowałem dwa nasze karabiny maszynowe (ręczne) na pagórkach, których środkiem przebiegał wykop kolei wąskotorowej. Swym ogniem blokowały one wypady z Rymszan.

Muszę tu nadmienić, że plut. „Amela” dopiero po paru dniach dołączył do 23-ej Brygady, gdzie „Ostroga” przydzielił go do naszej żandarmerii.

Wycofywanie kompanii odbywało się poza wyżej wym. przypadkiem bez paniki. Okazało się jednak później, że dalszych 3-ch naszych partyzantów samowolnie wycofało się z akcji i niestety 2-ch z nich wpadło w ręce nadciągającego wojska niemieckiego z odsieczą dla załogi Rymszan i zostało na miejscu zabitych. Trzeci skrył się w przepuście betonowym pod torem kolejki, tam znaleziony i wzięty do niewoli. Oprócz tego rodzaju brzemennego w skutki braku dyscypliny ponieśliśmy duże straty — 6-ciu rannych, których zdołaliśmy zabrać po przebyciu skokami kolejowego wykopu i załadować na zarekwirowane podwoły konne.

Opisane wyżej perypetie nie były końcem naszych zmagañ. Odwrót oddziału spod Rymszan zagrodziła nagle nadciągająca odsiecz dużego oddziału wojska niemieckiego, tego samego który tak bezwzględnie załatwił się z naszymi dwoma żołnierzami. Pomimo jednak takiego zaskoczenia udało mi się szczęśliwie wyprowadzić kompanię z kotła, kierując się wraz z rannymi w rozciągające się w pobliżu gęste zarośla i moczary. W tych warunkach nieprzyjaciel nie odważył się na wszczęcie dalszego pościgu za nami.

Zdumiewająca rzecz jak w sytuacji pełnego zagrożenia na-

wet ranni nabrali sił i przy pomocy kolegów żwawo uchodzili w zarośla. Będąc już względnie bezpieczni, po parugodzinym zmaganiu w przebyciu napotkanych przeszkód zebrałem rozproszony oddział i zatrzymałem się na postój celem pobieżnego przynajmniej opatrzenia rannych i dodania sił pozostałym ludziom oddziału. W międzyczasie udało mi się nawiązać kontakt z konspiracją AK, dzięki której otrzymałem środki transportu do ewakuacji rannych oraz potrzebne mi zaopatrzenie i inną pomoc. Dzielne dwie siostry-sanitariuszki udzieliły pomocy najbardziej potrzebującym.

Nie wypoczętą jeszcze całkowicie lecz już jako tako skompletowaną kompanię, po dalszych tarapatach i likwidacji dwóch przypadkowo napotkanych Niemców, doprowadziłem wreszcie do miejsca postoju 23-ej Brasławskiej Brygady Part. O ile pamiętam, była to wieś Bojki Barany. Złożyłem raport oczekującemu na nas dowódcy brygady. W nagrodę za wyprowadzenie oddziału z tak licznych opresji otrzymałem od „Ostrogi” zdobyczny pistolet maszynowy.

Muszę tu nadmienić, że niepowodzenia i wynikające z nich straty w trakcie tej wyprawy należy w pewnej mierze przypisać brakowi pełnego rozeznania ze strony naszego wywiadu co do faktycznego stanu załogi Rymszan. Na domiar złego, w poprzednią noc brygada nasza w całym składzie, nawet z udziałem d-cy 2-go Zgrupowania brygad AK na Wileńszczyźnie mjr. „Węgielnego”, zdobyła punkty umocnione załóg niemieckich w Gajdach i Daugieliszkach powodując tym samym wzmocnienie liczebności oraz czujności Niemców w samych Rymszanach. O tym stanie rzeczy nasze dowództwo nie mogło wiedzieć, dlatego wysłało do akcji tylko jedną kompanię w sile 60-ciu ludzi, faktycznie stanowiącą coś więcej niż jeden pluton.

Wprawdzie nasze niepowodzenia mogłyby się ograniczyć tylko do 6-ciu rannych gdyby łączność z Rymszanami faktycznie została przerwana. Wówczas odsiecz Wehrmachtu nie nadeszłaby tak szybko, a 2-ch naszych ludzi (wprawdzie dezertów) nie dostałoby się w ich ręce. Jak się później okazało druty na słupie telefonicznym nie zostały przez wyznaczonego żołnierza przecięte, czego nie dopilnowałem śpiesząc do wykonania podstawowego zadania jeszcze przed nadchodzącym świtem.

W nierównej walce z wrogiem, do którego zaliczaliśmy nie tylko Wehrmacht lecz również wierną okupantowi policję litewską, a częściowo i białoruską, odnosiliśmy mniejsze lub

większe sukcesy. Bywały też i niepowodzenia, o jednym z których wspomniałem. Zdobywaliśmy przy tej okazji sporo wszelkiej broni i różnego zaopatrzenia, jak też niszczyliśmy nieprzyjacielskie środki komunikacji i transportu dezorganizując jego zaplecze frontowe. Dążąc do liczebnego wzmocnienia brygady i równoczesnego jej dozbrojenia nasze dowództwo zdecydowało się nawiązać kontakt z częściowo polskim a częściowo białoruskim oddziałem policji stacjonującej w Opsie. Dzięki pomocy delegowanego z ramienia AK do tej policji w/w chorążego Jana Zapolskiego ps. „Wilk”, będącego wywiadowcą dla naszych potrzeb i dostarczającego nam nie-raz różnego uzbrojenia, zdołano nakłonić cały oddział policji opeskiej do przejścia na naszą stronę wraz ze swym uzbrojeniem i ekwipunkiem. Tak też się stało. Zgodnie z ustaleniami oddział policji w sile ok. 50 ludzi przymaszerował do miejsca postoju brygady. Część policjantów, na których nie ciążyły wykroczenia przeciw ludności, została rozbrojona i odesłana do domów. Polacy zasilili nasze szeregi. Natomiast paru, szczególnie gorliwych i brutalnych sąd polowy brygady (w składzie zawodowego sędziego) skazał na śmierć, a wyrok na oczach zgromadzonych kompanii został wykonany.

W tym mniej więcej okresie zgłaszali się do brygady pojedynczy ochotnicy, dezterterzy z armii niemieckiej polskiego pochodzenia. Jednym z nich był dzielny szeregowy nazwiskiem Brych, uciekinier z organizacji Todta, przydzielony do mojej kompanii w charakterze gońca bojowego.

W jednej z akcji przy zdobywaniu niemieckiego pociągu pod Łokcianami zginął nasz d-ca Brygady „Ostroga”. Nieutuleni w żalu żegnaliśmy naszego dowódcę. Pochowany został na wiejskim cmentarzu z wszystkimi honorami. Po śmierci „Ostrogi” d-cą 23 Brygady został kpt. Witold Kisiel ps. „Światoldycz”.

W pierwszych dniach lipca 1944 r. jedną z akcji dowodzonej przeze mnie kompanii było zorganizowanie zasadzki na zbliżającą się ze Święcian kolumnę kilkunastu samochodów ciężarowych, co miało miejsce w czasie marszu brygady, którą wtedy ubezpieczałem zamykając jej pochód. Z rozkazu d-cy 2-go Zgrupowania AK mjr. „Węgielnego” miałem te samochody opanować z zaskoczenia. Zająłem więc ze swymi partyzantami stanowiska na skraju lasu lokując karabin maszynowy w rowie przy drodze. Obok nas będących w ukryciu przemknął mały wóz pancerny stanowiący ubezpieczenie kolumny wozów, którą gdy tylko zbliżyła się na odległość

strzału przywitaliśmy ogniem z karabinów rozwijającej się w tyralierę 4-ej komp. przy donośnym „ur aa”. Ja natomiast z paroma partyzantami bieглиśmy środkiem szosy naprzeciw bezładnie ostrzeliwujących się Niemców. Ich pociski tylko odbijały się rykoszetem od nawierzchni szosy, na szczęście nas nie raniąc.

Tylko dzięki przytomności biegnącego za mną gońca Brycha uniknąłem śmierci od kuli składającego się do mnie z karabinu Niemca, w chwili gdy mijaliśmy stojące na szosie samochody. Niemca tego ubił Brych z pistoletu, czego nie byłem w stanie sam dokonać mając wystrzelony już w czasie biegu magazynek mego automatu. Jeszcze raz ten sam Brych dał dowód poświęcenia i odwagi, gdy w marszu pod Mejszagołą nadleciały Messerschmity i gdy kryliśmy się przed seriami karabinu maszynowego lotnika. Nakrył on mnie wtedy (Brych) swym ciałem myśląc zapewne, że osłoni mnie od kuli nieprzyjaciela.

W tym natarciu samochody niemieckie zostały opanowane i zdobyte, a ich załogi rozbrojone i przekazane do niewoli dowództwu 2-go Zgrupowania AK. Zdobyliśmy wtedy kilkanaście szt. broni piechoty i różnego zaopatrzenia oraz ok. 10 samochodów ciężarowych, które w naszych warunkach zmuszeni byliśmy zniszczyć pozostawiając na potrzeby zgrupowania 2 lżejsze pojazdy. W trakcie tego brawurowego natarcia kompanii wyróżniło się wielu odwagą, wśród nich: Józef Czekan ps. „Vis”, Kazimierz Pujszo ps. „Pstrąg” i Adam Niekraszewicz ps. „Jan”, awansowani po akcji do stopni st. strzelców.

Niezależnie od szeregu innych akcji bojowych i potyczek, w których nasi partyzanci dawali liczne dowody męstwa i odwagi, wzięliśmy udział wraz z innymi zgrupowaniami AK na Wileńszczyźnie w podejściu i zdobywaniu „Festung Wilna”. Stykaliśmy się w trakcie naszych działań z oddziałami Armii Czerwonej, z którymi została nawiązana współpraca przez nasze dowództwo. 23 Brasławska Brygada Partyzancka stoczyła wówczas bitwę z przeważającą liczebnie grupą Niemców wycofujących się z okrażonego przez Sowie-tów Wilna. Pamiętam jeszcze charakterystyczny dla tego okresu wojny moment, kiedy po całonocnym marszu w ulewnym deszczu rozlokowałem kompanię wczesnym rankiem we wsi Nowosiółki pod Wilnem. Przygotowujących się do wypoczynku moich ludzi zmuszony byłem poderwać do alarmu w obliczu nadciągających w dużych gromadach Niemców.

Zajęliśmy w tej sytuacji stanowiska na skraju wsi oczekując rozwoju sytuacji na przedpolu. Niemcy w sile ok. 3000 ludzi, dobrze uzbrojeni i zdeterminowani do walki, po przedostaniu się wpław przez Wilię z okrążonego i w większości już zdobytego miasta, stoczyli z marszu walkę z 2-gim Zgrupowaniem AK. Uprzednio zaś rozbili dywizjon artylerii plot. Rosjan zupełnie zaskoczonych i nie przygotowanych do obrony. W wyniku naszego starcia z nieprzyjacielem wyeliminowanych zostało z walki ok. 1000 Niemców, w tym do 300 zabitych. Nasi też ponieśli duże straty w ludziach, których rozmiar wraz z przebiegiem tej bitwy opisuje w swej książce „Operacja Wileńska AK” Roman Zebryk.

Moja kompania miała też swój udział w tych zmaganiach i tylko dzięki zaskoczeniu przez nas wycofujących się Niemców, jak również braku z ich strony dostatecznego rozeznania co do sił napotykanym oddziałów partyzanckich, uniknęliśmy rozbicia. Był nawet taki moment, gdy braliśmy już do niewoli liczniejszego od nas nieprzyjaciela, którego dowódca próbował ze mną pertraktować namawiając do przejścia na ich stronę — nasi chłopcy zaczęli rozbrajać Niemców zdeorientowanych postawą Polaków. Nagle wyłoniły się dalsze kolumny Niemców komplikując tym samym położenie naszej kompanii. W zaistniałych okolicznościach, korzystając z zamieszania po obu stronach wycofaliśmy się z częścią zdobytej tu broni na skraj pobliskich zarośli i dogodnie ukształtowanego do obrony terenu. Niemcy nie poszli w naszym kierunku wycofując się do wyznaczonej im koncentracji. Ja przy tej okazji zdobyłem niemiecką lornetkę polową i sukienny płaszcz oficerski.

Po zdobyciu Wilna przy, jak już wspomniałem, współudziale całej partyzantki AK Okręgu Wileńskiego i częściowo Nowogródzkiego, udział mój w walce z okupantem został nieoczekiwanie przerwany. W rezultacie okoliczności, których sednem było zaareztowanie podstępnie dowództwa Okręgu i dowódców poszczególnych brygad, zostaliśmy otoczeni kolumnami wojska sowieckiego i grupami rozbrojeni. W większości, z wyjątkiem tych którym udało się rozproszyć, skoncentrowani zostali partyzanci Armii Krajowej w obozie przejściowym pod Miednikami (koniec lipca 44). Z obozu tego szeregowców przetransportowano koleją do Kaługi i wcielono do formującego się zapasowego pułku Armii Czerwonej, zaś oficerów wszystkich stopni i starszych podoficerów, w różnych okresach czasu internowano w Diagielewie pod Riazaniem.

Tak mniej więcej wyglądał finał walki Polaków na Wileńszczyźnie. Ja osobiście, jak i cała 23-cia Brygada, po dokonanym przez NKWD aresztowaniu dowództwa AK Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego, rozproszyłem kompanię celem uniknięcia niewoli u dotychczasowego sojusznika. Zabierając ze sobą kilku młodszych wiekiem moich żołnierzy, również zmierzających w tym samym kierunku co ja, udałem się bocznymi drogami w swoje rodzinne strony. Uniknąwszy cudem zetknięcia z tyralierą czerwonoarmistów i wykrycia przez lecące na niskim pułapie „kukuruźniki” rozproszonych partyzantów — znalazłem się po kilku dniach marszu w Zaraczu, folwarku rodziny Pujszów. Nie chcąc jednak przez dłuższy czas narażać ich na niebezpieczeństwo ze strony miejscowych władz sowieckich za ukrywanie „akowca”, zdecydowałem się ten dom opuścić i dołączyć do znajdującej się we wsi Kupczele pod Opsą rozbrojonej już 24-ej Dryświackiej Brygady Partyzanckiej, dowodzonej przez por. Kazimierza Krauzego ps. „Wawrzecki”.

Wkrótce też cała ta brygada została pod konwojem przeprowadzona do Czarnego Brodu na linii kolejowej Dukszty - Turmont i stąd pociągiem towarowym przewieziona do Kaługi. Tam zastaliśmy już znajdujących się od paru tygodni przewiezionych z Miednik pod Wilnem rozbrojonych partyzantów Armii Krajowej i wcielonych w szeregi armii sowieckiej.

Przechodziliśmy w Kałudze normalne ćwiczenia przed mającą nastąpić wysyłką na front. Z uwagi jednak, że nie chcieliśmy złożyć wymaganej regulaminem sowieckiej przysięgi, zostaliśmy wysłani na tak zw. „trudowej front”, a więc na wyrąb lasów służący celom wojennym. Nadmieniam, że będąc jeszcze w transporcie kolejowym do Kaługi nie podałem swego prawdziwego nazwiska ani stopnia, przyjmując nazwisko Malinowski Władysław. W pracy przy wyrębie, w trudnych warunkach sowieckiej mroźnej zimy i bytowania w ziemiankach, które nb. sami musieliśmy wybudować, przy bardzo skromnym wyżywieniu i wyczerpującym wysiłku, zostałem w końcu zimy 1945 roku wydany przez któregoś z naszych byłych partyzantów (prawdopodobnie tych z policji opeskiej) i pod konwojem odesłany do Riazania, gdzie mieścił się obóz internowanych oficerów, podchorążych i podoficerów Armii Krajowej. Tam zastałem wszystkich swych kolegów z 23-ej i 24-ej brygad AK jak też przyjaciół z ławy szkolnej w Wilnie, którzy, mając tak jak i ja ukończone przed

wojną szkoły podchorążych, walczyli w szeregach partyzantki.

W obozie pod Riazaniem odbyliśmy dwie głodówki protestacyjne domagając się powrotu do kraju, korespondencji z rodzinami i lepszych warunków bytowania. Nadmienić tu muszę, że dekonspiracja na robotach w lesie wyszła mi jedynie na dobre, gdyż mimo wszystko warunki w Riazaniu były znacznie lepsze. Tutaj oficerowie nie musieli pracować i otrzymywali bardziej urozmaicone i treściwsze wyżywienie. Latem 47 r. przetransportowano młodszych oficerów wraz ze mną do obozu w Czerepowcu za Wołogdą, skąd w listopadzie tego roku powróciłem do kraju.

Warszawa, dnia 22 kwietnia 1989 roku

Waldemar ŻABA ps. „Bocian”, ppor.

DOKUMENTY

Halina MARTINOWA

DOKUMENTY KGB

Zanim przedstawię treść dokumentów pochodzących z Mińska, a dotyczących partyzantki polskiej i sowieckiej, pozwolę sobie na przypomnienie dat i atmosfery tamtych dni.

22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzyli na ZSSR.

29 czerwca 1941 roku Rada Komisarzy Ludowych ZSSR i KC WKP(b) wydały dyrektywy do komórek partyjnych, państwowych, związkowych i komsomolskich w strefach przyfrontowych:

„Na terenie okupowanych rejonów tworzyć partyzanckie oddziały i grupy dywersyjne do walki z jednostkami wrogiej armii, do rozpalania wojny partyzanckiej, do zrywania mostów i dróg, niszczenia łączności telefonicznej i telegraficznej, podpalania składów itp. W okupowanych rejonach tworzyć nieznosne warunki dla wroga i jego popleczników, prześladować ich na każdym kroku, udaremniać im wszelkie przedsięwzięcia¹”.

Jak z powyższego wynika, w parę dni po ataku niemieckim powstał ruch o wyraźnie sprecyzowanym programie walki. Sprawia to wrażenie jakby dyrektywy oporu przeciw Niemcom były opracowane „na zapas”. Jakby atak był jednak przewidziany, bo opracowanie i przerzucenie dokumentu przez linię frontu musiało zająć jakiś czas.

1. Mieczysław Juchniewicz „Polacy w Radzieckim Ruchu Partyzanckim”, Wojskowy Instytut Historyczny MON, Warszawa 1975 r.

18 lipca 1941 roku KC WKP(b) podjął uzupełniającą uchwałę, usprawniającą kierownictwo ruchem partyzanckim. Mianowicie, zobowiązał komitety partyjne do organizowania podziemia „spośród bojowych i całkowicie oddanych naszej partii towarzyszy, osobiście znanych kierownikom organizacji partyjnych i sprawdzonych w pracy”.

Po otrzymaniu tych dyrektyw natychmiast w terenie przystąpiono do ich wykonywania.

30 czerwca 1941 roku sekretarzem KC KP(b) Białorusi został Pantelejmon Ponomarenko, późniejszy dowódca Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego.

W połowie lipca 1941 r. odbyło się pierwsze zebranie Mińskiego Komitetu Obwodowego KP(b) Białorusi.

25 września na Białorusi powstał pierwszy międzyrejonowy sztab do kierowania partyzantką.

Litwa.

W chwili uderzenia niemieckiego KC KP Litwy ewakuował się do Moskwy².

W Moskwie podzielono teren Litwy na 9 międzypowiatowych rejonów. Na początku sierpnia 1941 r. KC KP Litwy wysłał do głównych ośrodków sześć grup organizacyjnych po paru ludzi każda. Na zapleczu wroga i w centrach okupacji hitlerowskiej lądowały desanty sowieckie do prowadzenia wywiadu. Między innymi, w okolicy Białegostoku wylądowało przeszkolonych w obozie Schodnia koło Moskwy trzech Polaków, dowódca ppor. Julian Michniewicz.

Michniewicz pochodził z Wilna. Łatwo przedostał się do miasta, miał tam wiele znajomości. Nawiązał kontakt z Fiodorem Markowem.

Kim był Fiodor Markow?

Markow skończył szkołę podchorążych piechoty i był polskim oficerem rezerwy. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Święcianach i tam był nauczycielem. Nie ukrywał braku poczucia polskości, a za działalność komunistyczną odsiedział 6 miesięcy w więzieniu polskim. W 1939 r., po wkroczeniu na ziemie polskie, Sowietci mianowali Markowa przedstawicielem Rady Deputowanych Okręgu Święciańskiego w randze pułkownika. W maju 1942 r. z oddziałem złożonym z kilku ludzi rozbił z zasadzki niemiecki samochód z oficerami w rejonie Święcian. W odwecie, w Łyntupach, Niemcy rozstrzelali około 400 mężczyzn Polaków.

2. Juchniewicz...

Markow rozwijał swój oddział aż po Brygadę im. K. Woroszyłowa. Brygada działała w rejonach Miadzioła, Michaliszek, Świru i Żodziszek. Przyjmował w szeregi każdego chętnego, bez względu na narodowość. Ponad 30 Polaków, zagrożonych przez Niemców, znalazło się pod dowództwem Markowa w lesie.

W klimacie układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 roku stosunki pomiędzy partyzantami sowieckimi i ludnością polską układały się bez wielkich uprzedzeń czy nieufności.

Polska partyzantka nie istniała. Instrukcja Rządu Polskiego nakazywała „...powstrzymać się od wszelkiej akcji, która mogłaby spowodować represje wobec ludności polskiej”. Tej instrukcji trzymał się Sztab Generalny Komendy Okręgu w Wilnie.

Rok 1942/43. W rejonach Duniłowicze-Miadzioł-Wiszniew-Świr-Michaliszki i Postawy zawiązała się organizacja terenowa Armii Krajowej. „Kmicic”, wbrew rozkazom rozpoczął tworzyć oddział zbrojny. Pierwszych 4 partyzantów zaprzysiął 25 marca 1943 r. W 3 miesiące potem rozkaz Komendy Okręgu nadał oddziałowi „Kmicica” status Oddziału Leśnego AK.

Ruchy polskiego oddziału krzyżowały się na wspólnych terenach działań z partyzantką sowiecką, pod dowództwem Fiodora Markowa.

Kim był „Kmicic”? „Kmicic”, Antoni Burzyński, urodził się 17 VI 1911 r. w Wilnie. Tam ukończył gimnazjum Zygmunta Augusta. Przeszedł przez Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy Piechoty 5 p.p. Legionów, z nominacją plutonowego z cenzusem. Rozpoczął studia w Wyższej Szkole Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej.

Brał udział w kampanii wrześniowej. 18 września 1939 r. przekroczył granicę litewską i został internowany w obozie koło Kowna. Przyjaciele dostarczyli mu cywilne ubranie i dowód osobisty na nazwisko Czechowicz. Umożliwiło mu to ucieczkę z obozu. Wrócił do Wilna i natychmiast wszedł w kręgi konspiracji i nawiązał kontakty z mjr. Aleksandrem Wasilewskim „Olesińskim” oraz mjr. Antonim Olechnowiczem „Pohoreckim” i innymi.

Jesienią 1941 r. wykupiono go z więzienia Saugumy, musiał znowu opuścić Wilno. Osiadł w Kobylniku koło Świra i pod nazwiskiem Nurmo pracował w gospodarstwie rybnym³.

3. Dariusz Fikus, „Pseudonim 'Łupaszka'”, Editions Dembiński, Paryż 1989.

Spotkanie dowódców partyzantki polskiej i sowieckiej miało przebieg pomyślny. Rozmawiali ze sobą po polsku, „jak partyzant z partyzantem”. Mieli wspólny cel: walkę ze wspólnym wrogiem. Wkrótce nad jeziorem Narocz rozsiadły się obozami brygady sowieckie. Między innymi i Brygada im. Woroszyłowa, pod dowództwem Markowa. 3 km dalej założył bazę „Kmicic”, około 300 ludzi. „Kmicic” zdając sobie sprawę ze swej słabości wołał być w pobliżu silnego, na którego wsparcie liczył w wypadku niemieckiego natarcia. Wspólnie wykonali kilka akcji.

„Kmicic” nie zdawał sobie sprawy, że czas działa na szkodę Polaków. 25 kwietnia nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy ZSSR i Rządem Polskim w Londynie. 6 maja 1943 r. formalnie powołano Berlinga do tworzenia armii polskiej. 15 sierpnia Wanda Wasilewska stanęła na czele Związku Patriotów Polskich w ZSSR.

22 czerwca 1943 r. na plenum w Moskwie Komitet Centralny KP(b) Białorusi podjął uchwałę, która w punkcie 2 nakazuje: „Istnienie różnorodnych organizacji, kierowanych przez polskie burżuazyjne ośrodki, należy traktować jako bezprawne wtrącanie się do spraw naszego kraju”; punkt 4: „Wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne”.

Markow zachowywał się jak dawniej. „Kmicic”, pozbawiony wiadomości, wydawał się nie zauważać niebezpieczeństwa.

26 sierpnia 1943 r. „Kmicic” ze swoim sztabem wyjechał do Bazy sowieckiej na dalszą rozmowę z Markowem na temat wspólnej akcji na garnizon niemiecki w Miadziole. Pochyleni nad mapą Polacy nie zauważyli zagęszczenia izby żołdatami. Tak wpadli w pułapkę. Aresztowani, oddziały rozbrojone, 80 ludzi zamordowanych. Część przekazana oddziałowi „polskiemu” im. Wandy Wasilewskiej, dowódca Wincenty Mroczkowski „Zapora”. Jeden pluton ocalał w terenie, trochę ludzi uratowało się ucieczką.

Los „Kmicica” dokładnie nie znany. Jedni twierdzą, że powieszonemu na drzewie przypalano pięty, inni — że darli z niego skórę pasami. Markow jakoby w tym czasie był w terenie. Niemniej musiał złożyć raport z wykonanego zadania.

Dokumenty NKWD z Mińska. Odbitki oryginałów w języku rosyjskim są w Polsce. Wybrane dokumenty podane są w dosłownym tłumaczeniu.

Halina MARTINOWA

*Markow do Ponomarenki, d-cy Centralnego Sztabu Ruchu
Partyzanckiego*

Fond Nr 4
Opis 33a
Zbiór nr 68
Sprawa nr 488
Strona 188/190

Będąc w Wilnie w 1941 r. dowiedziałem się o polskich organizacjach podziemnych.

W 1942 r. w okresie mej pracy organizacyjnej napotykałem na każdym kroku działalność organizacji polskich. Wówczas udało mi się nawiązać kontakt z agentami, którzy mi donosili co się planuje w polskiej konspiracji. Zainteresowany polskim podziemiem dyskretnie nawiązałem z nimi kontakt. W 1941 i 42 r. celem mych działań była aktywizacja Polaków do wspólnej walki przeciwko Niemcom. Wysiłki moje poszły na marne. Nie wiedziałem wtedy, że Polacy mają następującą instrukcję: „organizacja podziemia”, „dozbrojenie”, „czekać na sposobny moment do wystąpienia”. To mnie skłoniło do stworzenia agentury, która działaniem w dołach demoralizowała organizację.

W maju 1943 r. członek polskiej organizacji, Antoni Nurmo („Kmicic” — HM), zaczął organizację polskiego oddziału w rejonie Miadzioł-Swir. Postarałem się nawiązać z nim kontakt. 3 czerwca 1943 r. w okolicach jeziora Narocz spotkałem się z „Kmicicem”. Na tym spotkaniu propozycją „Kmicica” była koordynacja działań przeciw Niemcom poprzez codzienną łączność. Na temat granic wyraził się, że to jest sprawą rządów, a nam należy walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi. Na propozycję „Kmicica” wyraziłem zgodę. Jednocześnie zaangażowałem swoich agentów do wejścia w oddział „Kmicica”, których zadaniem jest donieść o zamiarach Polaków. Postawiłem sobie za zadanie uzyskać pełne zaufanie Polaków poprzez ścisły kontakt z oddziałem, a w tajemnicy rozkładać moralnie partyzantów i agitować ich na przejście do nas.

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządami, pisma podziemne⁵ rozpoczęły antysowiecką agitację. Oddział „Kmicica” rozrósł się do 300 uzbrojonych ludzi.

5. Prawdopodobnie chodzi o *Niepodległość*, pismo wydawane w Wilnie, gdzie Stalin był nazywany wrogiem Polski numer dwa.

Działania rozkładowe moich agentów okazały się niedostateczne.

1 sierpnia 43 r. zdecydowałem stworzyć polsko-sowiecki oddział partyzancki, dla przeciwstawienia oddziałowi „Kmicica”. Koło Brasławia był Polak Mroczkowski, który miał powiązania z sowiecką partyzantką, z 1941 roku. Miał on obecnie grupę zorganizowanych 30 ludzi. Mroczkowski poprosił o nadanie depeszy do Wandy Wasilewskiej, co zostało wykonane przez Centralny Sztab.

20 sierpnia 43 r. agenci donieśli mi, że na spotkaniu tajnych organizacji polskich zapadła uchwała o: sporządzaniu spisów komunistów, aktywistów sowieckich, likwidowaniu komunistów, demoralizowaniu partyzantki sowieckiej, kompromitując ją, aby w określonym momencie rozbrajać.

Po tym doniesieniu zdecydowałem rozbroić oddział. Po zatwierdzeniu przez Was mego wniosku, 26 sierpnia moja brygada z pomocą dwóch oddziałów Romanowa rozbroiła i aresztowała oddział „Kmicica”. Dwustu rozbrojono. W oddziale było ich 300. Nieobecnych w bazie około stu. Sztab oddziału „Kmicica” składał się z następujących osób: Czechowicz (Nurmo — „Kmicic”), por. d-ca oddziału; Wiszniewski („Ostróg”), oficer informacji; Niciński („Poruka”)⁶, d-ca sztabu; Klewiako, Borkowski, kpt. redaktor gazetki oddziału „Żołnierska dekada”. W oddziale było 7 oficerów i 10 podoficerów. Według stanowisk było w oddziale 3 d-ców kompanii, 3 ich zastępców i 9 d-ców plutonów, czyli cały skład oficerski na stanowiskach. 80 członków oddziału należało do podziemnej organizacji POW. Wszyscy oficerowie pochodzili z Polski i Litwy. Niższe rangi dowództwa rekrutują się z ludności miejscowej, z byłych policjantów, podoficerów rezerwy polskiej armii i kułaków.

Do oddziału „Kmicica” należeli ludzie z rejonów: Miadzińskiego, Świrskiego, Postawskiego, jak również częściowo z okolic Duniłowicz, Święcian i Oszmiany. Oddział rósł kosztem skompromitowanych urzędników niemieckiej administracji, policjantów dezercerujących z garnizonów niemieckich i ludzi kierowanych z centrali wileńskiej. „Kmicic” budował swój oddział na bazie polskich podziemnych organizacji z miejscowości Świr, Kobylnik, Miadzioł i Postawy. Po

6. Ppor. rez. Zygmunt Niciński nosił pseudonim „Twardowski”. Prawdopodobnie są również błędy w podanych nazwiskach i pseudonimach.

rozbrojeniu oddziału wyaresztowaliśmy organizację w Kobylniku. Postawską organizację podziemną sparaliżowały aresztowania gminnych kierowników konspiracji i ucieczka reszty do Wilna. Wykryto większość członków w Świrze. W wyniku tej akcji naruszyliśmy podwaliny organizacji prawie całego okręgu. Znamy meliny centrali wileńskiej.

Dowódca Operacyjnej Grupy, towarzysz BER (NKWD) przeprowadzając śledztwo podzielił aresztowanych ludzi „Kmicica” na trzy kategorie: 50 ludzi z dowództwem rozstrzelano. 80 ludzi rozbrojono i puszczono wolno. 70 ludzi odesłano do oddziału Mroczkowskiego, któremu polecono dodatkowo zebrać tych 100, których nie zastaliśmy w bazie.

Przekazanie Mroczkowskiemu 70 ludzi było naszym błędem. Należało ich rozstrzelać, ale obawialiśmy się że obróci się to przeciwko nam, jako propaganda drugiego Katynia.

Wówczas zostałem wezwany na spotkanie z towarzyszem Klimowem⁷ w Uszackim rejonie. W czasie mojej nieobecności Mroczkowski dowiedział się o rozstrzelaniu 50 ludzi „Kmicica” i przeszedł z tego powodu na stronę polskiej konspiracji, zabierając ze sobą 60 Polaków. 30 pozostałych planowało otrzymać od nas broń i też przejść na stronę polską. Tych 30 rozstrzelano.

Ogółem zlikwidowaliśmy 80 partyzantów z oddziału „Kmicica”. Obecnie polskie oddziały otwarcie występują przeciw sowieckiej partyzantce, a szczególnie przeciw mojej Brygadzie. W potyczkach z Polakami straciliśmy 4 ludzi. Polski sąd podziemny za rozbrojenie i rozstrzelanie „Kmicica” wydał skazujący wyrok na mnie i moich dowódców oraz kierowników politycznych.

Podjęmujemy wszelkie środki celem likwidacji rozrzuconych w terenie bandyckich grup polskich. W tym celu: 1. posyłamy agentów dla podważania morale oddziałów, 2. wysyłamy 80 ludzi na przespiegi w teren polskiej partyzantki, 3. rozrzucamy ulotki o położeniu na froncie i bandyckich poczynaniach Polaków, 4. wydałem rozkaz rozbijania napotkanych Polaków i likwidowania, 5. oczyścić teren z pogańskiego śmiecia.

Komisarz Brygady im. Woroszyłowa płk Markow
za zgodność A. Fiedotow⁸

7. Klimow Iwan, I sekretarz Obwodowego Sztabu Partyzantki na Białorusi.

8. Dokument w oryginale ręcznie podpisany przez Markowa i Fiedotowa.

Niełatwo było umierać partyzantom oddziału „Kmicica”. Rozstrzelani mieli szczęśliwą śmierć. Inni byli przestuchiwani przez Oddział Specjalny (czytaj NKWD) Brygady im. Woroszyłowa. Listy ujęto według miejscowości. W rubrykach: nazwisko, imię, imię ojca; adres; źródło donosu. — Wiele nazwisk, nie sposób podać spisu w całości. Dokument jest na stronach 361 do 363.

●

Fond 3500

Opis 4

Sprawa 60

Tytuł: „Lista członków POW”

Rejon Postawski i miasto — Rozpracowano 36 osób. Między nimi 3 osoby były wydane na torturach „z zeznań d-ców POW”. Reszta przez „własnych agentów”.

Rejon Miadziół — Rozpracowano 28 osób, w tym 4 adresy od „członka POW”. O „kierownictwie POW” zeznawał „Kmicic”.

Rejon Świr — Rozpracowano 23 osoby, w tym 13 nazwisk wydobyto od „członków POW”.

W dalszych dokumentach tę listę podaje się jako „załącznik nr 1”.

●

Fond 3500

Opis nr 2

Sprawa nr 49

str. 188

Wypis z meldunku Oddziału Specjalnego Brygady im. Woroszyłowa do Sekretarza Wilejskiego Okręgowego Komitetu K.P.B., towarzysza Manochina. Za okres 7 XII 1943 do 20 II 1944.

„Podziemie POW. Wykryto polskie nacjonalistyczne formacje w rejonach: Postawskim, Miadziolskim, Świrskim i Duniłowickim. Do podziemia należy 70 ludzi, z których 35 jest dowódcami kompanii i plutonów. Rozstrzelano polskich nacjonalistów: 3 w Postawskim rejonie, po 1 w Miadziolskim i Duniłowickim rejonach.

Do organizacji zaangażowano 4 naszych agentów, w tym

jednego polskiego porucznika. Według naszych agentów uważano w ostatnim okresie uaktywnienie się polskiej organizacji w rejonie Postawskim. Tam odbywają się zebrania”.

Brak podpisów.

Manochin był dowódcą Brygady im. Gastello. Miał widocznie powiązania służbowe z NKWD skoro do niego „Oddział Specjalny” kierował swoje meldunki. W meldunku następnym jest podpis kierownika, Prońko.

●

Fond 3500

Opis nr 4

Sprawa 60

Str. 557 i do 559 (ten sam tekst napisany jest na str. 353/355).

Meldunek pracy wykonanej od 14 IV do 10 VI 1944 r. dla Sekretarza Okręgowego Komitetu Wilejskiego KPB, towarzysza Manochina.

Postawski rejon. Na terytorium rejonu istnieje wśród ludności miejscowej organizacja POW. Należą do niej osoby podane w załączniku nr 1. Wymieniona organizacja składa się jedynie z byłych kaprali polskiej armii, którym postawiono zadanie zorganizowania plutonów po 10-12 osób.

Po rozbrojeniu „Kmicica” w sierpniu 43 r. aresztowaliśmy rejonowych przywódców: Bujko, Kugar i Bernatowicz. Pozbawiliśmy organizację przywódców, a wyznaczeni ludzie nie zdążyli zorganizować plutonów.

Według zarządzonej obserwacji Peowiaków stwierdzono, że wymienieni członkowie (załącznik nr 1 — HM) znajdują się w swych wsiach. Wyjątkiem jest Podera, pomocnik d-cy kompanii z miasta Gruzdowo, który wyjechał do Wilna. Oraz Kulesza Jasiunia, ze wsi Szynawczyzna, został wywieziony na pracę do Niemiec. Nie zauważono by organizacja działała aktywnie.

W mieście Postawy organizacją kieruje Bobowski Stanisław, b. referent karny — przewodniczący Sądu Administracyjnego w rejonie Postawy. Do organizacji należą ludzie znajdujący się na naszych listach. Istnieje POW.

W gminie Sawiczewskiej, wieś Michniczy, Gogowo, w

gminie Postawskiej w miejscowościach Wielka Olsza, Mała Olsza, Rudi i Rodi występuje nastawienie pro polskie. W gminie Wierenkowskiej oraz w gminach Komaiskiej i Miguńskiej nastawienie jest podobne. Charakteryzuje się to tym, że według niepewnych zresztą danych, z tych okolic poszło 25 ludzi do polskiej partyzantki.

Rejon Miadzioł. Na terytorium rejonu istnieje w dalszym ciągu organizacja podziemna, powstała za czasów „Kmicica”, w roku 1943. W początkach sierpnia mjr Sulima⁹ werbował do POW w gminach Diagielskiej i Słobodskiej następujących ludzi: Jankowski Henryk, Rymsza Mieczysław, Kościa, Szajewska Kazimira (wieś Żerotniszki), Żuk Wikienty (folwark Żutino). Na kierownika tej organizacji wyznaczono Rymszę Mieczysława¹⁰, plutonowego z Polskiej Armii. Żuk Wikienty został naszym agentem, z zadaniem donoszenia do Oddziału Specjalnego. Na co wyraził zgodę. Działań w organizacji nie było, gdyż zerwane zostały nici kontaktowe z oddziałem „Kmicica” po jego likwidacji.

W maju 1944 r. aresztował Żuka kierownik Oddziału Specjalnego Brygady im. Rokossowskiego, Kowarcew, bez mojej wiedzy. Żuk jakoby uciekł. Podejrzani o konspirację tego rejonu są na liście (załącznik nr 1 — HM).

Polski ruch nacjonalistyczny daje się zaobserwować wśród ludności polskiej i białoruskiej, wyznania katolickiego, w następujących gminach: Kobylnicka, Diagielska i Liszczyńska. Tam miał duży wpływ rząd polski, który angażował młodzież tych gmin do różnych organizacji, takich jak: Ozon, Krakusy, Strzelcy, do rezerwy i do innych. Np. we wsi Bojary, gmina Bojarska, za polskich rządów należało 46 ludzi do różnych organizacji, a we wsi Diagieli ponad 35. Zaobserwowano w styczniu i lutym zbiórki Polaków we wsiach Diagieli, Gorby, Kuliki i innych. Z miejscowości tych nikt do partyzantki sowieckiej nie wstąpił.

Rejon Świr. Wiadomo mi, że na terenie tego rejonu od dawna istnieje polska nacjonalistyczna organizacja POW. Kierownikami są: Chrzanowski Stanisław, Besztard Bolesław,

9. „Sulima” pseudonim mjr. Stefana Świechowskiego, Inspektora Okręgowego.

10. Wydaje się, że raport podaje mylnie imię Mieczysław. Rymsza Antoni, pseudonim „Maks”, były policjant ze Świra, u „Kmicica” w zwiadzie konnym, w czasie rozbrajania był poza bazą wykonując zadanie.

Barian Stanisław, Witkowski Leon, Siemaszko por. armii polskiej, Piechurowski i Walejko. Wszyscy zamieszkują w Świrze. Nazwiska pochodzą z zeznań „Kmicica” z 1943 r. (załącznik nr 1 — HM). Obecnie nie mam o nich żadnych wiadomości.

W powiecie Kluszczański rejon Świr jest ksiądz z parafii Kluszczańskiej organizatorem POW i jego brat Wojciechowski Leonid. Liczebność organizacji nie znana, dowiedziałem się tylko, że do POW należy w rejonie 18 osób. Oprócz nich podejrzewam dalsze 5 osób.

Obecnie nastąpiły zmiany w strukturze podziemnej. Wprowadzono system trójek (komórki trzyosobowe), co pogłębiło konspirację i pracę podziemną. W zachodniej i północno-zachodniej części rejonu Świr i częściowo w rejonie Postawy działają polskie oddziały partyzanckie i Brygady nacjonalistów: I i II Brygady Narocz, Brygada Śmierci¹¹, oddziały Rymszy i Kitka¹². W ostatnich czasach utworzono 6 Brygad z plutonów Brygady „Łupaszko”. Wszystkimi Brygadami dowodził kpt. „Łupaszka”¹³. Brygady I i II Narocz liczą po 200-250 ludzi. Pozostałe są w stadium organizacyjnym, po 100-150 osób.

Oprócz wyżej wymienionych, znamy Brygadę „Błyskawica”, Brygadę Szczerbca¹⁴ i Brygadę „Wilka”. Każda z nich liczyła do 250 ludzi. Działają w rejonie Świr, za rzeką Wilia do Nowej Wilejki; w rejonie Wilno, Podbrodzie, Święciany. Brygady „Łupaszki” czynne są na terenach Świr, Łyntupy, Podbrodzie. Ruchliwe, w stałych przemarszach, nie organizują stałych baz.

Na podstawie naszych obserwacji, z zeznań agentów i dezertów z Brygad „Łupaszki”, wnioskujemy, że polscy nacjonaści dogadali się z Niemcami i Litwinami, postanawiając w rejonach ich działań walki z nimi nie prowadzić. Na odwrót, walkę prowadzą przeciw sowieckim partyzantom. Dowodem takiego stanu jest wypadek z dn. 10 maja br. Brygada Śmierci otoczyła 20 partyzantów z oddziału Susłowa, we wsi Supronienty w rejonie Świr, zabijając 8 ludzi i 1 raniąc. W dn. 3 VI polscy nacjonaści z Brygad „Łupaszki”

11. Wileńska Brygada AK Brygada Śmierci, zorganizowana przez „Łupaszkę”, maj 1943 r.

12. „Kitka” — Mieczysław Kitkiewicz był dowódcą II plutonu u „Kmicica”, potem u „Łupaszki”.

13. „Łupaszka” — mjr Zygmunt Szendzielarz.

14. „Szczerbiec”, ps. Gracjana Froga.

zabili 4 ludzi z oddziału „Sława” Brygady im. Woroszyłowa we wsi Kowali koło Łyntup. 9 VI we wsi Kaszycy obok Postaw, Polacy zabili d-cę oddziału „Sława”, Żarina.

Z zeznań Siemaszki, jeńca z Brygady „Łupaszki” i dezertera Sielickiego wynika, że „Łupaszka” i dowódcy innych brygad zalecają, by nie prowadzić otwartej walki z Niemcami i Litwinami, a tylko rozbrajać ich i puszczać wolno. Walka ma być prowadzona przeciwko bolszewikom i „bandytom” czyli partyzantce sowieckiej.

Sielecki mówi, że „sowieccy partyzanci nie mają większego wroga od polskich legionów, które pod pretekstem odbudowy niezależnej Polski stały się pachołkami niemiec-kimi”.

Okolo 7 VI Polacy w liczbie okolo 300 ludzi przybyli do rejonu Postawy, w miejscowości Łyntupy — Kamai, w celu organizowania miejscowej polskiej ludności. Agenci donoszą, że Polacy nawiązali kontakt z III kompanią „Samoochowy” (samoobrony) z garnizonu Postawy i prowadzą pertraktacje, namawiając do przejścia do polskich oddziałów.

Samoobrona. W rejonie działań naszej Brygady, w garnizonie Postawy i Miadzioł, zorganizowano białoruską narodową samoobronę Ostrowskiego. W rejonie Postawy zmobilizowali okolo 400 osób z miejscowej ludności. Według danych z 10 VI br. obecnie jest tam 260 ludzi.

I kompania liczy 60 ludzi, d-ca Tałajko, wójt przedwojenny i również w czasie okupacji niemieckiej, oficer carskiej armii.

II kompania liczy 81 ludzi, d-ca Biały, pochodzący ze wsi Kuropole w rej. Postawy, podoficer Armii Polskiej.

III kompania — 120 ludzi, d-ca Jasiewicz, pochodzący ze wsi Rudniki w rej. Postawy, podoficer Polskiej Armii, Polak, syn kułaka. Kompania składa się z Polaków i Białorusów katolików nastawionych wrogo przeciw Sowietom, bardzo propolscy. Chodzą słuchy, że czekają na odpowiedni moment by przejść do polskich band.

I i II kompanie — część rozeszła się po domach. 21 ludzi przeszło do partyzantki, z tego 4 do Brygady im. Woroszyłowa. Razem kompanie utraciły 140 ludzi.

Z postawską samoobroną nawiązaliśmy kontakt. Naszego agenta w grupie 32 wywieziono do Mińska. Większość lu-

dzi z samoobrony gotowa jest przejść do partyzantki lub wrócić do domu. Niemcy uprzedzili, że rodziny każdego kto zdezerteruje zostaną rozstrzelane. Tym zahamowali dezercję.

Podpisał Prońko, kierownik Oddziału Specjalnego
w Brygadzie im. Woroszyłowa

Dotychczasowe meldunki szły do kpt. Manochina, d-cy Brygady im. Gastello. Coś go w tych meldunkach niepokoiło. Wydaje się, że obawiał się odpowiedzialności za czyny Markowa. Lub, na wszelki wypadek, wolał być pierwszym w meldunkach do wyższych władz.

●

Fond nr 3500

Opis nr 2

Strony 287/302, brak daty

Ścisłe tajne

Wyjątki ze sprawozdania kpt. Manochina do towarzysza Ganienko, zastępcy d-cy Białoruskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego. Dotyczy położenia w Oszmiańskim rejonie Wilejskiego Okręgu Białoruskiej Socjalistycznej Sowieckiej Republiki. Sytuacja przed wyzwoleniem przez Armię Czerwoną.

W czerwcu 1943 r. na terytorium Wilejskiego okręgu BSSR, w rejonie jeziora Narocz, pojawiła się banda Białopolaków, zorganizowana przez tzw. Wileńskie Podziemne Centrum, działające wg wskazówek polskiego rządu emigracyjnego (klika Sosnkowskiego).

Szkieletem, na którym banda powstała, byli policjanci-dezerterzy z r. 43 z garnizonów okręgu Wilejskiego (Duniłowicze, Postawy, Miadzioł, Iża, Wilejka i inne). Banda ta przyjęła nazwę „Polskiej Partyzanckiej Brygady”.

Banda składała się w większości z Białorusinów, według wiary z katolików. Na czele bandy stał mianowany przez Centrum Wileńskie niejaki „Kmicic”, Polak i porucznik Armii Polskiej.

W pierwszym okresie działanie szło ku rozbudowie liczebnej i zdobywaniu broni. Żadnych zbrojnych działań przeciw Niemcom banda nie prowadziła. Według opinii oficerskiej kadry „czas do wystąpienia przeciw okupantom Polski jeszcze nie nadszedł”. Opierając się na propagandzie podziemnej (gazeta *Niepodległość*) okupantami Polski uważane są w jednej mierze i ZSSR i Niemcy.

Wychodząc z założenia, że są żołnierzami a nie politykami, twierdzą, że o przyszłych granicach Polski decydować będą rządy. Dowództwo bandy od samego początku zaczęło prowadzić masowe akty terroru przeciw sowieckiemu aktywowi, pozostawionemu na okres niemieckiej okupacji, poprzez współdziałanie z garnizonami policji, z którymi mieli dobrą łączność.

W stosunku do sowieckiej partyzantki otwarcie nie wykazywali wrogich zamiarów, na odwrót, starali się wszelkimi siłami podtrzymywać z nimi dobre stosunki sąsiedzkie. Pod przykrywką przyjaźni chcieli zdobywać broń, rosnąć w siłę, szykować się do zbrojnego wystąpienia przeciw władzy sowieckiej.

W sierpniu 1943 r. w zachodniej części okręgu powstały dodatkowo dwie inne bandy: banda „Szczerbca” i banda „Otto”, każda liczy po 35 do 40 ludzi. Rejonem powstania tych band jest Oszmiana. Należy podkreślić, że w tym czasie ludność z południowo-zachodnich rejonów Okręgu przyjęła wyczekującą postawę i w stosunku do nas jak i do Białopolaków. W tej sytuacji napływ ludzi do band nie był duży.

Mało tego, d-ca bandy „Szczerbiec” (ludowiec) nie uznawał Centrum Wileńskiego za organ władzy polskiego narodu, działał samodzielnie, w swym nastawieniu otwarcie występując przeciwko rządowi londyńskiemu¹⁵. Organizował od czasu do czasu zbrojne napady na litewską policję i Niemców (w sierpniu 1943 na miasto Żuprany).

W końcu sierpnia 1943 r. d-ca Partyzanckiej Brygady im. Woroszyłowa, korzystając z „dobrosąsiedzkich” stosunków, rozbroił bandę „Kmicica”.

Sprawa likwidacji Oddziału „Kmicica” powtarza się kilkakrotnie w raportach kpt. Manochina. Wygląda na to, że nie znany był mu rozkaz bojowy wysłany do oddziałów partyzanckich Brygad im. Stalina, z datą 30 listopada 1943 r. Rozkaz

15. Całkowicie błędna informacja. Por. broni pancernej, Gracjan Fróg, działał z małym oddziałkiem w terenie zdobywając broń. Wkrótce stworzył Brygadę oznaczoną nr III i przyjął ps. „Szczerbiec”. Walczył w ramach Zgrupowania nr 1 — Wileńskiego. Brał udział w walkach o Wilno, podwożąc jednostki bojowe swym zmotoryzowanym oddziałem. — „Na zew ziemi wileńskiej” Edmund Banasikowski, Editions Spotkania, Paryż 1988.

wpadł w ręce polskie w Nowogródczyźnie. Rozkazywał rozbrajać, internować, rozstrzeliwać.

Po obu stronach kartki Manochin napisał ołówkiem raport do Szefa Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego, Ponomarenki, co wygląda na chęć ominięcia drogi służbowej. Pisał już przecież do Ganiienki.

Treść kartki została przepisana i wysłana z datą 20 I 1944 r. I kartka i maszynopis znajdują się w archiwach. Oto dokument:

Fond nr 3500

Opis nr 2

Sprawa 49

Str. 77 pisane po obu stronach ołówkiem dn. 20 I 1944

Wypis z meldunku Manochina do d-cy wojskowej części 00125 gen. lejtnanta Towarzysza Ponomarenko.

Załączając dokumenty o Biało-Polakach jednocześnie wyrażam swe zdanie na ten temat: operacja rozbrojenia Polaków nad jeziorem Narocz była przedwczesna, nie przemyślana, a sankcjonowana przez Was w oparciu o nieprawdziwe informacje, które wpłynęły do Sztabu wojskowej części 00125.

Podając się za znawcę polskiej sprawy, towarzysz Markow przecenił swe wiadomości. Wyobrażał sobie, że grupa „Kmicica” to cały aktyw polskiego podziemia na Wileńszczyźnie. Był w błędzie. Na skutek tego rozbroiliśmy grupę 300 Biało-Polaków, natomiast cała organizacja, jej podziemie — wówczas jeszcze nie tak głęboko zakonspirowane — zostało nie naruszone.

Wkrótce Biało-Polacy otrząsnęli się po ciosie otrzymanym nad jeziorem Narocz i stali się ostrożniejsi, chytrzejsi i tym samym silniejsi. Przez to, że uderzyliśmy na bandę „Kmicica”, podziemie Ozonu w Wilnie i okolicach wysłiznęło nam się z rąk.

Prawie demonstracyjne rozstrzelanie 80 Polaków nad Naroczą, okrutne badania i rabunek towarzyszący rozbrajaniu — ostrzegło część Białorusinów katolików i odstraszyło od nas. Dowództwo polskie w Wilnie na wszystkie sposoby prowadzi propagandę o „Brudnych Gaciach” nad Naroczą.

Nie odpowiedzieliście na nasze pytanie jak mamy się zachowywać w Sołach. 18 stycznia 44 r. Polacy napadli na Niemców w Żodziszkach, zabili i ranili ponad 25 żołnierzy i

oficerów, zdobyli jedno działo i samochód. W końcu grudnia zabili zastępcę komendanta litewskiej policji w Świrze.

Tu zdania są podzielone. Wszyscy jednomyślnie jesteśmy zdania, że Polaków należy likwidować. Nie jesteśmy natomiast jednomyślni co do sposobów wykonania.

Bardzo potrzebna jest Wasza opinia zwierzchnia na ten temat.

Dowódca Partyzanckiej Brygady im. Gastello
kpt. Manochin,

Na ukos maszynowej odbitki tego meldunku, napisane ołówkiem:

„Należy obowiązkowo przekazać Manochinowi drogą radiową rozpracowane dyrektywy i postanowienia CK w sprawie polskiej”.

Podpis mało wyraźny, podobny do podpisu Ponomarenki. Poniżej dopisana uwaga: „Nie wysyłać egzemplarza do 'K'”.



Dalsze dokumenty podają wiadomości o sytuacji w rejonie Oszmiana po wkroczeniu Armii Czerwonej. Opisują atak „Wilka” na Wilno. Podają plan rozbrojenia Okręgu Wileńskiego. Zawierają raporty gminnych pracowników sowieckiej administracji oraz donosy agentów. Ogółem 21 stron.

Dodatkowo zawierają opinię Manochina o ruchach partyzantki polskiej i jej popularności wśród ludności miejscowej, udzielającej pomocy partyzantom.

Dokumenty podpisał Manochin, z datą 19 VIII 1944.

*Podatła do druku Halina MARTINOWA
tłumaczył z rosyjskiego Jarosław Wołkonowski*

RECENZJE

Tadeusz WYRWA

STUDIA NAD HISTORIĄ WOJSKOWOŚCI KRAJOWEJ I EMIGRACYJNEJ

Wychodźstwo polskie po drugiej wojnie światowej było ogólnie określane mianem emigracji wojskowej z racji liczebnej przewagi żołnierzy i roli, jaką odegrało i jaką spodziewano się, że odegra wojsko polskie na Zachodzie. Niewiele jednak, proporcjonalnie do tej roli, jest opracowań na temat Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w globalnym ujęciu ich formowania, likwidacji i politycznego podłoża, na którym to wszystko działo się i które miało niejednokrotnie decydujący wpływ na organizacyjny charakter życia emigracji.

Po zakończeniu wojny została powołana w Londynie Komisja Historyczna o zmienianym zakresie badań i nazwie, ustalonej definitywnie jako Komisja Historyczna byłego Sztabu Głównego. W wyniku pracy tej Komisji ukazało się, w różnych odstępach czasu, trzytomowe dzieło pt. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*. Pomimo bardzo uszczuplonego obecnie składu, Komisja Historyczna kontynuuje swoje prace pod przewodnictwem Aleksandra J. Szkuty, który jest jednocześnie wiceprezesem Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, oraz prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii.

Konkretnym ostatnio osiągnięciem Komisji Historycznej jest publikacja periodyku *Mars*¹, którego pierwszy tom

1. *Mars. Problematyka i Historia Wojskowości. Studia i materiały* tom 1. Komisja Historyczna b. Sztabu Głównego. Londyn-Warszawa 1993.

— o czym pisze we wstępie Redakcja — „ukazuje się jako plon współpracy Komisji z historykami krajowymi i emigracyjnymi”. Periodyk ten wydawany jest w ładnej szacie graficznej i jego tytuł *Mars*, od imienia rzymskiego boga wojny, nawiązuje do dawniej wydawanej *Bellony*², a podtytuł „Problematyka i historia wojskowości” ma wskazywać, że Redakcja nie stawia sobie specjalnych ograniczeń tematów i interesować ją będą „historia i współczesność wojskowości tak w Polsce, jak i na świecie”.

Treść podzielona jest na trzy działy: „Studia”, „Materiały” i „Recenzje”, oraz przewidziany jest dział na listy. Opracowania dwu pierwszych działów mają na końcu bardzo pożyteczne *résumé* w języku angielskim. Nie sposób oczywiście omówić obszerniej wszystkich opracowań i ograniczam się do ich krótko ujętego streszczenia w chronologicznym porządku tak, jak zostały zamieszczone.

Dział studiów otwiera artykuł Andrzeja Kosimy (Sztokholm-Warszawa) pt. „Portrety oficerów ułanów nadwiślańskich 1798-1947. Telesfor Kostanecki 1772-1813”. Artykuł ten jest pierwszym opracowaniem z projektowanej serii biogramów oficerów 1 Pułku Ułanów Nadwiślańskich 1798-1816, oraz spadkobierców jego dziejów do 1947 roku. Stanowi fragment przygotowywanej — wspólnie z Rafałem E. Stolarskim — na ten temat monografii, gdzie „chodzi nie tylko o ukazanie przez pryzmat ludzkich losów powikłanych dziejów polskich XVIII-XX wieku, lecz również ciągłości szeroko pojmowanej tradycji historycznej”.

Następnym artykułem jest „Współdziałanie niemiecko-bolszewickie przeciwko Polsce w latach 1918-1920. Zarys problematyki”, Część I, pióra Grzegorza Łukomskiego (Poznań), w którym autor podkreśla skutki tej współpracy nie tylko w bezpośrednim odniesieniu do Polski, ale i do jej wschodnich sąsiadów, Litwy i Białorusi, oraz do napięcia sytuacji na Górnym Śląsku, zwłaszcza strajku w marcu 1919

2. Czasopismo wojskowe wydawane w Polsce w latach 1919-1939, a później, do roku 1950, w Londynie. Tytuł tego czasopisma *Bellona* był wzięty z mitologii rzymskiej, od imienia bogini wojny.

3. W skład zespołu redakcyjnego wchodzi: Rafał E. Stolarski (Warszawa) — redaktor naczelny, Grzegorz Łukomski (Poznań) — sekretarz redakcji, Andrzej Suchcitz (Londyn) — zastępca redaktora naczelnego, Aleksander J. Szkuta (Londyn), Przemysław A. Szudek (Londyn). Adres gdzie można zamawiać to czasopismo: Oficyna Wydawnicza „Adiutor” — Redakcja *Marsa*, skr. poczt. 36, 00-955 Warszawa 15.

roku. W dalszym ciągu znajduje się drugie opracowanie Grzegorza Łukomskiego pt. „Od Zamościa do Zamościa. Pułkownik Juliusz Rómmel w działaniach kawaleryjskiej wojny polsko-bolszewickiej”, gdzie mowa jest o szlaku bojowym 1 Dywizji Kawalerii i jej dowódcy, od połowy 1920 roku, płk. Rómmelu, zwycięskiej Dywizji w bitwie z armią Budionnego pod Komarowem.

Autorem kolejnego studium pt. „Wrażenia Generała Ironside'a z wizyt w Polsce w latach 1925 i 1939” jest Andrzej Suchcitz. Wprowadzając do tematu Suchcitz przypomina, że po zlikwidowaniu brytyjskiej Misji Wojskowej — która funkcjonowała w Polsce, pod dowództwem gen. Adriana Carton de Wiarta do 1924 roku — kontakty wojskowe brytyjsko-polskie praktycznie nie istniały do wiosny 1939 roku. Po udzieleniu Polsce gwarancji, w marcu 1939, przez premiera Neville Chamberlaina, przybyła do Warszawy, prestiżowo małego kalibru, brytyjska Misja Wojskowa pod przewodnictwem brygadiera Claytona. Misja ta niewiele dała i w drugiej połowie lipca 1939 przyjechała nowa z gen. Ironsidem na czele.

Gen. Ironside był już w Polsce w 1925 roku, gdzie brał udział, w charakterze obserwatora, w manewrach pokazowych na Pomorzu. Przyjechał do Polski, jak pisze Suchcitz, „w najwyższym stopniu uprzedzony”, ale powoli „nastrój ten ulegał zmianie... Spodziewając się bezładu i chaosu, był uderzony porządkiem jaki panował w czasie całej podróży i manewrów”. W pożegnalnym przemówieniu — podkreślając kompletną nieznaną w Anglii tej części Europy — oznajmił, że po powrocie będzie „współdziałał w kierunku zmiany opinii angielskiej o nas”.

W 1939 roku, wysyłając gen. Ironside do Warszawy, rząd brytyjski nie przygotował go do powierzonej mu misji i nie poinformował o polityce, jaką prowadził wobec Polski, której klęska, z chwilą wybuchu wojny, była już wtedy dla niego kwestią czasu. Po powrocie do Londynu gen. Ironside złożył sprawozdanie, w którym wyraził zdziwienie ze sposobu, jakim Polska była rządzona. Według niego prezydent „Mościcki był jedynie figurantem” i „cała władza leżała w rękach Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza”. Minister Józef Beck był dla niego człowiekiem przebiegłym (*astute*), który rządził krajem w okresie pokojowym, podczas gdy w czasie wojny rządy przypadały Marszałkowi. Gen. Ironside wyrobił sobie pochlebną opinię o Śmigłym-Rydzem, jak również o gen. Wacławie Stachewicz, szefie Sztabu Głównego.

Jeśli chodzi o wrażenia ze strony polskiej z wizyty gen. Ironside to, jak pisze Suchcitz, były one na ogół pozytywne i wierzono, że „Anglia była zdecydowana postawić się Niemcom i ułatwić dokonanie potrzebnych przygotowań”. Pewne jednak zastrzeżenia miał marsz. Śmigły-Rydz, który w rozmowie z Janem Szembekiem, wiceministrem spraw zagranicznych, zauważy — jak odnotował to Jan Szembek i co przypomina Suchcitz — że „jest jednak pewien brak konsekwencji, bo jeśli tak jest jak ja (Szembek) mówię to dlaczego tak niemądrze prowadzą rokowania finansowe”.

Autorem piątego opracowania pt. „Ekspozytura 'R' w Bukareszcie (grudzień 1939-październik 1940)” jest Tadeusz Dubicki (Łódź). Autor przedstawia poszczególne fazy formowania się agend Drugiego Oddziału na terenie Rumunii od ich załóżków we wrześniu 1939 i zorganizowania, trzy miesiące później, Ekspozytury „R” do jej likwidacji jesienią 1940 roku, co było skutkiem zmiany orientacji politycznej Rumunii i z czym też była związana w tym kraju likwidacja organów polskich służb dyplomatycznych i konsularnych. Ekspozytura „R” była komórką wywiadowczą z ramienia Drugiego Oddziału Naczelnego Wodza i jej podstawowym zadaniem było „zapewnienie stałej łączności z krajem”, rozszerzonym później na pracę wywiadowczą na ZSSR. Jest to dotychczas najpełniejsze opracowanie tej Ekspozytury i jej powiązań z wywiadem rumuńskim.

Następny artykuł opracowany przez Tomasza Lenczewskiego (Warszawa) pt. „Janusz Szulc vel Janusz Prawdzic-Szlaski (1902-1983) czyli pogmatwane losy”, Część I 1902-1941, poświęcony jest komendantowi Okręgu Nowogródzkiego A.K., jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci konspiracji z okresu ostatniej wojny. Okres ten będzie tematem drugiej części opracowania.

Dział studiów zamyka 50-stronicowe opracowanie pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w świetle dokumentów Rządu R.P.”, opatrzone nazwiskiem Przemysław A. Szudka. Opracowanie to wymaga ustalenia kto jest w rzeczywistości jego autorem? W roku 1976 red. Giedroyc opublikował bowiem, w numerze 35 *Zeszytów Historycznych*, obszerne opracowanie Bronisława Łokaja pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946”, przygotowane do druku, jak zostało zaznaczone w odsyłaczu, przez Z.S. Siemaszkę⁴. W

4. Zob. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946”, opracowanie

następnym numerze *Zeszytów Historycznych* został zamieszczony list do Redakcji⁵, w którym Bronisław Łokaj wyjaśnia, że przygotowany przez Siemaszkę materiał nie jest „opracowaniem Br. Łokaja”, lecz Komisji Wojskowej, której Łokaj był przewodniczącym. Następnie pisze, że Komisja ta wyniki swoich badań opracowała w formie broszury pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946, w świetle dokumentów” i zaleciła jej wydanie, do czego jednak nie doszło i Łokaj wysłał ten materiał red. Giedroyciowi.

Przemysław A. Szudek, zamieszczając na łamach *Marsa* opracowanie Komisji Wojskowej, nie wspomina ani jednym słowem, że jest to właściwie przedruk z *Zeszytów Historycznych*. Nie wniósł nic konkretnie nowego do treści, w kilku miejscach zmienił układ i tytuły rozdziałów, dodał podtytuły i niektóre ustępy opuszczone w *Zeszytach Historycznych*, oraz zmienił numerację przypisów.

Siemaszko, w wprowadzeniu do opracowania Komisji Wojskowej pisze, że przygotowując je do druku, opuścił bardziej agresywne stwierdzenia, jak również wywody bez większego znaczenia i tam gdzie to robił wyraźnie zostało zaznaczone wykropkowaniem i odstępami. U Szudka dostrzegłem opuszczenie tekstu bez zaznaczenia tego (str. 137, ostatni paragraf po słowie „metod”), a co jest wykropkowane przez Siemaszkę (str. 53). Nadto zauważyłem również opuszczenie ustępu przez Szudka (str. 136, po pierwszym paragrafie od góry), który jest na łamach *Zeszytów Historycznych* (ostatni paragraf przed podtytułem na str. 50) i który brzmi: „Nie wdając się znowu w oceny, a ustalając jedynie stan rzeczy na podstawie stwierdzonych faktów, można po raz wtóry stwierdzić, że podobnie jak w marcu, tak i na konferencji majowej strona polska mniej dla sprawy Polskich Sił Zbrojnych uczynić nie mogła” (druk rozstrzelony w tekście).

W krótkim tutaj omówieniu pierwszego numeru *Marsa* nie jest możliwe przedstawienie, chociażby w dużym skrócie, całokształtu problemów związanych z likwidacją PSZ na Zachodzie i zawartych w opracowaniu Komisji Historycznej. Wzmianka o wyżej wspomnianych konferencjach w marcu i w maju wymaga jednak minimalnych przynajmniej wyjaśnień.

to przygotował do druku, dołączył tłumaczenie angielskich tekstów i zaopatrzył wprowadzeniem — Z.S. Siemaszko. *Zeszyty Historyczne* nr 35, str. 7-63.

5. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 36, str. 234.

W dniu 28 lutego 1946 roku, szef Imperialnego Sztabu Głównego, marszałek polny Alanbrooke wezwał następujących generałów na konferencję do Londynu, wyznaczoną na 15 marca: Andersa, Rudnickiego, Maczka, Wiatra, Iżyckiego, Kopańskiego i adm. Świrskiego. Na konferencji, w siedzibie premiera brytyjskiego przy Downing Street, stawili się wszyscy wezwani generałowie. Premier Attlee poinformował zebranych o demobilizacji PSZ, jaka została postanowiona przez rząd J.K.M. Decyzja była powzięta przez rząd brytyjski bez żadnego uzgadniania jej z czynnikami polskimi. Nazajutrz po tej konferencji, dnia 16 marca, odbyło się posiedzenie Rady Ministrów R.P., na którym przedstawiony przez min. Zygmunta Berezowskiego wniosek, aby wyrazić protest ze strony polskich sił wojskowych przeciw jednostronnemu zarządzeniu rządu brytyjskiego, spotkał się ze stanowczym sprzeciwem generałów: Andersa, Bora-Komorowskiego i Kopańskiego. Druga konferencja miała miejsce dnia 21 maja 1946 roku. Na dzień ten wezwano do *Foreign Office* zmniejszony komitet generałów w składzie: Anders, Kopański, Iżycki i adm. Świrski, na którym min. Bevin naszkicował projekt utworzenia „Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia” (PKPR). Przedstawione postulaty ze strony polskiej, w formie pobożnych życzeń, nie zostały przyjęte.

Dalszy bieg wypadków potoczył się już całkowicie po linii, która odpowiadała rządowi brytyjskiemu z całkowitym zlekceważeniem władz polskich, które były rozdwojone, bez solidarnego wzajemnie działania: decydowały w podporządkowaniu się dyrektywom brytyjskim władze wojskowe, z pominięciem i przeważnie wbrew zaleceniom władz cywilnych. Demobilizacja PSZ musiała nastąpić, ale sposób jej przeprowadzenia przypominał raczej nie demobilizację lecz kapitulację dowódców polskich, co miało fatalne następstwa dla przyszłych dziejów emigracji.

Drugim z kolei działem omawianego czasopisma są „Materiały”, na które składają się cztery opracowania. Pierwsze pt. „Wspomnienia Edmunda hr. Krasickiego z 1846 roku” zostało przygotowane przez Kacpra Krasickiego, potomka autora wspomnień, a jednocześnie historyka. Wspomnienia te dotyczą powstania, które wybuchło w Galicji Zachodniej w lutym 1846 roku i są przyczynkiem do konfliktu na tym terenie pomiędzy dworem i chłopem, oraz do dziejów tzw. rzezi galicyjskiej.

Następny artykuł, napisany przez Rafała E. Stolarskiego

(Warszawa), nosi tytuł „Nazwy obiektów wojskowych w II Rzeczypospolitej” i poświęcony jest nazwom koszar, fortów, szpitali militarnych itp., którym zaczęto nadawać nazwiska wybitnych wojskowych, w pierwszej połowie lat dwudziestych okresu międzywojennego. Trzecie opracowanie pt. „Zachęta nie do pogardzenia” przygotował Przemysław A. Szudek; zawiera ono krótkie wprowadzenie do zamieszczonej ulotki, z datą 28 sierpnia 1945 roku, jaką rozsyłała ambasada reżimu komunistycznego w Londynie celem namawiania oficerów PSZ na Zachodzie do powrotu do Polski.

Ostatnim opracowaniem w tym dziale jest „Sprawa pułkownika Władysława Romana” przedstawiona przez Tomasza Lenczewskiego. W sprawie tej chodzi o oficera A.K., który aresztowany po wojnie, załamał się i wykonywał zlecenia ówczesnych władz śledczych — mające na celu „demaskowania wrogów Polski Ludowej” — m.in. w procesie gen. Tatara. Jego fałszywe zeznania „przyczyniły się do wyroków śmierci i długoletniego więzienia wielu niewinnych oficerów”. W 1990 roku, wraz z 70 uczestnikami Powstania Warszawskiego, przy udziale kompanii honorowej, został mianowany pułkownikiem przez ówczesnego prezydenta Jaruzelskiego. Były protesty i oświadczenia, ale rozpatrywanie tej sprawy odłożono *ad acta*. Z podanego przez Lenczewskiego materiału trudno będzie czytelnikowi zorientować się gdzie i kto ma rację, są to bowiem problemy bardzo złożone i należało je albo odpowiednio opracować, albo w ogóle nie ruszać.

W dziale „Recenzje” znajdują się trzy opracowania. Pierwsze pt. „Historiografia i reprinty” jest pióra Grzegorza Łukomskiego. Autor zwraca w nim uwagę na bardzo na czasie istotne zagadnienie doboru wznawiania książek, w wielu wypadkach wybranych zupełnie przypadkowo. Opierając się na przykładzie kilku ostatnio wydanych książek przez Warszawską Oficynę Wydawniczą „Gryf”, Łukomski pisze że tego rodzaju książki, dostępne już dawniej w bibliotekach naukowych, mogą jedynie zainteresować niewielką grupę specjalistów i nie spełniają przeto „podstawowego kryterium popularyzacji... jako pomoce w upowszechnianiu dziejów ojczystych”. Autor podniósł palącą kwestię, związaną z trudnym do zrozumienia chaosem, jaki panuje odnośnie praktyk wydawniczych i braku wydania w Polsce takich np. książek jak wspomnienia gen. Andersa, gen. Bora-Komorowskiego i wielu innych czołowych z czasów wojny postaci, których ciągle nie ma na rynku księgarskim, a które są niezbędne do

pogłębienia wiedzy o najnowszej historii.

Oprócz opracowania Łukomskiego w dziale tym znajdują się recenzje napisane przez dwu autorów. Pierwsza jest o książce Zdzisława P. Wesołowskiego pt. *Polish Orders, Medals, Badges and Insignia Military and Civilian Decorations 1705-1985*, liczącej 404 strony i wydanej w USA w roku 1986. Autorem recenzji jest Marek Wroński (Tarnowskie Góry) i zatytułował ją „Dwa kilogramy niedorzeczności” pisząc, że książka ta wyróżnia się „wielkością oraz prawie dwukilogramową wagą. Jest też niedościgniona pod względem błędów, niedorzeczności czy też braku koncepcji”. Druga recenzja jest również o książce Zdzisława P. Wesołowskiego, ale innej mianowicie: *The Order of the 'Virtuti Militari' and its Cavaliers 1792-1992* (str. 765), wydanej również w USA w 1992, podobnie jak uzupełnienie do tej książki, zawierające nadania orderu *Virtuti Militari* przez reżim komunistyczny. Recenzję o tej książce napisał Andrzej Krzysztof Kunert (Warszawa), dając jej tytuł: „Księga pełna błędów”, w którym zawarta już była ocena książki, z podkreśleniem jednak ogromnego wysiłku, jaki musiał włożyć autor w zebranie materiału.

●

Inicjatywa publikacji periodyku *Mars* jest jedną z ciągle bardzo nielicznych inicjatyw współpracy Kraju z emigracją, co zwłaszcza w dziedzinie najnowszej historii — gdzie dzieje wojskowości odgrywają dużą rolę — jest ogromnie ważne. Trzeba przecież będzie włożyć wiele wysiłków i dobrej woli, żeby móc odtworzyć nasze dzieje zgodnie z rzeczywistością. Z uwagi na nie do pokonania często trudności wydawnicze w Polsce, nieliczni są w ogóle historycy z młodego pokolenia, a jeszcze mniej jest tych, którzy podejmują tematy mało „chodliwe”. Ukazanie się nowego czasopisma, jakim jest *Mars* i zachęta Zespołu redakcyjnego do nadsyłania przyczynkarskiego materiału, zacieśni może współpracę historyków emigracyjnych (dopóki tacy jeszcze są) z krajowymi i tym samym wzbogaci znajomość wojskowości, czego należy Redakcji szczerze życzyć.

Tadeusz WYRWA

KWESTIA NARODOWA W EUROPIE WSCHODNIEJ

Zadaniem pracy — jak czytamy w wprowadzeniu do książki* — jest ukazanie kwestii narodowych w Środkowo-Wschodniej Europie oraz uwzględnienie w możliwie szerokim zakresie aspektu porównawczego, komparatystyki, ukazanie różnic i podobieństw między stanem poszczególnych narodów, ich położeniem, aspiracjami i ruchami narodowymi. Praca oprócz wprowadzenia składa się z trzech części. W części pierwszej mowa jest o narodach zamieszkających na terenie monarchii austro-węgierskiej i w Rosji oraz o kwestii narodowej w obu tych imperiach. W części drugiej omówione są różne koncepcje powstałe w 19 i 20-wieku, a zmierzające do rozwiązania kwestii narodowych. Część trzecia zatytułowana „Od imperiów wielonarodowych do państw narodowych” obejmuje okres od pierwszej wojny światowej do chwili obecnej. W tej części autor poświęca najwięcej miejsca polityce narodowościowej ZSSR w okresie międzywojennym i po drugiej wojnie światowej oraz dezintegracji Jugosławii.

Autor zastanawia się — w związku z nową sytuacją powstałą w wyniku rozpadu ZSSR i wojną w Bośni — w jakim stopniu rację mieli ci, którzy utrzymywali, że powstanie wielu państw narodowych nie położy kresu kwestiom narodowym i dochodzi do wniosku, że nic nie wskazuje na to, by współżycie narodów stało się taką sielanką, jaką zapowiadano często w pełnym optymizmie XIX w.

Wzięcie na warsztat naukowy w jednej pracy tak wielu skomplikowanych zagadnień było zadaniem trudnym, a problematyka przedstawiona w książce, na pewno bardzo rozległa w czasie i przestrzeni, spowodowała, że szereg problemów przedstawionych zostało zbyt ogólnikowo. Zdawał sobie i z tego sprawę sam autor jeśli we wstępie pisze, że wobec

* Marek Waldenberg, *Kwestie narodowe w Europie Środkowo-Wschodniej, Dzieje, Idee*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, 1992, s. 419.

zaistniałej dysproporcji między rozległą tematyką i z góry zakreślonymi rozmiarami pracy, nie jest w stanie dość wyczerpująco i w sposób udokumentowany przedstawić wielu zagadnień (s. II). Uderza zwłaszcza pominięcie w pracy jednego z centralnych problemów w kwestii narodowej w 19 i z początkiem 20-tego wieku, a mianowicie problemu polskiego. Wynika pytanie czy w ogóle możliwe jest przedstawienie w sposób porównawczy kwestii narodowej w Europie Środkowo-Wschodniej bez uwzględnienia sprawy polskiej.

Prezentacja koncepcji dotyczących sposobu rozwiązania kwestii narodowej zajmuje wiele miejsca w pracy. Jak dowodzi autor, jest to tym bardziej uzasadnione, że wiele rozwiązań usiłowano przeszczepić a refleksje nad racją bytu i perspektywami państw narodowych i uchronienie mniejszości narodowych przed dyskryminacją są wciąż aktualne. Zmuszony do wyboru przedstawił w pracy wyłącznie koncepcje wypracowane i żywo dyskutowane w ruchu socjalistycznym w epoce poprzedzającej wybuch pierwszej wojny światowej i w czasie jej trwania. I tak omówił poglądy na kwestię narodową K. Marksa, F. Engelsa, K. Kautskiego, K. Rennera, O. Bauera, W. Lenina i J. Stalina.

Wybór ten, zdaniem autora, uzasadniają trzy czynniki: po pierwsze, był to jedyny ruch polityczny i ideowy, który podjął, choć nie bez oporu próbę całościowej, teoretycznej analizy kwestii narodowych i wypracowania projektów ich rozwiązania. Po drugie, z tego ruchu wyodrębnił się w latach 1914-1918 ruch komunistyczny, który wywodził się z ruchu socjalistycznego, choć wziął on radykalny rozbrat z wieloma ważnymi elementami ideologii i polityki przedwojennej socjaldemokracji, ale wywarł wielki wpływ na politykę narodowościową w utworzonym przez bolszewików państwie. Po trzecie, istnieje potrzeba właściwego, jakże często zniekształcanego nie tylko w ZSSR i w krajach satelickich, ale i w literaturze zachodniej, przedstawienia polityki narodowościowej w byłym ZSSR.

Rozdziały omawiające poglądy przywódców i teoretyków socjaldemokracji są pouczające, zwłaszcza zaś aktualny wydźwięk mają poglądy głoszone przez Kautskiego. To właśnie Kautsky podważał zasadę państwa narodowego i dostrzegał potrzebę „połączenia narodów współczesnej cywilizacji w jeden obszar ekonomiczny (*Wirtschaftsgebiet*)”, głosił konieczność odrzucenia międzynarodowych barier (międzynarodowa regulacja produkcji), a przezwyciężenie barier narodowych

było jego zdaniem zgodne z interesem i charakterem proletariatu. Jego ekonomiczny punkt widzenia nieco przypomina dziś dyskusję w związku z wcielaniem w życie traktatu z Maastricht. Mam wątpliwości, czy nie za wiele miejsca poświęcono powstałym często *ad hoc* wypowiedziom Marksa i Engelsa o kwestii narodowej. Wreszcie wątpię czy za życia Lenina istniały między nim a Stalinem większe różnice w rozwiązywaniu kwestii narodowej. Prawdą jest jednakże, że Lenin zawsze potępiał szowinizm rosyjski a postawę Stalina cechowała głównie dążność do skrajnej centralizacji politycznej i ekonomicznej pod przewodem Moskwy.

Żałować należy, że nie otrzymaliśmy obrazu poglądów polskich teoretyków: Ludwika Gumpłowicza, Kazimierza Kelles-Krauza, Bolesława Limanowskiego, Leona Wasilewskiego i wielu innych.

Fakty podane z historii narodów Europy Środkowo-Wschodniej są dobrze dobrane i świadczą o znajomości wielu skomplikowanych problemów. Z uwagi na skrótowy charakter, wiele danych ma charakter encyklopedyczny. Sposób podania jak narody walczyły o swe prawa jest właściwy. Wypada się też zgodzić z ogólną oceną daną polityce Austro-Węgier i Rosji. I z odrzuceniem przez autora tezy głoszonej przez A. Sołżenicyna, że w ostatnich dziesiątkach lat Rosji przedrewolucyjnej między narodami istniała „z przykrym wyjątkiem spokojna koegzystencja, miało miejsce jakby senne zatarcie ich konturów” (s. 158).

Jeśli chodzi o tę część pracy to pragnę zauważyć, że niektóre sprawy wymagają albo uzupełnienia albo też sprostowania. Mówiąc o początkach ruchu narodowego na Białorusi nie sposób nie podać takich faktów jak związku między powstaniem styczniowym a rozwojem ruchu narodowego na ziemiach białoruskich, roli w tym Konstantego Kalinowskiego, roli *Mużyckiej Praudy* — pierwszego w historii pisma w języku białoruskim. Należałoby sprostować co mówi się incydentalnie o sprawie narodowej w Finlandii. Nie w 1808 ale na mocy traktatu w Fredrikshamn we wrześniu 1809 Szwecja oddała Rosji Finlandię. Nie jest prawdą, że autonomia nadana Finlandii przez Aleksandra I była stale w XIX wieku przestrzegana. Mam na myśli lata panowania Mikołaja I. I tylko w nowej sytuacji jaka pojawiła się w czasie polskiego powstania 1863 r. system konstytucyjny w Finlandii został odrestaurowany i rozszerzony. Tak samo nieprecyzyjne jest sformułowanie, że Dania i Szwecja „niemal do końca in-

teresy nas tutaj okresu połączona była unią z Norwacją” (s. 150), ponieważ Dania po 439 latach utraciła Norwację na rzecz Szwecji na mocy traktatu w Kilonii z dn. 14. I. 1814 a unia dotyczyła jedynie Szwecji i Norwegii (Konwencja w Moss z 14. 8. 1814).

Omawiając stosunki między Polską a Rosją i Ukrainą autor zamiast podawać powszechnie używane terminy jak np. Unia Hadziacka czy też Perejasławska (zawarta między Rosją a Ukrainą) podaje tylko daty ich zawarcia. To samo dotyczy stosunków polsko-litewskich. Zamiast Unia Lubelska pisze nowa unia zawarta w 1569 r.

Chociaż zasadnicze wnioski na temat polityki narodowościowej ZSSR są słuszne, nie sposób nie zauważyć, że niektóre są dyskusyjne. Np. o wiele wcześniej niż w latach 1930-tych Kreml sięgał do starego arsenału środków propagandowych. Już w czasie wojny 1920 roku — jak zauważył Bertrand Russell — sięgnięto do nacjonalizmu rosyjskiego.

Jeśli chodzi o inne sprawy pragnę zauważyć, że trudno się zgodzić, że po zakończeniu drugiej wojny „przywrócono najczęściej dawne granice” (s. 350). Trafnie ocenia się w pracy problemy narodowe na terenie Jugosławii w czasie i po drugiej wojnie światowej. Autor ma rację gdy stwierdza, że polityka narodowościowa B. Tito zmierzała obiektywnie do przekształcenia kraju federacyjnego na kraj konfederacyjny. Początki tego datują się już w 1945 roku. A Muzułmanie otrzymali statut narodu w 1969. Zmiany te znalazły swój epilog w konstytucji 1974 r. W moim przekonaniu należało podkreślić jaką rolę odegrały Niemcy w dezintegracji Jugosławii, w szczególności chodzi mi o przyspieszone tempo uznania niepodległości Chorwacji i ich rolę w uznaniu niepodległości Bośni. Czy nie jest to jakiś nawrót do polityki trzech B?

Ostatnie rozdziały pracy omawiające takie problemy jak *pieriestrojka* i rozpad ZSSR, dezintegracja Jugosławii, rozważania na temat przyszłości, są w istocie rzeczy głosem w dyskusji nad aktualnymi problemami. Niektóre z tych problemów nabrały innych nieco rozmiarów w porównaniu z okresem sprzed kilku lat, gdy praca powstawała. Reasumując autor skłonny jest z pewnymi zastrzeżeniami przyjąć za Czesławem Miłoszem, że „Nasza część Europy weszła w okres, kiedy nie widmo komunizmu po niej krąży, jak Marks mówił w 1848 roku, ale widmo nacjonalizmu” (s. 408). Dodajmy — pisze Waldenberg — że Marks przesadzał nie słychanie; na ogromnych połaciach Europy nikt nie słyszał

jeszcze wówczas o komunizmie, a nawet w Europie zachodniej niewiele o nim wiedziało, a jeszcze znacznie mniej z nim się identyfikowało.

Natomiast nie ma on żadnych wątpliwości co do tego, co pisał Miłosz o nacjonalizmie. Nacjonalizm w XX wieku przyniósł narodom Europy ogromne cierpienia i zapisał haniebne karty ich dziejów.

Powstała wprawdzie realna szansa integracji ogólnoeuropejskiej, „być może już w pierwszych dziesięcioleciach trzeciego tysiąclecia”, ale nie sposób odpowiedzieć jak rozwinie się sytuacja.

Emanuel HALICZ

Stanisława LEWANDOWSKA

AUDIATUR ET ALTERA PARS

Na łamach *Zeszytów Historycznych* (1993, nr 106, s. 139-158) p. Mirosław Supruniuk z Torunia zamieścił artykuł, w którym polemizuje z ustaleniami mojej książki „Prasa polskiej emigracji wojennej” (Warszawa 1993). Nie podzielam punktu widzenia tego Autora w żadnej z podniesionych przezeń kwestii. Dysponując jednak ograniczoną ilością miejsca, z konieczności mogę się tu odnieść do niektórych tylko jego uwag. Dotyczą one w szczególności zakresu tematycznego mego opracowania oraz jego podstawy źródłowej.

Zakres obszaru badawczego jest — jak wiadomo — dobrym prawem każdego autora i nie ma żadnych przeszkód ku temu, by inny badacz rozszerzył zaproponowaną definicję. Tu zauważę jedynie, że decydując się na wyłączenie z kręgu moich rozważań gazet i czasopism wydawanych w innych aniżeli polski językach, co ma mi za złe p. Supruniuk, miałam na względzie oczekiwania i potrzeby adresata tej pracy — polskiego wychodźcy na szlaku jego pielgrzymiej, żołnierskiej tułaczki nie obcej, lecz ojczystej spragnionego mowy. Takich jego oczekiwań nie mogła spełnić i nie spełniała nawet najznakomiciej redagowana prasa w języku obcym kraju, do którego rzuciły go losy wojny (a było tych krajów — przypomnę — 40), którego to języka zresztą na ogół nie znał i dopiero z czasem, nierzadko z wielkim trudem go poznawał. W tej książce i tego okresu dotyczącej było to dla mnie kryte-

rium nie tylko w pełni uprawnione, lecz także jedynie słuszne.

Ponieważ Recenzent — wbrew przyjętym zasadom — nie poinformował o zawartości mojej książki, nieorientowany Czytelnik ma prawo oczekiwać kilku niezbędnych wyjaśnień na ten temat. Opracowanie moje, mające w swym założeniu spełnić zarówno wymogi syntezy (na skutek narosłej do tej pory wiedzy), jak i szczegółowej monografii (opartej w poszczególnych swych partiach na własnych kwerendach autorki — archiwalnych, bibliotecznych i prasowych) obejmuje problematykę zgrupowaną w trzech podstawowych jej częściach, z których każda ma inny charakter. Część pierwsza zawiera „historię naturalną” prasy na wszystkich szlakach wojennego wychodźstwa, druga obejmuje charakterystykę instytucji informacyjno-propagandowych rządu RP i wojska na wychodźstwie, trzecia wreszcie mieści w sobie spojrzenie autorki na rozwój wychodźczej myśli politycznej, obserwowanej przez pryzmat prasy, z próbą ukazania koncepcji politycznych wychodźstwa na różnych szlakach komunikacyjnych.

Zakres terytorialny opracowania jest oczywisty. We wstępie napisałam dokładnie: książka traktuje o prasie wydawanej poza granicami Polski. Polski — a nie Generalnego Gubernatorstwa. Propozycję p. Supruniuka, by ew. traktować „przyłączone do Litwy” Wilno jako leżące „za granicą”, a wydawaną tam z inspiracji władz niepolskich prasę jako „emigracyjną prasę polską” powinnam co prawda pozostawić bez komentarza, podobnie jak wyrażone przez Recenzenta zdziwienie, że *Goniec Krakowski* określam mianem prasy „gadzinowej”. Trudno jednak oprzeć się przeświadczeniu, że tego rodzaju stanowisko świadczy, iż nie zdążył on jeszcze poznać historii Polski czasu II wojny światowej, w tym również prasy tego okresu, choć jest do tego wystarczająca literatura.

Nie do przyjęcia jest również kolejny postulat p. Supruniuka, by książką traktującą o prasie emigracji wojennej objąć okres aż do „powstania Korpusu Przysposobienia i Rozlokowania w Anglii”, bowiem — jak uzasadnia swój postulat — „Wojsko Polskie podległe Prezydentowi RP na Wychodźstwie było faktycznie częścią składową wojsk brytyjskich, dla armii Zjednoczonego Królestwa 8 maja 1945 r. oznaczał jedynie koniec walki z wojskami niemieckimi”. Osobliwy to argument polemiczny. W kwestii, w której w tym miejscu spór się toczy stanowczo nieprzekonywający.

M. Supruniuk zajął się w swej wypowiedzi niemal wyłącznie rozdziałem pierwszym mojej książki, choć właśnie w rozdziale drugim, będącym — czego mój Polemista był łaskaw nie dostrzec — pierwszym opracowaniem tematu i wedle opinii innego, nieuprzedzonego Recenzenta „stanowiącym o nowatorstwie warsztatowym całej publikacji”, będącym przy tym „najbardziej monograficznym i najpełniej podbudowanym źródłowo”, znalazłby pełny aparat naukowy całego opracowania.

Rozdział wprowadzający do tematu i traktujący o „historii naturalnej” prasy wychodźczej p. Supruniuk określił jako „streszczenie” prac Jana Kowalika. Określenie „streszczenie” nie wydaje mi się w tym miejscu najbardziej adekwatne, ale nie w tym rzecz. Niech będzie zatem „streszczenie”, jednakże — uściślijmy — bynajmniej nie tylko prac J. Kowalika, lecz także opracowań co najmniej kilkunastu innych badaczy — większości, jeśli bodaj nie wszystkich spośród grona tych autorów, którzy choćby w sposób najbardziej wycinkowy zajmowali się tą prasą, bądź w oparciu o skromną, lecz przez długi czas jedynie dostępną podstawę źródłową próbowali kreślić jej obraz. Cały bowiem pierwszy rozdział mojej książki opiera się na dociekaniach innych autorów, a także na innych znanych mi materiałach źródłowych w postaci przekazów osobistych — dziennikach, pamiętnikach, wspomnieniach. Literatura z treścią tego rozdziału związana jest stosunkowo obfita, mogłam przeto jedynie wykorzystać dotychczasowe studia, dokonać kwerendy bibliograficzno-prasowej i wkomponować przepracowany materiał jako część składową całego tego obszernego tematu. W rozdziale tym nie tylko elementarnym obowiązkiem autorki, lecz — co więcej — warunkiem *sine qua non* było możliwie najpełniejsze uwzględnienie dorobku swych poprzedników, ukazanie ich roli i dokonań w studiach nad prasą, z oddaniem każdemu, co się komu należy. W odniesieniu do ustaleń tego rozdziału p. Supruniuk pozwala sobie na niewybredne pod adresem autorki insynuacje. Przed zarzutem nierzetelności książka moja obroni się sama, bowiem wbrew osobiwym „wrażeniom” i „przypuszczeniom” mego Polemisty (jak gdyby to „wrażenia” i „przypuszczenia” a nie fakty winny były stanowić miarę właściwej oceny), wszystkie moje ustalenia mają pełne pokrycie w gruntownie przeze mnie przebadanych w latach 1988-1990 materiałach archiwalnych, bibliotecznych i prasowych, m.in. w zbiorach przechowywa-

nych w Wielkiej Brytanii i we Włoszech, gdzie stanowiące przedmiot książki sprawy prasowo-wydawnicze mają w miarę pełną dokumentację. Usterki „wytknięte” mi przez p. Supruniuka wynikające rzekomo stąd, że — jak to określa — zostały „przepisane”, w dodatku „z błędami” dowodzą czegoś dokładnie innego, aniżeli sugeruje p. Supruniuk, tego mianowicie, że podane tam informacje zostały zaczerpnięte bezpośrednio z materiałów archiwalnych, a każdy badacz korzystający z tej dokumentacji dobrze wie na jakie rafy się natyka. Tymczasem mój Polemista z dokumentacji tej nie tylko nie korzystał, lecz mam powody sądzić, że jej w ogóle nie zna, w mojej zaś książce cały szczegółowo przedstawiony jej aparat naukowy traktuje *per non est*. Wreszcie ostatnia kwestia wiążąca się z uwagami Recenzenta dotyczącymi tego rozdziału. Oczywiście można jeszcze dodawać mniej lub bardziej szczegółowe informacje na temat tego lub innego pisma, wymienić kilka lub kilkanaście innych tytułów prasowych, jak się tego domaga p. Supruniuk. Ale w jakim celu? Omawiana książka nie jest katalogiem prasy wychodzącej, nie jest również katalogiem broszur czy książek, za nieuwzględnienie których ostro mnie gani. Nie jest wreszcie zbiorem relacji, by trzeba było wtłaczać w jej syntetyczny tekst kilkustronicowy opis tej czy innej inicjatywy.

W rozdziale drugim książki p. Supruniuk dostrzegł jedynie irytujące go uwagi dotyczące ograniczeń treści prasy polskiej, narzuconych przez władze brytyjskie. Wspomniany przezeń przykład roli St. Kota potwierdza jedynie tezę autorki o instrumentalnym traktowaniu prasy przez odpowiedzialne za jej wydawanie czynniki. Inna uwaga Recenzenta dotycząca rozdziału drugiego wiąże się ze sprawą uznanej przezeń „za nieprawdziwą” liczby tytułów prasy wychodzącej w poszczególnych krajach w latach 1939-1945. Zasadności podanych przeze mnie informacji dowodzi przygotowany do druku szczegółowy katalog tytułów tej prasy.

Na zakończenie tej części uwag trudno nie odnotować ogólnikowości zarzutów p. Supruniuka, ich gołosłowności. „Bardzo wiele do życzenia pozostawia niesolidna redakcja książki oraz korekty. Bardzo źle zredagowane zostały przypisy, bibliografia i indeksy” — stwierdza ten autor. Podobnego rodzaju stwierdzenie to jednak stanowczo za mało jako argument polemiczny, oceny tej należałoby dowieść konkretnymi przykładami. Jak bardzo ryzykowne jest stawianie siebie w roli arbitra całej prawdy i jak nie budzi to zaufania świadczą

m.in. niektóre tylko, a jest ich więcej, wymienione tytułem przykładu przypisy nr 1, 2, 14, 24, którymi opatrzył swą wypowiedź p. Supruniuk, a w których to przypisach zarówno treść merytoryczna, jak i sam zapis zostały zaczerpnięte z przysłowiowego powietrza. Mój szanowny Oponent pozwoli tedy, że zachowam w tym względzie własne i nie tylko własne zdanie. Dotyczy to również indeksów, tudzież samej redakcji książki. Indeks czasopism jest — jak wiadomo — indeksem ich tytułów, powtarzanie jednobrzmiącego tytułu jest zbędne, zainteresowany czytelnik bez najmniejszego trudu znajdzie na wskazanej tam odpowiedniej stronie potrzebne pismo. Nieprawdziwy jest również zarzut niepełnego wykorzystania przez autorkę literatury przedmiotu — zamieszczony na końcu opracowania wykaz wymienia jedynie — co wyraźnie stwierdzono — jej wybrane pozycje, pozostałe znajdują się na odpowiednich stronach książki.

Sumując tę część moich uwag muszę zauważyć, iż oczekiwałam, że zamieszczona w dziale polemik wypowiedź p. Supruniuka będzie swoistym uzupełnieniem, rozwinięciem, bądź uściśleniem — *sine ira et studio* — zawartych w niej sądów. Tymczasem przeczytałam recenzję szkolarską. W książce, liczącej blisko 400 stron druku autor recenzji zdołał wyłowić w sumie kilka, głównie literowych, jeśli nawet na s. 296 istotnych, to jednak sporadycznych błędów. Inne uwagi są niesłuszne, albo tak błahe, że obniżają wręcz poziom wypowiedzi.

Na zakończenie kilka słów na temat metody, jaką posłużył się p. Supruniuk. Obok braku rzeczowości, zachowania podstawowych reguł warsztatu historycznego p. Supruniuk skupia się na subiektywnych „wrażeniach”, własnych „przypuszczeniach” a nie na faktach, które po prostu pomija. Pomija zresztą nie tylko fakty, lecz całe — poza rozdziałem wprowadzającym — części książki wraz z jej aparatem naukowym, wyrażającym się liczbą 760 przypisów. Rzeczowa krytyka jest — jak wiadomo — nie tylko prawem ale i obowiązkiem recenzenta. Gorzej, gdy — jak w tym przypadku — sięga ona aż do mylenia faktów, poczynając od pierwszej po ostatnią stronę recenzji, więcej nawet — od pierwszego do ostatniego jej zdania. Aby nie być gołosłowną ograniczę się w tym miejscu do tych właśnie kilku charakterystycznych przykładów, z pierwszej i ostatniej strony tekstu p. Supruniuka. Tak więc prezentując czytelnikowi osobę autorki i jej dorobek (czy ściślej jakąś jego część) p. Supruniuk przypisał

mi prace, których nigdy nie napisałam a także sądy, których autorem jest kto inny. Nigdy mianowicie nie napisałam nie tylko „dużej pracy o walkach zbrojnych na Polesiu”, której autorstwo mi przypisuje już w pierwszym zdaniu swej recenzji, lecz „nie popełniłam” ani jednego słowa na ten temat. Zatem wbrew temu, co w bałamutnych przypisach 1 i 2 stwierdza mój Polemista nie mogli jej omówić „obiektywnie i szczegółowo” ani Piotr Sierant ani Andrzej Friszke. Wymieniona na pierwszej stronie wypowiedzi p. Supruniuka inna moja książka, „Prasa okupowanej Warszawy 1939-1944” obejmuje okres do czasu totalnej zagłady przez Niemców miasta. Tymczasem p. Supruniuk stwierdza, że „głównym brakiem” tej publikacji wydaje mu się (sic!) niedostrzeżenie przez autorkę wielu pism konspiracyjnych ukazujących się po zajęciu stolicy przez Armię Czerwoną. Na ostatniej stronie swej wypowiedzi, w ostatnim jej zdaniu p. Supruniuk przypisuje mi autorstwo recenzji z pracy Rafała Habielskiego pomieszczonej jakoby w *Dziejach Najnowszych*. Faktycznie był to tekst Tadeusza Wolszy, przy czym — dodajmy — zarzucający mi niedbałość w opracowaniu przypisów mój Recenzent zapomniał podać bliższych danych co do roku wydania, numeru pisma i stron gdzie miał się jakoby ukazać ten tekst. I może sięgnijmy jeszcze do części środkowej wypowiedzi p. Supruniuka. Otóż w przypisie 14 na poparcie jednej ze swych tez autor ten cytuje rzekomo autentyczny fragment tekstu mojego artykułu, opublikowanego w 1985 r. Ów cytat składa się w rzeczywistości z fragmentów wyrwanych z różnych zdań, różnego kontekstu znajdującego się na dwu różnych stronach cytowanego artykułu. Podobnego rodzaju zabiegów kreowania nieścisłych faktów jest w wypowiedzi p. Supruniuka więcej. Emocje pozanaukowe grają i zamazują argumentację, zwłaszcza gdy jest pozbawiona konkretnych elementów i gdy towarzyszy jej napastliwy ton. W konkluzji swych uwag ich Autor ocenia książkę jako „złą” i „szkodliwą”, a winien temu... brak cenzury (sic!), „zwalniający autorów od rzetelności”. Tę uwagę p. Mirosława Supruniuka, a także jego pouczenie skierowane pod adresem placówek naukowych, które takie prace wydają pozostawiam bez komentarza.

Reasumując. Kiedyś, bardzo dawno temu uczono mnie, że w polemice należy traktować drugą stronę jako kompetentną w przedmiocie, w którym spór się toczy. Nie pozostaje mi

tedy nic innego jak uznać wypowiedź p. Supruniuka na temat książki „Prasa polskiej emigracji wojennej 1939-1945” jako przykład „zaangażowanej” historiografii. Jeszcze jeden przykład paradoksów, pozornych zresztą, naszej rzeczywistości intelektualnej, i nie tylko intelektualnej.

Stanisława LEWANDOWSKA

OKRUCHY HISTORII

Z.S. SIEMASZKO

SPADOCHRONIARZE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Ostatnio ukazał się Zeszyt 9 *Materiałów* wydawanych przez Instytut im. gen. Sikorskiego w Londynie. Zawiera on listę wszystkich tych, którzy zostali odznaczeni polskim Znakiem Spadochronowym¹, czyli tych, którzy ukończyli kurs przygotowawczy w Largo House w Szkocji (Fife) jak również w sumie 8 skoków z balonu i z samolotu w Ringway pod Manchesterem. W późniejszym okresie wojny podobne przeszkolenie przechodzili żołnierze w Bazie nr 10 Oddz. Spec. Sztabu Nacz. Wodza w Ostuni pod Brindisi i zostali odznaczeni Znakiem Spadochronowym. Opracowanie to podaje również tych, którym za udział w akcji bojowej dodano do Znaku wianek. Tę żmudną pracę wykonał bardzo starannie oficer sztabu Brygady Spadochronowej, mjr dypl. Jan Lorys².

1. Znak spadochronowy zaprojektował grafik Marian Walentynowicz, którego matką była Wilhelmina z domu Siemaszko, wnuczka mego stryjecznego pradziada Aleksandra.

2. Opracowanie to zawiera również zestawienie numerów Znaku i kolejnej pozycji w liście alfabetycznej. W wypadkach żołnierzy, którzy przeszli przez Wehrmacht, w liście alfabetycznej podane są zarówno ich nazwiska prawdziwe jak i te które przyjmowali wstępując do Polskiego Wojska, z tym, że wszystkie dane są podane przy nazwisku przybranym, a przy nazwisku prawdziwym jedynie skierowanie do nazwiska przybranego.

W sumie nadano 6.252 Znaki Spadochronowe, z tego 5.501 nadała Brygada Spadochronowa (spośród nich około 1.000 formalnie nadało dowództwo 1 Korpusu w Szkocji), 329 Oddz. Spec. Sztabu NW, 236 Min. Obrony Narodowej i 186 Baza nr 10. Wśród odznaczonych znajduje się 244 żołnierzy francuskich, 168 norweskich, 69 brytyjskich, 4 holenderskich, 4 belgijskich, 2 czeskich i 2 amerykańskich (wydaje się że mjr Lorys niesłusznie zaliczył ppor. Richarda Tice do żołnierzy amerykańskich, gdyż był on polskim oficerem). Wynika z tego, że ćwiczebne skoki spadochronowe ukończyło 5.759 polskich żołnierzy. A tymczasem w akcji pod Arnhem brało udział zaledwie 1992 żołnierzy Brygady Spadochronowej, z czego zginęło 97, głównie ci, których zrzucono na dalszy (północny) brzeg Renu³. Powstaje więc pytanie, do jakich celów wykorzystano pozostałych 3.767 wyszkolonych spadochroniarzy.

Około 316 żołnierzy i 17 kurierów (żołnierzy zdemobilizowanych i wysłanych jako osoby cywilne) zrzucono do kraju. Dalszych 218 żołnierzy (151 w W. Brytanii i 67 na południu Włoch) wyszkolonych i zaprzysiężonych (według roty AK) nie zostało wykorzystanych.

Około 27 spadochroniarzy zrzucono do Francji w celu zasilenia tam polskiego podziemia i dalszych około 18 zrzucono do innych krajów Europy, współdziałając z brytyjską SOE (*Special Operations Executive*), z tego 1 do Albanii, 6 do Grecji, 3 do Jugosławii i 8 do północnych Włoch.

Niektórzy żołnierze polskiej Kompanii Komandosów przeszli przeszkolenie spadochronowe w Brygadzie, ale nie wszyscy. Na przykład z dwóch znanych komandosów, braci Jedwab z łódzkiej rodziny żydowskiej, na omawianej liście jest tylko jeden, Abraham (kpr. pchor.). Nie ma też na tej liście zdegradowanego oficera lotnictwa Zenona Kaszubskiego, który u komandosów dosłużył się kaprała. Widocznie pewna

3. Według *Wykazu poległych i zmarłych żołnierzy* (Instytut im. gen. Sikorskiego, Londyn 1952) całkowite straty Brygady Spadochronowej w Szkocji, Anglii, Holandii i w Niemczech na okupacji wynosiły 208 żołnierzy. Możliwe iż faktycznie były one nieco wyższe, gdyż niektórych spadochroniarzy zapisano w rozdziale „D-twa i Oddz. w W. Brytanii” (np. Piotr Romanowski). 8 lipca 1944 r. w czasie ćwiczeń nocnych zginęło 26 spadochroniarzy i 9 Amerykanów z obsługi, kiedy dwa samoloty zderzyły się w powietrzu. Spadochroniarze ci zostali pochowani na polskim cmentarzu w Newark, na którym leżą prezydenci Raczkiewicz i Zaleski, a do niedawna był tam również pochowany gen. Sikorski.

część polskich komandosów przechodziła trening spadochronowy u Brytyjczyków.

Poza Samodzielną Kompanią Komandosów istniała również Samodzielna Kompania Grenadierów szkolona również do akcji dywersyjnej, włączając skoki spadochronowe. Liczyła ona aż 58 oficerów i 262 szeregowych. Przewidziana była do desantowego współdziałania z polskim podziemiem w okolicy Lille w północnej Francji i składała się głównie z żołnierzy pochodzących z Francji i władających francuskim⁴. Wyzwalanie tej części Francji odbywało się tak szybko, że kompania ta nie została użyta. Natomiast były zamiary zrzuconia jej na pomoc powstaniu warszawskiemu, ale nie doszły do skutku ze względu na sprzeciw władz brytyjskich, kierujących się względami technicznymi, a w pierwszym rzędzie brakiem samolotów potrzebnych do przerzucenia dużej ilości żołnierzy na tak wielką odległość. Trzeba przyznać, że pomysł zrzuconia spadochroniarzy na walczące miasto, który zrodził się w KG AK i znalazł pewne poparcie w Sztabie Nacz. Wodza, był pozbawiony sensu. Sprzeciw ze strony brytyjskiej był chyba w pierwszym rzędzie oparty na tym, że wszystkie środki przerzutowe były w tym czasie zmobilizowane na akcję Market Garden pod Arnhem⁵. Na skutek tego większość tej „francuskiej” Kompanii Grenadierów skierowano do 4 Dyw. Panc. formującej się na północy Szkocji.

Jednocześnie zaczęto organizowanie „niemieckiej” Kompanii Grenadierów, która miała być użyta do akcji sabotażowo-dywersyjnej na terenie Niemiec. Składała się ona w dużej części z tych, którzy przeszli przez Wehrmacht. O ile mi wiadomo kilka patroli tej „niemieckiej” kompanii zrzucono poza front na terenie Niemiec, podobno wykonały one zadania bez większych strat. Obie te kompanie były przewidziane do działania jako żołnierze w mundurach, a nie jako „cywilni” dywersanci⁶.

4. Należy zwrócić uwagę na to, że polskie podziemie we Francji podlegało Min. Obrony Narodowej (czyli gen. Kukielowi), a nie Sztabowi NW. Dlatego Znaki Spadochronowe zarówno tej kompanii „francuskiej” jak i indywidualnym zrzutkom przewidzianym na Francję nadawało MON, a nie Oddz. Spec. lub Brygada.

5. Na szczęście Brygada nie mogła być zrzucona na Warszawę, gdyż przed wybuchem powstania została oddana pod dowództwo brytyjskie, za zgodą gen. Bora-Komorowskiego i gen. Tatara. Decyzji tej sprzeciwiał się jedynie gen. Sosabowski.

6. Dalsze wiadomości: Tadeusz Kryśka-Karski, „Kącik historyczno-wojskowy”, *Dziennik Polski*, Londyn 3 sierpnia 87 r., oraz Z.S.S. „Kompa-

Szereg wyszkolonych spadochroniarzy użyto jako dowódców instruktorów w ośrodkach wyszkoleniowych zarówno Brygady jak i Oddz. Spec. Sztabu NW w Szkocji, Anglii i na południu Włoch.

Około 150 łącznościowców-spadochroniarzy użyto w centralach radiowych Batalionu Łączności Sztabu NW (Barnes Lodge i Conington) jak również w centrali „Mewa” (Baza nr 11 Oddz. Spec.) koło Brindisi, między Mesagne i Latiano.

Niektórych spadochroniarzy przeniesiono do innych oddziałów, jak na przykład por. Jerzego Krotke-Kochanowskiego (nr Znaku 0036), do 1 Dyw. Pancernej, gdzie został on lekko ranny. Natomiast jego młodszy brat, który znalazł się u Berlinga, był ciężko ranny pod Lenino.

Powyżej podane niewielkie grupy wyszkolonych spadochroniarzy nie wyjaśniają w pełni różnicy pomiędzy ilością odznaczonych Znakiem Spadochronowym (ponad sześć tysięcy) i ilością, która wzięła udział w akcji Market Garden (prawie dwa tysiące). Różnica ta była spowodowana w pierwszym rzędzie tym, że pod koniec wojny, na przełomie 1944-45 przeszkolono około 1.780 spadochroniarzy, którzy nie zostali użyci w akcji (choć niektórzy spośród nich wysłano potem ze Szkocji na okupację do Niemiec). W tej grupie było w przybliżeniu 570 żołnierzy, którzy przeszli przez Wehrmacht, czyli stanowili oni około jednej trzeciej tej grupy.

Należy dodać, że spośród tych, którzy dostali się do niewoli alianckiej w 1942 r. w północnej Afryce, niewielka ilość żołnierzy znalazła się w Brygadzie Spadochronowej. Przeszli oni przeszkolenie i wzięli udział w akcji pod Arnhem.

Jeszcze nie ukazało się żadne opracowanie o młodych chłopcach z Pomorza, Poznańskiego, Łodzi i Śląska, którzy masowo zostali powołani, w różnych okresach czasu, do Wehrmachtu, a potem dostali się do alianckiej niewoli. Na większą skalę sytuacja tego rodzaju zaistniała po raz pierwszy w północnej Afryce, kiedy ostatecznie poddał się gen. von Armin. Wówczas ustalono procedurę z władzami alianckimi, która polegała na tym, że tych, którzy zgłosili się na megafonowe wezwanie (po polsku) do służby w Wojsku Polskim,

nia niemiecka”, *Dziennik Polski*, Londyn 24 sierpnia 87 r. Nie jest wykluczone, że podana tu duża ilość żołnierzy (58 oficerów i 262 szeregowców) obejmuje obie kompanie, zarówno „francuską” jak i „niemiecką”.

odseparowywano od Niemców i przenoszono do innego obozu. Tam dawano im inne nazwiska i inne miejsca urodzenia. Imię przeważnie pozostawiano to samo. Wprowadzono to nie tylko ze względu na bezpieczeństwo w wypadku dostania się do niewoli niemieckiej, ale również ze względu na obojętne przepisy międzynarodowych, które zabraniały przyjmowania do swego wojska wziętych do niewoli jeńców.

Na marginesie tych spraw można by zauważyć, że pomimo iż politycznie sprawa polska była już przegrana w Teheranie, tzn. pod koniec 43 r., Wojsko Polskie na Zachodzie rozwijało się coraz bardziej. W 2 Korpusie dwubrygadowe dywizje zostały zamienione na trzybrygadowe, a Brygadę Pancerną powiększono do dywizji. W Egipcie rozpoczęto tworzenie 3 Korpusu. W Szkocji powstała 4 Dywizja Piechoty i jak widzimy ilość spadochroniarzy przybyła prawie że o drugą brygadę. Widocznie jedni Brytyjczycy zgadzali się na żądania sowieckie i rezygnowali z Polski, a inni, podobnie do Polaków, ignorowali tę beznadziejną sytuację polityczną i pomagali Polakom rozbudowywać wojsko na Zachodzie. W pierwszej fazie rozbudowy wojska w 1942 r. (włączając Brygadę Spadochronową) wzięła udział w pierwszym rzędzie młodzież z Polski wschodniej, która przeszła przez Sowiety, natomiast w drugiej fazie, na przełomie 1944-45 r., do rozwoju przyczyniły się dwie grupy, młodzież z zachodniej Polski, która przeszła armię niemiecką oraz ci, którzy brali udział w powstaniu warszawskim.

Ale wracając do omawianej listy spadochroniarzy, spójrzmy jakie bardziej znane osobistości znalazły się na tej liście. Jest jeden przedwojenny generał, Tadeusz Kossakowski ur. w 1888 r. Musiał skakać wcześniej, chyba jeszcze w 41 r., bo Znak jego ma nr 0160. Zrzucony został do kraju dopiero w maju 44 r. Jest jeden przyszły generał, dowódca Brygady, Stanisław Sosabowski, ale skakał on dość późno, bo ma nr Znaku 1504. Widocznie odbył skoki ćwiczebne razem z ppłkiem Wiktorem Bernackim, komendantem ośrodka wychowawczego cichociemnych łącznościowców w Auchtertool i Polmont w Szkocji, gdyż ma on następny nr Znaku 1505 (w omawianej liście jego stopień podany jest błędnie jako ppor.). Jest również płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki z bardzo wczesnym nr Znaku 0039, późniejszy szef wywiadu AK, który po wojnie odmówił awansu na generała, co należy szczególnie cenić przy obecnym szaleństwie awansów wśród

niektórych żołnierzy sprzed lat 50. Jest również por. Leonard Zub-Zdanowicz (nr 0579), który po zrzućcie do kraju znalazł się w NSZ. Jest też płk Antoni Zdrojewski (nr 5836 nadany przez MON), którego zrzućcono do Francji, gdzie stał się on dość znaną osobistością. Jest kpt. lotnictwa Julian Gębołyś (nr 0502) znany komendant polski na lotnisku Ringway pod Manchesterem, gdzie odbywali skoki ćwiczebne polscy spadochroniarze. Wziął on udział w akcji pod Arnhem. Jest kpt. (podany jako por.) Stanisław Stokłosa (nr 0516), który z wielkim znanstwem zaprawiał przyszłych spadochroniarzy w długodystansowych marszobiegach w tzw. Małpim Gaju w Largo House w Szkocji. Są dwaj powojenni działacze polityczni, ppor. Rowmund Piłsudski (nr 0834), który potem nie został użyty do żadnej akcji spadochronowej, oraz plut. pchor. Tadeusz Piszczkowski (nr 3252), który potem został wykorzystany przez MON chyba we Francji. Obaj już nie żyją.

Są też na omawianej liście obaj Anglosasi, którzy służyli jako polscy żołnierze. Jednym z nich był ppor. Richard Tice (nr 1669), Amerykanin, który mówił, że zgłosił się do Polskiego Wojska, żeby spłacić dług za Kościuszkę i Pułaskiego. Niestety poległ on pod Arnhem. A drugim był st. ułan Auberon Herbert (nr 3627) z katolickiej rodziny ziemiańskiej, szwagier znanego pisarza Evelyną Waugh. Potem służył w 1 Dyw. Pancernej w stopniu porucznika. (Podobno zgłosił się do Polskiego Wojska dlatego, że nie przyjęto go do gwardii, bo był platfusem). Szereg lat po wojnie miałem okazję słyszeć jak płynnie mówił on po polsku⁷.

Na tej liście są też trzej oficerowie brytyjscy: gen. Sir Colin Gubbins — szef SOE (nr Znaku 0019), mjr Peter A. Wilkinson — pierwszy szef polskiej sekcji SOE (nr 0023) i mjr Harold Perkins — drugi szef polskiej sekcji SOE (nr 0003). Nie było honorowych nadań Znaku Spadochronowego, należy więc przypuszczać, że ci trzej oficerowie odbyli wymaganą ilość skoków. Wszyscy trzej mieli uprzednie polskie powiązania. Perkins miał przed wojną w Polsce niewielką fabryczkę. Natomiast Gubbins i Wilkinson w chwili rozpoczęcia wojny zostali wysłani do Warszawy, gdzie Gubbins miał objąć funkcję zastępcy szefa brytyjskiej misji wojskowej. (Szefem tej misji został mianowany zamieszkały na Polesiu gen. Sir Adrian Carton de Wiart, bez ręki i bez oka, odzna-

7. Auberon Herbert, *A composite portrait*, Compton Russell Ltd., Tisbury 1976.

czony *Victoria Cross*)⁸. W dniu 3 września Gubbins i Wilkinson byli już w Lublinie i na wiadomość, że W. Brytania wypowiedziała wojnę włożyli mundury, które dotychczas mieli w walizkach. Wiadomość o ich obecności rozeszła się po mieście i przed hotelem w którym zatrzymali się zebrał się tłum wiwatujący na cześć Anglii. Byli więc zmuszeni wyjść na balkon i odebrać wiwaty. A jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że gdyby nawet statki brytyjskie pełne zaopatrzenia stały na Morzu Czarnym i gdyby Rumuni nie mieli żadnych obiekcji, niewiele można by pomóc Polsce, bo łączyła ją z Morzem Czarnym jedynie jednotorowa linia kolejowa będąca w zaniedbanym stanie⁹. Z miejsca po wojnie Perkins został mianowany konsulem brytyjskim w Pilźnie i bez trudności mógł identyfikować „cichociemnych”, którzy zdołali wydostać się z PRL i skierowywać ich do Londynu. Jednocześnie w zespole ambasady brytyjskiej w Warszawie wysłano bardzo przyjemną młodą Szkotkę Susan Greenhill-Gardyne, mówiącą po polsku, która już od kilku lat była związana z Oddz. Spec. Z pewnością pomogła ona niejednemu „cichociemnemu” wydostać się z PRL skierowując ich do Czechosłowacji, a wśród nich Stanisławowi Mazurowi, za którego potem wyszła za mąż.

Z kolei trzeba trochę miejsca poświęcić tym, którzy mogliby się znaleźć na omawianej liście spadochroniarzy, a jednak ich tam nie ma. Należy do nich między innymi dr Józef Retinger, który skakał do Polski w kwietniu 44r., ale jak wiadomo nie przeszedł przedtem przeszkolenia spadochronowego. Nie ma też na tej liście dwóch znanych „cichociemnych”, gen. Leopolda Okulickiego zrzuconego w maju 44r., który zmarł w więzieniu sowieckim i płka Józefa Spychalskiego (starszego brata peerelowskiego marszałka Mariana) zrzuconego w marcu 42r., zgłodzonego później w Sachsenhausen. Nie ma co do tego pewności, ale można przypuszczać, że obaj przeszli jakieś częściowe przeszkolenie spadochronowe, jednak ponieważ było ono niekompletne, nie kwalifikowali się do otrzymania Znak Spadochronowego.

Podobnie nie ma na tej liście Elżbiety Zawackiej (Elisabeth Watson, „Zo”) zrzuconej do kraju w listopadzie 43r., może z tego samego powodu co Okulickiego i Spychalskiego. Ostatnio została ona wyznaczona członkiem Kapituły Orderu *Virtuti Militari*.

8. Carton de Wiart, *Happy Odyssey*, Pan Books Ltd., London 1950.

9. Na podstawie odczytu Sir Collina Gubbinsa wygłoszonego po wojnie.

Dziwne, ale nie ma na liście szefów Oddz. Spec., ani płka dypl. Michała Protasewicza, który jednak był nieco starszy, ani też płka dypl. Mariana Utnika.

Nie ma też pary działaczy konspiracyjnych na skalę europejską, Krystyny Skarbek-Giżyckiej (*Christine Granville*) odznaczonej brytyjskimi *George Medal* i *Order of the British Empire*, oraz francuskim *Croix de Guerre avec palmes* i Andrzeja Kowerskiego (*Andrew Kennedy*) odznaczonego *Virtuti Militari* i *Member (of the Order) of the British Empire*. Choć może Kowerski występuje tu jako brytyjski „Cpt. A. Kennedy”, nr Znaku 4549 nadanego przez Bazę nr 10 w Ostuni. Po wojnie Krystyna Skarbek, będąc stewardesą na statku, zaprzyjaźniła się z dość prymitywnym Irlandczykiem, który, kiedy chciała go porzucić, zastrzelił ją w hotelu przy Gloucester Road w Londynie w czerwcu 52 r. Miała ona wówczas zaledwie 37 lat¹⁰. Natomiast Kowerski mieszkał po wojnie w Monachium i zmarł tam w 88 r. mając 76 lat. Choć nie byli oni małżeństwem, przyjaciele pochowali ich razem na katolickim cmentarzu na Kensal Green w Londynie. Nad ich pomnikiem dominuje prosty, wysoki krzyż, taki jak na skrzyżowaniach dróg w Polsce.

Wydawałoby się, że tego rodzaju lista spadochroniarzy nie może zawierać jakichś zasadniczych rewelacji, ale w rzeczywistości są w niej pewne wiadomości, o których przedtem nic nie było wiadomo. Chodzi o to, że pod sam koniec wojny użyto 26 spadochroniarzy do akcji którą określono w rejestracji Znaku jako „ZSSR”. Niewątpliwie chodziło o akcję bojową, bo wszystkim tym spadochroniarzom dodano wianki do ich Znaków. Akcja ta musiała być pod sam koniec wojny, bo 20 spośród nich otrzymało Znaki nr pomiędzy 5500 i 5550 nadane przez Brygadę najprawdopodobniej w marcu 45 r.¹¹ Wśród tych 26 żołnierzy nie ma ani jednego oficera, jest jedynie trzech sierżantów, z których jeden był

10. Podobno będąc wiosną 1943 r. w Kairze Krystyna Skarbek złożyła wywiadowi brytyjskiemu meldunek, iż w armii Polskiej na Środkowym Wschodzie istnieje spisek na życie gen. Sikorskiego, na którego czele stoi „agent sowiecki wkręcony w najbliższe otoczenie gen. Andersa”. Czyli widocznie chodziło o rtm. Klimkowskiego. (*Vide* Tadeusz Stachowski, „Przypomnijmy Krystynę Skarbek”, *Dziennik Polski*, 24 lutego 94 r.).

11. Wniosek tego rodzaju można wyciągnąć na podstawie tego, że strz. Józef Zieliński (Jankowski), który zginął w czasie skoków w Ringway 26 lutego 45 r. miał nr Znaku 5489.

Francuzem. Czyżby żołnierze ci brali udział w jakiejś akcji pod dowództwem oficerów brytyjskich? Musieli oni mieć jakieś powiązania z Min. Obrony Narodowej i z Samodzielną Kompanią Grenadierów, bo sześciu spośród nich (włączając trzech sierżantów) nadało Znaki MON, a szeregowcy nazywani są grenadierami. Może w ślad za kompanią „francuską”, a potem „niemiecką” zorganizowano pluton „sowiecki”. Ale dlaczego bez oficerów? Czterej spośród tych grenadierów przeszli przez armię niemiecką, mają oni podwójne nazwiska. Nawet trudno wywnioskować, czy była to akcja pro, czy też antysowiecka? Jednak gdyby była to akcja skierowana przeciw Sowiecom, to z pewnością zostałaby wspomniana w procesie szesnastu w Moskwie lub w jakimś innym procesie przeciwko patriotom w PRL. Ale nic takiego, o ile mi wiadomo, nie miało miejsca. Może opublikowanie listy tych 26 grenadierów przyniesie jakieś dane, które wyjaśnią sytuację. Są oni jak następuje, według kolejności numerów Znak Spadochronowego¹².

Pierwsza grupa — Znaki nadane przez MON z grupy nrów 4621-4710 przydzielonych MON:

- 4675 st. gren. Wiktor Czarnecki (Szulik)
- 4701 st. gren. Jan Czogowski
- 4706 st. gren. Fryderyk Synowiec

Druga grupa — Znaki nadane przez Brygadę Spadochronową:

- 5515 kpr. Gerhard Nowicki (Haroński)
- 5520 st. gren. Bolesław Gajewski (Wiśniewski)
- 5523 st. gren. Zbigniew Gołąb
- 5524 st. gren. Wilhelm Zagórski
- 5525 st. gren. Józef Celer
- 5526 st. gren. Władysław Tunecki
- 5527 st. gren. Józef Pajak
- 5528 st. gren. Józef Jasiak
- 5529 st. gren. Józef Matuszewicz
- 5530 st. gren. Leon Górski
- 5531 st. gren. Władysław Leszko-Sokołowski
- 5533 gren. Józef Prądyński

12. Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o tym oddziale grenadierów proszony jest o skontaktowanie się z Redakcją *Zeszytów Historycznych* lub z autorem tego omówienia — 64 Twyford Ave. Londyn W3 9QB.

5536 gren. Józef Talarek
5537 gren. Ernest Grimmet
5539 gren. Władysław Piotrowski
5540 gren. Józef Jankowski (Jańczyk lub Komainda)
5542 gren. Józef Gawor
5543 gren. Wacław Chojnicki
5544 gren. Julian Sobiechowski
5545 st. gren. Edmund Barski

*Trzecia grupa — Znaki nadane przez MON z grupy nrów
5836-5876 przydzielonych MON:*

5840 Sgt. René de Gaston (żołnierz francuski)
5845 sierż. Edmund Czapliński-Wysocki
5846 sierż. Zygmunt Orłowicz

Na zakończenie wobec modnego obecnie wyolbrzymiania zatargów polsko-żydowskich, należy podkreślić, że nawet w oddziale stawiającym tak wielkie wymagania jak Brygada Spadochronowa służyli żołnierze-Żydzi. Oto niektórzy spośród nich według kolejności nrów Znaku Spadochronowego: 1487 st. strz. Jehuda Stark, 1491 strz. Chaim Potok, 1722 strz. Icek Siennicki, 1836 st. strz. Mordka Fajn, 1837 st. strz. Icek Gelernter, 1842 st. strz. Abram Wolf, 1996 kpr. Lejba Sapoznikow, 2565 strz. Moniek Oks, 2972 strz. Eliasz Wolfson, 3930 strz. Szloma Pomeraniec, 3931 strz. Chaim Telechowicz, 4083 strz. Abraham Zemsz.

Londyn, 8 marca 1994 r.

Z.S. SIEMASZKO

KARDYNAŁ SAPIEHA A „MODUS VIVENDI” Z 1950 R.

W swoim szkicu „Między zbawieniem a polityką”¹ przytaczając krytyczną opinię prymasa Wyszyńskiego na temat emigracji politycznej, powołałem się na prywatną rozmowę, jaką odbył z nim w Rzymie Włodzimierz Sznarbachowski i którą zrelacjonował w wywiadzie opublikowanym w kwartalniku *Słowo*². W przypisie 14 w *Zeszytach Historycznych* (z. 107, s. 36) podałem jednak błędnie, że rozmowa Sznarbachowskiego z księdzem Prymasem miała miejsce w 1957 r. W rzeczywistości odbyła się ona w 1951 r., gdy Stefan Wyszyński po raz pierwszy jako Prymas Polski przybył *ad Apostolicam Sedem*³ (przebywał tam od 4 kwietnia do 1 maja). Błędnie zinterpretowałem zawartą w opublikowanym w *Słowie* wywiadzie opinię Sznarbachowskiego, którą cytuję:

Z kilku rzymskich spotkań (z Prymasem Wyszyńskim) zapamiętałem najwyraźniej pierwsze. (...) Było to po podpisaniu porozumienia między rządem PRL a Kościołem. Papież Pius XII wykazał z racji tej umowy maksimum niezadowolenia. Prymas musiał blisko miesiąc czekać na audiencję (...)⁴.

Sądziłem, że chodziło o wizytę kard. Wyszyńskiego w Rzymie w 1957 r., gdy rzeczywiście musiał on długo czekać na audiencję u papieża. Było to zapewne spowodowane negatywną reakcją Ojca Św. na prowadzone bez konsultacji z Watykanem negocjacje między Episkopatem a rządem PRL na temat nowego dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych (został on opublikowany 31 grudnia 1956 r.). Zaś w 1951 r. Papież przyjął Prymasa już 9 kwietnia, czyli w piątym

1. *Zeszyty Historyczne* (1994), z. 107, s. 31–47.

2. „Między polityką a poezją. Z Włodzimierzem Sznarbachowskim rozmawia Emil Morgiewicz”. *Słowo*, nr 8, zima 1990, s. 38–57.

3. Informację tę przekazał mi. W. Sznarbachowski dn. 3.3.1994 r.

4. dz. cyt. przyp. 2, s. 55.

dniu jego pobytu w Rzymie. Istnieją natomiast różne wersje dotyczące długości tej audiencji: Andrzej Micewski podaje, że trwała ona 45 minut⁵, zaś według Petera Rainy — „parę godzin”⁶. To drugie twierdzenie stanowi przykład publikowania zupełnie dowolnych opinii (w literaturze na temat stosunków Kościół–państwo jest to zjawisko zastanawiająco częste, nie tylko w wypadku Rainy), bowiem sam prymas Wyszyński napisał do kard. Sapiehy, że rozmowa z Ojcem Św. „trwała blisko godzinę”⁷.

Prostuję nieścisłość dotyczącą daty rozmowy Włodzimierza Sznarbachowskiego z księdzem Prymasem, ponieważ istotne wydaje mi się podkreślenie faktu, że już w 1951 r. arcybiskup Wyszyński przeciwny był pozostawianiu rodaków na emigracji.

Powinni jak najszybciej wracać. Na emigracji niewiele się da osiągnąć dla kraju. Jeśli kwiat inteligencji wróci — mówił ksiądz Prymas — to będzie większy opór przeciwko komunizmowi⁸.

Sądzę, że warto odnotować ten szczegół, pomaga on bowiem zrozumieć linię polityczną prymasa Wyszyńskiego. Podkreślałem już, że wiele zagadnień z dziedziny stosunków Kościół–państwo, kulisy wielu decyzji, czy treści istotnych rozmów, trudno zweryfikować w sposób ostateczny, z uwagi na brak materiałów źródłowych bądź też utrudniony dostęp do archiwów. Tym większą wagę mają wspomnienia oraz relacje świadków i uczestników wydarzeń, choć owa — jak mawiają Amerykanie — *oral history*, często łączy się z ryzykiem nieścisłości.

Z myślą o przyszłych historykach chciałbym odnotować jeszcze jedną informację, przekazaną mi przez Włodzimierza Sznarbachowskiego 3 marca 1994 r., zwłaszcza, że łączy się ona z omawianymi przez Tadeusza Wyrwę raportami dyplomatów francuskich na temat podpisanego w Warszawie 14 kwietnia 1950 r. „Porozumienia między Rządem a Episkopa-

5. por. A. Micewski: „Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu”. Paris 1982, s. 79.

6. P. Raina: „Stefan Kardynał Wyszyński. Prymas Polski”. t. I. Londyn 1979, s. 434.

7. List prymasa S. Wyszyńskiego, 16.4.1951; cyt. za: ks. J. Wolny (opr.): Księga Sapieżyńska, t. II, Kraków 1986, s. 555.

8. dz. cyt. przyp. 2. s. 55.

tem”⁹. Chodzi o nie wyjaśniony do tej pory ostatecznie stosunek księcia kard. Sapiehy do tego dokumentu.

W momencie podpisania porozumienia książdz Kardynał przebywał w Rzymie. Ambasador Francji przy Watykanie Władimir d’Ormesson pisał w raporcie z 19 kwietnia 1950 r. na temat reakcji, jakie wywołała wiadomość o zawartym w Warszawie porozumieniu:

Z jednej strony wielu nie wierzy, żeby biskupi mogli, bez uprzedniego uzgodnienia ze Stolicą Apostolską, zatwierdzić definitywnie akt, który angażuje również bezpośrednio politykę Watykanu. Z drugiej strony wszyscy przyznają, że rząd komunistyczny z pewnością wykorzystał nieobecność kardynała Sapiehy, moralnego zwierzchnika Episkopatu, ażeby przynaglić swoją akcję. Arcybiskup Krakowa, który przebywa w Rzymie od ośmiu dni, zachowuje całkowite milczenie...¹⁰.

Ambasador Francji w Warszawie, Jean Baelen, w depeszy wysłanej do Paryża 24 kwietnia 1950 r. informował:

Książę arcybiskup Krakowa (Sapieha) był przeciwny (porozumieniu), które uważa za abdykację. Dlatego wycofał się do Rzymu za skwapliwym zezwoleniem rządu¹¹.

Autorzy polscy przedstawiają z reguły odmienne opinie, choć najczęściej chodzi o przypuszczenia, nie poparte materiałami źródłowymi. Ks. Jerzy Wolny wyraża przekonanie, że kard. Sapieha pojechał do Rzymu na życzenie Prymasa i Episkopatu, aby uzyskać tam zgodę papieża na zawarcie porozumienia z rządem komunistycznym bez uprzednich konsultacji z Sekretariatem Stanu. I dalej:

Sapieha zdołał pokonać pierwsze trudności w przyjęciu porozumienia przez Watykan. W jaki sposób tego dokonał, pozostanie na długo tajemnicą. (...) Bezsprzecznie Sapieha uzyskał w jakimś stopniu zgodę Watykanu na zawarcie porozumienia¹².

9. por. „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL”. *Zeszyty Historyczne* (1987), z. 82., s. 59–85.

10. tamże, s. 73.

11. tamże, s. 75.

12. „Księga Sapieżyńska”, wyd. cyt. przyp. 7, s. 555.

Sam prymas Wyszyński, gdy relacjonował *ex post* przebieg konferencji Episkopatu z marca 1950 r., starał się szczególnie podkreślić, że wypracowane wówczas stanowisko („Porozumienie trzeba zawrzeć”) znane było kardynałowi Sapięze, gdy ten jechał do Rzymu. Prymas twierdził nawet, że ksiądz kardynał podzielał tę opinię¹³.

Warto przytoczyć w tym miejscu mało znane wypowiedzi samego kardynała Sapięhy z okresu poprzedzającego zawarcie porozumienia. 22 lutego 1949 r. pisał w nie publikowanym dotychczas liście do duszpasterza uchodźstwa polskiego — biskupa Gawliny:

Sytuacja nasza jeszcze nie doszła do takiego zaostrenia jak na Węgrzech, ale już jesteśmy bardzo blisko. Oni jednak starają się unikać drastycznych kroków, tylko podsycają na wszystkich polach, a przede wszystkim gdy chodzi o młodzież, więc szkolnictwo, stowarzyszenia, przy tym szykanują księży, wytaczając procesy, przy których oskarżeni przyznają się do winy, usuwają ze szkół. (...) O jakimś porozumieniu nie ma mowy, bo im chodzi tylko o oznaki podnoszące ich prestiż, np. wizytę u prezydenta. Gdy postawi się żądanie omówienia spraw wspólnych, nie odpowiadają, jak nasz list do Prezydenta z grudnia. Stwarza to sytuację zawiłą i nieznośną, w której bardzo wielu załamuje się dla względów bezpieczeństwa i dla korzyści materialnych ustępują chwilowo, ale powoli to wsiąka w duszę, deprawuje. Brak czegoś, co by dawało nadzieję na przyszłość, przygniata¹⁴.

Na temat prowadzonych w ramach Komisji Mieszanej rozmów między Episkopatem a rządem, pisał kard. Sapięha do bpa Gawliny w liście z dn. 5 grudnia 1949 r.:

Rozmowy Komisji XX Biskupów z rządem trwają zawsze, ale właściwie bez rezultatów, bo oni stoją zawsze na swoim stanowisku i tylko stawiają żądania, na które nie mogą się nasi delegaci zgodzić a

13. por. „Zapiski więzienne”. Paryż 1982, s. 19–20.

14. Przytoczony fragment listu został pierwotnie włączony do „Księgi Sapiężyńskiej”, jednak GUKPPiW usunął niemal cały cytowany passus (por. „Księga Sapiężyńska”, t. II, s. 550; tekst skreślony przez cenzurę zaznaczam kursywą). Fragment listu w wersji integralnej przekazał mi K. Zamorski, otrzymawszy go od R. Zawadzkiego, współredaktora „Księgi Sapiężyńskiej”.

na nasze postulatory nie odpowiadają. Społeczeństwo jest okropnie zdeprymowane i wszelkimi możliwymi sposobami przygniecione¹⁵.

W pewnej sprzeczności z twierdzeniem, że kard. Sapięha podzielał stanowisko Episkopatu w sprawie porozumienia (faktycznie chodziło o stanowisko samego Prymasa, który najbardziej konsekwentnie ze wszystkich członków Episkopatu dążył do *modus vivendi*¹⁶), stoi również fakt, że właśnie w marcu 1950 r. Arcybiskup Krakowski sporządził na piśmie dramatyczne oświadczenie, licząc się z aresztowaniem:

W razie gdybym był aresztowany stanowczo niniejszym ogłaszam, że wszelkie moje tam złożone wypowiedzi, prośby i przyznania się są nieprawdziwe. Nawet, gdy one byłyby wygłaszane wobec świadków, podpisane, nie są one wolne i nie przyjmuję je za swoje.

Kraków, 6 marca 1950 (-) Kard. Adam Sapięha¹⁷

Sapięhy interpretacja polityki władz była trafna, zważywszy na sukces propagandowy, jaki przyniosło im „Porozumienie” z 14 kwietnia 1950 r. W kontekście pesymistycznej oceny prowadzonych rozmów i — jak dowodzi cytowane oświadczenie z 6 marca 1950 r. — rosnących obaw Kardynała, że rząd zaostrzy politykę wobec Kościoła, wydaje się mało prawdopodobne, aby popierał on ideę dążenia do porozumienia. Jeszcze bardziej niewiarygodna jest opinia, że po przyjeździe do Rzymu stał się jego orędownikiem wobec Watykanu. Inicjatywa podjęcia rozmów komisyjnych wyszła jednak od strony rządowej, która coraz bardziej natarczywie domagała się podpisania przez biskupów „deklaracji”, zwiększając naciski i szykany wobec Kościoła. Minister Administracji Publicznej Wolski, oświadczył 23 stycznia 1950 r. bez ogródek, że gdyby była podpisana deklaracja, nie byłoby sprawy 'Caritasu', „a tak mogą być i inne rzeczy”¹⁸.

Podkreślić należy, że w okresie ośmiu miesięcy prac Komisji Mieszanej mowa była o „deklaracji” zaś termin „porozumienie” na zdefiniowanie ustalonego *modus vivendi*,

15. j. w.

16. por. dz. cyt. przyp. 5, s. 65.

17. „Księga Sapiężyńska”, wyd. cyt. przyp. 7, s. 554.

18. dz. cyt. przyp. 5, s. 69.

pojawił się w ostatniej chwili¹⁹. Prawdopodobnie ten na pozór tylko nieistotny szczegół pomaga zrozumieć reakcję kardynała Sapiehy na wiadomość o podpisaniu „Porozumienia”. Włodzimierz Sznarbachowski mieszkając wówczas w Rzymie, spotykał się często z radcą kanonicznym Ambasady R.P. ks. Meysztowiczem i od niego uzyskał informację, że ksiądz Kardynał był zaskoczony treścią „Porozumienia” i skomentował je „to nie *modus vivendi*, lecz *modus moriendi*”.

Trudno się zatem zgodzić z opinią, jakoby kard. Sapiaha uzyskał zgodę Watykanu na zawarcie „Porozumienia” a jest to tym bardziej nieprawdopodobne, że przybył do Rzymu dopiero 11 kwietnia 1950 r., podczas gdy losy umowy między Episkopatem a rządem były niepewne nawet w dniu jej podpisania — 14 kwietnia 1950 r.²⁰. Wydaje się zatem, że relacje dyplomatów francuskich, cytowane we wspomnianym opracowaniu prof. Wyrwy, trafnie przedstawiają stanowisko kard. Sapiehy wobec „Porozumienia”.

Nie zmienia to w niczym faktu, że przebieg ostatniej wizyty księcia Kardynała w Stolicy Piotrowej wymaga dalszych badań. Niniejsze uwagi powstały w wyniku weryfikacji dostępnej mi literatury przedmiotu, która sprawę „Porozumienia” z 14 kwietnia 1950 r. przedstawia w sposób daleki od wymagań właściwych historiografii.

III '94

Tomasz MIANOWICZ

19. por. tamże, s. 70

20. j.w.

LISTY DO REDAKCJI

Łódź, 16.03.1994

CMENTARZ LEGIONOWY W KOSTIUCHNÓWCE

Najbardziej dumną i chmurną zarazem kartę w życiu Józefa Piłsudskiego otwierają i zamykają dwie sierpniowe daty. Na jego rozkaz w dniu 6 sierpnia 1914 r. wyrusza z Krakowa warszawskim traktem I Kompania Kadrowa. Dokładnie dwa lata później w Dubniakach na Wołyniu Komendant wręcza najdzielniejszemu „Odznakę za Wierną Służbę” i po pożegnalnej odprawie z oficerami, już jako zdymisjonowany brygadier odjeżdża do Krakowa. Koło jakby się zamknęło.

Miesiąc wcześniej dowodził Piłsudski w ciężkich bojach koło Kostiuchnówki. Był to najmocniejszy bitewny akord w legionowym rap-sodzie. Trzy brygady poniosły wtedy ciężkie straty — przeszło pół tysiąca zabitych i rannych. Pamiątką tych bojów jest cmentarz legionowy w Kostiuchnówce. Na szczęście jest, a nie był, jak się to często dzieje z naszymi cmentarzami na Kresach, a to dzięki garstce ludzi z łódzkiego „Pomostu”. Zawarli oni niepisany układ z mieszkańcami Kostiuchnówki, którzy podjęli się opieki nad cmentarzem a w zamian łodzianie gościć będą podczas wakacji kostiuchnowskie dzieci. Obie strony wywiązują się ze swych zobowiązań. Prace koło cmentarza ruszyły z miejsca i ich efekty są już widoczne. Łódzki zaś „Pomost” czyni przygotowania do przyjęcia dzieci na 2-tygodniowy, lipcowy turnus, a jeśli pójdzie dobrze i na następne turnusy.

Drobny to może, ale wart naśladowania przykład polsko-ukraińskiego współdziałania.

Nie ma powodu ukrywać, że pod tym przedsięwzięciem „Pomost” finansowo się ugina. Będziemy wdzięczni za każdą złotówkę wpłaconą na konto Oddziału Łódzkiego Towarzystwa „Pomost” PKO BP I Oddz. w Łodzi 47513-114550-132 z dopiskiem „Kostiuchnówka”.

Zgłosić pomoc w akcji i informacje uzyskać można u p. Mirosława Michalika 94-058 Łódź, ul. Batalionów Chłopskich 3 m. 68. Telefon 87-38-85.

Władysław BARAŃSKI — Zgierz
Mirosław MICHALIK — Łódź

Summit, NY, 10 marzec 1994

Szanowny Panie Redaktorze:

Otrzymałem właśnie Nr 107 *Zeszytów Historycznych* jak zawsze bardzo ciekawy, toteż czytam „od deski do deski”. Na samym końcu numeru znalazłem „Nieznana Relację o Bitwie pod Szczekocinami” i po przeczytaniu jej jestem przekonany, że prof. Henryk Kocój źle przypisuje jej autorstwo.

Stanisław August ani nie był obecny pod Szczekocinami, ani jej nie napisał. Autorem listu jest król pruski, Fryderyk Wilhelm II, na co wyraźnie wskazuje odniesienie do von Lindenau, który był jego Wielkim Koniuszym (Oberstallmeister). Na udokumentowanie tego stwierdzenia załączam odbitkę z „*Neue Deutsche Biographie*”, Tom 14.

Na inny znów temat, gratuluję wyjątkowo udanego artykułu Elżbiety Misiak „Dlaczego wygrali” w styczniowym numerze *Kultury*. Warto by było ogłosić jego tłumaczenie w jakimś piśmie angielskojęzycznym o szerszym zasięgu. Z myślą o tym napisałem do redakcji *Reader's Digest* załączając tłumaczenie na angielski wraz z sugestią by się zwrócili do Pana z prośbą o pozwolenie na przedruk. *Reader's Digest* wydaje tylko przedruki. Mam nadzieję, że podejmą moją inicjatywę, bo artykuł warty szerszego rozgłosu.

Łączę wyrazy poważania,

Jacek JĘDRUCH

SPIS TREŚCI

Bohdan W. Oppenheim: <i>Spółeczna rola Kościoła katolickiego w Polsce. Rozmowy i wypowiedzi</i>	3
Józef Łaptos, Grzegorz Mazur: <i>Stosunki państwo-Kościół w pierwszej połowie lat 50-tych w świetle raportów dyplomatów francuskich i belgijskich</i>	61
Tadeusz Wyrwa: <i>Oświata i propaganda rządu polskiego na emigracji podczas 2-ej wojny światowej</i>	83
M. Rolicka: <i>Polacy a tajemniczy problem epidemii w czasie wojny koreańskiej</i>	99
Piotr Wandycz: <i>O stosunkach polsko-czechosłowackich: garść refleksji</i>	112

WYWIADY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Andrzej Friszke, Jerzy Poksiński: <i>Pomiędzy Londynem a Warszawą. Rozmowa z Marianem Utnikiem</i>	121
--	-----

WSPOMNIENIA

Danuta Mostwin: <i>Notatki z amerykańskiej prowincji, 13 grudzień 1981 – 20 styczeń 1982. Spotkanie w Hotelu Mayflower, 31 styczeń 1982</i>	139
Andrzej Bogusławski: <i>Przez Finlandię do Narviku — rok 1940</i>	159
Waldemar Żaba: <i>Moje wspomnienia z okresu wojny i okupacji</i>	173

DOKUMENTY

Halina Martinowa: <i>Dokumenty KGB</i>	185
	239

RECENZJE

Tadeusz Wyrwa: <i>Studia nad historią wojskowości krajowej i emigracyjnej</i>	201
Emanuel Halicz: <i>Kwestia narodowa w Europie Wschodniej</i>	209

POLEMIKI

Stanisława Lewandowska: <i>Audiatur et altera pars</i>	214
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Z.S. Siemaszko: <i>Spadochroniarze w drugiej wojnie światowej</i>	221
Tomasz Mianowicz: <i>Kardynał Sapieha a „modus vivendi” z 1950 r.</i>	231

LISTY DO REDAKCJI

Władysław Barański, Mirosław Michalik: <i>Cmentarz legionowy w Kostiuchnówce</i>	237
Jacek Jędruch: <i>Uwagi w związku z autorstwem „Nieznanej relacji o bitwie pod Szczekocinami” (Zeszyty Historyczne nr 107)</i>	238

Photocomposition: **AKTIS S.A.R.L.**
42, av. de Wagram
75008 PARIS

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 MAI 1994
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 2^e trim. 1994
N° d'imprimeur : 2786

